

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM CXXI

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)



ARCHIWUM REWOLUCJI

ARTHUR KOESTLER

FRAGMENTY  
WSPOMNIENIŃ

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

Tytuły oryginałów:

ARROW IN THE BLUE  
THE INVISIBLE WRITING



Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001010704798

II<sup>m</sup>46.077



---

© Copyright pour la langue polonaise  
by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1965

1966 W 131

## NIEBEZPIECZEŃSTWA AUTOBIOGRAFII

Zanim pójdę dalej wypada być może odpowiedzieć na pytanie: dlaczego zabrałem się pisania autobiografii? Mogłem uczynić to w przedmowie, ale przedmowy nużą zarówno czytelnika jak i autora, odłożyłem więc sprawę na później.

Sądzę, że są dwa główne powody pisania autobiografii. Można by je nazwać „instynktem kronikarza” i motywem *Ecce-Homo*. Te dwa bodźce rodzą się z tego samego źródła, wspólnego dla literatury w ogóle: pragnienie aby podzielić się z innymi swoim doświadczeniem i dzięki zwierzeniom uciec od własnego odosobnienia.

Instynkt kronikarza wyraża potrzebę podzielenia się doświadczeniami związanymi ze światem zewnętrznym. Motyw *Ecce-Homo* wyraża tę samą potrzebę wobec przeżyć świata wewnętrznego.

Kronikarz działa pod wpływem lęku, że wydarzenia, których jest świadkiem i które stanowią część jego życia, ich kolor, kształt, zawartość uczuciowa — zginą bezpowrotnie dla potomości, jeśli on sam nie utrwali ich na woskowych lub glinianych tabliczkach, na pergaminie lub papierze, przy pomocy ryłca, gęsiego pióra czy maszyny do pisania. Instynkt kronikarza przeważa w autobiografiach osób, które brały udział w historii swoich czasów, albo bardziej niż inni ludzie czują się powołane do opowiedzenia tej historii, na przykład Daniel Defoe piszący swój „Dziennik Zarazy”.

Z drugiej strony motyw *Ecce-Homo* skłania ludzi do utrwalenia wyjątkowości własnego doświadczenia i tak powstają autobiografie-spowiedzi; mam tu na myśli Świętego Augustyna,

Tomasza de Quincey i Rousseau. Podobnie lekarze, na krótko przed śmiercią, starają się przekazać jak najdokładniej myśli i wrażenia z ostatnich godzin poprzedzających zapadnięcie kurtyny.

Oczywiście instynkt kronikarza i motyw *Ecce-Homo* zajmują przeciwległe bieguny tej samej skali wartości, jak introwersja i ekstrowersja, zdolność odbioru i kontemplacja. Dobra autobiografia powinna łączyć oba elementy, a to nie często się zdarza. Próżność wielkich ludzi zmniejsza wartość biograficzną ich kronik; a introwertyk opętany sam sobą lekceważy sytuacje historyczne, wśród których się porusza. Motyw *Ecce-Homo* może zamienić się w bezpłodny ekshibicjonizm.

Pisanie autobiografii jest więc rzeczą niebezpieczną. Z jednej strony nadęte relacje znakomitych osobistości, z drugiej żenująca nagość ekshibicjonisty, żenująca bo nie jest nagością zdrowego ciała. Kto poza lekarzem lubi oglądać owrzodzoną skórę? Ale poza tymi skrajnymi przypadkami, twórcy autobiografii grożą jeszcze inne pułapki, które nawet doświadczonemu pisarzowi z trudem udaje się ominąć. Najczęściej spotykaną pułapkę można by określić jako „nostalgiczne złudzenie”.

Z uczuciem nostalgii bolesnej i czulej, tkliwej a zarazem gorzkiej, autor pochyla się nad przeszłością, podobnie jak kobieta nad łóżkiem dziecka; przemawia do niej cicho, kołysze w ramionach, ślepy na oczywistość, że uśmiechy, krzyki i konwulsje rodzącego się „ja” dla czytelnika nie mają zupełnie tego uroku wyjątkowości, którym przepojone są w jego własnych oczach. Nawet literaci znający swój zawód i zdający sobie sprawę, że czytelnik jest zimnokrwistą rybą, którą trzeba łaskotać po skrzelach, żeby pobudzić jej wrażliwość — nawet ci pisarze, z chwilą kiedy w pierwszym rozdziale pamiętników, wyruszą w podróż zatytułowaną „Dzieciństwo”, natychmiast ulegają iluzji. Zapach lawendy w matczynej szafie z bielizną jest tak poufny, uśmiech babki tak kojący, a woda strumyczka zarośniętego rzeżuchą, koło ogrodowego parkanu, tak świeża i przezroczysta, że ciągle jeszcze pieści palce trzymające pióro... i rozpisują się o szafach, babciach, kucykach i zarośniętych rzeżuchą strumykach, tak jakby chodziło o wspomnienia całej ludzkości, a nie jedynie o wspomnienia autora, zbyt osobiste i nie do przekazania. Odosobnienie „ja” nigdzie nie wydaje się tak dokuczliwe jak w nieudanych próbach podzielenia się z innymi wspomnieniem tych pierwszych, pełnych treści dni życia, kiedy poza nieuchwytną jeszcze jednością świata zewnętrznego i wewnętrznego, poza pierwotnym związkiem rzeczywistości i wyobraźni, zarysowują się już ściśle określone granice własnej osobowości. Złudzenie nostalgiczne rodzi się z pragnienia aby te granice rozplynęły się i znikły.

Przezorny autor odłoży więc do szuflady, co prawda z wescchnieniem żalu, owo niezrównane źdźbło zasuszzonej lawendy, jakby to była torebka proszku przeciw molom, i zatrzyma się jedynie przy wydarzeniach istotnych. Ale tu wyłania się nowa trudność; bo skąd wiedzieć które fakty mają znaczenie a które nie? Zarówno detektyw jak i specjalista od psychoanalizy utrzymują, że największą wartość odkrywczą posiadają fakty pozornie nieistotne. O słuszności tej zasady przekonały mnie moje własne doświadczenia z policją, niezależnie od tego czy przeszukiwano moje kieszenie czy moje sny. A kiedy w pięć lat później odczytuje się dziennik, zdumiewa jak mało zostały tam podkreślone zdarzenia najważniejsze. Wybór faktów, jest sprawą niesłychanie drażliwą i stanowi kamień probierczy każdej autobiografii.

Drugą pułapką jest fałszywa skromność. Wielu pamiętnikarzy tak bardzo lęka się samochwalstwa, że stara się przedstawić siebie jako ludzi małych. Fałszywa skromność wymaga, aby narrator ukazał się pod postacią szarą i niepozorną, a czytelnik zastanawia się, jakim cudem taki człowiek umiał zdobyć sobie tylu przyjaciół i być zawsze w centrum pasjonujących wydarzeń i przeżyć miłosnych. Oczywiście ten sam szary człowiek jest jednocześnie godnym szacunku wzorem prawości; a jeśli przyznaje się do błędów, to jedynie aby umocnić czytelnika w przekonaniu o własnej skromności.

Umiejętność pozostawiania na drugim planie i dyskrecja (cnoty które tak bardzo pomagają w stosunkach towarzyskich), zamrażają autobiografię. Pamiętnikarz nie powinien ani oszczędzać siebie, ani też ukrywać się pod korcem; musi oczywiście przemoc odrazę do pisania o rzeczach niemiłych i poniżających, ale powinien mieć odwagę, mniej efektowną, ukazania siebie w dobrym świetle. Nie wierzę w purytanizm, ani w życie, ani w literaturze. Samooskarżanie dobrze — ale jednocześnie miłość własna — pod warunkiem, że będzie ona równie pokorna i żarliwa, wymagająca i zrezygnowana, cierpliwa i buntownicza, tak samo pełna zachwyty i oburzenia, jak powinna być miłość do ludzi. Kto nie kocha samego siebie, ten nie umie kochać innych; kto nie nienawidzi samego siebie, nie potrafi nienawidzić w ogóle. A nienawiść jest tak samo konieczna jak miłość, jeśli się chce aby świat szedł dalej. Tolerancja jest cnotą nabytą, obojętność wrodzonym występkiem. „Pozbyłem się tego człowieka od kiedy wszystko mu przebaczyłem”, mówi Freud. Nawet Chrystus nienawidził handlarzy w świątyni.

W roku 1937, w czasie wojny hiszpańskiej, kiedy byłem w więzieniu z perspektywą stanięcia przed plutonem egzekucyjnym, ślubowałem sobie, że jeśli wyjdę żywy, napiszę autobio-

grafię tak szczerą i w której absolutnie nie będę siebie oszczędzał, że w porównaniu z nią „Wyznania” Rousseau i „pamiętniki” Celliniego wydadzą się czystą hipokryzją.

Było to piętnaście lat temu; od tego czasu wielokrotnie próbowałem spełnić przyrzeczenie. Nie wyszedłem nigdy poza kilka pierwszych stron. Niszczenie samego siebie jest rzeczą przykrą, ale najgorsza ze wszystkiego jest chorobliwa przyjemność, jaką się w tym znajduje. Jest ona przeciwieństwem nostalgicznego złudzenia; woń ścieków zastępuje zapach lawendy. Poza tym zawiera się w niej ta forma żałosnego wywnętrzania się, od której artysta ucieka jak od zarazy. To co jest złe w sztuce, jest również złe w autobiografii. Zmuszałem się do pisania w dalszym ciągu, obawiając się, że moja niechęć do tej pracy, moja odraza aby uczynić z autobiografii sprawozdanie chemiczne, była wynikiem słabości moralnej, i dopiero dużo później zrozumiałem, że w tej dziedzinie prawda bez sztuki jest zbyt jaskrawa i odpychająca. Każda sztuka zawiera w sobie ekshibicjonizm, ale ekshibicjonizm nie jest sztuką.

Drażliwa sprawa wyrobu elementów istotnych ma jeszcze jeden aspekt; można zapytać — istotne, ale dla kogo? Dla czytelnika oczywiście. Ale do jakiego rodzaju czytelnika zwraca się autor? Na to pytanie, przynajmniej, mogę odpowiedzieć w sposób jednoznaczny. Instynkt kronikarza kieruje się zawsze w stronę czytelnika przyszłego, w stronę potomności. A to, chociaż może się wydać nadmierną pewnością siebie, jest wyrazem naturalnych dążeń. Nie mam pojęcia czy za lat pięćdziesiąt, ktośkolwiek zechce czytać moje książki, ale wiem co mnie, jako pisarza, podnieca; pragnienie aby zamienić stu czytelników współczesnych na dziesięćciu za lat dziesięć i na jednego za lat sto. Zawsze uważałem, że to właśnie jest jedyną słuszną ambicją pisarza. Tutaj instynkt kronikarza łączy się z motywem *Ecce-Homo*.

CZĘŚĆ PIERWSZA

**EUFORIA**  
1932

*Kiedy palisz swoje okręty, jaki piękny  
widok.*

Dylan Thomas





## SPALONE MOSTY

*Szedłem do komunizmu jak idzie się  
do żywego źródła.*

Pablo Picasso

Szedłem do komunizmu — jak idzie się do żywego źródła. Opuszczałem komunizm przekonany, że z zatrutej rzeki, wypełnionej szczątkami martwych miast i topielców, wypływam wreszcie na powierzchnię. Takie są moje dzieje od dwudziestego szóstego do trzydziestego drugiego roku życia (1932-1938). Trzciny których się chwyciłem aby nie zatonać — były to pędy nowej wiary o korzeniach śliskich i uciekających, ale upartych. Nie umiem określić tej wiary inaczej, niż mówiąc, że jeśli w czasach młodości, świat był dla mnie otwartą książką, ze zbiorem równań fizycznych i pewników społecznych, dziś ten sam świat kryje przede mną nieznaną treść, których sens udaje nam się, i to tylko częściowo, odczytywać w rzadkich chwilach łaski. Moje wspomnienia będą opowieścią z podróży, wiodącej od fałszywej jasności do ostrożnych i trudnych poszukiwań.

Wstąpiłem do Partii Komunistycznej 31 grudnia 1931 roku. W siedem miesięcy później wyjechałem z Niemiec na emigrację do Rosji Sowieckiej. Okres przejściowy, który poprzedził podróż do ZSSR dzieli się na dwa etapy: w pierwszym należałem do Partii potajemnie, w drugim — jawnie.

W książce „The God that failed” opowiedziałem już z pewnymi szczegółami dzieje mego werbunku do Partii i jej służby wywiadowczej. Dlatego tym razem ograniczę się do krótkiego streszczenia wydarzeń.

Podobnie z prośbą o przyjęcie do K.P.D. (*Kommunistische*



*Partei Deutschlands*) wysłałem na ręce Komitetu Centralnego. Po tygodniu otrzymałem dość dziwny list, napisany na maszynie i na papierze bez nagłówka. Podpis był nieczytelny. Zapraszano mnie uprzejmie na „spotkanie z przedstawicielem naszej firmy w biurach pewnej fabryki w Berlinie”.

Herr Ernest Schneller, którego właśnie poznałem był szefem Wydziału Agitacji i Propagandy (AGITPROP) K.P.D. oraz siatki wywiadowczej Kominternu. Ten sam Schneller był również Reichstagsabgeordneter — posłem do Parlamentu Niemieckiego. Podwójne życie oficjalnego dygnitarza i ukrywającego się konspiratora nie było wcale rzeczą wyjątkową. Wielu komunistów żyło i żyje dziś jeszcze *à cheval* — termin zapożyczony z gry w ruletkę dla określenia kogoś kto stawia jednocześnie na dwa konie. Nikt w Partii nie potępia tego rodzaju egzystencji. Przeciwnie „korzystać w pełni z wolności, którą zapewnia konstytucja burżuazyjnego społeczeństwa, aby zniszczyć to społeczeństwo — oto elementarne podstawy dialektyki marksistowskiej”.

Ernesta Schnellera spotkałem tylko dwa razy w życiu. Zmarł w parę lat później w nazistowskim więzieniu, gdzie odbywał karę ciężkich robót. Wyglądał niepozornie: chudy i nieśmiały o zażenowanym uśmiechu. Mówił, że jako wegetarianin żywi się prawie wyłącznie owocami i surowymi jarzynami. Wyznał mi także, że poza prasą partyjną, nie czytuje żadnych innych gazet. Początkowo uważałem go za ciasnego biurokrate, ale uczucie pobłażliwości zamieniło się wkrótce w podziw dla jego subtelności i spokoju w prowadzeniu dyskusji. Zawiadomiłem Schnellera, że chciałbym rzucić dotychczasową pracę i pojechać do Rosji aby prowadzić traktor. W długiej rozmowie przekonał mnie, że będę bardziej użyteczny dla Partii, jeśli bez ujawnienia moich poglądów, będę nadal pracował jako dziennikarz, starając się, w miarę możliwości wpływać na politykę mojej gazety i jeśli będę przekazywał Partii wszystkie znane mi informacje. Schneller wyjaśnił mi, że Partia na razie korzysta wprawdzie z przywilejów legalności, ale prawdopodobnie będzie zmuszona do przejścia na drogę konspiracji. W tej sytuacji jednostki, takie jak ja, które zajmują poważne stanowiska i nie mogą być podejrzane o komunizm, staną się jeszcze bardziej potrzebne Partii w jej walce przeciw faszyzmowi i imperialistycznej agresji. Schneller miał tak wielki dar przekonywania, że w końcu naszej pierwszej rozmowy przyjąłem jego propozycję i zostałem pracownikiem tajnej służby Kominternu, nie zdając sobie zbyt dobrze z tego sprawy.

Podczas naszego drugiego spotkania, Schneller wręczył mi legitymację członka Partii wydaną na nazwisko „Iwana Stein-

berga". Przyprowadził ze sobą małą puciołowatą brunetkę imieniem Paula, która miała być łącznikiem między mną a moim zwierzchnikiem w aparacie, nazywanym Edgarem. W ten sposób, od chwili wstąpienia do Partii pograżyłem się od razu w mrocznym świecie konspiracji, zaludnionym przez Edgarów i Paule — ludzi bez nazwiska i adresu, ulotne cienie, fosforyzujące stwory w głębinach oceanu.

Poza Edgarem i Paulą nie spotkałem innych pracowników „aparatu”. Zbieraliśmy się zwykle u mnie. Paula zapisywała na maszynie podawane przez mnie informacje, Edgar przechadzał się po pokoju i od czasu do czasu zadawał mi pytania w sprawie wymagającej precyzji. Edgar był to szczupły blondyn około trzydziestki, o otwartej twarzy i sympatycznym szczerym spojrzeniu. Dowiedziałem się jego prawdziwego nazwiska dopiero w dwadzieścia lat później z notatki w książce Aleksandra Weissberga<sup>1</sup>.

W „*The God that failed*” Koestler wspomina niejakiego Edgara, który pochodził z Hamburga i naprawdę nazywał się Fritz Burde. Był to przyzwoity chłopak i dobry towarzysz. Poznałem go w 1936 roku w Moskwie, gdzie zajmował wysokie stanowisko w służbie wywiadowczej Czerwonej Armii... G.P.U. i Wojenny Komisariat wiodły długie spory co do tego kto ma sprawować pieczę nad sowieckim wywiadem zagranicą. Po aresztowaniu Tuchaczewskiego G.P.U. miało rozwiązane ręce. Fritz Burde był szefem siatki szpiegowskiej na terenie krajów skandynawskich. Kiedy wraz z innymi został wezwany do powrotu, zwierzył się jednemu z przyjaciół, że wie, że idzie na śmierć, ale nie ma wyboru”.

Nie znałem jeszcze losów Edgara, kiedy w dziesięć lat później stał się dla mnie pierwowzorem postaci młodego agenta nazistowskiego, Bernarda, w „Krucjacie bez krzyża”. Kiedy próbowałem wyobrazić sobie pełnego wdzięku nazistę, który zdobywa sympatię czytelnika, bez żadnej ubocznej myśli opisałem uśmiech i dobre maniere Edgara — komunisty. Doskonale pasował do tej postaci.

Moja, bardzo zresztą skromna, „współpraca” z „aparatem” zakończyła się w dwa lub trzy miesiące później. Byłem wówczas redaktorem zagranicznym w *ZB am Mittag* a w *Wossiche Zeitung*, zajmowałem się działem naukowym. Oba dzienniki należały do Ullsteina — liberalnego i najpoważniejszego wydawnictwa Republiki Weimarskiej. Jako dziennikarz zajmujący się polityką za-

---

1. Tytuł oryginału *Hexensabbat*. Przekład polski ukaze się w niedługim czasie w serii „Archiwum Rewolucji Biblioteki „Kultury”.

graniczną, miałem dostęp do wszystkich mniej lub bardziej poufnych informacji, które nadchodziły do tak ważnego „ośrodka nerwowego” ówczesnych Niemiec, jakim niewątpliwie był Ulstein. Pomagał mi w pracy von E. dwudziestoletni syn byłego ambasadora, obecnie w stanie spoczynku. Byłem zaledwie o pięć lat od niego starszy i wkrótce zostaliśmy przyjaciółmi. Wykładałem mu marksizm i po mniej więcej dwóch tygodniach uznałem, że zrobił już dostateczne postępy aby pozyskać go dla Sprawy. Ponieważ rodzice von E. przyjmowali u siebie członków Sztabu Generalnego i korpusu dyplomatycznego, poleciłem młodemu koledze aby donosił mi o wszystkim co mogło wydać się ciekawe, a zwłaszcza przekazywał wiadomości na temat przygotowywanej przez Niemcy i inne imperialistyczne potęgi wojny przeciwko Związkowi Sowieckiemu.

Wszystko szło jak najlepiej, gdy nagle, w parę tygodni później, podczas bezsennej nocy, von E. poczuł wyrzuty sumienia i pewnego ranka zjawił się u mnie z ultimatum; albo wyzna zwierchnikom prawdę o naszej działalności albo strzeli sobie w łeb. Przygotował już akt spowiedzi w formie listu, który zamierzał wysłać do dyrektora naszej gazety. Ale obiecał mi, że nie zrobił tego bez mojej zgody, po czym położył mi na biurku potężną epistołę.

Z logicznego punktu widzenia żądanie von E. nie miało żadnego sensu. Wobec prawa byliśmy niewinni: nie zdradziliśmy ani tajemnic wojskowych, ani nie sprzedawaliśmy politycznych dokumentów. Von E. opowiadał mi jedynie salonowe plotki, które z kolei przekazywałem moim przyjaciółom — komunistom. Nie przekonałem młodego człowieka: być marksistą lub socjalistą — to co innego (twierdził von E.) a co innego udzielać informacji agentom obcego mocarstwa. To było zdradą, a czy z prawnego punktu widzenia byliśmy szpiegami czy też nie, dla von E. nie miało to żadnego znaczenia. Gdybym nie upoważnił go do przyznania się do winy, zamierzał popełnić samobójstwo.

Chłopak, który stał przed moim biurkiem (nie chciał usiąść) miał błędne spojrzenie i zaczerwienione, spuchnięte powieki. Być może nieświadomie dramatyzował sytuację (wiem, że to smakuje) ale z drugiej strony obawiałem się że zabije się naprawdę. Przyjście do mnie z żądaniem abym przekazał dyrekcji podobny list, było dowodem zupełnej donkiszoterii. A jednak zgodziłem się na wszystko, nie czytając nawet owej potężnej epistoły, która miała położyć kres mojej karierze dziennikarskiej a także „użyteczności dla aparatu”.

Oczywiście można było znaleźć rozsądne wyjście z sytuacji:

należało przeczytać dokładnie list, przedyskutować jego zawartość, odrzucić niektóre punkty a inne wykpić, pomniejszyć całe zagadnienie, przywołać von E. do porządku i wygrać na czasie, proponując mu aby przemyślał sprawę do końca. Przy odrobinie perswazji mogłem „dialektycznie” złagodzić oskarżenia von E. i uratować przynajmniej moją godność jako pracownika „aparatu”. A jednak, rzecz dziwna, nie umiałem zmusić się do przeczytania listu, od którego zależała moja przyszłość. Cała scena miała w sobie coś z nierealnego snu, a w chwili kiedy wsuwałem list do kieszeni von E. ze słowami że może go wysłać z moim błogosławieństwem a poza tym iść do diabła, działałem w wewnętrznym przeświadczeniu, zbliżonym do marzeń sennych, co powodowało, że byłem całkowicie obojętny na skutki mego postępowania.

Taki był kres mojej kariery dziennikarskiej i trudnych osiągnięć — początek siedmiu lat chudych. Jeszcze wcześniej gotów byłem poświęcić przyszłość dla Partii, ale nigdy nie przypuszczałem, że zrobię to w sposób równie lekkomyślny. Dopiero dziś, kiedy po przeszło dwudziestu latach piszę te słowa, wydaje mi się, że łatwość z jaką ustąpiłem von E. była tylko na pozór nierozsądna — w rzeczywistości wynikała ona z nieświadomej potrzeby palenia za sobą mostów. Pisałem już że wszystkie decyzje, które zmieniły bieg mego życia, zdawały się przeczyć zdrowemu rozsądkowi. Później, te same decyzje okazały się słuszne. Sądzę, że w trudnych chwilach naszego życia, ujawnia się nagle rodzaj rozumowania, bardzo różny od tego co zwykliśmy nazywać zdrowym rozsądkiem. Dzieje się tak, jakby właśnie decyzje pozornie fatalne w skutkach, były odpowiedzią na niespodziewany nakaz wewnętrzny.

Rozwinę tę przenośnię: jeśli patrzę w przeszłość widzę siebie w postaci ślepca, który przy pomocy kija toruje sobie drogę w ulicznym tłumie. Pies towarzyszący ślepcowi obojętnie biegnie naprzód. A jednak, w momencie krytycznym, kiedy trzeba przejść przez jezdnię i kij na nic się nie zda, ślepiec czuje, że oczy psa poprowadzą go we właściwym kierunku.

Tym razem dobre strony braku rozsądku dały szybko o sobie znać. Rycerski gest wobec von E. ocalił mnie przed niebezpieczeństwem przemiany w prawdziwego „aparaczyka”. Nie na długo przed opisaną awanturą, Edgar zaproponował mi podróż do Japonii, gdzie miałem pracować dla „aparatu” pod pretekstem zbierania materiału do reportażu. Projekt nie doszedł do skutku, ale sądzę, że wkrótce powierzono by mi niejedną tego rodzaju misję. Chwilowo zaprawiałem się jedynie do tajnej służby na marginesie Wielkiej Polityki; jeszcze kilka tygodni „ćwiczeń”

a zostałbym przemocą wciągnięty tam, skąd już nie ma powrotu. Dzięki wyznaniom von E. straciłem nie tylko posadę ale jednocześnie wartość dla „aparatu” i to w sposób, który w oczach Edgara i Schnellera był dowodem zupełnej nieprzydatności do pracy wywiadowczej. Dali mi spokój.

W parę dni później, von E. przekazał list dyrekcji gazety. Zwolniono mnie z posady pod pretekstem zmniejszenia ilości personelu. Przy okazji otrzymałem dość znaczną sumę pieniędzy, tytułem wynagrodzenia za pięć lat pracy przewidzianej w kontrakcie. Nie było mowy ani o von E. ani o Partii Komunistycznej. Kierownictwo Ullsteina chciało za wszelką cenę uniknąć skandalu. Partia również. Edgar poradził mi abym przyjął dymisję bez prośby o wyjaśnienia.

Spotkaliśmy się raz jeszcze. Paula zginęła w obozie koncentracyjnym w Rawensbrück. Pisałem już o losach Edgara i Schnellera.

## AUTOR „TOWARZYSZEM”

Utrata posady wyzwoliła mnie co prawda z łańcuchów burżuazji ale pozbawiła również użyteczności dla „aparatu” nie miałem więc powodów aby ukrywać, że należę do Partii. Porzuciłem apartament w drogiej dzielnicy „Neu-Westend” i przeniósłem się do kamienicy przy Bonner-Platz, zwanej „Czerwonym Blokiem”, zamieszkałej przez wielu pisarzy i artystów bez grosza, ale o skrajnych poglądach politycznych. Wstąpiłem do miejscowej komórki partyjnej i nareszcie zacząłem prowadzić regularne życie członka Partii.

Stanowiliśmy jedną z wielu komórek partyjnych Berlina — jedną spośród setek tysięcy komórek światowego ruchu komunistycznego. Komórki takie istnieją wszędzie tam, gdzie Partia działa legalnie. W krajach gdzie komunizm jest zakazany — wprowadzono system pięcio lub trzy-osobowych grup. Termin „komórka” nie jest przenośnią — chodzi bowiem o żywe jednostki, które oddychają na łonie ogromnego i stale wzrastającego organizmu i których działalnością kierują ośrodki uwrażliwione na rozmaite choroby jak „wirus titowski”, „burżuazyjna zaraza” lub „rak trockistowski”. Rolę fagocytów odgrywają specjalne organizmy ochrony Partii, począwszy od Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej aż do N.K.W.D.

Nasza komórka liczyła dwudziestu członków. Wiedzieliśmy, że jesteśmy częścią posłusznnej i zorganizowanej całości. Było wśród nas wielu literatów m. in. Alfred Kantorowicz i Max Schröder (obaj po wojnie powrócili do Niemiec Wschodnich); psychoanalityk Wilhelm Reich, który w roku 1933 zerwał z Partią i jest obecnie dyrektorem Instytutu Badań Naukowych

w Rangeley, Maine, w Stanach Zjednoczonych; byli również aktorzy awangardowego teatryku „Pułapka na myszy”, pewien agent ubezpieczeniowy, parę młodych kobiet o intelektualnych ambicjach i kilku robotników. Struktura naszej komórki była nietypowa, ponieważ intelektualści stanowili większość — ale poza tym spełnialiśmy wszystkie ogólnie przyjęte obowiązki.

Nasza działalność była tylko częściowo legalna. Oficjalne zebrania komórki odbywały się raz w tygodniu, ale bardziej aktywni członkowie spotykali się codziennie. Zebranie rozpoczynało się zawsze politycznym przemówieniem przewodniczącego komórki lub inspektora z komitetu dzielnicowego. Wskazywali oni linię działania Partii wobec bieżących wydarzeń. Po przemówieniu toczyła się zwykle dyskusja dość szczególnego rodzaju. Zgodnie z zasadami komunistycznej dyscypliny, po przyjęciu przez Partię decyzji w sprawie określonej linii postępowania jakakolwiek krytyka oznaczała „odchylenie” lub sabotaż. Teoretycznie wolno dyskutować aż do chwili podjęcia decyzji, ale w praktyce decyzje są zawsze narzucane z góry. Jeden ze sloganów Niemieckiej Partii Komunistycznej brzmiał: „Na froncie nie prowadzi się dyskusji”. Inny slogan: „Prawdziwy bojownik zawsze znajduje się na froncie”. Nasze dyskusje odznaczały się całkowitą zgodnością poglądów.

W czasie fatalnej wiosny i lata 1932 roku odbyła się w Niemczech cała seria wyborów, które wstrząsnęły krajem: wybory prezydenta, dwukrotne wybory do Reichstagu i do Parlamentu Pruskiego. Inaczej mówiąc cztery płomienne kampanie wyborcze w ciągu zaledwie ośmiu miesięcy i w kraju u progu wojny domowej. Wzięliśmy udział w tych kampaniach metodą propagandy „od drzwi do drzwi” oraz rozdawania broszur partyjnych. Najbardziej niewdzięcznym zajęciem była propaganda „od drzwi do drzwi”. Przeważnie w niedzielę rano (kiedy najłatwiej zastać ludzi w domu) dzwoniłiśmy do nieznanymi mieszkań aby już od progu podawać lokatorom broszury i zachęcać do natychmiastowej politycznej dyskusji. Proponowaliśmy rewolucję światową, tak jak inni proponują odkurzac. Spotykaliśmy się zwykle z przyjęciem niezbyt uprzejmym ale na ogół nie atakowano nas. Wiele razy zatrzęsnięto mi drzwi przed nosem — nigdy nie zostałem pobity. Staraliśmy się jednak nie pukać do drzwi notorycznych nazistów. Zналиśmy ich równie dobrze jak oni nas, a to dzięki rywalizującym ze sobą komunistycznym komórkom i Blockwarts. Wszystkie wsie i miasta niemieckie, pokryte były tymi dwoma wrogimi sieciami o złożonych i gęstych oczkach.

Ostatnie lato Republiki Weimarskiej stanowiło dla Partii okres przejściowy; przygotowywaliśmy się do pracy konspiracyj-



nej. Komórki obejmowały przeciętnie od dziesięciu do trzydziestu ludzi i sądzono, że są zbyt duże dla działalności nielegalnej i że łatwo mogą do nich przeniknąć różnego rodzaju prowokatorzy. Wyjęcie spod prawa groziło nam z dnia na dzień. Od chwili przejścia na nielegalność wszystkie komórki miały być rozwiązane i zastąpione systemem pięcio-osobowych grup. Rozdzielenie kadr zmniejszało ryzyko. Jedynie przewodniczący grupy miał znać nazwiska i adresy pozostałych członków oraz porozumiewać się z bezpośrednimi zwierzchnikami. W wypadku zatrzymania, mógł zdradzić tylko tych niewielu ludzi z którymi spotykał się.

Komórki działały jeszcze, ale każdy z nas należał już do swojej konspiracyjnej grupy. Teoretycznie nikt nie powinien znać składu osobowego innych grup. W praktyce, ponieważ mieszkaliśmy wszyscy w jednym bloku każdy z nas wiedział kto do jakiej grupy należy i gdzie odbywają się zebrania. W noc spalenia Reichstagu, kiedy to Göring zadał śmiertelny cios Niemieckiej Partii Komunistycznej, grupy rozpięchły się po terenie całej Rzeszy. Podziwialiśmy pomysłowość naszego kierownictwa. I mimo, że wszyscy czytaliśmy prace na temat techniki powstania i wojny domowej, nasz zmysł krytyczny stępił się tak bardzo, że nie zdawaliśmy sobie sprawy, że podobny plan działania zakłada nieuchronność katastrofy. Przygotowania do pracy nielegalnej oznaczały, że nasze kierownictwo przewiduje zwycięstwo Hitlera. A rozproszenie kadr było dowodem, że Partia rezygnuje z otwartej zbrojnej opozycji i że przygotowuje się do akcji sporadycznych o niewielkim zasięgu.

A jednak my, to znaczy większość członków Partii, nie mieliśmy o tym pojęcia. W czasie przewlekłego, parnego lata 1932 r., staczaliśmy nieustanne potyczki z nazistami. Każdy dzień pozostawiał ofiary. Polami bitwy były małe zakopcone tawerny lub knajpy w dzielnicach robotniczych. Niektóre z nich służyły za miejsca zebrań nazistom (*Verkehrslöcale*) inne nam. Wejść do „cudzej” knajpy oznaczało znaleźć się w obozie wroga. Od czasu do czasu, naziści strzelali w kierunku naszych lokali. Wszystko odbywało się według klasycznej tradycji gangsterów z Chicago. Auto z bandą SA-manów powoli przejeżdżało przed naszą knajpą: oddawali kilka strzałów i znikali. Mieliśmy mniej samochodów niż oni, i nasze akcje odwetowe odbywały się zwykle przy pomocy aut skradzionych lub pożyczonych od sympatyków. Do tych misji wyznaczano przeważnie członków Związku Byłych Kombatantów (R.F.B.)<sup>1</sup>. Pożyczałem często moje własne auto. Korzystali z niego towarzysze zupełnie mi nieznani, oddawali je w kilka

---

1. Roter Frontkämpfer Bund.

godzin później, bez zbędnych pytań czy wyjaśnień. Był to mały czerwony, odkryty Fiat, który nadawał się bardziej do wszystkiego innego niż do podobnych akcji. Ale w naszej komórce tylko ja posiadałem samochód. Ostatni przeżytek mojej burżuazyjnej przeszłości służył obecnie proletariackiej rewolucji. Spędzałem przy kierownicy wiele godzin — rozwoziłem pisma i broszury polityczne, służyłem za konwój ochronny, a kiedyś polecono mi przewieźć pełne wyposażenie ręcznej drukarni ze stacji kolejowej do piwnicy pewnej piekarni.

Członkowie R.F.B., którzy wypożyczali samochód do bojowych ekspedycji, rekrutowali się często spośród podejrzanych środowisk Berlina.

Przychodzili zapowiedziani rozmową telefoniczną, lub na ustne polecenie z komitetu dzielnicowego. Rzadko kiedy ci sami ludzie zjawiali się dwa razy. Od czasu do czasu otrzymywałem rozkaz pełnienia funkcji szofera jednakże w misjach mniej tajemniczych. Przejeżdżaliśmy powoli przed knajpą nazistów i obserwowaliśmy kto wchodzi i wychodzi. Innym razem patrolowaliśmy przed własnymi lokalami a to wtedy, jeśli jeden z naszych informatorów, zawiadomił, że naziści przygotowują atak. Zatrzymywaliśmy się, — wygaszone światła, ale motor w ruchu. Na odgłos zbliżającego się samochodu wroga, moi pasażerowie wyciągali rewolwery, ktoś po przyjacielsku radził aby pochylić głowy... Osobiście nigdy nie byłem zmuszony do użycia broni.

Pewnego wieczoru ludzie z R.F.B., którzy przyszli po samochód, przed odjazdem przebrali się u mnie: nałożyli sztuczne wąsy, okulary, meloniki i czarne marynarki — trzech wykwinłni panowie, którzy małym czerwonym Fiatem zdawali się jechać na pogrzeb. Wrócili w cztery godziny później, uścisnęli mi dłoń i bez słowa odeszli. W razie, gdyby policja odkryła numer mojego auta, miałem powiedzieć, że zostało mi skradzione i że odnalazłem je porzucone na pustej ulicy.

Niekiedy krążyły pogłoski, że naziści którzy napadali na siedziby komunistów, zamierzają zaatakować nasz „Czerwony Blok”. Wprowadziliśmy wtedy stan pogotowia a kilku ludzi z R.F.B. przychodziło aby utrzymywać straż. Pewnej nocy trzydziestu „naszych” czuwało w moim małym mieszkaniu. Uzbrojeni w rewolwery, ołowiane knuty i skórzane pejcze przypominaliśmy rozbitków uciekającej armii. W kilka tygodni później von Pappen dokonał zamachu stanu: pruski rząd socjalistyczny został obalony. Był to początek końca.

Niemiecka partia socjalistyczna, licząca osiem milionów członków, nie czyniła nic, a socjalistyczne związki zawodowe nie wezwały do protestacyjnego strajku. Zrobili to jedynie komu-

niści, ale ich wezwanie pozostało bez echa. Nasze słowa podobnie jak zdewaluowana waluta, nie miały już żadnego znaczenia dla mas. Przegraliśmy wojnę przeciw Hitlerowi. Po 20-tym lipca 1932 roku, wszyscy oprócz nas, zdawali sobie sprawę że, K.P.D., największa partia komunistyczna Europy, zamieniła się w skastrowanego olbrzyma, którego puste fanfaronady maskują na zawsze utraconą męskość.

W parę miesięcy później, przygotowania do pracy konspiracyjnej okazały się zupełnie bezcelowe. Już w czasie pierwszych dni panowania Hitlera, zostali odkryci i aresztowani, przywódca Partii Thälmann oraz większość jego współpracowników. Komitet Centralny poszedł na emigrację. Nad Niemcami zapadła długa noc.

Rzuciłem się w wir pracy komórki z zapalem i pasją. Żyłem w komórce, z komórką, dla komórki. Obecnie nie czułem się samotny. Znalazłem w Partii kolegów i serdeczność, której tak bardzo poszukiwałem. Pragnienie aby włączyć się do „czynnego” organizmu zostało w pełni zaspokojone.

Dopiero znacznie później, zdałem sobie sprawę, że różne podwodne prądy nurtowały pod pozornie jednolitą powierzchnią. Zauważyłem, że przyjaźnie osobiste wewnątrz komórki jeśli nie zasługują na naganę, uznawane są co najmniej za dwuznaczne i rodzą podejrzenia o „polityczny frakcjonizm” — największą zbrodnię przeciw Partii. Jeśli dwóch towarzyszy lub więcej, widywano często razem, jeśli bronili tych samych poglądów w czasie dyskusji — posądzano ich natychmiast o chęć utworzenia potajemnej frakcji.

W pensjonatach dla młodzieży i w klasztorach — bliskie związki osobiste budzą podejrzenia o erotyzm a przyjaźnie w łonie Partii — podejrzenia polityczne. Nie bez słuszności... Między ludźmi, którzy poświęcili życie Partii przyjaźnie apolityczne są nie do pomyślenia. Partyjne slogany zachwalały „solidarność klasy robotniczej” zamiast przyjaźni, i „wierność Partii” zamiast lojalności wobec przyjaciół. Oczywiście „wierność Partii” oznaczała bezwarunkowe posłuszeństwo i nakazywała odstępstwo od tych, którzy „zboczyli z linii” lub narazili się na takie czy inne podejrzenia. Podświadomie nauczyłem się kontrolować moje czyny, słowa i myśli. Wiedziałem, że każde słowo wypowiedziane na zebraniu komórki, albo w czasie przypadkowego spotkania — ba nawet zwierzenia przed towarzyszką z którą dzieliłem łóżko — wszystko to pewnego pięknego dnia może odwrócić się przeciwko mnie. Dowiedziałem się, że moje stosunki z innymi członkami grupy nie powinny opierać się na zaufaniu ale na rewolucyjnej czujności. Denuncjacja heretyków była obowiązkiem

każdego członka Partii. Odmowa denuncjacji równała się zbrodni. A niechęć do podporządkowania się etyce partyjnej oznaczała sentymentalne przesady drobnomieszczańskie.

„Towarzyszu, ty i ja możemy się mylić, ale Partia nie myli się nigdy. Partia towarzyszu, przerasta nie tylko mnie i ciebie, ale tysiące nam podobnych. Partia jest wcieleniem rewolucyjnej myśli. Historia nie zna ani skrupułów, ani wahań. Historia nieomylnie idzie naprzód. Na każdym zakręcie zrzuca z siebie błoto i trupy topielców... Dla tego kto nie pokłada wiary absolutnej w Historię, nie ma miejsca w Partii. Linia Partii przypomina wydeptaną, wąską ścieżkę w górach: najmniejszy fałszywy krok i wpadasz w przepaść, powietrze tutaj jest rozrzedzone i biada temu kto zasłabnie”. („Ciemność w południe”).

Dowiedziałem się, że lojalność, wierność i uczciwość — to jedynie przemijające wyobrażenia burżuazyjne. Każda epoka: starożytność, feudalizm a wreszcie kapitalizm posiada własny kodeks etyczny, ponieważ klasy rządzące starają się zawsze narzucić masom swoją moralność, jako wieczną i niezmienną. Nowa klasa społeczna w chwili kiedy wkracza na arenę Historii zmienia istniejące prawa moralne i dostosowuje je do swoich potrzeb. Rewolucja nie dokona się metodą gry w tenisa — rewolucja kieruje się zasadą, że „cel uświęca środki”, jej przewodnikiem — materializm dialektyczny.

„Bezlitosna obojętność (prawdziwego rewolucjonisty) wobec istoty ludzkiej wynika z pewnego rodzaju matematycznej litości... Świadomość, podobnie jak podwójny podbródek, czyni cię niezdolnym do przeprowadzenia rewolucji. Świadomość, podobnie jak rak, zjada mózg, aż wyżre ci całą szarą tkankę”. („Ciemność w południe”).

Niezwykły urok metody dialektycznej można ocenić jedynie czytając klasyków, jak Engelsa „Feuerbach i zmierzch klasycznej filozofii niemieckiej”, Marksa „18 Brumaire’a” czy Lenina „Państwo a rewolucja”. Żyłem w zamkniętym kręgu umysłowym, który da się porównać (jak już wspomniałem) jedynie ze światem średniowiecznych scholastyków. Wszystkie moje uczucia, upodobania artystyczne i literackie, a także stosunek do ludzi uległy zmianie według nowych reguł. Zmieniły się również składnia i słownik; nauczyłem się unikać wyrażań bardziej oryginalnych, starałem się nie budować zdań w sposób zbyt osobisty. Intonacja czy zrećtnie użyte słowo mogło wzbudzić groźne w konsekwencji podejrzenia. Język i myśli poddały się procesowi odwodnienia i gotowym formułom marksistowskim. Istniały, zdaje się, jakieś dwa tuziny przymiotników, których „używalność” nie tylko nie wzbudzała podejrzeń, ale nawet była zalecana — de-

kadencka, hipokrycka, chorobliwa, zgniła (burżuazja); zdyscyplinowany, bohaterski, solidarny, świadomy klasowo (proletariat), drobnomieszczańskie, romantyczne, sentymentalne (skrupuły moralne); oportunistyczne, i sekciarskie (odchylenie na prawo lub na lewo); mechaniczne, mistyczne, metafizyczne (potępione pozycje intelektualistów); dialektyczne, konkretne (właściwe stanowisko intelektualistów) i wreszcie płomienne (protesty), braterska (pomoc), i niezłomna (wierność Partii).

A jednak popierano pewne językowe finezje. Ironia była pożądaną i wygodną metodą walki politycznej, pod warunkiem że jej „używalność” ograniczono do terminów: „rewolucyjna” przeszłość Trockiego, „postępowe” posunięcia angielskiego rządu socjalistycznego, itp. Dużym powodzeniem cieszyły się semantyczne kalambury w rodzaju gry słów pomysłu Marksa w słynnym pamflecie, wymierzonym przeciw teoriom Proudhon'a: „Filozofia nędzy i nędza filozofii”. Podobne gierki dawały się mnożyć bez końca; „wojna dla korzyści i korzyści z wojny”, „prawa terroru i terror praw” itp. Za wzór dobrego smaku literackiego uznawano swoisty barok werbalny. W jednym z dzieł Lenin wspomina Herostratesa, który podpalił świątynię, ponieważ nie widział innej możliwości zdobycia sławy. W związku z tym tu i ówdzie można było znaleźć następujące zdanka „Herostratesowe szaleństwo kryminalne kontrrewolucyjnych sabotażystów skierowane przeciw bohaterskim wysiłkom mas robotniczych w realizacji II-go Planu Pięcioletniego w cztery lata”.

Niewielu partyjnych intelektualistów zdawało sobie sprawę, że ich przekonania były karykaturą myśli rewolucyjnej.

Na przestrzeni zaledwie trzech pokoleń ruch komunistyczny przeszedł z epoki Apostołów do epoki Borgiów. Proces degeneracji postępował stale naprzód. Ale sądzę, że pierwsze ziarna korupcji umysłowej znajdują się już w dziele samego Marksa, a to w sposobie prowadzenia polemiki, w wyzwiskach rzucanych na głowę przeciwnika oraz w denuncjowaniu rywali politycznych jako zdrajców klasy robotniczej na usługach burżuazji. Marks potraktował Proudhon'a, Bakunina i Liebknechta nie inaczej niż po latach uczynił to Stalin wobec Trockiego, Bucharina i Zinowiewa. Z tą różnicą, że Marks nie miał możliwości wymordowania swoich ofiar. Wielkiemu uproszczeniu uległa również metoda dialektyczna. Bardzo łatwo można było udowodnić, że kto sprzeciwia się programowi Partii, jest agentem faszystowskim ponieważ: 1) nie zgadzając się z linią Partii naraża jej jedność, 2) narażając jedność Partii, zwiększa możliwość zwycięstwa faszystów, 3) i w konsekwencji działa „obiektywnie” na rzecz fa-

szysmu nawet jeśli „subiektywnie” odbito mu nerki w walce o komunizm. Równie łatwo było dowieść, że akcje dobroczynne, publiczne czy prywatne, służą kontrrewolucji bo zacierają przed masami prawdę o ustroju kapitalistycznym.

Nasze gusta literackie i artystyczne zostały przerobione w podobny sposób. Za najwyższą formę muzyczną uznano chór, ponieważ jest przeciwieństwem indywidualnej ekspresji. Te teorie przyczyniły się do nagłego odrodzenia chóru antycznego w awangardowych sztukach komunistycznych lat trzydziestych. Ponieważ nie można było usunąć jednostki ze sceny, należało pozabawić ją osobowości, wystylizować, stworzyć typ. Podobnym zaleteniom podporządkowano powieść komunistyczną. Postać centralną zastąpiła grupa ludzi jak np: oddział partyzancki w czasie wojny domowej, mieszkańcy wsi w okresie kolektywizacji lub robotnicy fabryki pracujący nad realizacją planu. Zgodnie z zasadą, że każde dzieło sztuki winno zawierać posłannictwo społeczne, powieść miała spełniać zadanie dydaktyczne. W tym celu należało przedstawić bohaterów, jako typowych przedstawicieli danej klasy społecznej czy postawy politycznej.

Potraktowane bez przesady, poglądy te mają bez wątpienia pewną wartość w dziedzinie powieści politycznej i ideologicznej. W moich późniejszych esejach, jeśli krytykowałem marksistowską teorię sztuki, starałem się zawsze pogodzić potrzebę społecznego znaczenia utworu z wymaganiami estetyki i psychologii. Ale własne próby krytyczne nie uchroniły mnie od popełniania błędów, które sam demaskowałem. Konsekwencje długich lat dogmatyzmu, działają niezależnie od naszej świadomości; łatwo je odnaleźć w moich powieściach, napisanych w dziesięć lat po zerwaniu z Partią.

Oczywiście marksistowska teoria sztuki dała ciekawe rezultaty zarówno w dziedzinie krytyki jak i literatury. Edmund Wilson i Lionel Trilling, dwaj wielcy krytycy współcześni zawdzięczają wiele marksizmowi. Literatura proletariacka lat trzydziestych, wydaje się dziś przestarzała i powierzchowna, ale całe pokolenia poetów i prozaików, tych co przyjęli marksizm w ograniczonych i łatwych do przyswojenia dawkach, nadali decydujący kierunek cywilizacji dwudziestego wieku. Wśród nich m. in. Auden, Isherwood i Day Lewis w Anglii; Dos Passos (pierwsze utwory), Steinbeck, Caldwell i Sinclair Lewis w Stanach Zjednoczonych; Barbusse, Rolland, Malraux, Camus i Sperber we Francji; Becher, Brecht, Weinert, Renn, Seghers, Regler i Plivier w Niemczech, — cytuję tylko niektórych.

Moja ewolucja umysłowa miała inny przebieg niż ewolucja sympatyków komunizmu z lat trzydziestych. Zacząłem pisać

pierwszą powieść, w chwili kiedy pełen rozczarowań, przygotowywałem się do opuszczenia Partii. A to dlatego, że dopiero koło trzydziestki osiągnąłem pełną uczuciową i umysłową dojrzałość. Opóźnienie w rozwoju wynikało w dużej mierze z tego, że przez długich siedem lat należałem do Partii. Ślepa wiara w komunizm paraliżowała we mnie możliwości twórcze. Doktryna marksistowska podobnie jak inne trucizny, arsenik czy strychnina, zażyta w małych dawkach sprzyja rozwojowi organizmu. Ale nadmierna porcja marksizmu obezwładnia. Dla wielu pisarzy lat trzydziestych którzy nie wstąpili do Partii, i pozostali jedynie sympatykami „na odległość” — marksizm okazał się środkiem wzmacniającym. Ci z nas, którzy podobnie jak Victor Serge, Richard Wright czy Ignazio Silone „zanurzyli” się na serio w komunizm a później poczuli się oszukani — ci ludzie odnaleźli własną drogę twórczą dopiero po zerwaniu z Partią. Ciekawe, co stałoby się z pisarzami katolickimi, takimi jak François Mauriac, Evelyn Waugh lub Graham Greene, gdyby wstąpili do klasztoru.

Pisarze rosyjscy należą do innej kategorii — oni nie mogli pozostać sympatykami na odległość. Od 1930 roku literatura w Związku Sowieckim pozostaje całkowicie podporządkowana Partii, która urabia krytykę literacką jako narzędzie dyscyplinarne; sankcje karne zaczynają się od przymusowego milczenia aż do zupełnej likwidacji autora. Byli pisarze rosyjscy, wśród nich Majakowski, którzy dużo wcześniej od nas zrozumieli dokąd prowadzi reżym komunistyczny, i popełnili samobójstwo. Większość twórców literatury sowieckiej w pierwszych latach Rewolucji, wymordował Stalin w okresie „Wielkich Czystek”. Ci co przeżyli, albo utracili głos, albo zmienili się w dworskich błaznów — laureatów nagrody stalinowskiej. Podobnie stało się z pisarzami-komunistami innych narodowości, którzy nie opuścili Partii, m. in. Louis Aragon i Johannes R. Becher.

Fanatyczna wiara w Partię nie zamknęła mi oczu na najbardziej absurdalne zjawiska zachodzące w moim nowym otoczeniu. Zauważyłem, że polityczni instruktorzy przysyłani z komitetu dzielnicowego na zebrania naszej komórki, nie mieli pojęcia o niczym co wykraczało poza wąską dziedzinę strategii i taktyki robotniczej, to znaczy poza sprawy strajków, manifestacji i związków zawodowych. Nie wiedzieli a może nie chcieli wiedzieć, że kanclerz Brüning, chrześcijański demokrat, szczerze przeciwstawiał się Hitlerowi i że istnieje zasadnicza różnica między angielskim torysem a niemieckim nazistą. Dla tych ludzi demokracja była ukrytą formą dyktatury kapitalistycznej a faszyzm jej formą jawną, zaś charakter klasowy obu ustrojów



jednakowy. Ludzie ci twierdzili, że różnice między burżuazyjnymi partiami są jedynie wyrazem wewnętrznych sprzeczności kapitalizmu a rzeczywiste rozwarstwienie grup społecznych przebiega według podziału klasowego. Takie rozumowanie uważałem za fałszywe a zarazem nie pozbawione słuszności. Fałszywe bo upraszczało niezmiernie złożoną rzeczywistość, słuszne — ponieważ w świetle Historii, niuanse tracą znaczenie. Subtelność moich opinii nie ma żadnej wartości i jedynie teleskop dialektyki pozwala odkryć istotę zjawisk.

Zdarzały się jednak „pigułki” jeszcze trudniejsze do przełknięcia, a zwłaszcza w dziedzinie słownictwa i literatury. Kiedy w rozmowie na zebraniu komórki, użyłem słowa „spontanicznie” życzliwy towarzysz poradził mi, że lepiej na przyszłość unikać tego przymiotnika, ponieważ „spontaniczne manifestacje ducha rewolucyjnego” należą do trockistowskiej teorii permanentnej rewolucji. Było to w początkach mojej partyjnej kariery. Przyznałem, że czystość semantyczna jest częścią niezbędną rewolucyjnej czujności, ale musiałem zagryźć wargi aby nie parsknąć śmiechem. Podobne reakcje zaczęły powtarzać się coraz częściej.

Po powrocie ze Związku Sowieckiego jeden z moich znajomych zacytował mi przemówienie partyjnego instruktora na zebraniu Robotniczego Stowarzyszenia Literackiego: „Poglądy, że poezja jest owocem talentu, który nie wszyscy posiadają — tłumaczył instruktor — to wymysł burżuazyjnej metafizyki. Zdolności poetyckie podobnie jak wszystkie inne zawody osiąga się drogą nauczania i praktyki. Potrzeba nam poezji proletariackiej wyrażającej świadomość klas, musimy zwiększyć produkcję na froncie literackim. Debiutanci winni zacząć od pięciu wierszy dziennie, następnie wyznaczyć sobie obowiązek pisania od dwudziestu do trzydziestu wierszy, zwiększać nieustannie jakość i ilość produkcji”.

Kiedyś, podczas podróży po Rosji sam słyszałem jak pewien mówca wyjaśniał, że moda niesłuchanie długich poematów, panująca w Niemczech w latach 1920-30, była ideologicznym odbiciem inflacji i wielkiej podaży drukowanego papieru. W czasie mego pobytu w Rosji stale potykałem się o podobne absurdy, ale tłumaczyłem sobie, że są to „wzruszające objawy” entuzjazmu narodu, który budzi się do życia, po stuleciach uciemnienia i apatii. Nie można było wymagać od „zacofanych mas” aby z dnia na dzień osiągnęły intelektualną finezję byłego redaktora od Ulsteina.

Po kilku miesiącach partyjnego życia, moja wiara przyjęła formę bardziej giętką a zarazem trwałą. To co mnie raziło nazywałem po prostu: „dziedzictwo kapitalistyczne”, „nieunikniona



gorączka rewolucji” czy też „metody tymczasowe”. Rewolucyjna strategia zmuszała często do podejmowania środków taktycznych, które wydawały się absurdalne i okrutne. Ale marksista w przeciwieństwie do prasy burżuazyjnej winien unikać „wydawania sądów mechanicznych” i opierających się na pozorach. Marksista winien odnajdywać wszędzie „ukryty sens dialektyczny” a w swoich wystąpieniach publicznych uwzględniać poziom umysłowy „zacofanych mas”.

Moja naiwna wiara przekształciła się powoli w przekonania ezoteryczne, elastyczne i zabezpieczone przed zderzeniem z rzeczywistością. Na pytanie w jaki sposób ludzie inteligentni mogli wytrzymać wszystkie niespodziewane i gwałtowne zakręty „linii Partii”, odpowiem, że każdy wykształcony komunista, począwszy od członka rosyjskiego Politbiura aż do francuskich literackich koterii, posiada swoją własną filozofię sekretną, która pozwala mu „poprawiać fakty”. Nazwa tego procesu umysłowego nie ma znaczenia: podwójne myślenie, kontrolowana schizofrenia, mitomania lub semantyczna perwersja. Ważna tu jest jedynie metoda psychologiczna. Bez niej portret autora jako „towarzysza” byłby niejasny.

A jednak umiałem oszukiwać samego siebie tylko do pewnych granic. Mój sposób myślenia i język uległy zmianie według partyjnego żargonu, to prawda ale przemiana dotyczyła wyłącznie słowa mówionego. Kiedy próbowałem pisać spotykałem się z nieuświadomioną opozycją wewnętrzną. Mimo długoletniej dziennikarskiej rutyny, w czasie całej mojej kariery partyjnej nie napisałem ani jednego artykułu do prasy komunistycznej. Byłem do tego absolutnie niezdolny — nawet wtedy, kiedy prawie że zdychałem z głodu. Początkowo redagowałem przemówienia i rozprawy dla naszej komórki, które mimo, że zgodne z linią generalną, okazały się za mało ortodoksyjne i komitet dzielnicowy wstrzymał je. Dużo później, w 1934 roku, w czasie kampanii w Zagłębiu Saary, chciałem wydawać humorystyczne pismo komunistyczne. Ukazał się tylko pierwszy numer. I tym razem Partia odrzuciła moje propozycje. Udawało mi się wygłaszać przemówienia w partyjnym żargonie, na poziomie „zacofanych mas”, ale moja prawda wewnętrzna przebywała w szczelnie zamkniętych komorach mózgu. Jeśli próbowałem pisać wbrew tej prawdzie wewnętrznej, czułem się jak sparaliżowany. Nie mogłem się skupić, plątałem zdania a na niezapisanych kartkach rysowałem arabeski lub nagie boginie wyciągające sierp i młot ku słońcu.

Moja zdolność podwójnego myślenia była więc ograniczona. Nie umiałem ani dyskutować z von E. ani pisać w partyjnym

stylu. Być może mimo szczerych chęci, byłem jedynie bardzo miernym marksistą. Ale to, że niezależnie od stale rosnących wątpliwości przez siedem lat pozostawałem w Partii, dowodzi, że moje „ograniczenia” jako komunisty były raczej nieświadome niż przemyślane. Nadal biegłem za strzałą w błękicie, nadal wierzyłem w czarodziejską formułę, która sprawi, że wkrótce narodzi się wiek złoty. Wiatr może zmienić odpowiadający ruchowi ziemi lot strzały, ale pociskiem kierowanym nie można narzucić biegu zygzagowatego<sup>1</sup>.

Rzeczą charakterystyczną w życiu Partii (co miało głęboki wpływ na mnie) był kult proletariatu i pogarda dla inteligencji. Intelktualiści pochodzenia burżuazyjnego znaleźli się w Partii z łaski klasy robotniczej, a nie dlatego, że mieli do tego prawo. Przypominano nam to nieustannie. Tolerowano nas ponieważ w okresie przejściowym Partia potrzebowała inżynierów, lekarzy, uczonych oraz ludzi pióra, należących do przedrewolucyjnej elity umysłowej. Ale nie wzbudzaliśmy więcej zaufania niż „użyteczni Żydzi” w hitlerowskich Niemczech, którym przed śmiercią dano specjalną opaskę na ramię i krótki okres zwłoki. W ustroju komunistycznym pochodzenie społeczne rodziców i dziadków miało tak samo decydujące znaczenie jak przynależność rasowa dla nazistów. I dla tego komuniści-intelktualiści starali się w miarę możliwości, przybrać wygląd „proletariacki”. Ubierali się w grube swetry, mieli brudne paznokcie i mówili robotniczym żargonem. Niezależnie od poziomu umysłowego, robotnik zawsze ocenia sytuację „właściwiej” niż wykształcony inteligent — głosił jeden z nigdy nie dyskutowanych artykułów naszej wiary. Utrzymywaliśmy, że dzieje się tak na skutek „wycucia klasowego”. Jeszcze jedna zbieżność z nazizmem — pogarda dla „niszczyielskiej inteligencji żydowskiej” przeciwstawionej „instynktowi zdrowej rzeszy”.

Podobna atmosfera podsyciała niesłychanie mój kompleks niższości, zakorzeniony od dzieciństwa, związany z nieustannym poczuciem lęku i winy. Udało mi się (z niemalym trudem) stworzyć pozory pewności siebie, ale które pokrywały jedynie wewnętrzne przeświadczenie, że jestem zwykłym szarlatanem, zasługującym na wszystkie upokorzenia i klęski, i który oszukuje, aby osiągnąć sukces. Pragnąłem zawsze „być naprawdę sobą”. Ale dla jednostki w moim rodzaju łatwiej wejść na szczyt Mont-Ewerestu niż być sobą. Wiemy, że Jakała Demostenes ćwiczył mowę mając usta pełne kamieni a później stał się największym oratorem starożytnej Grecji. Nie dowiemy się nigdy czy tenże Demos-

1. Próbowałem opisać te męki umysłowe w książce „The Age of Longing”.

tenes nauczył się mówić równie naturalnym głosem do swoich bliskich.

Robotnicy z którymi stykałem się w życiu partyjnym, mówili powoli ale swobodnie i zachowywali się mniej więcej zgodnie z ich „prawdziwym” „ja”. Dużo później zrozumiałem, że szofer ciężarówki czy mechanik samochodowy, cierpi na te same choroby psychiczne co krytyk literacki, z tą tylko różnicą, że robotnik nie potrafi o tym opowiadać. Na razie zdawało mi się, że wszyscy proletariusze z naszej komórki są silni, twardzi i dyskretni. Uważałem, że zostali nie tylko wybrani przez Historię aby objąć spadek po dekadence burżuazji, ale, że stoją oni moralnie dużo wyżej od inteligenckich szarlatanów takich jak ja. Uświadomiony klasowo proletariat miał być marksistowskim ekwiwalentem Szlachetnego Dzikusa Rousseau, Nadczłowieka Nietzsche’go oraz — *Blut und Bodenmensch* — hitlerowskiego „Człowieka Krwi i Ziemi”. Uświadomiony klasowo proletariat był dla inteligencji komunistycznej czymś w rodzaju kolektywnego „nad-ja”. Z przyczyn które już wyjaśniłem, moja reakcja w tym wypadku była szczególnie głęboka i długotrwała.

Łatwo zrozumieć, że ktoś o mojej przeszłości doszedł do komunizmu; trudniej odtworzyć stan psychiczny młodego człowieka, który w wieku lat dwudziestu sześciu wstydi się, że studiował na uniwersytecie, przeklina zrećność swojego umysłu i mowy, robi sobie wyrzuty z powodu nabytych dobrych manier i upodobań cywilizowanej jednostki, oraz dąży uporczywie do intelektualnej samokastracji. Gdyby można było, podobnie jak usuwa się wrzód z ciała, oczyścić się z wyżej wymienionych „przypadłości” — z radością poddałbym się operacji.

Pewna opublikowana niedawno amerykańska praca socjologiczna, która obejmuje wszystkie klasy i rasy Stanów Zjednoczonych, udowadnia, że większość młodych Amerykanów wstępuje do Partii Komunistycznej nie z powodu złych warunków materialnych, ale z racji konfliktów rodzinnych. Pisałem już, że podobne stwierdzenia nie mogą służyć jako argument „za” lub „przeciw” marksizmowi. A jednak nie teoria marksistowska rodzi rewolucjonistów, ale pewne skłonności psychologiczne czynią ludzi wrażliwymi na teorie rewolucyjne, które pomagają im uzasadnić konflikty osobiste — co nie wyklucza, że takie właśnie uzasadnienie może być słuszne.

Wmawiano mi w dzieciństwie, że to co robię jest złe, przykre dla otoczenia i przynosi mi wstyd. Nieustanne poczucie winy i oczekiwanie kary, spowodowały, że jako pięcioletnie dziecko

przeżyłem mały kryzys manii prześladowczej<sup>1</sup>. W parę lat później objawem moich kompleksów była paralizująca nieśmiałość jeszcze później zbyt dziecinny wygląd i przewlekłe dojrzewanie. Wreszcie w wieku lat dwudziestu sześciu, nagromadzone niepokoje i poczucie winy, w poszukiwaniu pierwszego lepszego pretekstu — uczepliły się mojej burżuazyjnej przeszłości, zdolności myślenia i używania życia. Przechadzka po lesie, kolacja w dobrej restauracji, lektura powieści czy zwiedzanie wystawy malarskiej, wszystko to były niegodne, bo niedostępne dla innych rozrywki jednostek uprzywilejowanych. Prawdziwi komuniści jak szczyrzy katolicy, żyją w nieustannej świadomości grzechu pierworodnego.

Żałuję, że fałszywe rozumowanie zaprowadziło mnie kiedyś do Partii; nie żałuję narzuconej nam partyjnej dyscypliny. Pobyt w czystcu stanowi przykre doświadczenie — ale ludzie, którzy przezeń przeszli, nie chcą wymazać z pamięci tego co przeżyli.

Dwa wydarzenia dotyczące kobiet, zasługują na wzmiankę, ponieważ oddają dość wiernie *Götterdämmerung*, gorączkową atmosferę Berlina na kilka miesięcy przed Hitlerem.

Pierwsza przygoda wydaje się nader obrzydliwa i zupełnie nie do wiary dla kogoś, kto nie zna ogólnej historii narodu niemieckiego u schyłku Republiki Weimarskiej. Zdarzenie dotknęło jednego z moich kolegów od Ullsteina, którego imienia już nie pamiętam — nazwę go Ehrendorf.

Otóż w karnawale 1932, Ehrendorf tańczył na balu z pewną roslą i piękną blondyną. Mogła mieć dziewiętnaście lub dwadzieścia lat, a na piersi dźwigała ogromną broszkę w kształcie swastyki. Była wesoła, wyzwolona ze zbędnych skrupułów, pełna zdrowych „instynktów naturalnych” — jednym słowem idealna *Hitler-Mädchen*. Po balu, Ehrendorf zaprosił dziewczynę do siebie gdzie dość gorąco przyjęła jego awanse. W momencie kulminacyjnym, dziewczyna unosi się nagle na łóżku, wyciąga ramię w nazistowskim pozdrowieniu i zamierającym głosem wzdycha „Heil Hitler”. Biedny Ehrendorf mało nie dostał ataku. Kiedy przyszedł do siebie, uroczą blondyną wyjaśniła, że z grupą przyjaciółek złożyła uroczyste ślubowanie „wspominać Hitlera w najpiękniejszych chwilach kobiecego życia”.

Walkirie hitleryzmu godnie przejęły dziedzictwo po *Tricoteuses* Wielkiego Terroru. Przy okazji dodam, że miałem zawsze mało postępowe opinie co do roli kobiet w Historii. Uważałem, że rola ta była przeważnie bardzo szkodliwa. Zachowuje się stale pewna równowaga między tyranami a ludźmi.

---

1. *Arrow in the Blue*, Londyn.

Gdzież są kobiety humanistki, które można by przeciwstawić znakomitej kolekcji potworów w spódnicy od Messaliny czy Katarzyny Wielkiej aż do Armii Griese z Buchenwaldu? Napisano wiele książek o wybitnych mężach stanu dla małych chłopców ale nigdzie nie znajdziesz dzieła o wielkich kobietach dla małych dziewczynek. Myślę natomiast, że antologia czarownic, które pozostawiły krwawy ślad w dziejach ludzkości, byłaby międzynarodowym *best-seller*'em. Mówię jedynie o kobietach zajmujących się bezpośrednio polityką. A wpływ kobiet na bieg Historii poprzez mężów i kochanków? Wydaje się, że i w tym wypadku, kobiety położyły większe zasługi dla podsycającej wojowniczych ambicji mężczyzn niż dla ich uspokojenia.

A oto inne wydarzenie, charakterystyczne dla atmosfery ówczesnego Berlina. Przewodniczący naszej komórki, Adolf Kantorowicz, zaprosił do siebie na herbatę pewną młodą towarzyszkę i mnie. Szczupła brunetka, którą widziałem po raz pierwszy byłaby nawet niebrzydka, gdyby nie szpeciło jej zaniedbanie a zwłaszcza obłądny wyraz twarzy. Nie brała udziału w rozmowie, nie starała się nawet udawać, że słucha. Nagle zwróciła się do Kantorowicza:

„Proszę, wyjrzyj przez okno, zobacz czy on tam jest? Ale uważaj”.

Kantorowicz uchylił firanki;

„Nie ma nikogo” — powiedział uspokajająco.

„Kiedy przyszłam ukrywał się za latarnią” — utrzymywała dziewczyna.

Mówiła zgaszonym, zrezygnowanym głosem. Kantorowicz wytłumaczył mi kłopoty towarzyszkii Hildy: od wielu dni śledził ją jakiś człowiek, ale z tego co mówiła nie można było dociec czy to policja.

„To nie policja” — powiedziała z powagą.

Zmusiliśmy ją do wyjaśnień, i wtedy po dłuższej ciszy...

„To taki jeden z Komitetu dzielnicowego”.

Z dużym wysiłkiem i z długimi przerwami, kiedy to dziewczyna milkła, nieruchomiała, stawała się *incommunicada*, wyciągnęliśmy z niej mętną opowieść, z której wynikało, że ktoś z Komitetu dzielnicowego (nasze bezpośrednie zwierzchnictwo w hierarchii partyjnej) chciał się z nią przespać. Odmówiła, a wtedy padło oskarżenie o bliżej nieokreśloną działalność antypartyjną. Obecnie, ten sam towarzysz nie przestaje jej śledzić, ukryty w bramie lub za uliczną latarnią.

Zastanawialiśmy się jak jej pomóc. Ale dziewczyna nie zwracała najmniejszej uwagi na to co do niej mówiliśmy. Była całkowicie pochłonięta sobą, patrzyła przed siebie nieruchomym

szklanym wzrokiem. Siedziała przy stole sztywna i przerażona. Nagle jej górna warga uniosła się ukazując dziąsła, później zniechęciła w grymasie. Dziewczyna nie załkała, nie okazała najmniejszego wzruszenia; — grymas zabitego królika pozostał. Wypadek ukrytej paranoi, przeszedł w stan zapalny. Młoda kobieta oszalała w naszej obecności. Nie bez trudności udało się nam odwieźć ją taksówką do szpitala.

Wyrwałem kiedyś królika z kłów wyżła. Królik mimo, że nie wydawał się ranny, zdechł w parę minut później. Podobny wyraz miała twarz towarzyszki Hildy: szklany wzrok i odsłonięte dziąsła. Przemiana twarzy ludzkiej w maskę, człowieka — w automat, przypominała mi niepokoję mego dzieciństwa. Myślę, że nieszczęsna dziewczyna straciłaby rozum bez względu na to czy była komunistką czy też nie. Ale szczególny charakter tego szaleństwa wynikał z atmosfery, w której żyliśmy. W opowiadaniu Hildy znajdowały się niewątpliwie ziarna prawdy, które pobudziły jej wyobraźnię. W zamierzchłych czasach manie prześladowcze rodziły się z lęku przed zmorami i demonami — demonem towarzyszki Hildy był „pewien typ” z komitetu dzielnicowego, który oskarżył ją o zbrodnię przeciw Partii.

Oczywiście histeryczna Walkiria i żałosna Hilda nie reprezentują wszystkich niemieckich kobiet. Są to dwa skrajne przypadki „politycznie nawiedzonych” z roku 1932.

## „UTARZAJ SIĘ W BŁOCIE”

Nie na długo przed utratą posady, zorganizowałem wśród pracowników Ullsteina koło sympatyków komunizmu. Zebrania dwunastoosobowej grupy, odbywały się raz w tygodniu, u mnie: redaktorzy, dziennikarze, graficy, krytycy literaccy i filmowi. Celem grupy, była wzajemna wymiana informacji i walka przeciw tendencjom pro-nazistowskim, na terenie naszej instytucji. Jedyne Kantorowicz, współpracownik wielu pism Ullsteina, i ja byliśmy członkami Partii; jedynie my dwaj uczestniczyliśmy regularnie w zebraniach, braliśmy sprawę poważnie i wiedzieliśmy o co chodzi. Byliśmy zdyscyplinowanymi żołnierzami cywilnej armii podporządkowanej ścisłym rozkazom. Inni żyli w odosobnieniu — onieśmieleni rzeczywistością inteligencji. Pragnęli „coś uczynić” ale bali się skutków — oddawali się długim bezcelowym i niejasnym dyskusjom.

Co tydzień za pośrednictwem Edgara przekazywałem aparatowi sprawozdania z działalności grupy, z notatkami na temat charakteru członków i ich środowiska. Polecano mi zostawić im pełną swobodę wypowiedzi, jednocześnie miałem śledzić rozwój indywidualny każdego członka grupy z punktu widzenia jego przyszłej użyteczności. Dzięki tej metodzie, powolnej, cierplivej i tylko na pozór bezinteresownej, „aparat” zarzucił sieci na tysiące podobnych „kół dyskusyjnych” czy grup samokształceniowych” na uniwersytetach i w redakcjach, w biurach i przedsiębiorstwach na całym świecie. W ten sposób zostali zwerbowani do Partii m. in. Alger Hiss, Nunn May i Donald Mac Lean. Oczywiście tak znakomite zdobycze zdarzały się nie często, ale duże znaczenie miało również przenikanie ideologiczne: utworzenie w liberalno-postępowych środowiskach umysłowego klimatu,

prowadzącego do życzliwej neutralności, do czynnej pomocy dla Wielkiego Społecznego Doświadczenia, oraz utożsamienie jakiegokolwiek krytyki Rosji Sowieckiej z postawą reakcyjno-faszystowską.

Nasza grupa nie miała żadnych osiągnięć i po paru miesiącach została rozwiązana. Wobec całej serii zwolnień z pracy u Ullsteina i w cieniu hitleryzmu, który rozprzestrzenił się nad krajem na kształt ołowianej chmury, ta pstrokata grupka intelektualistów uległa zbyt wielkiemu przerażeniu i zatraciła zdolność zdrowego myślenia. Łatwo było pozyskać ich sympatię dla Rosji — niemożliwe zmusić do obrony własnych interesów w Niemczech. Liberałowie rzadko zdają sobie sprawę że w pewnych sytuacjach ostrożność prowadzi do samobójstwa.

Kiedy Franc Höllering został zwolniony z pracy, próbowałem zorganizować wspólną manifestację protestacyjną. Mimo dużej popularności Hölleringa wśród kolegów, nikt nie odważył się podpisać listu zredagowanego przeze mnie, zresztą w tonie bardzo umiarkowanym. Jedni wzruszali ramionami ze słowami „pan jest młody”, inni mówili o „metodach komunistycznych”. To ostatnie wyrażenie ukazuje całą złożoność zagadnienia. Za każdym razem kiedy komuniści stawali na czele akcji protestacyjnych, czy to chodziło o obronę antyfaszystów, czy narodów kolonialnych, albo kiedy brali udział w ruchu oporu w czasie wojny, — zawsze działali we własnym interesie, to prawda — ale jednocześnie dawali dowody odwagi, zdyscyplinowania, umiejętności podejmowania decyzji, co zapewniało im nie tylko podziw, ale i znaczną przewagę moralną nad sojusznikami. Ta właśnie dzielna i rycerska strona komunizmu, przyciągnęła do Partii miliony ludzi a wśród nich mnie, i wynagrodziła nam nasze rozczarowania.

Wydarzenie, które wspominam z dużą satysfakcją, dotyczy nakazu eksmisji ubogiej kobiety z dzieckiem, zamieszkałej w naszej dzielnicy. Na wiadomość o tym, poszliśmy trzydziestoosobową grupą do właściciela domu. Oświadczyliśmy, że jeśli zażąda eksmisji, przeciwstawimy się policji, i że postaramy się o umieszczenie informacji na ten temat w prasie. Właściciel ustąpił. Zorganizowaliśmy wtedy publiczne zebranie pod hasłem: „Z czerwonego bloku nigdy więcej eksmisji”. Nasza komórka podejmowała podobne akcje spontanicznie, bez rozkazu komitetu dzielnicowego. Być może w końcu oskarżono by nas o „trockizm” albo też o „lewicowe odchylenie”, ale Hitler zjawił się wcześniej.

Wkrótce po moim odejściu od Ullsteina grupa sympatyków komunizmu rozproszyła się. Zwolnienie z pracy odebrało mi auto-



rytet w grupie, a jeden z naszych zwolenników, oświadczył chłodno: „ty nie masz już nic do stracenia, ale my owszem”. Miał słuszość, co prawda nie na długo. Te posady których czepiali się tak gorączkowo bez troski o zasady i nie rozumiejąc, że jedynie odważne i zorganizowane działanie może ich ocalić, te posady utracili oni w parę miesięcy później. Ich los był symbolem niegodnego schyłku Republiki Weimarskiej, a ich małość napełniła mnie pogardą. Byłem dumny i szczęśliwy, że jestem komunistą.

Poza komórką partyjną, która obecnie stała się moim światem, miałem niewielu przyjaciół. Pozostali mi jedynie ci, którzy albo byli komunistami albo sympatyzowali z komunizmem. Wkroczyliśmy w epokę totalitaryzmu. Stosunki między ludźmi stawały się coraz bardziej napięte. Możliwości porozumienia się między sobą zmniejszały się szybko.

Wśród wybitnych intelektualistów-komunistów przed-hitlerowskiego Berlina — ceniłem najbardziej Hansa Eislera. Jego rodzina należała do najwyższej arystokracji komunistycznej i zasługuje na wzmiankę.

Troje Eislerów: Hans, Gerhard i Ruth pochodzili z Wiednia. Ojciec ich był szanowanym autorem prac z dziedziny socjologii. Ruth (alias Ruth Fischer) była prawdopodobnie najbardziej błyskotliwą postacią kobiecą w dziejach komunizmu. W 1918 roku założyła ona austriacką partię komunistyczną, której była pierwszym członkiem; następnie została wybrana na Przewodniczącą Komunistycznej Partii Berlina, później posłem do Reichstagu i członkiem prezydium Kominternu. Dziś, Ruth Eisler należy do najzarliwszych „anty” i ex-komunistów i jest autorem najbardziej erudycyjnej książki na temat Historii Kominternu<sup>1</sup>.

Trzeci z Eislerów, Gerhard (alias Hans Burger) zrobił w początkach swej kariery partyjnej „fałszywy krok na prawo”. Ale Stalin przywrócił go do łaski i w roku 1929 wysłał do Chin, aby w przebraniu handlarza soli, zlikwidował bunt przeciw paktowi Stalin — Czang Kai-szek. (Pakt ten był pierwowzorem umowy Stalina z Hitlerem, z r. 1939). Przygody Gerharda jako agenta Kominternu w Chinach, natchnęły brata jego Hansa do skomponowania opery pod tytułem „Die Massnahme” („Wymiar kary”), która (libretto Bertolda Brechta) należy do klasycznych utworów sztuki komunistycznej. Gerhard był kolejno urzędnikiem Kominternu w Moskwie (gdzie spotkaliśmy się w roku 1933), następnie agentem komunistycznym we Francji (gdzie byliśmy internowani w obozie koncentracyjnym Vernet)

---

1. *Stalin and German Communism*, Cambridge, USA, 1948.

i w Stanach Zjednoczonych (gdzie w roku 1950 został aresztowany i skąd uciekł na polskim statku). W chwili kiedy piszę te słowa Gerhard jest szefem Wydziału Propagandy Strefy Sowieckiej w Niemczech<sup>2</sup>.

Mimo, że wszyscy troje byli komunistami, Ruth, Hansa i Gerharda dzieliły znaczne różnice charakteru. Ruth mała i okrągła, o wybuchowym temperamencie, zbuntowała się przeciw stalinowskiemu kaftanowi bezpieczeństwa. Dzięki służalczości i intrygom Gerhard, arywista o gładkiej twarzy i łagodnym sposobie bycia, zachował ciepłe miejsce w hierarchii Kominternu. Hans nie podzielał entuzjazmu Ruth, ale nie był też oportunistą w rodzaju Gerharda. Był artystą muzykiem, któremu zdarzyło się należeć do Partii. Drwił z intryg politycznych i udało mu się utrzymać z dala od seizmów wstrząsających Partią. Ponieważ muzyka jest sztuką bardziej oderwaną od polityki niż malarstwo czy literatura, pozostawiono początkowo muzyków w spokoju. Gromy na Szostakowicza i formalistów miały zwalić się dopiero w dwadzieścia lat później. Miły Hans, nieduży o szerokiej księżycowej twarzy, odznaczał się rzadkim poczuciem humoru i umiejętnością kpiny z samego siebie. Ogromnie lubiłem słuchać, jak wystukiwał palcami na pianinie i swoim zachrypłym głosem śpiewał „Marsz bezrobotnych”, „Hymn Kominternu” albo inne rewolucyjne pieśni, które ze słowami Brechta czy Ericha Weinerta, były zarazem sentymentalne, płomiennie, i dydaktyczne. Są to jedyne naprawdę wartościowe utwory sztuki ludowej, które stworzył europejski ruch komunistyczny — początki rewolucyjnego folkloru.

Wśród snobów i salonowych komunistów, najmodniejszym poetą był Bertold Brecht. Nigdy nie spotkałem się z nim osobiście, ale nie można pominąć Brechta wspominając ostatnie lata Republiki Weimarskiej. Sztuki Brechta zdobyły dużo większy sukces niż utwory Audena, Spendera i Isherwooda w Anglii. Do niektórych z nich komponował muzykę Hans Eisler, do innych Kurt Weill. Były pełne łatwych do zapamiętania i nucenia melodii, utrzymane w tradycji sentymentalnych niemieckich ballad ale z nowoczesną orkiestracją, opartą na dysonansach co nadało im ton wyszukanej ironii. Wzruszały ale pozwalały zachować pełen wyższości uśmiech. Na wieloznacznym tle muzycznym, rozgrywał się tekst bardzo błyskotliwy ale o dużej nieuczciwości intelektualnej.

Najwyższy sukces Brechta „Opera za trzy grosze” jest intelektualną farsą, która dla zabawienia burżuazji wychwalał złodziei

---

2. Już nie.

i prostytutki. „Najpierw befszytk — moralność później” — powyższy refren zamykający w jednym zdaniu posłanniczo ideowe Brechta, stał się popularną śpiewką przedhitlerowskich Niemiec.

Treść innej sztuki Brechta, zatytułowanej „Mann ist Mann” („Człowiek jest człowiekiem”) i która również stanowiła duży sukces, można streścić w zdaniu: „Biada jednostce”. Żołnierz odchodzi z pułku, zastępuje go człowiek przypadkowo złapany na ulicy i siłą wcielony do armii. Fakt bez znaczenia, ponieważ „wszyscy ludzie są wymienni niezależnie od funkcji jakie sprawują”. „Słońce nie stara się dociec kogo oświecić”.

Zgubne treści tych sztuk pokrywał wielki, liryczny talent Brechta, przyjemne melodie a zwłaszcza egzotyzm miejsca akcji: Alabama, Chiny, Indie, chicagowskie rzeźnie, Królestwo Zmarłych. Niektóre pieśni były zapożyczone bez żadnych skrpułów z Kiplinga czy Villona. Kiedy pewien wybitny krytyk oskarżył Brechta o plagiat, ten odpowiedział bez wzruszenia, że nie uznaje własności prywatnej ani w ekonomii ani w literaturze. Elita intelektualna, przyjęła powyższe oświadczenie, za dowód niezwyklej oryginalności i odwagi.

Przedstawienie „Die Massnahme” („Wymiar Kary”) stanowiło szczyt kariery Brechta. Sztuka ta jest jednocześnie najbardziej odkrywczym dziełem literatury komunistycznej. Myślę, że w przyszłości historycy cytować będą „Wymiar Kary” jako przykład doskonałej apoteozy nieludzkości.

Sztuka ma formę procesu. Trzech agentów Kominternu wraca z tajnej misji w Chinach. Przed trybunałem Partii wyjaśniają oni (z nawrotami w przeszłość) dlaczego zabili młodego towarzysza, czwartego członka grupy, którego ciało wrzucili do dołu z wapnem. Anonimowy chór antyczny zastępuje trybunał. Anonimowi są również trzej agenci. Z rozkazu Partii spełniają misję w maskach — co pozwala pozbawić ich osobowości, własnej woli i uczuć.

„Przestaliście być sobą. Nie jesteście już więcej Karolem Schmittem z Berlina, ani ty Anną Kierską z Kazania, ani ty Piotrem Sawiczem z Moskwy. Jesteście bezimienni — każdy z was jest białą kartą na której rewolucja wypisze swoje rozkazy.

Ten kto walczy o komunizm, musi nauczyć się walczyć i rezygnować z walki, mówić prawdę i ukrywać ją, pomagać i odmawiać pomocy innym, dotrzymywać obietnicy ale także umieć jej nie dotrzymywać, stawiać czoło niebezpieczeństwu i unikać go, dać się poznać i umieć pozostawać w cieniu. Ten kto walczy o komunizm, posiada tylko jedną cnotę: walczy o komunizm”.

Młody towarzysz nie umiał poddać się powyższemu kodeksowi etycznemu. Popęłił cztery zbrodnie: popadł kolejno w pu-

łapkę litości, wierności, godności i słusznego oburzenia. W pierwszym epizodzie sztuki widzimy go jak pracuje razem z grupą kulisów, którzy holują statek w górę rzeki; stara się pomóc kilku najbardziej zmęczonym, przez to zwraca na siebie uwagę i agenci zmuszeni są do zmiany miejsca pobytu. W drugim epizodzie, młody człowiek broni pobitego przez policję robotnika, co powoduje te same jak poprzednio konsekwencje. W trzecim epizodzie, zostaje on wysłany dla przeprowadzenia rokowań z przedstawicielami chińskiej burżuazji, która, aby pozbyć się brytyjskich konkurentów, gotowa jest dać broń kulisom. Wszystko idzie dobrze do momentu kiedy gruby burżuj zaczyna śpiewać pieśni ku chwale korzyści handlowych. Przejęty odrazą, „młody towarzysz” odmawia wspólnego posiłku z burżujem. Układ nie dochodzi do skutku. Sens moralny tej historii wyraża chór w pytaniach retorycznych:

*Chór: Czy należy stawiać honor ponad wszystko?*

*Trzech agentów: Nie!*

*Chór: Jakiej to podłości człowiek nie popełni aby zniszczyć inną podłość? ... Utarzaj się w błocie, uściskaj kata ale zmień oblicze świata. Świat potrzebuje tego”.*

Kulminacyjnym punktem sztuki jest czwarty epizod, w którym młody towarzysz odchyła się od linii Partii. Należy wspomnieć, że „linię Partii” wyznaczył wówczas pakt Stalin — Czang Kai-szek z roku 1927, jeden z najbardziej przerażających układów w historii Kominternu, który doprowadził do wymordowania komunistów chińskich przez Czang Kai-szeka przy cichym współdziałaniu Stalina. Przypomnijmy również, że Gerhard Eisler odegrał decydującą rolę w realizacji powyższej polityki i, że to Hans Eisler skomponował muzykę do sztuki „Wymiar Kary”. Myślę, że Brecht zdawał sobie doskonale sprawę z konsekwencji „linii 1927”, której to „młody towarzysz” nie chce się podporządkować. Drze „święte pisma” klasyków marksizmu i krzyczy:

*„To wszystko nie ma już znaczenia. Kiedy przystępuję do walki, odrzucam to co jeszcze wczoraj miało dla mnie wartość i spełniam mój obowiązek jako człowieka. Serce moje bije dla rewolucji”.*

Zdziera maskę i zwraca się do kulisów:

*„Przechodzimy wam pomóc. Przechodzimy z Moskwy”.*

Agenci, którzy ujrzeli twarz „młodego towarzysza”, twarz odkrytą, ludzką i niewinną, postanawiają zabić go. Ale przedtem zapytują, czy zgadza się umrzeć. „Młody towarzysz” odpowiada:

„Tak. Wiem, że postępowałem niesłusznie. Trzeba abym przestał istnieć”.

*Trzech agentów:* A więc zabiwszy go, wrzuciliśmy ciało do dołu z wapnem, a kiedy wapno wyżarło ciało, wróciliśmy do pracy.

*Chór:* Błogosławiona wasza praca. Rozpowszechnialiście zasady klasyków, ABC komunizmu. I Rewolucja dokonuje się tutaj, i tu również uformowały się szeregi bojowników.

„Die Massnahme” może wydać się pochwałą Antychrysta. Sceną najbardziej przykrą jest chyba spowiedź „młodego towarzysza” i jego zgoda na własną likwidację. Sztuka Brechta napisana w roku 1931, wyprzedziła wielkie moskiewskie procesy, które rozpoczęły się w pięć lat później. W rzeczywistości „młody towarzysz” reprezentuje przedstawicieli starej gwardii bolszewickiej z wojny domowej; ich również należało wrzucić do niegaszonego wapna, bo zachowali uczucia ludzkie a zwłaszcza, ponieważ byli przestarzałymi rewolucjonistami, których „serca były dla rewolucji”, którzy uważali, że interesy kulisów są ważniejsze od nakazów Trybunału Partii.

Pewne sceny sztuki posiadają zimną i wrogą wielkość książkowego krajobrazu, inne wydają się parodią komunistycznej wiary. Ale ani autorowi, ani widzowi nigdy nie przyszło na myśl, że sztukę tę można uważać za parodię; rządzi nią nieludzka logika szaleńca, która uznaje za słuszne: że Partia nie myli się nigdy i że cel uświęca środki.

W znakomitej analizie twórczości Brechta, Herbert Lüthy<sup>1</sup> dowodzi w jaki sposób ten ex-anarchista i ex-liberał poczuł niespodziewany pociąg dla ruchu robotniczego, o którym nie miał pojęcia — a to z głębokiej potrzeby podporządkowania się totalitarnej potędze, kościołowi nowego Bizancjum — władzy niezmiennej, hierarchicznej, opartej na nieomyślności jej szefa.

Ogromny sukces tych sztuk był objawem chorobliwego pragnienia śmierci niemieckiej demokracji. Główną rolę w „Operze za trzy grosze”, która zapewniła Brechtowi sławę, grała Karola Neher, kochanka, muza i najbliższa przyjaciółka Brechta. W parę lat później w czasie *tournée* po ZSSR, Karola Neher podzieliła los „młodego towarzysza”. Brecht nie zaprotestował; pozostał do końca wierny swoim przekonaniom i Partii; „Zanurz się w błocie i uściskaj kata”..

Czekałem na wizę do Rosji. Straciwszy posadę poprosiłem Partię o pozwolenie wyjazdu na emigrację. Uważano to za wielki przywilej, ponieważ obowiązkiem każdego komunisty było przy-

1. H. Lüthy: „*Du Pauvre Bertold Brecht*”. *Preuves*, marzec 1953.

gotować rewolucję we własnym kraju. Ale ponieważ cieszyłem się wciąż jeszcze opinią liberalnego dziennikarza (powody dla których opuściłem Ullsteina nie były znane) Partia chciała skorzystać z okazji. Ustalono, że wyjadę do Rosji i że napiszę serię artykułów o pierwszej Pięciolatce, w dalszym ciągu podając się za niezależnego reportera. W tym celu zawarłem umowę z literacką agencją Karl Dunker Verlag<sup>1</sup>, która podjęła się rozesłać moje artykuły do około dwudziestu dzienników w różnych krajach Europy. Ale miesiące mijały a wiza nie było.

Tymczasem trzeba było z czegoś żyć. Pieniądze otrzymane od Ullsteina tytułem wyrównania przesłałem rodzicom, miały im wystarczyć na dwa lub trzy lata, to znaczy do zwycięstwa Rewolucji. Zatrzymałem dla siebie jedynie na kosztą biletu do Moskwy w optymistycznym przeświadczeniu, że jeżeli Partia zgadza się na mój wyjazd, wiza winna mi być przyznana natychmiast. Na szczęście udało mi się sprzedać dość dobrze moją powieść policyjną, poza tym nadal pisywałem do mego dawnego dziennika „Vossische Zeitung”. Zostać usuniętym z pracy przez zwierzchników za działalność komunistyczną a jednocześnie w dalszym ciągu pracować dla nich z zewnątrz — oto jeden z przyjemnych paradoksów burżuazyjnego liberalizmu, którym tak bardzo pogardzałem.

Gdyby Johannes Becher nie przyjechał do Berlina czekałbym jeszcze dość długo na otrzymanie wiza.

Becher, poeta i laureat nagrody komunistycznej, był przewodniczącym Ligi Rewolucyjnych Pisarzy Proletariackich Niemiec. Był to duży i mocny Bawarczyk o mięsistej pospolitej twarzy, której grube szkła w stalowej oprawie nadawały nieprzenikniony wyraz. Można go było wziąć za profesora matematyki czy dyrektora towarzystwa ubezpieczeń — nigdy za poetę. Ale za spokojną fasadą, kryła się złożona i pociągająca osobowość.

Becher zdobył sobie popularność w Niemczech w czasie szalonych lat po pierwszej Wojnie Światowej, częściowo jako poeta ekspresjonista, częściowo ponieważ udało mu się wyjść cało ze wspólnego samobójstwa. Zabił z rewolweru kobietę z którą postanowił razem umrzeć, ale sam uratował się nie wiem jakim cudem. Sąd niemiecki uznał Bechera za nieodpowiedzialnego w chwili kiedy to się stało i uniewinnił go.

Największą zaletą Bechera był jego cynizm — zupełnie wyjątkowa umiejętność ostrej oceny ludzi, z talentem rozwiązywania najtrudniejszych sytuacji i swobodą pływania w mętnej wodzie. Bez wątplenia te właśnie, tak rzadkie u poety, zalety

---

1. Nie mylić z komunistycznym dziennikarzem Hermanem Dunker.

pozwoili Becherowi przeżyć czystki i uniknąć pułapek, które na każdym kroku zagrażają pisarzowi-komuniście. W kołach partyjnych nazywano go często „linoskoczkiem”. Wziąwszy pod uwagę tuszę Bechera, przezwisko ironiczne a zarazem niepokojące.

Poczuliśmy do siebie sympatię. Zachowałem ją zresztą częściowo do dziś, mimo że od tego czasu Becher nazwał mnie publicznie zbrodniarzem wojennym, szpiegiem i bandytą, żądając dla mnie kary śmierci lub też zamknięcia w domu wariatów. Ale tego rodzaju oświadczenia stanowią formalność obowiązującą każdego członka Partii; sowiecki obywatel, który podpisuje rezolucję domagającą się aby ten czy ów, kto niedawno popadł w niełaskę, został zlikwidowany jak „wściekły pies” — ten sam obywatel nie ma nic przeciw swej ofierze i byłby szczerze zdziwiony gdyby dowiedział się, że swoim podpisem spowodował czyjąś krzywdę. Jeśli zna się zasady gry, nie można brać tych spraw na serio. A kiedy twój były przyjaciel lub bliski towarzysz obrzuca cię najgorszymi wyzwiskami nie myśl nawet o przebaczeniu — wiadomo, że nie może postąpić inaczej.

Rozumieliśmy się z Becherem bardzo dobrze. Zdobył dla mnie od Międzynarodowej Organizacji Pisarzy Rewolucyjnych<sup>1</sup> propozycję napisania książki o Związku Sowieckim pod tytułem „Rosja widziana burżuazyjnymi oczami”. Pomysł podobny do umowy, którą poprzednio zawarłem z Dunkerem. Pan K. liberalny korespondent, uprzedzony do komunizmu, rozpoczyna podróż po Rosji ale pod wpływem wyników Pięciolatki powoli zmienia poglądy i ostatecznie staje się żarliwym zwolennikiem Związku Sowieckiego. Ponieważ Międzynarodowa Organizacja Pisarzy Rewolucyjnych była filią Kominternu, a Becher zajmował w niej wysokie stanowisko, otrzymałem nareszcie wizę.

Miałem niewiele rzeczy. Mieszkałem zawsze w hotelach albo w pokojach umeblowanych, a ulubione książki zmieściły się w jednej skrzyni. Ale posiadałem również samochód — małego czerwonego Fiata, który tak wiernie służył naszej komórce, że nazwano go z przyjacielską — „Gretchen”. Pewnego dnia Becher zapytał, czy przed wyjazdem zamierzam sprzedać „Gretchen”. Odpowiedziałem, że chciałbym zostawić auto Partii.

Partia — powiedział Becher — jest wielkim organizmem w którego skład wchodzi niemiecka sekcja M.O.R.P. Zgodnie z logiką powinieneś przekazać „Gretchen” M.O.R.P. Przyznałem, że to słuszne, a ponieważ Becher był przewodniczącym niemieckiej sekcji M.O.R.P. automatycznie wszedł w posiadanie samochodu i w parę dni po moim wyjeździe do Rosji przy kierownicy

---

1. M.O.R.P. — Międzynarodowe Obiedinienie Rewolucyjnych Pisatielej.

„Gretchen”, wyruszył szukać twórczego natchnienia w „Czarnym Lesie”. Jako podziękowanie otrzymałem od niego umowę z Państwowym Wydawnictwem Rosyjskim — na publikację mojej przyszłej książki oraz trzy tysiące rubli tytułem zadatku. Ta wygodna umowa odkryła mi prawdę, że sytuacja pisarza w Związku Sowieckim zależy całkowicie od jego wpływów w Partii.

W końcu lipca 1932 roku zęgnąłem się z burżuazyjnym światem aby wkrótce stanąć na Ziemi Obiecanej. W pół roku później faszyzm opanował Niemcy. Upływało właśnie sześć lat i sześć miesięcy od chwili kiedy po raz pierwszy znalazłem się na innej Ziemi Obiecanej — w Palestynie. Za każdym razem podniecałem się myślą, że palę za sobą mosty i że oczekuje mnie niezwykła podróż w Krainę Utopii. Dopiero po wielu latach zrozumiałem, że niespokojny podróżnik dąży zawsze do osiągnięcia jednego celu — ucieczki od samego siebie!

Tym razem nie zęgnął mnie na stacji tłum przyjaciół życzeniami i szczęśliwej podróży — członków komórki partyjnej winny łączyć wspólne poglądy ale nie przyjaźń. I nie prosiłem nikogo o odprowadzenie mnie do pociągu. Jedynie pewna młoda kobieta zatrzymała się dłużej w drzwiach przedziału 3-ej klasy — ostatnia i najwierniejsza z moich Helen z utraconego Weimaru. Odszedłem od okna i poczułem się bardzo samotny. Wkrótce zatopiłem się w lekturze broszury na temat wzrostu stali w II-ej Pięcioletce.



CZĘŚĆ DRUGA

UTOPIA  
1932 - 1933

*„Wierzą w to co potrafią udowodnić  
i potrafią udowodnić to w co wierzą.*

„The Age of Longing”.



## MASZYŃKA DO DZIELENIA MYŚLI

W tej części wspomnień opisuję podróże po Związku Sowieckim w latach 1932-1933. Bez wątpienia od tego czasu wiele musiało zmienić się w tym kraju, myślę jednak, że niektóre podstawowe wartości i charakterystyczne cechy ustroju sowieckiego pozostają te same.

Wybrałem się najpierw nie do Moskwy, ale do Charkowa, ówczesnej stolicy Ukrainy Radzieckiej. Aleks i Ewa Weissbergowie zaprosili mnie abym zamieszkał u nich zanim oswoję się z nowym światem. Oboje odegrali ważną rolę w moim życiu.

Ewa bardzo ładna brunetka, była malarką — rysownikiem na ceramice. Zналиśmy się od dziecka. W „The God that failed” wprowadziłem postać Ewy pod jej własnym imieniem, w innych moich powieściach pod pseudonimem. Aleks był fizykiem i członkiem Partii austriackiej. Poznałem go w berlińskiej pracowni Ewy, jeszcze przed ich ślubem i wyjazdem na Ukrainę, gdzie Aleks miał objąć poważne stanowisko naukowe. Nie wiedziałem że oczekiwaly ich w Rosji lata prześladowań i niewoli, i że tragiczna historia Ewy posłużyły mi za materiał do książki „Ciemność w południe”.

W przedmowie do „Hexensabbat” Aleksandra Weissberga wspominam nasze pierwsze spotkanie.

„Początkowo zrobił na mnie wrażenie jowialnego i dobrze sytuowanego człowieka interesu. Miał okrągłą twarz i równie zaokrąglone ruchy, lubił opowiadać dowcipy i zdradzał niezwykle upodobanie do słodyczy. Po całym domu rozstawione były tace czekoladek, które pochłaniał odruchowo pełnymi garściami. Zastanawiałem się cóż takiego Ewa w nim widzi, aż do chwili

kiedy zaczęliśmy dyskutować nad pewnymi najbardziej delikatnymi zagadnieniami teorii marksistowskiej. Oczy Aleksa zrobiły się nagle maleńkie i przenikliwe; nie było już w nim nic śmiesznego, a jego rozumowanie rozłożyło mnie na obie łopatki. Dyskutował w sposób jasny, zdecydowany i bezlitośnie odpalał wszystkie argumenty przeciwnika. Po tym dialektycznym zwycięstwie stawał się znowu czarujący i wesoły”.

Jeżeli udało mu się przetrzymać przesłuchania G.P.U. to tylko dzięki bardzo specjalnym walorom osobistym, niezbędnym w podobnym wypadku: duża odporność fizyczna i moralna, owa giętkość która pomagała mu zachować przytomność umysłu nawet wtedy, kiedy sytuacja wydawała się bez wyjścia, pewna nieczułość i życzliwa obojętność, pozwalająca patrzeć z dystansu na sprawy tego świata, niewyczerpany optymizm i zadowolenie z życia w chwilach, kiedy innym z przerażenia włosy jeżą się na głowie.

Prawie wszyscy moi przyjaciele z Europy Środkowej przeszli przez więzienia i obozy koncentracyjne. Nie znam nikogo kto przez pięć lat więziony przez G.P.U. a przez następne pięć lat tropiony przez Gestapo, wyszedł z tych doświadczeń tak zdrowy na ciele i umyśle, tak zadowolony z najlepszego ze światów jak Aleksander Weissberg-Cybulski.

Przypominał zawodowego handlowca, kiedy spotkałem go po raz pierwszy przed dwudziestu laty, zanim jeszcze świat zwałił się nam na głowy; zachował do dziś zaokrąglone ruchy człowieka kwitnących interesów, nadal cieszą go wiedeńskie dowcipy i nadal zajada cukierki a zwłaszcza ulubione „rachatłukum”<sup>1</sup>.

Moje wyobrażenie o Rosji były w całości dziełem sowieckiej propagandy; był to obraz jakiejś super-Ameryki, kraju, który podjął nowe przedsięwzięcie największe w historii ludzkości i rozbrzmiewa pracą i entuzjazmem. Hasło Pierwszej Pięciolatki — „dogonić Zachód” zostało zrealizowane nie w pięć a w cztery lata. Inny slogan obiecywał, że po przejściu granicy ZSSR, wsiądę do pociągu, który zawiezie mnie w wiek dwudziesty.

Mimo, że upłynęło już przeszło dwadzieścia lat pewne wydarzenia z tej podróży pozostały mi dokładnie w pamięci. Najpierw badania na granicznej stacji Szepietówka. Jako dziennikarz poznałem prawie wszystkie granice Europy i niektóre Środkowego Wschodu. Rewizja w Szepietówce w niczym nie przypominała poprzednich doświadczeń. Celnicy sowieccy nie podporządkowali się ogólnie przyjętej zasadzie, która polega na zanurzeniu ręki w walizce, pomacaniu jej zawartości i ewentualnie na wyjęciu

---

1. Zmarł w roku 1964.

jakiegoś przedmiotu, aby obejrzeć go z bliska; ci w Szepietówce wypróżniali całkowicie bagaże każdego podróżnego, rozkładając zawartość walizki na stole lub zakurzonej podłodze. Rozpakowywali wszelkie przedmioty zawinięte w papier, otwierali wszystkie bombonierki z czekoladkami i odpinali guziki u koszul, badali każdą książkę, każdą zadrukowaną kartkę, następnie odkładali wszystko na miejsce. W ten sposób traciło się pół dnia. W oczekiwaniu, aż celnicy zakończą rewizję, pasażerom nie wolno było wrócić do pociągu, ponieważ puste wagony były przedmiotem równie drobiazgowych badań.

Większość pasażerów stanowili Rosjanie, a ich bagaże zawierały przeważnie żywność. Na stołach i brudnej podłodze komory celnej wały się stosy cukru, herbaty, masła, wędliny, tłuszczu, herbatników i konserw. Zaskoczyły mnie twarze celników, przeglądających te artykuły spożywcze. Było to spojrzenie pełne pożądania i rezygnacji. Wiem co to jest głód; sposób w jaki człowiek wyciąga rękę po kawałek kiełbasy, szacunek z jakim jej dotyka, żalostny błysk oczu — te znaki nie mylą nigdy.

Pociąg sunął powoli ukraińskim stepem. Zatrzymywał się często. Na każdej stacji oblegały nas tłumy obdartych chłopów. Proponowali ikony lub prześcieradła w zamian za kawałek chleba. Do okien wagonów kobiety podnosiły dzieci — małe, żalostne, przerażające istoty o wzdętych brzuchach. Na chudych szyjach chwiały się olbrzymie, trupie głowy. Przyjechałem do Rosji w szczytowym okresie wielkiego głodu 1932-1933, który pochłoniął wiele milionów ofiar. Dziś mówi się już otwarcie o spustoszeniach tego okresu, ale wtedy starannie ukrywano prawdę przed światem.

Podobne przedstawienia powtarzające się na wszystkich dworcach, robiły na mnie wrażenie ogólnej klęski. Nie znałem ani jej rozmiarów ani jej przyczyn. Towarzysze podróży wyjaśnili, że tłumy te były złożone wyłącznie z bogaczy wiejskich, którzy przeciwstawili się kolektywizacji kraju, za co zostali wywłaszczeni.

Inne mniej ważne wydarzenia z podróży zachowałem w pamięci jedynie na pół świadomie. Kiedy pociąg zbliżał się do rzeki gdzie właśnie budowali most, kontroler zasłonił grubym kartonem wszystkie okna. Towarzysze podróży powiedzieli mi, że mosty stanowią obiekty wojskowe i że należy zapobiec fotografowaniu ich.

Te absurdy jak wkrótce wiele innych kładłem na karb niezbędnej czujności rewolucyjnej.

W Charkowie czekały mnie nowe niespodzianki — przyjaciele nie zjawili się na dworcu. Próbowałem telefonować ale jedyny telefon publiczny był zepsuty a zamiast taksówek kursowały konne dorożki, które zdawały się być wyjęte żywcem z nowel Czechowa. Telegram, który im wysłałem w chwili mego wyjazdu z Berlina, nadszedł w osiemnaście godzin po moim przyjeździe. W roku 1932 w Rosji zdarzało się często, że listy trafiały do adresata po tygodniach, telegramy międzynarodowe po wielu dniach, a do korzystania z telefonów międzynarodowych mieli prawo jedynie wysocy urzędnicy rządu i Partii.

Przyjąłem to brutalne zderzenie się złudzeń z rzeczywistością w sposób charakterystyczny dla ludzi wierzących. Byłem zaskoczony i oszołomiony, ale elastyczny *pare-choc*, który zawdzięczałem partyjnemu wychowaniu zaczął natychmiast działać. Oczy widziały wprawdzie, ale umysł był już poprzednio przygotowany aby wyeliminować to, co należało. Ta „wewnętrzna” cenzura pracuje pewniej i skuteczniej niż cenzura oficjalna.

Jako przykład, zacytuję fragment dziennika podróży, który zacząłem pisać w kilka tygodni po przyjeździe do Rosji, i gdzie próbowałem oczyścić się z ogarniających mnie wątpliwości, obracając je w śmieszność.

.....Nie łudźmy się. Autor nie nadzwyczajnie przeszedł próbę pierwszych dni: zabrnął dość załośnię w gęstwinę wrażeń odległych od czystego obrazu życia socjalistycznego, który sobie stworzył. Zdawało mu się, że Związek Sowiecki przypomina jakiś gigantyczny Manhattan, gdzie ogromne budowle wyskoczyły z ziemi jak grzyby po deszczu, gdzie rzeki wyprzedzają się wzajemnie aby ożywić centrale elektryczne, gdzie wiara przestawia góry a ludzie biegną aż do utraty tchu, podobnie jak na przyspieszonej taśmie filmowej aby wykonać Plan. Tymczasem, pierwsze miasto rosyjskie, w którym autor zatrzymał się, przypomina wielką wieś zamieszkałą przez siedemset tysięcy uśpionych dusz, rozleniwionych na wzór ludzi Wschodu, żyjących poza czasem, w bezruchu jak otaczający ich step. Ocieżały chłopski tłum na zakurzonych ulicach w pobliżu dworca, robi wrażenie jarmarku. Nie jest to żadna zacofana wieś, ale Charków druga stolica Związku Sowieckiego. W archaicznym tramwaju, siedzi bileterka, wciśnięta między pasażerów, żuje pestki słonecznika a zapytana o ulicę rzuca spoza chłopskiej chustki spojrzenie pełne wyrzutu i wzrusza ramionami. Dorożki przypominają muzealne zabytki: usadowiony wysoko *izwoszczyk* śmiga batem, przeklinając matkę i babkę chudej szkapy. Niekiedy przejedzie ulicą rzadko spotykane auto z trzaskiem resorów na niezabrukowanej jezdni. Na ścianach drewnianych baraków jaskrawe afisze przedstawiają tortury Inkwizycji i zapraszają „muzyków” do zakosztowania sztuki nowoczesnej, której nieco dalej przeczą jaskrawe „plansze” wędrownego fotografa, zamalowane pałacami o marmurowych kolumnach tonących w kwiatkach lotosu. Pism zagranicznych nie można dostać, komunikacja telefoniczna zabiera więcej czasu niż przejazd tramwajem, telegramy docierają do celu później niż pociągi.

A jednak w centrum tej samej wsi gdzie zakurzonymi ulicami suną powolne tłumy, wznoszą się dwa drapacze chmur, oraz urząd telefoniczny ze szkła i stali. Jest tu także nowy wzorowy szpital, nowa fabryka traktorów, (druga co do wielkości w Europie), teren sportowy, klub robotniczy, park rozrywkowy, itp.

Przypomina to wszystko film, który z winy fotografa, wyświetlano dwa razy: w przeszłości i w przyszłości. Te dwa obrazy nakładając się nawzajem na siebie mącą się, co w rezultacie sprawia chaos. Nowoprzybyły powoli uczy się rozróżniać i odkrywa dwa różne plany rozwojowe, zanim wreszcie odnajdzie właściwą drogę w tym labiryncie.

Nie od razu można zrozumieć ludzi tego kraju. Oni również, mężczyźni i kobiety, ci którzy boso brodzą w błocie i ci którzy noszą teczki i okulary w rogowej oprawie — są odbiciem krzyżowania się epok. Ich dziedzictwo — surowy bezmiar stepu. Ich dzisiaj — ciężka walka o wykonanie Planu.

Nowoprzybyły powoli uczy się myśleć dialektyczną metodą różnicowania sprzeczności i stopniowo zaczyna zdawać sobie sprawę, że w Związku Sowieckim terażniejszość jest jedynie fikcją, wibrującą tkanką rozpiętą między dniem wczorajszym i jutrzejszym”...

Cenzura usunęła rozdział w którym znajdował się powyższy cytat. Książka ukazała się w dwa lata później w okaleczonej wersji, skrócona do połowy i pod tytułem „Czerwone i białe noce” (białe to znaczy arktyczne). Ale pisanie stało się dla mnie rodzajem psychoterapii, pomogło mi przełamać wątpliwości i przekształcić pierwsze wrażenia nadając im odpowiednią formę. Nauczyłem się wszystko to co mnie raziło składać do skrzynki — „spadek przeszłości”, a to co mi się podobało do skrzynki — „ziarna przyszłości”. Dzięki tej automatycznej maszynie do dzielenia myśli, można było jeszcze w 1932 roku być Europejczykiem, żyć w Rosji i mimo wszystko pozostawać komunistą.

Wszyscy moi znajomi cudzoziemcy i wszyscy inteligentni Rosjanie, mieli w głowie podobne maszyny do dzielenia. Wiedzieli że oficjalna propaganda jest utkana z kłamstw ale usprawiedliwiali ją „użytecznością” wobec „zacofanych mas”. Wiedzieli, że poziom życia w świecie kapitalistycznym jest dużo wyższy niż w Rosji, ale tłumaczyli sobie, że za czasów carskich Rosjanie żyli jeszcze gorzej. Czuli wstręt do płaszczenia się przed Stalinem, ale mówili sobie, że „muzyk” potrzebuje nowego bożka, który mu zastąpi zdjętą ze ściany ikonę.

Kiedy sytuacja stała się nie do zniesienia, ludzie reagowali zależnie od temperamentu: jedni apatią, inni buntem jeszcze inni karmili się złudzeniami. Obywatel sowiecki zdaje sobie sprawę że bunt przeciw największemu i najdoskonalszemu aparatowi policyjnemu w Historii — oznacza samobójstwo. Większość ludzi

w Rosji żyje w stanie zewnętrznej apatii i cynizmu wewnętrznego — mniejszość karmi się iluzją.

Osobiście należałem do mniejszości. Komunistyczny sposób myślenia udoskonala zdolność oszukiwania samego siebie w tej samej mierze co środki masowej propagandy. Własna cenzura myśli, prawdziwie wierzącego komunisty, uzupełnia działalność cenzora publicznego; samo-dyscyplina, każe żyć pod niemińszym terrorem, niż posłuszeństwo narzucone przez władzę. Cenzura wewnętrzna terroryzuje świadomość i podporządkowuje ją sobie.

Weissbergowie zajmowali nieduże, ale w warunkach rosyjskich luksusowe mieszkanie, należące do Ukraińskiego Instytutu Fizyki i Technologii (U.F.T.I.) w którym pracował Aleks. Było to jedno z największych laboratoriów naukowych w Europie. Wszystkie nowe fabryki, uniwersytety, centrale naukowe posiadały własne domy mieszkalne, a czasem także gospodarstwa i ogrody warzywne, co jeszcze bardziej uzależniało personel od miejsca pracy. Mieszkanie Weissbergów składało się z trzech pokoiów, w których mieszkali Aleks, Ewa i matka Ewy. Czasem zatrzymywali się w nim bawiący przejazdem fizycy.

Przemieszczałem u Weissbergów około dwóch tygodni, zanim zacząłem podróżować i wiele razy powracałem do tej przyjemnej i cichej przystani. Nie wyobrażaliśmy sobie jaki straszliwy los czeka ich oboje. Poznałem wtedy kolegów Aleksa, między nimi paru najwybitniejszych fizyków Związku Sowieckiego. Gdyby ktokolwiek przepowiedział nam wtedy, że ci sami ludzie zadenuncjują Aleksa jako terrorystę i agenta Gestapo, uważałbym go za wariata.

W czasie tych pierwszych dni, zwiedziłem fabryki Charkowa i kluby robotnicze. Mimo błędów gramatycznych mówiłem dość biegle po rosyjsku. Nauczyłem się tego języka w ciągu ostatnich czterech miesięcy mego pobytu w Berlinie, za pomocą tej samej przyspieszonej metody co przy nauce hebrajskiego przed wyjazdem do Palestyny. Mój słownik składał się z około stu słów, którymi żonglowałem podobnie jak portier hotelowy czy przewodnik turystyczny, nie troszcząc się ani o gramatykę, ani o składnię. Pozwoliło mi to poruszać się samodzielnie po mieście, jeździć tramwajem zamiast oficjalną limuzyną, załatwiać sprawunki a co najważniejsze rozmawiać z ludźmi.

Jedynym publicznym środkiem transportu w Charkowie były staroświeckie tramwaje elektryczne, które przejeżdżały co dwadzieścia minut; wewnątrz panował niesłychany tłok, spowodowany trzykrotnie większą ilością pasażerów niż przewidywana ilość miejsc. Na zewnątrz zwieszały się „winogrona” z ludzi ucze-



pionych stopni wagonu, u okien i na dachu. Już podczas pierwszego przejazdu tramwajem wyciągnięto mi z trzech różnych kieszeni ubrania portfel, wieczne pióro i papierosy. Tłum parł z taką siłą, że ani bym się spostrzegł gdyby mi nawet ucieli nogawki spodni. Niesamowity ścisk, w tramwajach, urzędach i miejscach rozrywkowych — sprawiał wrażenie, że cały kraj jest jednym wielkim rajem dla kieszonkowych złodziei, którzy, trzeba to przyznać, w tej dziedzinie osiągnęli szczyty zręczności i którzy rekrutowali się przeważnie ze słynnych „bezprizornych” dzieci i włóczęgów, jak szarańcza grasujących od czasów wojny domowej po całej Rosji.

W roku 1932 w Charkowie można było nabyć bez trudu jedynie muchołapy, prezerwatywy i znaczki pocztowe. Spółdzielnie artykułów codziennego użytku świeciły pustką. Ponieważ zaopatrzenie uprzywilejowanego sklepu dla cudzoziemców było względnie dobre, dopiero później zdałem sobie sprawę z rozmiarów głodu na Ukrainie. Ale brak żywności zaskoczył mnie od razu, pierwszego dnia. Nigdzie nie można było dostać ani butów, ani papieru maszynowego. Nie było grzebieni, szpilek do włosów i naczyń kuchennych. Brakło nawet igieł niezbędnych do czyszczenia maszynek naftowych, używanych we wszystkich domach rosyjskich. Później, kiedy centrala elektryczna w Charkowie przestała działać i miasto na długie miesiące zimowe pograżyło się w ciemność, zabrakło również nafty.

Wiadomość, że jakiś artykuł został przywieziony do spółdzielni rozbiegała się błyskawicznie. Ludzie spieszyli do sklepów, niezależnie do tego czy ukazywały się w sprzedaży szczotki do zębów, landrynki, mydło, knoty do lamp czy patelnie. Przechodnie dołączali się natychmiast do ogonka. Często, kiedy kolejka skręcała w drugą ulicę, ludzie, którzy przybyli ostatni, wcale nie wiedzieli „po co stoją” i zabawiali się różnymi przypuszczeniami. Zostałem wkrótce żarliwym adeptem sportu „stania w ogonku”. Nazajutrz po moim przyjeździe do Charkowa przyniosłem do domu wspaniałe trofea: harmonijkę i proszek do czyszczenia, którym zniszczyliśmy najpiękniejszy garnitur Aleksa.

Mniej zabawnym miejscem był bazar na dużym placu — ten widok ścisnął za gardło. Ci co mieli coś na sprzedaż przykucali w kurzu, rozkładając przed sobą na szalu lub chustce do nosa: garść gwoździ, rozdarte pierzyny lub słoik zsiadłego mleka (łącznie z muchami), sprzedawanego na łyżki... Jakaś staruszka siedząca przed kolorowym jajem wielkanocnym i małym kawałkiem koziego sera; jakiś starzec o okaleczonych bosych nogach, który usiłuje wymienić dziurawe buciska na kilo czarnego chleba lub paczkę machorki. Zdarte kapcie albo wręcz podeszwy czy

obcasy oderwane od cholewek i zastąpione kawałkiem szmaty — to często spotykane przedmioty wymiany. Starcy, którzy nie mieli nic na sprzedaż, śpiewali ukraińskie ballady, za co od czasu do czasu rzucano im kopiejkę. Kobiety kładły niemowlęta obok siebie na bruku, lub karmiły trzymając je na kolanach — usiane muchami usta dzieci przywierały do obwisłych piersi. Zdawało się, że ciągną żółć a nie mleko. Wielu ludzi chorowało na oczy: jedni zezowali, inni ukazywali białe zamglone źrenice lub puste oczodoły. Większość miała spuchnięte ręce i nogi, nabrzmiałe twarze o tym szczególnym kolorze, który Tołstoj pisząc o więźniach nazywał „barwą ziemniaków trzymanyh w piwnicy”.

Dwadzieścia pięć lat minęło — ale czas nie zatarł w mojej pamięci scen z charkowskiego bazaru. Oficjalnie ludzie ci byli „kułakami”, wywłaszczonymi tytułem kary. Przekonałem się później, że byli to przeciętni chłopci zmuszeni do opuszczenia wiosek w okolicach dotkniętych głodem. W czasie zeszłorocznych żniw, miejscowi funkcjonariusze partyjni pragnąc uzyskać zaplanowaną ilość zboża, skonfiskowali nie tylko zbiory ale również zapasy. Gospodarstwa kolektywne zostały bez ziarna na siew. Chłopci zabijali swoje bydło i drób, aby nie oddać ich do kołchozów. Później kiedy zjedli ostatni kawałek chleba z ukrytych rezerw, opuścili ziemię, która już do nich nie należała. Wyludniały się całe wsie, całe rejony. Oprócz pięciu milionów kułaków, oficjalnie wysiedlonych na Syberię, wiele milionów ludzi błędziło bez dachu nad głową. Zapełniali dworce, tłoczyli się w wagonach towarowych, siadywali na rynkach, na placach i umierali na ulicy. Nigdy nie widziałem tyłu pogrzebów co owej zimy w Charkowie. Dokładna liczba bezdomnych nie została ujawniona (wątpię czy prowadzono taką statystykę...). Przekroczyła ona na pewno rozmiary wędrówki ludów po upadku Cesarstwa Rzymskiego.

Oficjalnie głodu nie było. Ukazywały się tylko mgliste wzmianki o „trudnościach na froncie kolektywizacji” — słowo *trudnosti*, jedno z najczęściej używanych w sowieckiej terminologii, służy do pomniejszania spustoszeń w tej samej mierze w jakiej wyolbrzymia się osiągnięcia. Sowiecki obywatel wie, że „niesłychane zwycięstwo sił rewolucyjnych Wielkiej Brytanii” oznacza, że brytyjska Partia komunistyczna uzyskała dodatkowe 1/5 % głosów w wyborach, natomiast „pewne trudności sanitarne w Birobidżanie”, ukrywają prawdę o epidemii cholery.

Po tygodniu wzbogaciłem znajomość języka rosyjskiego o następujące słowa, niezbędne w życiu sowieckim: *piatiletka* (plan pięcioletni), *komandirowka* (podróż służbowa), *propusk* (przepustka), i *naczalnik*. Dowiedziałem się, że obywatel posiadający

obcą walutę może „zdobyć” towary dla innych niedostępne i że określenie *siejczas* co dosłownie znaczy „zaraz” — w praktyce jest odpowiednikiem hiszpańskiego „*manjana*”. Dowiedziałem się, że *kulturny człowiek* nie pluje, nie klnie, używa chustki do nosa i umie rachować przy pomocy liczydła. Dowiedziałem się, że wszystkie zegarki, narzędzia i maszyny sowieckie muszą być co trzy miesiące oddawane do naprawy. Nauczyłem się pisać na chropowatych kartkach, zastępujących papier maszynowy i myć się pod czymś w rodzaju samowara z kranem wydzielającym krople wody. Dowiedziałem się, że ani policjant, ani mapa nie pomogą ci w znalezieniu adresu, ponieważ wszystkie ulice zmieniły nazwy, ale nadal wskazuje się je według starych nazw. Dowiedziałem się, że urzędnicy wszystkich kategorii wciąż zmieniają miejsca pobytu. Uczylem się tego wszystkiego z zachłanną egzaltacją, w przekonaniu, że to co mnie razi jest dziedzictwem przeszłości, a to co cieszy zapowiada przyszłość. Żałowałem niegdyś że nie udało mi się przeżyć chaosu Stworzenia i Apokalipsy — obecnie pogrążyłem się w obu naraz.

Do moich ulubionych zajęć należały spacery ulicami miasta i próby odczytania różnych tajemniczych skrótów, które stanowiły nazwy zakładów, urzędów i sklepów. Zaopatrywałem się w spółdzielni dla cudzoziemców I.N.S.N.A.B. Czuwała nade mną organizacja M.O.R.P. Aleks pracował w U.F.T.I., który był filią NARKOMTIAZPROM'u (Ludowy Komisariat Przemysłu Ciężkiego) a który z kolei zależał od SOWNARKOM'u (Rząd) i pozostawał pod kontrolą GOSPLAN'u (Komisja Planowania Gospodarczego) i CK WKP (b) (Komitet Centralny Komunistycznej Partii Bolszewików Związku Radzieckiego). Jeszcze trudniejsze do odcyfrowania były inicjały moich charkowskich wydawców, bo nie w języku rosyjskim a w ukraińskim. Skrót — UKRDIERŻ-NACMENWYD należało odczytać: Związek Wydawnictw dla Mniejszości Narodowej Republiki Ukraińskiej. Epidemia skrótów wynikała z tego, że przedsiębiorstwo nie mogło obecnie występować pod nazwiskiem byłego właściciela ani korzystać z dawnej marki handlowej — jeden z wielu objawów bezosobowości życia sowieckiego.

Jeśli chce się zrozumieć życie codzienne w Sowietach lepiej wstrzymać się od uproszczeń. W okresie poprzedzającym morderstwo Kirowa (1934), które zapoczątkowało lata Wielkiego Terroru, naród rosyjski nie żył na razie w nieustannym strachu, ale jedynie w stanie bliżej nieokreślonej niepewności i niepokoju.

Nieopatrznie wypowiedziane słowo nie prowokowało jeszcze natychmiastowej kary. Obywatel sowiecki wiedział jedynie,

że „słowo” zostało skrętnie zanotowane w jego aktach, i że pewnego dnia, za rok, lub za dziesięć lat, kiedy popełni jakiś błąd w pracy, pokłóci się z zazdrosną kobietą, lub kiedy sąsiad zapragnie zająć jego mieszkanie — tego pięknego dnia GPU uczyni go odpowiedzialnym za wszystkie podejrzane spotkania i rozmowy. Inaczej mówiąc, strach sowieckiego obywatela w okresie poprzedzającym lata Terroru przypominał obawy katolików przed Sądem Ostatecznym — z tą różnicą, że GPU działała za życia, nie dawała prawa do spowiedzi i nie udzielała rozgrzeszenia.

W 1932 roku, między przyjaciółmi, można sobie było jeszcze pozwolić na dowcipy polityczne. Aby zrozumieć żart który zacytuję, trzeba wiedzieć, że Trocki zanim został wygnany, zachwalał politykę „ciężkiej ręki” wobec chłopów na korzyść robotników, a Bucharin żądał polityki ustępstw wobec chłopów na niekorzyść robotników. Dowcip jest listą pytań zadawanych kandydatowi na członka Partii, który odpowiada właściwie.

*Pytanie:* — Czemu należy przypisać dobre zaopatrzenie miast a nędzę na wsi?

*Odpowiedź* — Skutek trockistowskiego odchylenia na lewo.

*Pytanie:* — Czemu należy przypisać nędzę w mieście i dobre zaopatrzenie wsi?

*Odpowiedź:* — Skutek bucharinowskiego odchylenia na prawo.

*Pytanie:* — Czemu należy przypisać głód w mieście i na wsi?

*Odpowiedź:* — Prawidłowej realizacji linii Partii.

*Pytanie:* — Czemu należy przypisać dobre zaopatrzenie wsi i miast?

*Odpowiedź:* — Okropnościom kapitalizmu.

Obywatel sowiecki żył w ciągłym lęku przed wysłaniem na *komandirowkę* w odległe rejony: na Ural, do Wschodniej Syberii czy do Kazachstanu, co oznaczało niekoniecznie środki karne a mogło zdarzyć się każdemu, niezależnie od wykonywanego zawodu. *Komandirowka* jest misją urzędową, a w państwie totalitarnym wszyscy obywatele są podporządkowani państwowej gospodarce.

*Komandirowka* mogła być czasowa lub trwać nieprzerwanie. Pilne *komandirowki* zmuszały wielu wysokich urzędników administracji, przemysłu, nauczania itp. do ciągłej zmiany miejsca pobytu. Nieregularność poczty, telegrafu i telefonu powodowała, że ważne i skomplikowane sprawy nie mogły być załatwione

inaczej niż osobiście. A jeśli chciałeś spotkać jakąś miejscową figurę, odpowiadano ci zwykle, że jest ona w trakcie *komandirowki* skąd powróci za tydzień lub dwa.

Zdawałoby się więc, że podróżowanie po Rosji było sprawą łatwą. Ani trochę. Teoretycznie, jeszcze w tym okresie sowiecki obywatel miał prawo swobodnego poruszania się wewnątrz kraju. Ale w praktyce niesłychany tłok w pociągach uniemożliwiał podróże wszystkim tym, którzy nie mieli specjalnego prawa do pierwszeństwa zwanego „broni”. Ludzie bez „broni” czekali przez wiele godzin a często dni w ogonkach po bilet kolejowy. A kiedy otrzymali upragniony bilet, koczowali przez wiele godzin lub dni na dworcach. Kiedy nadszedł pociąg wpychali się do wagonów towarowych, które dowoziły ich do najbliższej stacji węzłowej, gdzie wszystko rozpoczynało się od nowa. Miliony koczowników zapełniały wszystkie rosyjskie dworce. Kucali wśród paczek i tłumoków z bielizną, w brudnych poczekalniach i na peronach, zrezygnowani i cierpliwi. Był to okres wielkiej wędrówki ludów zwanej oficjalnie „przemieszczeniem przemysłu i rolnictwa”. Głód sprawił, że znaczna część ludności przekształciła się w kolejowych włóczęgów, którzy przebywali tysiące kilometrów w poszukiwaniu okolic, gdzie jak mówiła pogłoska, łatwiej będzie żyć.

Uprzywilejowani posiadacze „broni”, otrzymywali bilety kolejowe w zależności od znaczenia ich „organizacji” tj. miejsca pracy. Pierwszeństwo miało zawsze G.P.U., następnie szli kolejno aktywiści partyjni, urzędnicy państwowi, pracownicy przemysłu ciężkiego i metalurgicznego, wreszcie pracownicy zakładów środków konsumpcyjnych, związków zawodowych, placówek naukowych itd. Według podobnej hierarchii przydzielano mieszkanie, pokój lub część pokoju, łóżko w hotelu, kartki żywnościowe, miejsce na uroczystości państwowe i w teatrze. Jeśli starałeś się o bilet kolejowy lub o przydział do spółdzielni stawiano ci od razu pytanie „do jakiej organizacji należycie”? Prawa i przywileje obywatela zależały całkowicie od roli jego miejsca pracy i funkcji jaką tam sprawował. Oto pierwszy w historii ludzkości ustrój gdzie hierarchia rządzi bez reszty życiem obywatela.

W przedrewolucyjnych powieściach spotyka się często zdanie w rodzaju: „Iwan Iwanowicz Gołupszyn urzędnik trzynastej kategorii”. System hierarchiczny, który niegdyś ograniczał się do administracji, dziś obejmuje cały naród. Usunięto podział na cyfry wskazujące pozycję obywatela, ale każdy zna dokładnie swoje miejsce na szczeblu społecznej drabiny.

W innych krajach pozycja działacza politycznego zależy od jego pracy, osiągnięć i popularności. W Rosji Sowieckiej pozycję tę określa: a) miejsce jakie dany działacz zajmuje na rządowej

trybunie w czasie święta 1-go Maja i w rocznicę Rewolucji Październikowej; b) miejsce na liście uczestników kongresu lub oficjalnych uroczystości. Z tego bizantyńskiego rytuału dyplomaci i dziennikarze zagraniczni nauczyli się wyciągać polityczne wnioski.

W innych krajach rządy i wybitne jednostki przeżywają okresy upadków i wzlotów — w Sowieciech zejście na niższy szczebel piramidy jest ostateczne i nieodwołalne. Zdyskwalifikowany polityk, urzędnik, uczonec czy artysta rzadko kiedy powraca do łaski.

## POCZĄTEK PODRÓŻY

Pisarz bez stałej posady zajmował jedno z ostatnich miejsc w sowieckiej hierarchii. Na szczęście byłem czymś więcej; miałem własną „organizację” — M.O.R.P. — która jako sekcja Kominternu wznosiła mnie do połowy piramidy, sytuację poprawił również fakt, że należałem do Partii, niestety do Partii niemieckiej nie rosyjskiej, ale miałem przy sobie polecający list z AGIT-PROP-EKKI (Wydział Agitacji i Propagandy Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej).

Na terenie ZSSR, listy polecające zastępują paszport i sprawiają, że obywatel otrzymuje przepustki, mieszkanie, kartki żywnościowe itp. Listy te, redagowane bardzo starannie, określają wyraźnie stopień społeczny oraz prawa posiadacza. Mój „żelazny list” nosił podpis szefa AGIT-PROP-EKKI — zaświadczał, że jestem delegatem Ligi Rewolucyjnych Pisarzy Niemieckich i że podróżuję na zlecenie Kominternu.

Jednocześnie jako korespondent wielu poważnych burżuazyjnych pism, akredytowany przy Wydziale Prasowym NARKO-MINDIEŁ'u (Ministerstwo Spraw Zagranicznych) zajmowałem miejsce prawie na szczycie piramidy (choć z drugiej strony) co zapewniało mi cenne „przywileje”: noclegi w hotelach INTURIST'a (tam, gdzie hotele te były), podróże pociągiem pasażerskim a nie towarowym oraz pozwolenie kupna żywności w spółdzielniach przeznaczonych dla dyplomacji, prasy zagranicznej i dla doradców technicznych — cudzoziemców. Wolałbym nie korzystać z tych udogodnień, ale ponieważ podróżowałem samotnie i po odosobnionych okolicach, przywileje były często jedyną gwarancją zdobycia pożywienia i dachu nad głową.

Zaświadczeń, że jestem korespondentem burżuazyjnych pism, nie pokazywałem nigdy ani w biurach partyjnych, ani w fabrykach, które zwiedzałem ani też towarzyszących podróży — te papiery mogły wzbudzić natychmiastowe podejrzenie. Natomiast w rozmowach z dyrekcją hoteli czy spółdzielni, a także przy kupowaniu biletów kolejowych, ukrywałem, że posiadam list polecający Kominternu, bo to mogło pozbawić mnie zaleconych przez propagandę „przywilejów”. Nie sądzę aby ktokolwiek chciał oskarżyć mnie o nieuczciwość — moja podwójna egzystencja była odbiciem dwóch odrębnych aspektów polityki sowieckiej: „linia NARKOMINDIEŁ” — jako szanowana międzynarodowa potęga i „linia Kominternu” — jako tajne centrum Rewolucji Światowej. Utrzymać nieustannie w pamięci „dwoistość linii” oto jedna z pierwszych lekcji udzielanych każdemu członkowi Partii.

Teoretycznie nazywało się, że podróżuję pod dwoma różnymi pozorami. W praktyce nosiłem przy sobie dwa rodzaje papierów osobistych w dwóch różnych kieszeniach. Oczywiście, dokumenty wydane przez Komintern znajdowały się zawsze w kieszeni lewej.

A jednak podróż byłaby niemożliwa bez pomocy jedynej sprawnie działającej na terenie Sowietów organizacji — G.P.U. Na każdym dworcu znajdował się miejscowy Komisariat G.P.U., który w ogólnym chaosie starał się utrzymać minimum porządku. Zadaniem „dworcowego” G.P.U. nie było śledzenie szpiegów i zdrajców Rewolucji, ale opieka nad obywatelami w podróży służbowej. Po przyjeździe do nieznanego miasta zgłaszałem się natychmiast do „dworcowego” G.P.U. przedstawiałem papiery i od razu otrzymywałem przydział pokoju lub przynajmniej łóżko w hotelu oraz kartę żywnościową i środki lokomocji. Mogłem zaspokoić pierwsze potrzeby — rzecz nieosiągalna dla ludzi podróżujących bez „organizacji”. Ponieważ moi „protektorzy” Komintern i NARKOMINDIEŁ nie miały przedstawicielstw w małych miastach, „dworcowe” G.P.U. przekazywało mnie miejscowemu Komitetowi Partyjnemu lub w ręce Biura Opieki nad gośćmi Rządu. „Dworcowe” G.P.U. było wprawdzie gałęzią administracyjną owej, aż nadto słynnej, organizacji, ale nie posiadało jej przerażającego charakteru. Była to, powtarzam, jedyna sprawnie działająca na terenie całego kraju instytucja, żelazna obręcz zaciśnięta i podtrzymująca równowagę ogromnej ludzkiej piramidy. Charakterystyczne, że „żelazna obręcz” była podporządkowana nie państwowej czy miejskiej administracji, ale Służbie Bezpieczeństwa. W państwie totalitarnym, nie terror ale jedynie wszechobecność policji może zapewnić porządek — nikt inny.



Za temat mojej przyszłej książki i cyklu artykułów, które miały stanowić jej szkielet, wybrałem opis podróży po Sowieckim Imperium od najdalszej granicy północnej aż do najbardziej odległego południa; od Arktyki do Afganistanu. Partyjni zwierzchnicy odnieśli się przychylnie do tej propozycji.

Wrażenia z podróży na Arktykę, którą zwiedziłem w roku poprzednim wraz z ekspedycją polarną „Graf Zeppelin” miały stanowić pierwszą część książki. Część drugą zamierzałem poświęcić rezultatom Planu Pięcioletniego w Rosji Centralnej i na przemysłowej Ukrainie, a część trzecią — rozwojowi krajów gospodarczo zacofanych Azji Środkowej. W tym celu chciałem zwiedzić Kaukaz (Republiki: Armenijską, Gruzijską i Azerbejdżańską), następnie z drugiej strony morza Kaspijskiego — Turkiestan, Krasnowodsk, Aszchabad i oazę Merw na pustyni Kara-kum. Stamtąd postanowiłem przejechać wzdłuż granicy afgańskiej do Buchary, Samarkandy i Taszkientu, stolicy Uzbekistanu, wreszcie przez Kazachstan powrócić do Moskwy. Na podróż przeznaczyłem około pięciu miesięcy: koleją, statkiem parowym, samochodem lub konno. W niektórych rejonach Azji Środkowej Europejczycy byli rzadkością, często jedyni których tam widziano należeli do administracji rosyjskiej.

A jednak wszystko to razem było znacznie mniej pasjonujące niż się zdawało. Zmarnowałem w idiotyczny i niewybaczalny sposób jedyną okazję zwiedzenia nieznanego i egzotycznego świata. Zamknięty w ciasnym kręgu idei „praworządnej komunisty”, kierowałem spojrzenie i myśl wyłącznie w stronę traktorów, fabryk i centrali elektrycznych. Na zabytki architektury i piękno pejzażu nie zwracałem prawie uwagi.

Wbito mi w głowę (podobnie jak milionom Rosjan) że nadmierne zainteresowanie zabytkami przeszłości jest dowodem chorobliwego sentymentalizmu i że wyraża chęć ucieczki od rzeczywistości. W całej Rosji obowiązywał zakaz śpiewania starych pieśni ludowych: obawiano się, że mogą wzbudzić tęsknotę do dawnych dni. Utwory „społeczno-postępowe” (np. „Wojna i Pokój”, „Obłomow” czy „Martwe dusze”) włączono do programów szkolnych i wielokrotnie wydawano. Ale pisarze, których uznano za „reakcyjnych” zostali skazani na zapomnienie. Taki los spotkał między innymi większość powieści Dostojewskiego. Z perspektywy wychowania przyszłych pokoleń, monopol Państwa w dziedzinie wydawniczej, działa skuteczniej niż system jednopartyjny i obozy koncentracyjne. Zadaniem komunisty jest nie poznawanie, ale walka o zmianę świata. Komunista winien odwrócić się od przeszłości, patrzeć na teraźniejszość i w przy-

szłość. Prawdziwa Historia Ludzkości rozpocznie się dopiero od chwili zwycięstwa Rewolucji Światowej.

Podobne kryteria odnosiły się również, do filozofii, architektury i sztuki. Postawa ta nie była bynajmniej domeną sfanatyzowanych partyjnych biurokratów. Wielki fizyk rosyjski, profesor Landau, próbował kiedyś przekonać mnie, że lektura filozofów przedmarksistowskich jest zupełną stratą czasu. Żądanie Audena „aby oczyścić świadomość mas z podniecających resztek”, wyraża pokrewne teorie — które wbrew pozorom, wcale nie były absurdem. Pragnienie zerwania z przeszłością i stworzenia Nowej Historii Ludzkiej, zrodziło się z rzeczywistego niepokoju po pierwszej wojnie światowej, ze społecznego i ekonomicznego chaosu — pragnienie głębokie i uzasadnione. Dadaizm, futuryzm, surrealizm i mistyka Planu Pięcioletniego, tworzą w klimacie ogólnej apokalipsy, związek dziwaczny a zarazem bardzo charakterystyczny. Mistyk lat międzywojennych, uznawał za objawienie łaski budowę elektrowni na Dnieprze i wzrost sowieckiej produkcji stali o 3 %.

Przyjechałem więc do miasta Buchary nie po to aby cieszyć oczy widokiem zabytków i rozmyślać nad urokami przeszłości, ale aby zobaczyć co dzieje się na froncie produkcji bawełny w Azji Środkowej. Zdarzało mi się, rzecz jasna, popełniać wykroczenia przeciw komunistycznej samodyscyplinie i oglądać nie to co należało; nawet komiwojażer dostrzega niekiedy, że zachód słońca zmienia kolor nieba. A jednak z godną politowania dokładnością starałem trzymać się wyznaczonego programu, i większość czasu zesłała mi, niestety, na zwiedzaniu fabryk, kołchozów, wzorowych żłobków i biur partyjnych. Przyjmowali mnie ludzie, którzy nie wiedzieli prawie nic, ani o dziejach, ani o architekturze i folklorze Buchary. Wszyscy byli członkami Partii; wychowani i ukształtowani przez Partię. Kościół z siedemnastego wieku czy meczet z trzynastego określali niezmiennie wspólnym mianem „stare budowle”. Jeśli zwiedzający zdradził nieopatrznie zainteresowanie bizantyjską mozaiką, składano to, co prawda z uśmiechem pełnym pobłażania, na karb drobno-mieszczkańskiego romantyzmu: towarzysze-cudzoziemcy są, jak wiadomo, opóźnieni w ideologicznym rozwoju.

Ale trzeba przyznać, że brak oryginalnej architektury i monotonia miast rosyjskich pomogły mi wydatnie w postępowaniu ściśle według programu. Nowa Buchara, mimo że leży w samym sercu Azji, jest typowym rosyjskim miastem garnizonowym. Jednostajność miast rosyjskich przypomina szarżyznę amerykańskich dzielnic nędzarzy. Na szczęście rozpocząłem podróż od Charkowa a nie od Moskwy, dzięki czemu byłem od razu wprowa-

dzony w codzienne życie prowincji, znanej na Zachodzie tyle co druga strona księżyca. Twarz Sowietów zwróconą w stronę Europy stanowi Moskwa — jedyne rosyjskie miasto w którym mają prawo pobytu dyplomaci i korespondenci zagraniczni. Ale Moskwa różni się bardziej od większości miast sowieckich niż każda inna stolica jakiegokolwiek kraju. W tym centrum totalitarnego imperium mieści się nie tylko rząd i kierownictwo Partii, ale również dykcja wszystkich gałęzi przemysłu, rolnictwa, zaopatrzenia i tp. I dlatego mieszkańcy Moskwy korzystają z absolutnego prawa pierwszeństwa w dziedzinie zaopatrzenia bez względu na to czy chodzi o żywność, opał, szczotki do zębów lub szminki, czy też jeszcze inne przedmioty zbytku nieosiągalne dla innych obywateli sowieckich. Poziom życia w Moskwie w 1932 roku równał się mniej więcej poziomowi życia przeciętnego miasta górniczego w Walii w czasie wielkiego kryzysu. A jednak w porównaniu z sytuacją innych mieszkańców ZSSR z którymi zetknąłem się w czasie podróży (wiele tysięcy kilometrów) warunki życia w Moskwie były wyjątkowe i godne zazdrości. Rewolucja przyniosła niewiele zmian w egzystencji prowincjonalnych miast. Tu i ówdzie wybudowano na przedmieściach fabrykę, ten czy ów uprzywilejowany obywatel posiadał obecnie radio a nawet telefon, ale przeludnienie, zły stan budynków, pustki w sklepach, powszechna bieda, szarość egzystencji i brak radości życia, napełniały miasta rosyjskie beznadziejnością i smutkiem.

Słowa pewnej znajomej kobiety (pisarza i członka Partii) zapadły mi głęboko w serce. Opowiadała ona w małej grupie przyjaciół o pewnym konspiracyjnym spotkaniu partyjnym na terenie Austrii. Spotkanie wyznaczono w lesie. Była wiosna i mimo niesprzyjających okoliczności, moja znajoma cieszyła się szczerze ze spaceru na łonie natury. Ale kiedy odnalazła funkcjonariusza Partii z którym była umówiona, tenże zatopił się natychmiast w „analizie trudności i środków ich przewyciężenia”. Od tej chwili młoda kobieta, odnosiła wrażenie, że ptaki zamilkły; że rośliny utraciły zapach. Osoba ta, w chwili kiedy piszę, pozostaje nadal zapaloną komunistką. „Dlaczego — pytała wówczas, głosem małej dziewczynki — dlaczego kwiaty usychają wszędzie tam, którędy przechodzimy”?

Jeśli wracam myślą w przeszłość decydujące wrażenie jakie wyniosłem z podróży po Rosji zabarwione było podobnymi rozczarowaniami i smutkiem.

W pierwszej części podróży miałem zająć się przeprowadzeniem obszernej ankiety na temat wyników Pięciolatki w przemysłowych rejonach Republik Ukrainskiej i Rosyjskiej. Zacząłem od

S.K.I., nowej fabryki gumy w Jarosławiu; stamtąd statkiem motorowym popłynąłem w dół Wołgi do rosyjskiego Detroit — miasta Gorki (obecna nazwa legendarnego Niżnego Nowogrodu) gdzie znajdowała się fabryka samochodów. W rozdziale o Niżnym Nowogrodzie dwie strony poświęciłem samochodom a tylko parę wierszy temu najpiękniejszemu ze wszystkich starych miast rosyjskich.

Z Niżnego powróciłem do Moskwy a potem udałem się z pielgrzymką do miejsc najświętszych, to znaczy do zapory na Dnieprze, co natchnęło mnie do następującej „rapsodii”.

„W oslepiającym świetle sierpniowego poranku, biała tama w kształcie gigantycznego półkola robi wrażenie nadprzyrodzone. Dzika rzeka na próżno burzy się i pieni, uwiązana w nieruchomym uścisku cementu, poddaje się, zmienia bieg, zmuszona ulec presji dziewięciu turbin, które nieprzerwanie przekształcają żywioł wody w energię elektryczną. Każda z tych turbin pracuje z siłą osiemdziesięciu tysięcy koni parowych — są to najpotężniejsze turbiny wodne świata, ponieważ te na wodospadzie Niagary wynoszą zaledwie siedemdziesiąt pięć tysięcy koni parowych. Kable wysokiego napięcia o długości dziewięciu tysięcy kilometrów przenoszą prąd zasilający ogromne zakłady przemysłowe, które czynią z rolniczej Ukrainy bazę przemysłową Czerwonego Kontynentu — jej znaczenie przewyższy jedynie Ural”.

Po zwiedzeniu elektrowni na Dnieprze zamierzałem obejrzeć kopalnię węgla w Zagłębiu Donieckim — niestety nie otrzymałem przepustki. Później chciałem się wybrać do niemieckich kopalni na Ukrainie, ale w ostatniej chwili odebrano mi pozwolenie. Spółdzielcze gospodarstwa, obejmujące ponad pół miliona Niemców, potomków osadników, którzy przybyli do Rosji za czasów Katarzyny Wielkiej — znajdowały się w rejonach najbardziej dotkniętych epidemią głodu. W parę lat później ci co przeżyli, zostali deportowani na Sybir. Jednocześnie zlikwidowano Niemiecką Republikę Nadwożańską. Oba zbiorowiska ludzkie znikły bez śladu z powierzchni ziemi.

Epidemia głodu osiągnęła punkt kulminacyjny. W związku z tym AGITPROP wysłał mnie pośpiesznie tam gdzie niezajomość języka miała mi uniemożliwić porozumienie z ludnością. Oczywiście pobudki działania moich „protektorów” zrozumiałem dopiero dużo później. Tymczasem zwiedziłem już dostateczną ilość fabryk, aby mieć przed oczyma ogólny obraz przemysłu sowieckiego. Zwierzchnictwo partyjne przyjęło projekt książki, nie wiedząc że jako były student i redaktor naukowy, byłem wprowadzony w sprawy technologii i zysków przedsiębiorstw dużo lepiej niż przeciętny dziennikarz. Sowiecki przemysł w koń-

cu II-ej Pięciolatki przypominał młodego olbrzyma, którego raz po razie powalają ataki paraliżu lub epilepsji.

Przyczyną kryzysu w sowieckim przemyśle był nie sabotaż ale absolutna centralizacja, która wprowadziła „paniczny strach” jednostki przed podejmowaniem decyzji i przed „odpowiedzialnością”, we wszystkich dziedzinach życia i która ograniczyła działalność i urzędnika do „bezmyślnych obrotów kółka w mechanizmie”. Drakońska zależność od hierarchii, powodowała często przerwę w pracy, albo, co gorsza, pozwalała maszynom poruszać się siłą inercji w odwrotnym kierunku, a to za każdym razem kiedy jakiś szef na szczycie piramidy zapominał o naciśnięciu w odpowiedniej chwili odpowiedniego guzika.

Przypadek chciał, że rok 1932/33, który przeżyłem na terenie Sowietów, był może najtrudniejszy. Reżym znalazł się na skrzyżowaniu dróg. Przymusowa kolektywizacja i absolutna centralizacja przemysłu pociągnęły za sobą ogromny spadek produkcji i epidemię głodu. Przyczyną spustoszeń na wsi i w mieście był zanik elementarnych bodźców do pracy.

To społeczne zjawisko próbowałem zanalizować w książce „Yoga i komisarz”. W roku 1923, w obliczu kryzysu, Lenin wprowadził Nową Ekonomiczną Politykę, która stanowiła rodzaj kompromisu między kolektywizacją a wolnym rynkiem. W dziewięć lat później Stalin stanął przed podobną alternatywą: złagodzić kurs czy zaostrzyć? Metoda Lenina zawierała ustępstwa wobec chłopów, co oznaczało zmianę polityki ekonomicznej na wsi, pewną decentralizację przemysłu, odrodzenie niezależności związków zawodowych oraz poprawę warunków życia robotników poprzez wolną grę umów zbiorowych i tp. Ale Stalin nie mógł sobie pozwolić na ryzyko podważenia hierarchii i centralizacji. Wybrał drogę przeciwną; totalitarna piramida została wzmocniona przy pomocy żelaza i stali. A na jej szczycie wprowadzono system oszałamiających rekompensat dla „przodowników pracy” („Stachanowców”, „brygad szturmowych” etc.) zaś na dole piramidy bodźce zachęcające do pracy zastąpiły „metody wychowawcze” (oficjalnie obozy pracy nazywały się „Obozami Reeducacji”).

Przed wyjazdem do Azji ukończyłem serię sześciu artykułów na temat osiągnięć Pięciolatki. Zaniósłem wszystko do kierownictwa M.O.R.P. w Moskwie, ponieważ ustalono, że M.O.R.P. będzie przeglądał „po przyjacielsku” to co napiszę, i że dopiero później będę zgłaszał się do oficjalnej cenzury przy Wydziale Prasowym Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

I tutaj zaczęły się trudności. Zarzucono mi „mechaniczny” krytycyzm oraz „nadmierny romantyzm”, a ten srogi werdykt zakomunikował mi Sergiusz Tretiakow, ówczesny, jak się zdaje,

przewodniczący rosyjskiej sekcji M.O.R.P. w obecności Paula Dietricha, przedstawiciela niemieckiej sekcji Kominternu.

Tretiakow, autor cieszących się powodzeniem powieści, znajdował się właśnie u szczytu chwały i łask rządowych. Był tak dystyngowany i pozbawiony osobowości, że z moskiewskiego spotkania pozostało mi w pamięci jedynie bliżej nieokreślone wspomnienie wysokiego, chudego mężczyzny o mongolskich rysach i umiarkowanych gestach. Tretiakow został oskarżony o szpiegostwo i rozstrzelany w roku 1938.

Natomiast Paul Dietrich, który pośredniczył między mną a Kominternem, był typowym, jowialnym i okrągłym Niemcem z Zagłębia Saary. Pochodził z rodziny robotniczej, był doskonałym kolegą, pełnym radości życia mimo tyranii historycznej żony, która wiele razy próbowała popełnić samobójstwo, grożąc, że rzuci się z wysokości słynnego hotelu Kominternu „Lux”. Byliśmy z Paulem w serdecznej przyjaźni. W trzy lata później, pracowaliśmy razem w czasie kampanii poprzedzającej referendum w Zagłębiu Saary. W 1936 roku Paul Dietrich został wezwany do Moskwy i tam, w roku 1938, rozstrzelany jako szpieg.

Spotkanie z Tretiakowem było krótkie i niemiłe. Przyjąłem uległe jego uwagi, obiecałem, że poprawię artykuły i że w przyszłości będę „bardziej samokrytycznym bolszewikiem”. Ale w drodze powrotnej Paul pocieszył mnie, że Tretiakow i Becher rywalizują ze sobą i że ten kto przybywa z polecającym listem Bechera nie może oczekiwać innego przyjęcia.

Poprawione artykuły odesłałem ponownie do M.O.R.P. Zwrócone mi je bez słowa, co uznałem za ciche pozwolenie druku, po czym udałem się do cenzury oficjalnej przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Szefem Wydziału Prasowego był Konstanty (Kostia) Umański, elegancki i przystojny młody człowiek około trzydziestki. Wdźwięk, spora doza cynizmu i bezpośredni sposób bycia sprawiły, że Umański pozostawał w doskonałych stosunkach z korespondentami zagranicznymi w Moskwie. To że pozwalał sobie na igranie z ogniem, to znaczy na manifestowanie wyżej wymienionych cech charakteru, przypisywano specjalnym łaskom Stalina. Umański został później mianowany konsulem sowieckim w Nowym Jorku, następnie ambasadorem w Meksyku. Zginął w dość podejrzanym wypadku samolotowym w czasie wojny.

Umański przyjął mnie nader uprzejmie. Zawarliśmy przyjemną znajomość. Przeczytał w mojej obecności artykuły i zaprobowował je poza kilkoma poprawkami, zresztą bez znaczenia. Kiedy opowiadałem mu o przykrym spotkaniu z Tretiakowem, Umański poklepał mnie po ramieniu i poradził unikać Komin-

ternu: — „Jesteście oficjalnie burżuazyjnym dziennikarzem, lepiej będzie dla Was pozostawać w kręgu NARKOMINDIEŁ'u i z daleka od nadgorliwców z Kominternu. Otoczymy was opieką ale starajcie się ukrywać, że należycie do Partii. Będę udawał, że nic o tym nie wiem”.

Zatrudniony w „linii NARKOMINDIEŁ'u” Umański nie lubił towarzyszy z „linii Kominternu”. Mówiłem już o dwóch różnych aspektach polityki sowieckiej — mentalność i sposób bycia pracowników Kominternu i NARKOMINDIEŁ'u to dwa przeciwległe bieguny. Funkcjonariusze służby dyplomatycznej winni prowadzić „życie światowe”, „mieszać się z burżuazją” i dbać o pewien standart życiowy. Ci z Kominternu przeciwnie, musieli poddać się purytańskiej ascezie. Dlatego jedni i drudzy nie cierpieli się z całego serca.

Umański nie tylko pogardzał „nadgorliwcami” z Kominternu, ale był też zręcznym politykiem. Wiedział, że właściwa propaganda w prasie kapitalistycznej winna być maskowana „obiektywną krytyką”. Sympatycy i pisarze komuniści, których przynależność do Partii była najczęściej nieznana szerokiej publiczności (np. w moim wypadku), służyli sprawie komunizmu skuteczniej, jeśli udawało się im przekonać czytelników o własnej bezstronności. Z punktu widzenia Ministerstwa Spraw Zagranicznych, krytyka drobnych usterek reżymu sowieckiego była do przyjęcia tak długo, jak długo złościła „pigułkę” o podstawowych osiągnięciach komunizmu.

## CEBULA I „ODEKOŁON”

Podróż z Moskwy do Ordżonikidze na Kaukazie — w 1932 roku cztery dni i trzy noce — spędziłem w wagonie sypialnym i w towarzystwie Wery Maksymowny.

Nigdy nie przeżyłem podobnie cnotliwego sam na sam z kobietą. Rosjanie nie widzą nic zdrożnego we wspólnych wagonach sypialnych — uważają to za rzecz równie naturalną jak przewijanie niemowląt czy chłostanie się w łaźni. Oto jedna z przyczyn popularności *komandirowki* w wyższych sferach partyjno-rządowych. Daleka podróż koleją staje się więc za każdym razem rodzajem loterii, a napiwek wręczony kontrolerowi często sprzyja szczęściu.

Nie, nie dałem nikomu łapówki aby podróżować w przedziale obywatelki Wery Maksymowny, która zajmowała łóżko nade mną. Przekroczyła czterdziestkę, ale nadal ubierała się jak młoda dziewczyna: zielona spódnica ściśnięta w pasie i różowa bluzka z koronkowym żabotem na płaskawej piersi. Spod kolarowej przepaski na czole wymykały się niesforne loczki utlenione na blond... ale rosyjska farba do włosów sprawia często dziwne niespodzianki (bez wątplenia wynik sabotażu na froncie produkcji środków kosmetycznych).

Rozłożona na górnym pośłaniu obywatelka Wera, żuła ziarna słonecznika i polerowała paznokcie. Wieczorami zamieniała różową przepaskę na nocny czepek ozdobiony falbankami. Spaliśmy w ubraniu, ponieważ zarząd kolei sowieckich nie wydawał pasażerom pościeli. Kiedy Wera Maksymowna zdejmowała z siebie bluzkę, dyskretnie opuszczałem przedział. Rano wycierała się „odekołonom” rosyjskiej wersji, a to dlatego, że urzędnika wo-



dociągowe znajdowały się właśnie w „remontach”. Nasz przedział pachniał mieszaniną wody kolońskiej i surowej cebuli, której wiozłem większe zapasy aby utrzymać równowagę w zaopatrzeniu organizmu w witaminy.

Czas schodził mi na pisanie i lekturze i początkowo udało mi się unikać rozmów. Trzeciego dnia, w czasie dłuższego postoju, wysiadłem aby stanąć w codziennym ogonku po gorącą wodę na herbatę. Po powrocie do przedziału, znalazłem na łóżku bilecik (napisany na mojej maszynie) następującej treści:

„Pracowaliście dosyć, a teraz trzeba by trochę pouwodzić Werę Maksymowną”.

„Uwodzenie” polegało na wysłuchiwanie zwierzeń obywatelki Wery. Mówiła szczerze, ponieważ brała mnie za burżuazyjnego dziennikarza a więc, mimo cebuli, za *kulturalnego czelawieka*. Była przekonana, że nienawidzę bolszewizmu w tym samym stopniu co ona. Wera Maksymowna nienawidziła komunistów z całym snobizmem zdeklasowanej drobnomieszczanki, która przeżyła kiedyś „lepsze dni”. Rozmowa interesowała mnie coraz bardziej: nigdy przedtem nie udało mi się spotkać prawdziwej kontrrewolucjonistki z „krwi i kości” — zwłaszcza z kości, jeśli mowa o biednej Werze Maksymownej. Myślę, że gdyby starczyło jej odwagi, przy pierwszej okazji, wzięłaby udział w antysowieckim sabotażu. Spotkanie z Werą Maksymowną natchnęło mnie do heretycznej myśli, że w przeciwieństwie do teorii Marksa, jedyną naprawdę uświadomioną klasowo grupą społeczną jest drobnomieszczaństwo, a to dzięki swojej niewyraźnej sytuacji między średnią burżuazją a klasową robotniczą. W Niemczech zwyciężyli nie rewolucyjni robotnicy ale drobnomieszczaństwo. Myślę, że Wera Maksymowna stanowiłaby znakomity materiał na faszystkę. Chwilowo była pomocnikiem buchaltera w Leningradzie, co zapewniało jej jeden gotowy posiłek w kantynie zakładów i pół kilo chleba dziennie, śledzia i od czasu do czasu kilka listków herbaty z kooperatywy. Zapasy, które wiozła były bardziej niż skromne. Podejrzywałem, że z głodu gryzie ziarna słonecznika. A jednak mimo, że Rosjanie chętnie dzielą się pożywieniem z towarzyszami podróży, Wera Maksymowna przyjmowała ode mnie tylko małe kęsy „na spróbowanie”. Był to widok tak żałosny, że starałem się nie jadać w ciągu dnia i robiłem to jedynie w nocy pod kołdrą, ale bałem się, że zauważy, ponieważ sprawiała wrażenie kogoś kto nieustannie czuwa i nadśłuchuje.

Miała usposobienie romantyczne. Często czyniła aluzje na temat swojej duszy a niekiedy i mojej. W nocy opuszczała z wysokości swego posłania, obnażone chude ramię, przebierając

palcami o polakierowanych paznokciach. Czekala chyba, że zloze pocałunek na poetycznie zwieszajacej sie dloni. Denerwowało mnie to ogromnie i miałem ochotę wejść na jej postanie i dać jej mocnego klapsa, pod pozorem wzburzonych namiętności, ale obawiałem się, że krzykiem zatrzyma pociąg — jeżeli dzwonek alarmowy nie znajduje się w „remoncie”.

Jechała na urlop do uzdrowiska Jessentuki, na Kaukazie. Takie wakacje były wielkim przywilejem (rzecz zaskakująca w stosunku do podrzędnego stanowiska Wery Maksymowny). Ale wspominała o pewnym „wysoko postawionym” obywatelu którego miała spotkać. Niewątpliwie była jego kochanką. Posądzałem owego obywatela o dość dziwne upodobania, lub też bliżej nieokreślone skłonności do zmarłej starej ciotki. Być może nie umiałem należycie ocenić wdzięków Wery Maksymowny, bo zauważyłem że z korytarza kierowały się w stronę naszego cichego ustronia pachnącego cebulą i „odekołonom” spojrzenia pełne zażdrości.

Z opowiadań Wery Maksymowny najbardziej utkwiło mi w pamięci jej wspomnienie z epidemii głodu w 1920 roku, u schyłku wojny domowej. Mieszkała wtedy w okolicach Samary, gdzie wygłodzeni chłopcy powrócili do stanu dzikości, a nawet zdarzały się wypadki ludożerstwa. Pewnego wieczoru, przechodząc źle oświetloną ulicą, poczuła, że została nagle złapana na łaśso zarzucone z okna. Próbowwała krzyczeć i w ostatniej chwili uwolnili ją przechodnie — w przeciwnym razie zostałaby zamieniona na pieczeń.

A jednak jestem skłonny uwierzyć w tę niesamowitą opowieść Wery Maksymowny, ponieważ czułem, że przeżyła to o czym mówiła. Historycy sowieccy, nie ukrywają, że w roku 1920 zdarzały się wypadki ludożerstwa. Pierwsza epidemia głodu była wynikiem kontrewolucji i obcej interwencji a więc publikowanie prawdy o okropnościach głodu służyło komunistycznej propagandzie. Natomiast w roku 1933 sytuacja przedstawiała się odwrotnie.

Czy ludożerstwo miało miejsce w czasie mojej podróży po Rosji? Myślę, że można na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Kiedy po drugiej wojnie światowej wyłamano kraty w niemieckich obozach koncentracyjnych, okazało się, że wielokrotnie zdarzały się tam wypadki konsumpcji martwego ciała ludzkiego. Dzieje polarnych ekspedycji i morskich katastrof obfitują w podobne wydarzenia. Krótko mówiąc, nie odeszliśmy znów tak daleko od kanibalizmu. Ale trudno spotkać świadków ludożerstwa lub niedoszące ofiary. Oto dlaczego obywatelka Wera Maksymowna wywarła na mnie silne wrażenie.

Byłem ciekaw, czym zajmowała się przed Rewolucją. Ale kiedy o to pytałem, uśmiechała się skromnie mówiąc, że wyjaśni mi to w chwili pożegnania. Dotrzymała słowa. Kiedy na dworcu w Ordżonikidze wysiadałem z pociągu nagle poczułem do niej prawdziwą sympatię. Chwyła mnie za ramię, co wywołało dziwne wrażenie litości połączonej z gęsią skórką.

— Obiecałam powiedzieć Wam co robiłam w dawnych czasach. Nie odgadliście?

Nie, nie odgadłem.

— Do dwudziestego piątego roku życia, powiedziała Wera Maksymowna, aż do chwili kiedy bolszewicy zamknęli wszystkie rosyjskie klasztory, byłam zakonnicą w Jaromirze.

Nie widziałem nigdy aby się modliła. Być może mimo gwałtownej nienawiści do bolszewików, uważała, że przynieśli jej wyzwolenie.

## SEN NA KAUKAZIE

Podróż z Rosji Europejskiej na Kaukaz odegrała szczególną rolę w moim życiu — dziś jeszcze nazwa tego kraju rozbrzmiewa w moich uszach czarodziejskim echem. Po drugiej stronie śnieżnych szczytów przeżyłem pierwszy konflikt uczuciowy z Partią, a dzieje niezwykłych ludzi, tam spotkanych, posłużyły mi za materiał do książki: „Ciemność w południe”<sup>1</sup>.

Linia kolejowa z Moskwy do Tyflisu biegnie wzdłuż Morza Kaspijskiego zakreślając szeroki łuk u stóp gór Kaukazu, ale latem, kiedy drogi górskie są bardziej dostępne, można skrócić sobie podróż jadąc autem słynną Gruzjińską Drogą Wojenną, która z Ordżonikidze (dawny Władykaukaz) wznosi się na szczyt Kazbeku (około 2.555 m.) — po czym opada w stronę winnic na północ od Tyflisu.

Wysiadłem z pociągu w Ordżonikidze wczesnym rankiem. Zapadał już wieczór kiedy dworcowe G.P.U. przyznało mi łóżko w hotelu, kartę na kolację oraz miejsce w samochodzie do Tyflisu. Zamiast do Komitetu Partyjnego wybrałem się na przechadzkę po mieście. Ordżonikidze leży nad burzliwą rzeką Terek na równinie o wysokości prawie tysiąca metrów. Miasteczko rysuje się wyraźnie na tle skalnych kolosów, które zdają się przybliżać w przezroczystym, ostrym powietrzu; jeszcze dalej białe wierzchołki lodowców wolno płyną po niebie. Podróżowałem po Rosji już od wielu miesięcy, ale dopiero tego wieczoru po raz pierwszy poczułem się naprawdę cudzoziemcem. Szukałem ucieczki w kinie — tym międzynarodowym azylu ludzi samotnych.

---

1. *Darkness at noon*, Londyn, 1940. Całość w przekładzie Tymona Terleckiego drukowana w „Kulturze” Nr 16/17 (1949 r.).

Wyświetlano właśnie stary, niemy film z Harold Lloydem, prowokujący „radosny zawrót głowy” w chwilach, kiedy autor zwiisa na jednej ręce z dachu niebotycznego drapacza chmur. Wrażenie było tym silniejsze, że co parę minut przerywano projekcję i sala pogrążała się w zupełnej ciemności.

Tej samej nocy miałem wieloznaczący i niepokojący sen: w trakcie wspinaczki na stromy szczyt poczułem, że lina, której byłem uczepiony rozluźnia się i że tracę przytomność. Obudziłem się przerażony w oczekiwaniu nagłego upadku w przepaść.

Sen z Ordżonikidze można tłumaczyć w różny sposób, ale właściwa jego interpretacja przyszła mi do głowy dopiero w dwadzieścia lat później, kiedy pisałem te słowa i lektura „Czerwonych dni” poruszyła we mnie dalekie wspomnienie.

Jako kilkunastoletni chłopak byłem zapalonym alpinistą. Pasja ta wygasła we mnie pewnej niedzieli 1925 roku na zboczach Schneebergu, słynnego z niebezpieczeństw szczytu w okolicach Wiednia. Uczepiony liny zsuwałem się właśnie ze stromego komina, kiedy na skalnym występie, o jakieś trzydzieści metrów pode mną, dostrzegłem bezkształtną masę ludzką. Był to pierwszy trup, którego widziałem w moim życiu; człowiek ten spadając złamał sobie kark — głowa w groteskowy sposób opadła mu na piersi; nie zauważyłem krwi — jedynie parę zastygłych czarnych kropeł na koszuli — widocznie zmarły zaczął się o głazy w chwili upadku.

Mój przyjaciel i ja zeszliliśmy spokojnie ze zbocza, ale spotkanie z „Horą” — archaicznym postrachem mego dzieciństwa — odebrało mi dotychczasową odporność na zawroty głowy — podstawową cnotę alpinisty. Straciłem niewinność wobec gór i wkrótce zaniechałem zupełnie wspinaczki.

Nie wątpię, że karkołomne wyczyny aktora Harold Lloyd'a, połączone z widokiem szczytów Kaukazu, obudziły we mnie wspomnienia o wypadku na Schneebergu, ale senne koszmary towarzyszą mi prawie każdej nocy — chyba więc jakaś wyjątkowa przyczyna sprawia, że zapamiętałem właśnie ów sen z Ordżonikidze. Kluczem do zrozumienia snu jest poczucie „utruty niewinności” wobec gór i wobec Partii. Nagłe rozluźnienie się liny, zawrót głowy i groźba śmierci — dowodzą o podświadomym lęku przed utratą wiary w Związek Sowiecki i komunistyczne ideały, co w 1932 roku oznaczało dla mnie moralną pustkę.

W ciągu następných, szczęśliwych dwóch tygodni moje niepokoje ulotniły się. Ośmiogodzinna podróż autem przez góry Kaukazu (dwieście km.) odsłoniła przede mną niezwykle krajobrazy — można je porównać jedynie z widokiem gigantycznych lo-

dowców na Ziemi Franciszka Józefa, które rok wcześniej oglądałem z okna „Graf Zeppelin”.

Ze wszystkich miast ZSSR najlepiej czułem się w Tyflisie — mieście najmniej dotkniętym szarżyzną i monotonią sowieckiego życia: miało ono ów szczególny i nieprzeparty urok, jaki daje związek dwóch kultur: europejskiej i azjatyckiej. Mieszkańcy Tyflisu żyli na razie dość beztrudnie i swobodnie, zachowywali się z czarującą nonszalancją, bardziej właściwą cyganerii artystycznej niż ludziom Wschodu. Wyrafinowana architektura Tyflisu oraz pełna godności uprzejmość jego mieszkańców — mówiła mi o wiekowych tradycjach kulturalnych chrześcijańskiej cywilizacji w tym kraju. Dzikie i surowe szczyty Kaukazu ciemnieją na horyzoncie i tworzą tło dla łagodnie ciągnących się wzgórz, podobnych do winnic Toskanii. Rzeka Kura przecina Tyflis pod wygiętymi łukami mostów.

(Urodzony nad Dunajem czuję się obco w miastach pozbawionych rzek i mostów, — są one dla mnie jak źle ubrane kobiety. Zauważyłem, że mieszkańcy wielkich stolic, gdzie nie ma dużej rzeki — Moskwy czy Berlina — są bardziej nieprzystępni i oschli, niż ci z Paryża i Wiednia — miast nadrzecznych).

W czasie pobytu w Tyflisie poczułem wiele sympatii i podziwu dla ludzi Gruzji. Historia tego małego kraju, otoczonego potężnymi sąsiadami jest serią kolejnych wojen przeciw Asyryjczykom, Ormianom, Persom, Tatarom, Turkom i Rosji. A jednak, mimo niezliczonych okupacji, Gruzini zachowali własną kulturę i tradycje narodowe. Moją nagłą przyjaźń dla Gruzji, tłumaczy być może, jej podobieństwo do Węgier — innej mniejszości etnicznej — również żyjącej w nieustannym zagrożeniu. Naród gruziński sympatyczny ale uparty, odznacza się niesłychanymi zdolnościami w dziedzinie muzyki, architektury i jubilersstwa oraz... pochłania niezmiernie ilości wina.

Gruzini, w głębi serca, nie pogodzili się nigdy z rosyjskim zaborem, który datuje się od 1873 roku — zachowali nadzieję, że odzyskają niepodległość, tak jak już niegdyś zostali wyzwoleni spod okupacji tureckiej, armeńskiej i perskiej. Oto jedyna mniejszość narodowa ZSSR, która otwarcie wystąpiła przeciw reżymowi sowieckiemu. W żadnej ze zwiedzanych przeze mnie republik nastroje antysowieckie nie były tak silne i rozpowszechnione; jeżeli na ulicy lub w tramwaju zwracałem się do kogoś po rosyjsku — odpowiadano mi zawsze po gruzińsku — chociaż wszyscy znają rosyjski, obowiązkowo wykładany w szkołach. Po powstaniu gruzińskim z 1924 roku, Stalin wzniósł okrzyk: „cała Gruzja winna być przeorana na wskroś”. To pobożne życzenie zostało zrealizowane w epoce „Wielkich Czystek”, kiedy wy-

mordowano prawie całe kierownictwo Partii Gruzji. Wątpię czy moi gruzińscy przyjaciele pozostali przy życiu.

W parę tygodni po przyjeździe do Tyflisu zostałem zaproszony do zabrania głosu na uroczystej akademii poświęconej pamięci Rewolucji, która odbywała się w gmachu Opery. Wszyscy mówcy wypowiadali się po gruzińsku — ja znałem tylko rosyjski. Moim sąsiadem na estradzie był sędziwy poeta ze starej gwardii bolszewickiej — członek Komitetu Centralnego. Zapytałem go po cichu, pół żartem, pół serio, czy moje przemówienie w języku rosyjskim nie zrobi na zgromadzonych złego wrażenia. Odpowiedział mi w tym samym tonie: „wasz rosyjski jest tak okropny, że na pewno spodoba się”. Ta uwaga skierowana do cudzoziemca była politycznym ryzykiem, właściwym dla swobodnej atmosfery Tyflisu. Słuchano mnie w uprzejmym znudzeniu, aż do ostatniego, obowiązującego okrzyku, który wzniosłem po gruzińsku: „niech żyje rewolucja światowa”! Włożyłem tyle trudu aby nauczyć się tych paru słów, że przypominam je sobie dziś jeszcze: „Gawmargios mossopljos revolutias!” Publiczność zgotowała mi gorącą owację.

Wspomniane zebranie zakończyło moją działalność polityczną na terenie Tyflisu. Przyznaję, nie bez wstydu, że nie zwiedziłem ani jednej gruzińskiej fabryki i że nie przestudiowałem wyników Planu. Ogarnęło mnie nagle uczucie błogiej beztroski. Po dwóch dniach pobytu w hotelu Inturista zamieszkałem u jednego z moich nowych przyjaciół — Oragwilidze, ówczesnego Ministra Oświaty. Był to młody człowiek — około trzydziestki — o niezwyklej kulturze i zdolności do refleksji. Zajmował nieduży trzy-pokojowy domek wraz z matką, pełną godności gruzińską wieśniaczką. Matka ministra całymi dniami prała, gotowała i sprzątała a wieczorami zasiadała między zaproszonymi gośćmi — matrona i służąca w jednej osobie. Oragwilidze, który studiował w Moskwie i Berlinie, zeuropeizował swoje zwyczaje, ale pozostał wierny azjatyckiej tradycji traktowania kobiet — przyjmował bez zastrzeżeń usługi matki i odnosił się do niej z kurtuazją i szacunkiem pana domu wobec wiernej sługi.

W czasie pierwszej wizyty u Oragwilidze, ku memu wielkiemu zdziwieniu, znalazłem na półce, w widocznym miejscu — niemieckie wydanie książek Trockiego: „Moje życie” i „Historia Rewolucji”. Zapytałem naiwnie: „a więc wy, jako Minister Oświaty, możecie pozwolić sobie na podobny zbytek?” — na co odpowiedział: „członków Komitetu Centralnego cenzura nie obowiązuje”. Działo się to co prawda w roku 1932 i jeszcze przed zamordowaniem Kirowa, ale tym niemniej postawa Oragwilidze świadczyła o dużej zuchwałości z jego strony. Byłem tym poru-

szony i z miejsca poczułem do mego gospodarza serdeczną sympatię. Tęgi i barczysty Oragwilidze miał nieśmiały wyraz twarzy i maniery studenta. Jego koledzy i przyjaciele — w większości wysocy dygnitarze rządowi lub partyjni — traktowali go z szacunkiem i czułością. Pozwalał mówić innym, umiał słuchać a kiedy zabierał głos, jego opinie posiadały zwykle wiele głębokiego sensu. Był marksistą, ale twórczym, leninowskim — a nie jałowym dialektykiem w stylu teoretyków Niemieckiej Partii. Był niesłychanie młodzieńczy i miał właściwe Gruzinom poczucie humoru. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Tyflisu, Oragwilidze był wielkim amatorem i znawcą wina.

Pewnego wieczoru zaprowadził mnie do restauracji na przedmieściach Tyflisu, położonej w ogrodzie na wzgórzu. Na stołach paliły się świece, grała orkiestra cygańska a w powietrzu unosił się słodkawy zapach jesiennych liści. Na wyszukane menu kolacji składały się zakąski, szaszłyk, szyszkebab, lulekebab, itd. Dołączyli się do nas dwaj znajomi Oragwilidze: szef miejscowego G.P.U. i profesor Migrelidze, konserwator Muzeum Narodowego Malarstwa. Rozmawialiśmy o sztuce gruzińskiej, o szansach Hitlera i o programie studiów na burżuazyjnych uniwersytetach. W międzyczasie ilość pustych butelek na naszym stole zwiększała się szybko i znacznie przerosła to, co kiedykolwiek widziałem — nawet w okresie niezapomnianych wiedeńskich pijatyk — bo w końcu doliczyłem się ich czternastu... co prawda należy dodać, że dania gruzińskie są bardzo pikantne. Piliśmy owe sławne wino kachetyńskie zbliżone smakiem do Beaujolais — wino, które w postaci czystej spotyka się jedynie w Gruzji, ponieważ nie znosi transportu. Zbyt lekkomyślnie chępiłem się moją „mocną głową” a teraz trzeba było bronić dobrej reputacji... Podziwiałem właśnie samego siebie, że po wypiciu takiej ilości alkoholu trzymam się jeszcze prosto na krześle, kiedy postawiono przed nami cztery nowe butelki białego wina, w rodzaju Sauterne’a. Wiedziałem, że skutek będzie fatalny, ale ani marksistowskie wychowanie, ani obecność szefa G.P.U., a nawet to że „reprezentuję Rewolucyjnych Pisarzy Niemiec” — nic nie mogło skłonić mnie do odwrotu. Wypiliśmy nie tylko po dodatkowej butelce, ale podziwialiśmy między sobą jeszcze dwie następne. Chorowałem później całą dobę, nie mniej udało mi się „utrzymać dobre wrażenie” aż do powrotu do domu.

Pamiętny powrót! Profesor i szef G.P.U. gdzieś znikli, natomiast my — to znaczy Oragwilidze i ja — szliśmy spleceni uściskiem podpierając się wzajemnie, potykając się raz w lewo raz w prawo — w sposób znany mi przedtem jedynie ze sceny. Straciliśmy kontrolę naszych ruchów lecz zachowaliśmy jasność



umysłów — stan właściwy amatorom wina, którzy mają zdrowy żołądek i unikają mocniejszych alkoholi. Po tym wspaniałym wieczorze przebudziłem się wyczerpany fizycznie, ale w dobrym nastroju.

„Co powiedziała wasza matka”? zapytałem mego przyjaciela. Wzruszył ramionami: — „Ona dobrze wie, że prawdziwy mężczyzna musi niekiedy zajrzeć do kieliszka”. Słowa Oragwilidze były charakterystyczne dla gruzińskiej filozofii życia — umieć upić się bez poczucia winy — byłem do tego niezdolny, ale wydawało mi się to zawsze synonimem „niewinności przed upadkiem”.

W książce „Czerwone dni” nie wspomniałem ani słówkiem o nocnych przygodach w Tyflisie, ponieważ bałem się skompromitować Oragwilidze — niestety dziś nie ma już powodu do obaw: istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo, że mojemu przyjacielowi udało się przeżyć Wielkie Czystki: a jeżeli, jakimś cudem został oszczędzony — skrzętnie zapisane informacje o moim pobycie w jego domu oraz o książkach Trockiego na półce biblioteki, spoczywają niewątpliwie w aktach G.P.U.

Fragment „Czerwonych dni” poświęcony Tyflisowi, bardzo odbiegał od prawdy. Rozdział zatytułowany „Kaukaskie mozaiki” składa się z trzech not biograficznych na temat miejscowych znakomitości: Delawassera, Pirozmanoszwili i Kamo. Pierwszy z nich okazał się raczej nieciekawym dziwakiem, którego tytuł do sławy stanowiła kolekcja zagranicznych czasopism w stu czterdziestu językach. Delawasser posiadał, między innymi, numer „Neue Rheinische Zeitung” z dnia 19 maja 1849 roku, gdzie znajduje się pełny tekst rozkazu wysiedlenia z Niemiec redaktora naczelnego tejże gazety... Karola Marksa, artykuł opatrzoney wściekłymi uwagami i wykrzyknikami.

Drugą miejscową sławą był Niko Pirozmanoszwili — naiwny artysta — zbliżony do celnika Rousseau. Był analfabetą i Kinto. Kintami, w dawnym Tyflisie, nazywano włóczęgów, złodziei i ulicznych pieśniarzy. Jeżeli wierzyć Trockiemu, członkowie Politbiura Gruzji, mówili między sobą, po cichu o Stalinie: ten Kinto. Wiecznie pijany Pirozmanoszwili, spędzał życie w nocnych lokalach, gdzie w zamian za wyżywienie malował napisy i afisze. Po śmierci artysty, jego obrazy zebrał profesor Migrelidze (towarzysz naszej nocnej pijatyki); były to sceny z życia Gruzji: chłopci przy pracy, ludowe uroczystości, i zabawy, czy też woły w zaprzęgu. Zbiory te zapełniały dwie sale Muzeum; malowane były na czarnym kartonie lub na płótnie, olejnymi farbami, własnej produkcji artysty — i stanowiły coś pośredniego między stylem Chagalla i Rousseau. Były naprawdę niezwykle. Kupiłem

wiele reprodukcji fotograficznych i nie mogę do dziś odżałować, że je zgubiłem. Pewien znawca gruzińskiego folkloru podarował mi przekład piosenek Kintów — jedna z nich nosi tytuł: „Pieśń Nowożeńców”:

*„Serce moje jest ze szkła, kruche szkło, kruche  
Strzeż się ukochany, strzeż się strzeż  
Gdyż pęka — plim, plim, plim  
Nawet ogień miłości nie potrafi go skleić”.*

Inne piosenki mają charakter satyryczny:

*„Chciałem, aby mój mały sprzedawał owoce  
Chciałem kupić mu osła i wystać na drogie  
Szatan mnie podkusił — posłałem go do szkoły  
Teraz mały świntuch należy do Komsomolu  
plim, plim, plim...*

Trzecią znakomitością Tyflisu był Szymon Iwanowicz Petrossian, alias Kamo, ów słynny terrorysta ormiański, autor zamachów „z bombą w ręku”, które należą do najbardziej udanych i najodważniejszych w Historii. Był czterokrotnie skazany na śmierć i w czterech różnych krajach, lecz zawsze udawało mu się ocalić głowę: po raz ostatni umknął z domu wariatów, po osiemnastu miesiącach udawania szaleńca. Stracił życie już po Rewolucji w sposób, który dziwnie przypomina śmierć T. E. Lawrence’a: jechał na rowerze i został potrącony przez ciężarówkę na jednej z głównych ulic Tyflisu.

Kamo-Petrossian był przed Rewolucją bliskim przyjacielem Stalina — pochodzili z jednej wsi i to właśnie Stalin, zwany wówczas Koba, nadał towarzyszowi młodości przydomek Kamo. Niezależnie od losów Kamy, cały Tyflis wrze od wspomnień i anegdot na temat Stalina. A jednak, kiedy po dwudziestu latach przeczytałem ponownie rozdział „Czerwonych dni”, poświęcony Gruzji — znalazłem tam tylko maleńką wzmiankę o Stalinie:

*„Siemion Iwanowicz Petrossian alias Kamo — urodził się w 1882 roku w wiosce Gori — tej samej, gdzie ujrzał światło dzienne syn szewca, Wissariona Dżugaszwili, zwany później „Człowiekiem ze Stali”.*

Pisałem „Czerwone dni” w 1932 roku — byłem wówczas komunistą... i znajdowałem się na terenie Związku Sowieckiego. Opis Gruzji, dokonany przez pisarza, członka Partii, winien

być — w owym czasie — pełen refleksji na temat Stalina i cytatów z „Jego” dzieł... Nadaremnie szukałem w mojej książce pochwalnych hymnów na cześć „Ojca Narodu”, „Przewodnika Ociemniałych” i „Słońca Rewolucji”. Na czterystu osiemdziesięciu stronach, znalazłem około stu odnośników do prac Lenina... ani jednego słowa o Stalinie.

Na szczęście praca ta nie zawierała bibliografii — w przeciwnym razie byłbym zgubiony, chociaż pominąłem dzieła „Wodza” zupełnie nieświadomie: w 1932 roku, nie napisałbym nigdy książki o Rosji z zamiarem przeoczenia wielkiego Satrapy — po prostu, wydaje się, że libido polityczne podlega tym samym wpływom co sny alpinisty, zawieszono go na przerwanej linie.

## ARARAT

Kaukaz dzielił się wówczas na trzy „sowieckie socjalistyczne republiki autonomiczne transkaukaskie”: Gruzja ze stolicą Tyflis, Armenia ze stolicą Erywań i Azerbejdżan ze stolicą Baku.

Odległość między Tyflisem i Erywaniem wynosi około czterystu kilometrów; podróż trwa szesnaście godzin, ponieważ pociąg wspina się po górzystym terenie Małego Kaukazu. Miałem odjechać o godzinie dziewiątej wieczór, ale okazało się, że z powodu awarii nastąpi poważne opóźnienie.

Poczekalnie na dworcu w Tyflisie, podobnie jak wszystkie inne na terenie ZSSR — przypominały pole bitwy. Usadowiłem się na brudnej kamiennej podłodze pośród tobołów, koszyków i stłoczonych ludzi; jakaś młoda kobieta w ukraińskiej koszuli wodziła za mną kpiącym spojrzeniem kiedy, z wielkim trudem, torowałem sobie drogę. Przysiadłem koło niej. Dziewczyna była rośła i miała szeroką, typową twarz ukraińskiej chłopki; jasne włosy przykryła kretonową chustką; jej szerokie ramiona zdawały się stworzone do dźwigania ciężkich snopów zboża.

Nawiązaliśmy rozmowę. Dziewczyna chętnie mówiła o Tyflisie i Charkowie (pochodziła z tamtych stron) ale unikała odpowiedzi na pytania, dotyczące jej spraw osobistych. Dowiedziałem się, że do roku ubiegłego pracowała u siebie na wsi, po czym wyjechała do Charkowa. Na moje pytanie dlaczego opuściła rodzinne strony — dziewczyna tylko wzruszyła ramionami i dorzuciła: „ach, wszyscy to robili”. W Charkowie, przez pewien czas była służącą, później robotnicą w fabryce, aż wreszcie udało się jej zdobyć bilet kolejowy do Dnieprostroju, gdzie przez dwa lata była zatrudniona przy budowie wielkiej tamy. Powie-

działem, że to imponująca i piękna konstrukcja. Wybuchnęła śmiechem „piękna? — ależ to tylko beton!”.

Zauważyłem, że łącznie z moim zagranicznym wyglądem i akcentem, dziewczyna uważa mnie za zabawnego durnia. Na pytanie czy należy do Komsomołu lub Partii — ponownie wybuchnęła śmiechem. „Ja i Komsomoł? — czyżbym wyglądała na to — nie bardziej ni wy!”. Myśl, że cudzoziemiec posiadający „wytworne” (w rosyjskich oczach) ubrania i bagaże — może być komunistą, była dla niej nie do przyjęcia.

Miałem przy sobie butelkę wina i zapasy żywności, a ponieważ zanosilo się na to, że pociąg każe na siebie jeszcze długo czekać, rozłożyliśmy na podłodze gazetę i zabraliśmy się do jedzenia. Dowiedziałem się, że dziewczyna jedzie do Leninchanu, drugiego co do wielkości miasta Armenii. Siostra pisała jej, że zaopatrzenie tutaj jest lepsze, niż gdzie indziej i, że szwagier, z zawodu mechanik, znajdzie dziewczynie zajęcie. Wino i posiłek dodały mojej nowej znajomej elokwencji, a kiedy raz jeszcze zapytałem dlaczego opuściła rodziną wieś — żachnęła się niecierpliwie: „Nic o tym nie wiecie?”. Zmuszono was do pracy w kołchozie? Zaśmiała się ironicznie: „kołchoz? — umieraliśmy z głodu!”. Czy wy cudzoziemcy naprawdę nie macie o tym pojęcia?”. Przypomniałem sobie wówczas sceny z bazaru w Charkowie.

Przed północą pociąg wjechał wreszcie na stację a poczekalnia zamieniła się w istne piekło. Dwaj oficerowie z „dworcowego G.P.U.”, uprzedzeni o obecności delegata Kominternu, zaprowadzili mnie do wagonu sypialnego dla „uprzywilejowanych”; zaproponowali mi, ze znaczącym spojrzeniem, czy życzę sobie aby moja „towarzyszka podróży” zajęła również miejsce w wagonie sypialnym. Dziewczyna pokraśniała z radości i poszła w ślad za nami: nie umiałyby zrezygnować z nieoczekiwanego zbytku.

Do dziś zachowałem ponure wspomnienie z tej nocnej eskapady. Dziewczyna uważała, że winna mi odpłacić za wyświadczoną jej przysługę: była chłopką, wnuczką niewolników — należałem, w jej oczach, do uprzywilejowanej klasy społecznej, która zastępowała dawnych panów feudalnych z tą tylko różnicą, że za carów zachowanie ich było w bardziej wielkopańskim stylu.

Kiedy jej tłumaczyłem, że traktuję moje postępowanie w sposób czysto koleżeński, bez żadnych z jej strony zobowiązań — zauważyłem, że poczuła się dotknięta. Aby skończyć z tą, nieco żenującą sytuacją, próbowałem przewyciężyć samego siebie — i wtedy ośmieszyłem się do reszty. Przygody tego rodzaju mogą się wydać zabawne jedynie na odległość, natomiast dla młodego człowieka próżnego a zarazem pełnego kompleksów —

są dosyć przykre. Nieukrywane oburzenie dziewczyny obudziło we mnie wspomnienie zdrowej pogardy proletariusza dla burżuazyjnego inteligenta, pogardy, z powodu której tak bardzo cierpiałem w pierwszym okresie po wstąpieniu do Partii. Moje upokorzenie miało również znaczenie symboliczne: — zemsta umierających z głodu chłopów nad znieprawioną biurokracją. Zdawało mi się wówczas, że na zawsze zostanę impotentem, a sen o upadku w przepaść nabrał nowego i niepokojącego znaczenia.

Nad ranem dojechaliśmy do Leninchanu. Dziewczyna zebrała swe tobołki i bez słowa pożegnania wysiadła. W nocy powiedziała do mnie: „oczywiście jesteś lepiej przyzwyczajony”; pomyślałem sobie, że na domiar złego zraniłem jej kobiecą próżność. Jakże głębokie musiało być wtedy moje przywiązanie do Partii (czego dowiodła miniona noc), jeśli kierowało nawet moim systemem nerwowym.

O świcie, kiedy biały szczyt Araratu ukazał się za oknami pociągu — zrozumiałem dlaczego legenda obrała sobie właśnie to miejsce za przystań dla Arki Noego. Wzrokowe złudzenie sprawia, że zbcza góry zlewają się z szarym horyzontem, i pozostają niewidzialne, a jedynie śnieżny wierzchołek wynurza się niespodziewanie z chmur, na wysokości pięciu tysięcy metrów — podobny do międzyplanetarnej rakiety w locie na księżyc. Mieszkańcy Erywania opowiadają, że Ararat ukazuje im się często w tej niesamowitej postaci.

Ormianie nie lubią Araratu: oskarżają górę, o ironio losu! — że przynosi im nieszczęście. Trzeba wyjaśnić, że ziemia tutejsza jest nieurodzajna i uboga w wodę. Alagoez, drugi co do wielkości szczyt Armenii, nazwano: „dobrą górą”, bowiem na jej stokach bierze początek rzeka Ara; podczas gdy złowieszczy Ararat pochłania zapasy wody, znajdujące się w otaczających ją chmurach i z tego ani kropelki nie oddaje mieszkańcom doliny. Niekiedy „skradziona woda” grzmi we wnętrzu góry, co oznacza zbliżające się trzęsienie ziemi: te żywiołowe katastrofy są częste i zdarzają się zawsze z winy Araratu.

„Zła góra” leży częściowo na terenie sowieckim, częściowo w Turcji. Zdarza się, że jakaś grupa optymistycznych entuzjastów organizuje wspinaczkę w poszukiwaniu Arki Noego: odnajdują wtedy kawałki spróchniałego drzewa, które jednomyślnie uznają za szczątki steru lub wiosła — po czym, przeważnie zostają aresztowani przez Turków za szpiegostwo na rzecz Rosji, albo przez Sowieców za szpiegostwo na rzecz Turcji, bo wracają z przeciwnej strony granicy. W złotej księdze, jedynej w Erywaniu hotelu, znalazłem ślad ostatniej ekspedycji „zorganizowa-

nej przez Towarzystwo Geograficzne z Chicago” — w jej skład wchodziło małżeństwo M. H. Wells i pewien fotograf o nieznanym nazwisku. W tejże złotej księdze znajduje się notatka pana Wells'a, który przewiduje, że Erywań stanie się wkrótce nową Mekką dla turystów całego świata. Państwo Wells musieli być być bardzo sprytni, bo, jak mówiono, po paru zaledwie dniach poszukiwań, odnaleźli Arkę i to u stóp góry po stronie sowieckiej — okoliczność tym bardziej ciekawa, że nie mieli wizy do Turcji. Miałem wielką chęć wyruszyć na poszukiwanie Arki Noego, ale zrezygnowałem z tej rozrywki, niezbyt odpowiedniej dla prawdziwego komunisty.

Dni spędzone w Erywanii poprawiły moje samopoczucie. Miasto przypominało Tel-Aviv: tu również rozbitki wymordowanego narodu zebrały się aby rozpocząć nowe życie. Ormianie byli pełni nadziei i wdzięczności dla sowieckiego reżymu, który podarował im autonomiczną republikę, — podobnie myśleli Żydzi w okresie kiedy Balfour obiecywał im „Foyer National”. Po zakończeniu I-ej Wojny Światowej Erywań był ciągle jeszcze azjatycką wioską pełną uciekinierów; ale wkrótce ta brudna wieś zamieniła się w wielki teren budowy nowoczesnego miasta. „To co zrobiono w Erywanii i przy pomocy tak skromnych środków — wydaje się zupełnie nie do wiary” — oświadczył w roku 1926 Fridtjof Nansen, Wysoki Komisarz do Spraw Uciekinierów — w Lidze Narodów. Moje własne obserwacje potwierdziły całkowicie raport Nansena.

Masakra dwóch milionów Ormian w czasie I-ej Wojny Światowej — była największą zbrodnią w Historii Ludzkości, zanim naziści nie pobili rekordu, mordując sześć milionów Żydów.

Jak większość ludzi w Europie miałem bardzo ogólne pojęcie o prześladowaniach Ormian w Turcji i dopiero lektura prac Nansena oraz pastora Lepsiusa dała mi prawdziwy obraz wydarzeń. Zacytuję tekst słynnej depechy, wysłanej przez Talaala, Ministra Spraw Wewnętrznych Turcji — do zarządców prowincji:

„Jak już podawałem rząd, na zlecenie Komitetu Narodowego, zdecydował eksterminację wszystkich Ormian, żyjących na terytorium Turcji. Kto przeciwstawi się temu rozporządzeniu zostanie oskarżony o nielojalność wobec rządu. Niezależnie od ubolewania, jakie wzbudzić mogą powyższe metody postępowania — eksterminacja ludności pochodzenia ormańskiego jest historyczną koniecznością; dotyczy to zarówno mężczyzn jak i kobiet, chorych i dzieci. Należy działać bez poddawania się sentymentom czy zbędnym refleksjom”.

Zacytowany dokument może się wydać dziełem, wrogiej dla Turcji, propagandy, a był to jedynie ostatni rozdział sprawy,

w której wszystkie bez wyjątku potęgi europejskie odegrały rolę hańbiącą i zdradziecką. Powtarzany aż nazbyt często na zebraniach partyjnych zwrot: „zbrodnie imperialistów” — był dla mnie pustym sloganem — ale w Erywanii te same słowa nabrały nowego sensu, a to po lekturze wstrząsających oskarżeń norweskiego podróżnika i niemieckiego pastora, których trudno posądzać o marksizm.

Wspomniałem już, że żyłem zawsze w stanie, który sam nazwałem „chronicznym oburzeniem”. Od chwili przyjazdu do Rosji, gdzie Rewolucja zlikwidowała niesprawiedliwość społeczną — a błędy reżymu były „dialektycznie wytłumaczalne” — na oburzenie nie było miejsca. Mój nieświadomy ale nieustanny wysiłek wewnętrzny, aby odsuwać od siebie rosnące wątpliwości — sprawił, że przejąłem się głęboko historią Ormian. Wrażenie było tak silne, że jeszcze w dwadzieścia lat później w książce „The age of longing” — wprowadziłem postać człowieka, pochodzącego z wymordowanej rodziny ormiańskiej.

Zatrzymuję się przy tej sprawie dłużej, ponieważ rzuca ona charakterystyczne światło na psychologię komunisty. Wbrew dość rozpowszechnionej opinii, komuniści nie są wcale tak zapamiętałymi fanatykami jak się zdaje. Ich ewolucja nie przebiega bynajmniej prostą drogą — zdarzają się im kryzysy świadomości podobne okresom zwątpienia ludzi wierzących. Powiedziałem już, że komunistyczna wiara mieści się między dwoma biegunami: z jednej strony tęsknota za realizacją utopii, z drugiej — sprzeciw wobec istniejącego porządku społecznego. W chwilach niechęci do Partii i Sowietów, kiedy klęska utopii staje się rzeczą oczywistą — każdy komunista pragnie uciec w przeszłość. Prawie wszyscy znani mi komuniści przeżywali takie kryzysy, ale nowe zetknięcie się z jakąś obrzydliwą stroną społeczeństwa kapitalistycznego — zwracało ich ponownie do Partii.

Nie wiem, być może zerwałbym z Partią zaraz po powrocie z Rosji w 1933 roku, gdyby w tym samym czasie Hitler nie doszedł do władzy w Niemczech. Wielkie Moskiewskie Czystki z lat 1936-38, zniechęciły do Rosji wielu Europejczyków komunistów, ale jeszcze bardziej przerażała ich groźba faszyzmu, której symbolem była hiszpańska wojna domowa. W chwili, kiedy piszę te słowa, dekadencja francuskiego parlamentu i kretynizm amerykańskiej służby konsularnej przy wydawaniu wiz wjazdowych sprawia, że wielu rozczarowanych do komunizmu sympatyków lub członków Partii, powraca do Moskwy.

Oto dlaczego wizyta w Erywanii odsunęła na plan dalszy rosnący we mnie kryzys świadomości. Zobaczyłem na własne oczy wysiłek, wkładany w odbudowę nowej Armenii. Przypom-



niałem słynne zdanie carskiego ambasadora, skierowane do Abdul — Hamida: „masakrować, najjaśniejszy Panie, masakrować i jeszcze raz masakrować!” — i zapytywałem siebie: a więc powrót w przeszłość? Nie, nigdy w świecie! Chwile zwątpienia nazywają się w partyjnym żargonie „ostrymi atakami biegunki” — znalazłem na tę zapadłość skuteczne lekarstwo w postaci przerażających dokumentów dyplomacji rosyjskiej sprzed 1914 roku. Oczywiście ustroj stalinowski był niedoskonały, ale należało go uznać za zjawisko przejściowe. Stalin również był osobistością, przypadkową do tego stopnia, że nie wspominałem nawet o nim w moich reportażach z podróży po ZSSR.

Erywań coraz bardziej przypominał mi Tel-Aviv: taki sam entuzjazm, zażenowanie i... zły gust — cechy, które towarzyszyły konstrukcyjnej gorączce w Palestynie; i tu i tam szare, bezbarwne użytkowe budynki zastępowały bogatą i malowniczą architekturę Wschodu. Na razie Erywań był tylko bezkształtną osadą pionierów, labiryntem kabli, niedokończonych ulic i domów; telefon był taką rzadkością, że proszono o połączenie podając nazwisko abonenta. Większość ludności składała się z emigrantów z Turcji, Europy Środkowej oraz Ameryki, tak że Erywań zamienił się w istną wieżę Babel. Kiedy, złym rosyjskim, pytałem o ulicę, odpowiadano mi nieraz piękną francuzczyzną lub niemczyzną. Miasto posiadało bardzo czynną elitę kulturalną, która, w przeciwieństwie do inteligencji gruzińskiej, była przyjacielsko nastawiona wobec Rosji.

Wróciłem do Tyflisu podniesiony na duchu, nie zdając sobie sprawy, że „szczęście” Ormian jest tymczasowe i nie potrwa długo. Wielkie Czystki, niczym nowy potop, podmyły zbocza Araratu. Spustoszenia w Armenii były tym większe niż w innych republikach narodowościowych, ponieważ bliskość granicy z Turcją i Persją powodowała, że tereny te uznano za „politycznie podejrzane i niepewne”.

Jeśli chodzi o Ormian, rozproszonych w innych rejonach Związku Sowieckiego — stali się oni, jak dzieje się już od wieków w historii tego nieszczęsnego narodu — pierwszymi ofiarami terroru: w Charkowie istniała mała kolonia (około 600 osób) Ormian, przeważnie szewców i czyścicieli butów — jesienią 1937 roku wszyscy zostali uwięzieni.

## NADIEŻDA

Po krótkim pobycie w Tyflisie wyruszyłem do Baku stolicy Azerbejdżanu i centrum naftowego ZSSR. Ponieważ czekała mnie jeszcze daleka podróż po krajach Azji Środkowej, na zwiedzanie Baku przeznaczyłem zaledwie parę dni — zostałem tam prawie trzy tygodnie — dlatego, że zainteresowało mnie miasto i że zakochałem się i znalazłem się nagle w trudnej rozterce z samym sobą.

I tym razem wszystko zaczęło się w pociągu. Nic dziwnego — długie podróże koleją po Rosji stanowią dla cudzoziemca dobrą okazję poznania ludzi, niezależnie od narzuconych znajomości oficjalnych.

Pociąg stał jeszcze na dworcu w Tyflisie, kiedy krótkie spięcie pogrzyżyło wagon w ciemności. Siedziałem zupełnie sam, gdy do przedziału zajrzała młoda kobieta w towarzystwie wysokiego mężczyzny w mundurze oficera Armii Czerwonej. Oficer zdobył gdzieś świecę i w jej migotliwym płomieniu zobaczyłem, po raz pierwszy twarz Nadieжды Smirnowej. Mogła mieć lat dwadzieścia pięć i była prawie tego samego wzrostu co towarzyszący jej mężczyzna. Czarny kostium podkreślał szczupłość postaci: ciemne, miękkie włosy połyskiwały w blasku świecy. Myślę, dziś jeszcze, że klasyczny profil Nadieжды był rzeczą najpiękniejszą, jaką widziałem w życiu: miała wypukłe czoło, może nawet zbyt wypukłe, i rzeźbione usta greckiego chłopca.

Gdy odwróciła głowę — ujrzałem pełną wdzięku twarz młodej dziewczyny nieoczekiwanie kontrastującą z profilem wyniosłej damy; w pewnej chwili zwróciła się w moją stronę i zauważyłem, że stara się zachować dystans. Ta właśnie rezerwa i

doskonałość rysów — dodawały jej niezwyklego uroku. Ruchy miała żywe i nerwowe — przypominała owe, legendarne z urody, tancerki Wielkiej Opery Petersburskiej, których zresztą nigdy naprawdę nie widziałem.

Nadieżda ukazała mi się tylko na parę sekund: pomylili przedział — oficer przeprosił mnie uprzejmie a ona skłoniła się milcząco — po czym oboje wyszli. Zachowali się bardzo grzecznie — rzecz niezwykle i prawie niespotykana w szarym, proletariackim tłumie, który nas otaczał. Poczułem nagle dotkliwą, godną potępienia, tęsknotę za zgniłym, burżuazyjnym światem, gdzie kobiety mają uroczą dystynkcję Nadieżdy, pachną dobrą kolońską wodą i spędzają długie godziny w kąpieli.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, wyszedłem na korytarz za-czerpnąć nieco świeżego powietrza — dziewczyna stała przy oknie i oglądała krajobraz. Zatrzymałem się przy oknie sąsiednim i, uderzony jej niezwykle urodą, nie umiałem wydobyć ze siebie słowa: opanowała mnie potworna nieśmiałość uczniaka — wiedziałem, że wszystko co powiem zabrzmii fałszywie i pusto. Pocieszałem się tchórzliwie, że dziewczyna podróżuje w towarzystwie oficera Czerwonej Armii i, że nasza znajomość nie może mieć żadnych perspektyw na przyszłość. Chwilę staliśmy milcząco obok siebie, po czym Nadieżda wróciła do swego przedziału. Dużo później zapytała mnie dlaczego miałem wówczas tak arogancką minę zamiast próbować nawiązania rozmowy — nie uwierzyła kiedy jej wyjaśniłem, że brakło mi odwagi.

Na śniadanie poszedłem do wagonu restauracyjnego a gdy wkrótce w drzwiach ukazała się Nadieżda — kelner, bez słowa, wskazał jej miejsce przy moim stoliku. Usiadła z owym wdzięcznym ruchem głowy, znanym mi już z poprzedniego wieczora. To nowe spotkanie przeraziło mnie. Gdy po chwili ochłonęłem z wrażenia zapytałem ją — przekonany, że znalazłem nader ciekawy temat do rozmowy — czy wybiera się do Baku (pociąg jechał jedynie w tym kierunku). „Owszem” odpowiedziała, „a wy także?”. Taki był początek przygody, której wspomnienie niepokoiło mnie później przez wiele, wiele lat.

Zakochałem się w Nadieżdzie Smirnowej rozpaczliwie i natychmiast; z bezgraniczną radością obserwowałem ruchy jej rąk czy głowy. Wiedziałem, że jestem zakochany i moim najśmielszym pragnieniem było uzyskać pozwolenie trzymania w mej dłoni jej ręki; chciałem móc umrzeć dla niej i to zaraz. Miałem dwadzieścia siedem lat i niespodzianie padłem ofiarą „romantycznego odchylenia”.

Wagon restauracyjny był wyjątkowo dobrze zaopatrzony:

można było zamówić ciemny chleb, solone ogórki, śledzie, wódkę, herbatę i czerwony kawior.

Poprosiłem o wszystko jednocześnie. Na Kaukazie często zaczyna się dzień obfitym śniadaniem z zakąskami, ale pierwszy raz w życiu piłem wódkę o ósmej rano — w pociągu Tyflis-Baku. Wynik był znakomity. W czasie pobytu na Ukrainie nauczyłem się klasycznego, rosyjskiego picia wódki: najpierw wlewa się do gardła, jednym haustem, mały kieliszek przezroczystego, ognistego napoju, później należy przybliżyć do nozdrzy kawałek razowca, którego ostry zapach rozjaśnia myśli — wreszcie trzeba ugryźć spory kawałek kiszzonego ogórka. Nadieżda, początkowo przyglądała mi się, zaskoczona, ale już po chwili uśmiechnęła się do mnie i nagłym ruchem, odrzucając do tyłu włosy — wyciągnęła w moim kierunku rękę z kieliszkiem wódki. Byłem wniebowzięty a ruch ramienia w moją stronę zrozumiałem, jako symbol zawarcia pokoju.

Zostaliśmy w wagonie restauracyjnym aż do południa. Dowiedziałem się, ku mojej wielkiej radości, że wysokiego wzrostu oficer pozostał w Tyflisie: był to, jak mówiła, znajomy, który przez grzeczność odprowadził ją na stację. Dowiedziałem się także — a trudno mi było w to uwierzyć — że Nadieżda Smirnowa była urzędniczką w Wydziale Hydraulicznym miasta Baku, dokąd właśnie wracała z dwutygodniowego urlopu w Kisłowodzku, znanym, kaukaskim uzdrowisku. Mówiła niezłe po francusku z owym melodyjnym słowiańskim akcentem, który wydaje mi się jedynym, dopuszczalnym zniekształceniem tego pięknego języka. Znała także parę słów niemieckich. Kiedy się nieco ożywiła — recytowała mi fragmenty z utworów Puszkina i Majakowskiego; była wesoła, nie bez rezerwy, i bardziej sama rozbawiona niż starająca się zabawić mnie. Poczucie dystansu było wynikiem dobrego wychowania: ojciec dziewczyny, skromny i niezbyt zamożny oficer sztabowy, dzięki wielkim materialnym wyrzeczeniom, umieścił ją na pensji u Sióstr *Sacré-Coeur*. Doprawdy trudno było sobie wyobrazić Nadieżdę w biurze Miejskiego Wydziału Hydraulicznego! Powiedziałem jej to natychmiast. Zaskoczona, szeroko otworzyła oczy — umiała wyrażać zdumienie bez słowa i nie zadając pytań — zbliżyła głowę do mojej głowy, co przyprowadziło mnie o utratę zmysłów — a gdy raz jeszcze powtórzyłem, że praca w tego rodzaju urzędzie zupełnie się dla niej nie nadaje — zapytała: „dlaczego?, powiedzcie proszę, co byście robili na moim miejscu?”. Przyznałem się, że w pierwszej chwili wziąłem ją za aktorkę Teatru Wielkiego, lub primabalerinę — a przynajmniej za żonę Komisarza Ludowego. Uśmiechnęła się, nie bez ironii, i dodała tonem zamykającym

wszelką dyskusję: „Wydział Hydrauliczny zapewnia spokojniejsze życie”.

Przez wiele godzin opowiadałem jej o Paryżu, Wiedniu, Egipcie, i... Biegunie Północnym. Najpierw słuchała z zapałem — a później zaczęła zadawać mi pytania na temat życia w Europie, zdradzając mimowoli niezaspokojoną ciekawość i nostalgię. Znałem już te rozpaczliwe pragnienia wykształconych Rosjan, aby poznać daleki i niedostępny dla nich świat — toteż boleśnie odczułem cierpienie Nadzieźdy — i może po raz pierwszy zdałem sobie sprawę (w sposób zresztą bardzo ogólny) — z okrucieństwa ustroju, który odcina dwieście milionów obywateli od reszty ziemskiego globu. Ponieważ Nadzieźda w dalszym ciągu zadawała mi pytania, jedne świadczące o dużej inteligencji, inne o niewiedzy i naiwności — w czasie rozmowy — ta dorosła, młoda kobieta — zamieniła się w moich oczach, w małe, sparaliżowane dziecko, które przykute do łóżka nie może uczestniczyć w zabawach rówieśników. Kontrast między wyniosłym klasycznym profilem i wyrazistością rysów twarzy Nadzieźdy — zwiększył się jeszcze bardziej.

Kiedy należało opuścić wagon restauracyjny dziewczyna zaprosiła mnie do swego przedziału, gdzie do samego przyjazdu do Baku, oglądaliśmy zdjęcia z Kisłowodzka oraz książki przywiezione przeze mnie z Europy. Niespodzianie i z wielkim przejęciem, pokazała mi dwa skarby zdobyte w Kisłowodzku, z pomocą przyjaciela pewnej znajomej: wełniany sweter i parę zamszowych pantofli zagranicznej marki — przedmioty skromne, ale niespotykane w Sowietach. Pod wpływem mego zdziwionego spojrzenia — zawstydziała się, że zabrakło jej siły aby opanować chęć pokazania mi tych zdobyczy — i nagle radość jej zgasła. Obiecałem jej, że gdy następnym razem przyjadę z Europy, przywiozę jej wszystkie cuda świata, począwszy od francuskich jedwabi aż do perskich pachnideł. Wygłosiłem to przemówienie klęcząc na podłodze przedziału (z przyczyn praktycznych nosiłem rosyjskie bryczesy i buty z cholewami), za co zostałem wynagrodzony królewskim pocałunkiem w czoło.

Pociąg przybył do Baku o zmierzchu i zaproponowałem Nadzieździe aby spędziła ze mną wieczór. Wyjaśniła, że mieszka u ciotki, pojechaliśmy więc taksówką najpierw do hotelu Inturista, gdzie złożyłem bagaże, później do niej. Ciotka zajmowała dwa małe pokoje; mieszkanie było skromne a urządzenie stare i zniszczone — Nadzieźda spała w saloniku na tapczanie. Ciotka, mała, wyschnięta staruszka, ubrana niemodnie ale bardzo starannie, mówiła świetnie po francusku. Obawiałem się, że widok Nadzieźdy w towarzystwie obcego mężczyzny może ją zaskoczyć,

ale nawet gdyby tak było nie dała tego po sobie poznać; poczęstowała nas herbatą i po kwadransie wymuszonej rozmowy — wyszliśmy. Nadieżda włożyła nowy sweter i zamszowe pantofle, a pochwyciwszy mój wzrok, uśmiechnęła się z zażenowaniem. Na widok nowego swetra i butów ciotka wykrzyknęła: „jakie to ładne!” — były to jedyne słowa, wypowiedziane przez nią z ożywieniem.

Na ulicy Nadieżda ujęła mnie pod ramię i idąc opowiadała mi o sobie dużo i swobodnie: zachowywała się, jak ptak wypuszczony z klatki. Zapytałem co robi ciotka, „nic” odpowiedziała „jest wdową”. Okazało się, że wuj Nadieżdy był, za czasów carskich, konsulem jednego z wielkich mocarstw europejskich; gdy poruszyłem temat rodziców — Nadieżda odpowiedziała tylko: „nie żyją”.

W parę dni później poprosiłem jednego z moich przyjaciół z G.P.U. (do czego jeszcze wrócę) o informacje o ciotce Nadieżdy. Nazajutrz ów przyjaciel oświadczył mi tonem, który dziś jeszcze dźwięczy mi w uszach:

„Prosiłem naczelnika o wiadomości, dotyczące ciotki twojej przyjaciółki. Naczelnik zaśmiał się — *staraja, staraja szpionka*; co do Nadieżdy — była tylko na obserwacji.

Zwróciłem uwagę G.P.U. z dwu niezależnych powodów. Aby zrozumieć sytuację, wspomnę raz jeszcze, że opisane przeze mnie wypadki miały miejsce w 1932 roku to znaczy przed epoką Wielkiego Terroru i, że mimo rosnących wątpliwości, byłem wciąż jeszcze „głęboko wierzącym komunistą”, co sprawiało, że odnosiłem się do towarzyszy z G.P.U. podobnie, jak dobry obywatel brytyjski do Scotland Yardu. Praca dla G.P.U. była najwyższym odznaczeniem dla członka Partii i dowodem jego szczerzej lojalności. „Każdy bolszewik winien być czekistą” — te słowa Lenina były świętą zasadą dla każdego komunisty, Rosjanina czy cudzoziemca. Po zerwaniu z Partią, kiedy żyłem w nieustannym strachu, że zostanę zamordowany — inicjały G.P.U. stały się dla mnie symbolem terroru równie groźnym, jak hitlerowska swastyka. Ale w roku 1932 wszechobecne i wszechmocne G.P.U. reprezentowało dla mnie dobrotliwy autorytet ojcowski, a towarzysze z tej „młodej organizacji” zastąpili mi „szamanów” z moich młodych lat — miałem do nich ślepe zaufanie dziecka.

W tej dziedzinie byłem, zdaje się, bardziej naiwny niż większość członków Partii — konsekwencja chronicznego infantylizmu, o którym już pisałem.

Nazajutrz po przyjeździe do Baku poszedłem po zakupy do I.N.S.N.A.B. — spółdzielni dla cudzoziemców, gdzie sprze-

dawano jedynie czerwony kawior, który obecnie był podstawą mego pożywienia. Czekając w kolejce zauważyłem młodego człowieka, mówiącego po rosyjsku z niemieckim akcentem. Kiedy pakowano mi kawior w „Prawdę” z ubiegłego tygodnia, nawiązaliśmy rozmowę i po chwili wyszliśmy razem ze sklepu.

Paul Werner (takie było imię i nazwisko mego nowego znajomego) został po latach pierwowzorem postaci małego Loewy w książce „Ciemność w południe”.

„Był niedużego wzrostu, szczupły o bladej zmęczonej twarzy i twardych rysach dziecka przedmieść. Jego prawe ramię było nieco wyższe niż lewe: zdawało się, że wznosił je w nieustannej samoobronie przed niewidzialnym napastnikiem. Można go było sobie wyobrazić jako hałaśliwego berlińskiego gazeciarza z Friedrichstrasse, czy ulicznego sprzedawcę owoców w Londynie; jego ciemne oczy o smutnym, zamyślnym spojrzeniu garbusa stanowiły uderzający kontrast z nerwowym sposobem bycia i ostrością pospolitych rysów. Oczy Wernera zdawały się mówić: zapomnij o moim wyglądzie — w rzeczywistości jestem kimś innym”.

Werner zaciekał mnie — byłem bardzo podniecony spotkaniem z „niemieckim towarzyszem”, który mówił nie tylko tym samym językiem co ja, ale również tym samym żargonem. Mogłem z nim swobodnie rozmawiać i żartować, nie zmuszając się do męczącej jakaniny po rosyjsku. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo mi było tego brak. Werner cieszył się moim towarzystwem jeszcze więcej niż ja nim. Od roku przebywał w Baku, i kiedy idąc szarymi ulicami miasta, gdzie wszędzie unosił się duszny zapach nafty, rozmawialiśmy ze sobą — wyczułem jak ogromnie Werner był samotny. Powiedział mi, że pracuje w PROFSOJUZ’ie — to znaczy w Sowieckich Związkach Zawodowych. Zaskoczony, zapytałem cóż młody Niemiec z Lipska może mieć do roboty w Związkach Zawodowych Azerbejdżanu — wzruszył prawym, wystającym ramieniem i wyjaśnił, że jako polityczny uciekinier wielokrotnie zmieniał posady, i że obecnie Partia powierzyła mu zajęcie instruktora, którego obowiązkiem jest wygłaszanie pogadarek na temat życia związkowego w zachodniej Europie. Wyjaśnienia Wernera nie przekonały mnie: byłem wówczas jeszcze bardzo naiwny ale nie na tyle, aby nie zdawać sobie sprawy, że mój nowy przyjaciel pomaga „towarzyszom” z G.P.U. i że zajęcie w PROFSOJUZ’ie służy jedynie do zachowania pozorów. Przypuszczenie to zrodziło się ze sprzeczności zawartych w opowieści Wernera i z „wycucia”, które dała mi niedługa, ale pouczająca współpraca ze Schnellerem i innymi.

Oczywiście, na razie, nie byłem pewien czy moje przypuszczenia są słuszne.

Pewnego razu zaprosiłem go do siebie na kieliszek wódki; rozmawialiśmy dobrych parę godzin aż do mego spotkania z Nadieżdą. Zapytałem Wernera w jaki sposób mógłbym otrzymać wiadomości dotyczące walki ze szpiegostwem na terenie Baku, ponieważ zamierzałem tej sprawie poświęcić jeden z rozdziałów mojej przyszłej książki. Bardzo zdziwiony pytaniem — oświadczył, że lepiej będzie jeśli zrezygnuję z tego rodzaju planów, na co mu odpowiedziałem, że szpiegostwo i walkę z nim w stolicy naftowej ZSSR — uważam za zagadnienie politycznie pasjonujące: prasa kapitalistyczna nieustannie krytykowała Związek Sowiecki za niechęć do cudzoziemców, trudności w przyznawaniu wiz wjazdowych i inne środki ostrożności. Chciałem udowodnić, że ta „nieufność” była w pełni uzasadniona, ponieważ szpiegostwo i sabotaż rzeczywiście istniały a Baku, centrum naftowe, leżące w pobliżu granicy tureckiej i perskiej — stanowiło miejsce wprost wymarzone dla różnych szpiegowskich awantur.

Zauważyłem nagle, że Werner nie tylko sceptycznie przyjmuje moje pomysły, ale czuje się jakoś nieswojo. *Weisst du was?* — zapytałem. Osobiście postanowiłem szukać informacji u „źródła”, to znaczy udać się do tutejszego G.P.U. oczywiście szczególnie i prawdziwe nazwiska nie zostałyby nigdy ujawnione.

Werner wybuchnął głośnym śmiechem. „Od jak dawna jesteś w Sowietach?” — Sześć miesięcy. „Oszalałeś chyba! — do G.P.U. idzie się odpowiadać na pytania ale nigdy po to, aby je zadawać! *Du bist verrückt!* — wyrzucą cię za drzwi a później będziesz miał jeszcze duże nieprzyjemności w Partii!

Przestrogi Wernera nie zmieniły moich decyzji. Umówiliśmy się następnego dnia na obiad. Zauważyłem, że jak na pracownika PROFSOJUZ'a — posiadał on zbyt dużo wolnego czasu.

Nazajutrz rano udałem się do siedziby G.P.U. w Baku, która mieściła się w potężnym budynku w Biełgorodzie — zeuropeizowanej i nowoczesnej dzielnicy miasta. Szarzy, przygnębieni ludzie stojący w ogonku w portierni, nie różnili się niczym od bezbarwnych tłumów w kolejkach na terenie całej Rosji. Nie umiałem dostrzec czy byli przerażeni. Łysawy, niedużego wzrostu woźny, zwany „komendantem” miał w sobie coś odpychającego — szczególnie ten wówczas zadziwił mnie i zaniepokoił. Pamiętam również, że wszyscy ludzie mieli ze sobą napisane na maszynie wezwania do G.P.U., które woźny stemplował i na których zapisywał datę i godzinę wejścia do budynku każdego petenta — zwyczaj ogólnie przyjęty w sowieckich urzędach. Ponieważ nie miałem wezwania „komendant” spytał mnie groźnym tonem o cel przybycia; pokazałem mu list z Kominternu i poprosiłem o spotkanie z „towarzyszem odpowiedzialnym za



walkę ze szpiegostwem”. Nie chciałem udzielić mu dokładniejszych wyjaśnień. „Wydział ten nazywa się wydziałem ekonomicznym” — sprostował oschle. Ów szczegół również zachowałem w pamięci do dziś, gdyż nigdy nie mogłem zrozumieć dlaczego G.P.U., którego oficjalnym zadaniem jest kontrwywiad — używa fałszywej nazwy. Wydaje się jednak, że nieustanne ukrywanie prawdy należy, w świecie komunistycznym, do obowiązującego rytuału.

Komendant zamknął się w specjalnej kabynie aby zatelefonować w mojej sprawie, po czym kazał mi poczekać. Po upływie pół godziny, umundurowany strażnik zaprowadził mnie najpierw do windy a później, długim korytarzem, do niewielkiego pokoju, którego całe umeblowanie składało się ze stołu i trzech krzeseł; barczysty oficer o ogolonej głowie, bez uśmiechu i o zaciętym wyrazie twarzy, zaprosił mnie abym usiadł. Pokazałem mu moje papiery i po krótko wyjaśniłem o co mi chodzi. Oficer zachowywał się sztywno i z lodowatą uprzejmością egzaminował moje dokumenty — tak dokładnie, że zdawało się, iż pragnie nauczyć się na pamięć zawartych tam wiadomości. Nagle rzucił mi spojrzenie bez wyrazu: „Nasza instytucja nie udziela tego rodzaju informacji, jakich wy szukacie”. Zauważyłem, z dużą przykrością, że nie nazywał mnie „towarzyszem” ale „obywatelem”; powtórzyłem raz jeszcze wszystkie argumenty, użyte już wcześniej w rozmowie z Wernerem, gdy rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł inny oficer, uklonił się po wojskowemu i złożył na stole paczkę listów. Kiedy „ogolony” podpisywał listy — nowoprzybyły bacznie obserwował mnie spod oka i, jak mi się zdawało — nie bez rozbawienia. Był wysoki, szczupły o przystojnej twarzy, dużej pewności siebie i stanowił żywy kontrast z oficerem zza stołu, którego naga czaszka, wodniste oczy i mundur z ordynarnego materiału — przypominały biurokrate z epoki Neanderthalu. Zauważyłem, że chociaż parę minut wcześniej, przeglądał moje papiery ze zdumiewającą dokładnością, obecnie podpisuje listy nawet ich nie czytając. Przystojny brunet, odchodząc skłonił się z wdziękiem raz jeszcze, na co człowiek zza stołu, odpowiedział sztywnym ruchem głowy. Po chwili zwrócił się do mnie: „Przedstawię waszą prośbę kolegom i zawiadomię was o naszej decyzji”. Zapytałem czy mam stawić się w G.P.U. za parę dni. „Nie — czekajcie na nasze wezwanie”. Wyszedłem. Oczywiście nigdy nie otrzymałem żadnego wezwania — G.P.U. udzieliło mi pogładowej lekcji: nigdy więcej nie przekroczyłem już progu tej instytucji, ani w Baku ani gdzie indziej.

Milcząca scena między dwoma oficerami zrobiła na mnie niesamowite wrażenie — wydała mi się wyjęta z koszmarnego snu.

W parę dni później Werner, który przestał udawać, że pracuje w PROFSOJUZ'ie — kiedy opowiedziałem mu o wizycie w G.P.U. — zaśmiał się drwiąco. „Zabawili się tobą”. Była to jedna z ich zwykłych gier: przystojny brunet był prawdziwym naczelnikiem, a ogolony oficer — jego podkomendnym. Naczelnik wszedł pod byle jakim pretekstem, aby móc ci się dobrze przyjrzeć. Na moje pytanie czemu służy podobne odwrócenie ról — Werner odpowiedział: „Powinieneś wiedzieć, że kibic ma zawsze większe pole do obserwacji”.

Przejmujące wspomnienie owej krótkiej sceny w bakińskim G.P.U. trapiło mnie długo jeszcze i obudziło się nagle w sześć lat później, kiedy szukałem w mej pamięci postaci do książki: „Ciemność w południe” — obaj oficerowie posłużyli mi za materiał do postaci Iwanowa i Gletkina.

Kolejność wydarzeń z pobytu w Baku zatarła się w mej pamięci — zdaje się, że w czasie drugiego czy trzeciego spotkania się z Wernerem, oświadczyłem mu otwarcie, że podejrzewam go o pracę dla „towarzyszy” z G.P.U. Nie tylko, że nie zaprzeczył, a nawet przyznał, że otrzymał polecenie śledzenia mnie, ale, ponieważ przyszła odpowiedź z Moskwy, na mój temat — naczelnik powiedział mu: „Wasz przyjaciel jest w porządku. Dajmy mu spokój”.

Ucieszyłem się niezmiernie z tej pochlebnej, jak się zdawało, opinii i niemniej Werner: był bardzo samotny i odczuwał wprost fizyczną potrzebę zwierzeń.

Urodził się w Lipsku w rodzinie robotniczej: posiadał w sobie coś z ulicznika, o czym świadczył jego wygląd oraz zamysłone i wygłodzone oczy książkowego mola. Należał najpierw do Związku Młodzieży Komunistycznej — później wstąpił do Partii; uczestniczył w zbrojnych potyczkach przeciw nazistom i musiał opuścić Niemcy; rok prawie włóczył się po Francji i Belgii, gdzie żył z drobnych kradzieży, niekiedy zabijał koty, których futro wymieniał później na chleb i papierosy. Wreszcie udało mu się dostać pod opiekę „aparatu”. Ostatnią z misji specjalnych, jaką mu polecono, było zabójstwo pewnego „aparaczyka” oskarżonego o zdradę. Werner opowiadał o popełnionym przez siebie morderstwie bez widocznych wyrzutów sumienia, natomiast robił wrażenie kogoś, kto czuje się zażenowany po dokonaniu ośmieszającego czynu. Chwilami zażenowanie jego było tak silne, że unikał mego wzroku, innym razem patrzył mi prosto w oczy, jak gdyby chciał odgadnąć co o tym myślę. Zapytałem go, czy zdarza mu się śnić o tym zabójstwie. Zaprzeczył: — senne koszmary, które miewał, dotyczyły jedynie

zabitych kotów — widywał we śnie ich przerażone oczy i zda-  
wało mu się, że czuje zapach padliny.

Po dokonaniu „misji” został wysłany do Rosji — dano mu  
azył polityczny i powierzono „funkcję”, którą obecnie sprawo-  
wał: wiedziałem, że pracuje dla G.P.U., ale nie pytałem o szcze-  
gół.

Rewelacyjne wieści na temat Nadzieźdy i jej ciotki przyniósł  
mi Werner w parę dni później — i od tej chwili moje wspo-  
mnienia mącą się: błądziłem wówczas w tak zagmatwanym la-  
biryncie uczuć, że dziś jeszcze trudno mi pisać o moich przeży-  
ciach obiektywnie, nie upraszając lub nie wyolbrzymiając  
wydarzeń.

Nie tylko, nie uwierzyłem informacjom Wenera, ale byłem  
nimi wręcz oburzony. To, że dwie samotne kobiety — wdowa  
po zagranicznym konsulu i młoda dziewczyna wielkiej urody  
— przyciągały powszechną uwagę, było dla mnie rzeczą  
zupełnie zrozumiałą: pochodziły z arystokracji czy też z bogatego  
mieszczaństwa, a Partia poucza, że pochodzenie społeczne jest  
sprawdzianem politycznej lojalności. Podejrzenie ciotki Nadzieźdy  
o szpiegostwo było wprost śmieszne; możliwe, że przed laty  
konsul, a nawet i ona sama, przekazali komuś nieopatrznie wi-  
domości o charakterze dyplomatycznym — a określenie *staraja  
szpionka* odnosiło się jedynie do przeszłości — ale właśnie ta  
przeszłość winna uniemożliwić wdowie po konsulu jakąkolwiek  
działalność wywiadowczą. Jeśli chodzi o Nadzieźdę myśl, że mogła  
być na usługach obcego mocarstwa — była po prostu nie do  
przyjęcia. Obserwowano ją — zgoda, a jeśli Werner pragnie  
poznać dziewczynę, przekona się na własne oczy o absurdalności  
wszelkich podejrzeń.

Nie życzył sobie niczego więcej: nie pamiętam już który z  
nas zaproponował wspólne spotkanie. Zdaje się że Werner wolał  
abyśmy udawali, że znamy się jeszcze z Niemiec aby nie wzbu-  
dzić niepokoju Nadzieźdy, ale ja nie zgodziłem się na tę wersję,  
tłumacząc mu, że nie umiem kłamać. Oczywiście nie było mowy  
o tym, aby wyjawić dziewczynie, że Werner pracuje dla G.P.U.  
— byłoby to zdradą wobec Partii, do czego byłem wówczas abso-  
lutnie niezdolny.

Umówiliśmy się na obiad do jednej z „wolnorynkowych” res-  
tauracji Baku, które różniły się całkowicie od jadłodalni przy za-  
kładach pracy; lokale te były na razie tolerowane, ale nie cieszyły  
się „dobrą opinią”. Korzystali z nich cudzoziemcy oraz „paso-  
żyty i kombinatorzy z czarnego rynku”. We wszystkich większych  
miastach Rosji znajdowała się jedna lub dwie tego rodzaju resta-  
uracje — najsłynniejszą był moskiewski „Metropol” i było też

publiczną tajemnicą, że każde słowo tu wypowiedziane znajdzie się, w godzinę później, w aktach G.P.U. Ale były to jedyne miejsca, gdzie dobrze jadło się i piło, zresztą za ogromne sumy, gdzie uśmiechnięci kelnerzy podawali — przy dźwiękach cygańskiej orkiestry — w atmosferze prawie że przedrewolucyjnej. Wolnorynkowe knajpy stanowiły tak wielką atrakcję, że chociaż należało je omijać — zawsze były przepelnione.

Mimo szaszłyka, alkoholi i Cyganów, spotkanie nie udało się. Nadieżda przyszła wbrew samej sobie; początkowo dumnie odmówiła zaproszenia, lecz po chwili uchwyciłem w jej oczach radosny błysk ciekawości i podniecenia — i znów, jak już nieraz, spoza klasycznego profilu wielkiej damy — wyłoniła się urocza twarzyczka małej dziewczynki. Zrobiło mi się przykro — więcej nawet, zabolalo mnie to tak bardzo, że wołałbym aby pozostała wyniosła i nieprzystępna... Udało mi się niekiedy trzymać w ramionach tę grecką boginię, ale uważałem to wręcz za bluźnierstwo. W mojej pogoni za piękną Heleną, nieprzepar-tej chęci podziwu wybranej kobiety — towarzyszyło zawsze po-żądanie; teraz z wielką radością odkryłem, że podziw może być silniejszy od pragnienia.

Obiad był raczej smutny. Nadieżda miała na sobie czarny, skromny kostium — nie włożyła ani zamszowych pantofli ani nowego swetra. Kiedy lekkim krokiem torowała sobie drogę do naszego stolika — gwar na sali nagle się uciszył. Pozdrowiła mnie owym uroczym, tak dobrze mi znanym, ruchem głowy. Oczy Wenera rozszerzyły się ze zdumienia, ale wyczułem, że Nadieżda zniecierwidziła go już od pierwszego wejrzenia.

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek wyznałem jej, że należę do Partii — jeżeli tego nie zrobiłem — niewątpliwie sama to odgadła. O Wenerze powiedziałem jej tylko, że jest młodym Niemcem zatrudnionym w PROFSOJUZ'ie. W chwili kiedy usiadła przy nas zdałem sobie od razu sprawę, jakim błędem było spotkanie tych dwojga. Wenera i ja żyliśmy niewątpliwie na dwóch różnych biegunach, ale istniała między nami poufna wspólnota „wtajemniczonych” członków Partii. Początkowo zda-wało mi się, że Nadieżda jest po prostu zazdrosna o mego nie-mieckiego przyjaciela, ale szybko zrozumiałem, że jest przerażona i, że niechęć do Wenera przenosi instynktownie na moją osobę. Przeczynałem nieuchronną katastrofę i nie umiałem jej zapo-biec.

Widziałem już raz Nadieżdę przerażoną: kiedy oboje zna-leźliśmy się po raz pierwszy sam na sam u mnie w pokoju — wiedzona jakimś złym wspomnieniem lękała się że mogę być brutalny. Teraz bała się Wenera; ogarnął ją lęk, ale w sposób

w jaki ogarnia ludzi odważnych: siedziała wyprostowana, prawie nieruchoma z głową uniesioną wyżej niż zazwyczaj. W Rosji nie uważa się za brak honoru okazywanie sympatii ludziom, którzy wzbudzają w nas niepokój zaś duma osobista nie jest uważana za cnotę — a jednak Nadieżda ani razu nie uśmiechnęła się do Wenera — była uprzejma, chłodna, zamknięta w sobie i daleka.

Nieśmiałość Wenera wobec Nadieżdy wynikała nie tyle z podziwu dla jej urody, ile z „kompleksu niższości”, z powodu swego proletariackiego pochodzenia, czego nigdy nie okazywał gdy byliśmy sami, ponieważ w Partii stosunki kształtują się odwrotnie. Ale tutaj przy wspólnym stole Wener okazał swą słabość — bo nawet marksizm nie wynalazł skutecznego środka na wymazanie różnic klasowych... w manipulowaniu nożem i widelcem. Aby jeszcze zwiększyć koszmar sytuacji odezwało się we mnie nagle poczucie winy wobec proletariatu, którego żywym symbolem był Wener: chorowite dziecko ulicy, prześladowany zabijacz kotów i jednocześnie człowiek, który całe życie poświęcił Partii, do czego ja, śmieszny burżuazyjny inteligent — byłem zupełnie niezdolny. Nie uczyniłem żadnego wysiłku, aby uspokoić dziewczynę — stała się *incommunicada*; pomogłem jedynie Wenerowi, podkreślając związek solidarności, jaki nas łączył. Możliwe, że Wener uznał zachowanie Nadieżdy za wyraz arystokratycznej pychy, co w skutkach uczyniło z nas (Wenera i mnie) przypadkowych sojuszników — bo jak w każdym trójkącie znajdują się dwa kąty u podstawy i jeden samotny na szczycie — tak w miarę tego fatalnego spotkania Nadieżda odsuwała się coraz bardziej w stronę oddalonego wierzchołka.

Wyboru dokonałem nieświadomie, raczej automatycznie, nie zdając sobie sprawy z tego co czynię. Ale w taki właśnie sposób próbuje usprawiedliwić się prawie każdy zdrajca, gdyż decyzji nie podejmuje się nagle: „od dzisiaj będę zdrajcą” — zdrajcą zostaje człowiek stopniowo i powoli.

W ciągu następnych ośmiu czy dziesięciu dni Nadieżda unikała mnie: na moje wezwania telefoniczne odpowiadała, że jest zajęta i że nie ma czasu na spotkanie. Nie pokłóciliśmy się, nie powiedzieliśmy sobie złego słowa, a gdy pewnego dnia spotkałem ją przypadkowo na ulicy — pozornie wszystko wróciło do dawnego porządku, lecz w istocie nigdy już nie było „jak dawniej” — nie powiedziała mi dlaczego unikała mnie a ja nigdy nie pytałem o wyjaśnienie.

Pewnego dnia poszliśmy razem na pocztę, gdzie, w jej obecności, wręczono mi depezę z Berlina, tej treści: „Sztokholm i Madryt załatwione. Warszawa i Zürich niepewne”, „prosimy o

informacje o kierunku podróży i o nowy materiał”. Telegram pochodził od mego agenta Karola Dunkera, który zawiadomił mnie o możliwościach druku moich artykułów w prasie międzynarodowej. Przyznaję, że dla osób niewtajemniczonych tego rodzaju tekst mógł wydać się podejrzany.

Wsunąłem depeszę do zewnętrznej kieszeni płaszcza. W drodze powrotnej Nadieżda trzymała rękę w tej samej kieszeni, splatając dłoń z moją dłonią; pożegnaliśmy się przed jej biurem i dopiero po powrocie do domu stwierdziłem brak depeszy; kieszeń, do której ją włożyłem była tak głęboka, że wydawało mi się mało prawdopodobne, aby mogła wypaść. W pierwszej chwili nie umiałem wytłumaczyć sobie tego co się stało — gdybym znalazł wtedy właściwą na tę sprawę odpowiedź — moje sumienie przez ostatnie dwadzieścia lat byłoby o wiele lżejsze.... Stało się jednak inaczej.

Dwa przypuszczenia nasuwały mi się wówczas na myśl: być może, Nadieżda pracowała dla G.P.U. i całe jej zachowanie, łącznie z niechęcią dla Wenera, było jedynie grą. W tym wypadku byłaby dotknięta moja miłość własna, ale nie miałbym do dziewczyny pretensji — byłem po stronie G.P.U. i G.P.U. było po mojej stronie. Myśl, że „szamani” z szarego gmachu mogą zabawić się moim kosztem przy udziale mojej przyjaciółki — mogła mnie wtedy jedynie podnieść na duchu, bo oznaczałoby to, że dziewczynie nic nie grozi. Ale podobna hipoteza nie miała żadnego uzasadnienia: cała moja korespondencja przechodziła oficjalnie przez cenzurę i G.P.U. nie musiało uciekać się do kradzieży.

Za wszelką cenę starałem się odsunąć od siebie myśl, że Nadieżda pozostaje na usługach obcego mocarstwa. A jeśli nawet? — to kogo mogła obchodzić depesza zaadresowana do dziennikarza Artura Koestlera?

A przecież... z jaką zachłannością ja sam zbierałem wszystkie najdrobniejsze wiadomości aby mieć czym zapełnić sprawozdania dla „aparatu” i w świetle wspomnień posądzenie Nadieżdy o szpiegostwo — wydawało mi się mniej absurdalne.

Przekazałem Wernerowi sprawę zaginięcia depeszy.

Szkoda, że twórcy fikcji naukowych nie zainteresowali się dotąd owym szczególnym aspektem podróży w czasie, który zawsze mnie pasjonował: jak wynaleźć maszynę do „powrotu w przeszłość” aby móc naprawić wyrządzone niegdyś krzywdy.

Denuncjacja podejrzanych jest obowiązkiem członka Partii, sprawdzianem jego lojalności. W okresie Wielkich Czystek żony składały donosy na mężów, synowie i córki podpisywali publiczne petycje, domagające się stracenia rodziców. W ustroju komu-

nistycznym denuncjacja osiąga rozmiary epidemii, świadomie wywołanej przez Partię w jej wojnie bakteriologicznej — przeciw umysłowi ludzkiemu.

W czasie mego siedmioletniego pobytu w Partii komunistycznej — Nadieżda była jedyną osobą, na którą złożyłem donos — a przecież w owym czasie była mi ona najbliższą istotą; nie przesadzę, jeśli powiem, że z radością oddałbym dla niej życie. Nie, nie kochałem Partii, dla której ją zdradziłem, przeciwnie — przeżywałem wówczas coraz częściej chwile zwątpienia w wartość komunizmu, ale należałem do Partii, podobnie jak moje ręce i oczy należą do mego ciała: to nie był związek, to była tożsamość.

Staram się dziś jeszcze znaleźć dla siebie okoliczności łągające, powtarzając sobie, że świadomie wyolbrzymałem przed Wernerem, (zresztą nie wziął sprawy na serio), możliwości zgubienia depeszy, przekonany, że „wszechmocni szamani” odkryją prawdę i dowiodą niewinności dziewczyny. Nie mogłem sobie jeszcze wtedy wyobrazić, że podobny donos może w parę lat później zgubić człowieka.

Nie daruję sobie nigdy, że zrozumiałem postępowanie Nadieźdy dopiero po wielu latach — zbyt późno aby naprawić to co się stało: była ciekawa Paryża, Berlina, Jordanu i Nilu — natomiast mnie nie pytała nigdy o moje życie osobiste; myślałem że nic ją ono nie obchodzi — zaślepiony, nie zdawałem sobie sprawy, że każda kobieta interesuje się przeżyciami i sytuacją bliskiego jej mężczyzny. Nadieżda, wyniosła dama o klasycznym profilu, była zbyt dumna, by okazać ciekawość; Nadieżda — smutna, pozbawiona wolności dziewczynka — ukradła depeszę, aby się dowiedzieć od kogo przyszła: od żony lub może kochanki z dalekiego Berlina czy Paryża? I na tę małą dziewczynkę złożyłem donos!...

Jedno tylko pociesza mnie w tej całej sprawie: pewnego dnia Werner, tonem na pozór obojętnym, zapytał mnie dlaczego nie zabieram ze sobą Nadieźdy w podróż do Azji Środkowej — mogłaby uzyskać urlop i służyć mi za oficjalnego tłumacza... odbylibyśmy razem piękną podróż...

Ta propozycja wyszła niewątpliwie ze strony zwierzchników Wernera i można ją sobie tłumaczyć w dwojaki sposób: że G.P.U. chciało się posłużyć osobą Nadieźdy do śledzenia mnie, chociaż, gdy jeszcze wcześniej prosiłem ją by ze mną wyjechała — odmówiła mi kategorycznie; gdyby więc pracowała dla G.P.U. — przyjęłaby tę propozycję zgodnie z instrukcją.

Istniała jeszcze inna możliwość: — że G.P.U. chciało za moim pośrednictwem, śledzić Nadieźdę. Wyznałem to otwarcie

Wernerowi — odpowiedział mi tonem, niezwykle jak na niego poważnym: „jeśli jest niewinna, tak jak myślisz — oddasz jej w ten sposób dużą przysługę”.

Ponowiłem prośbę o wspólny wyjazd — odmówiła, zasłaniając się, że nie może zostawić ani pracy ani ciotki. Powiedziałem, że mógłbym prawdopodobnie, postarać się dla niej o urlop i *komandirówkę* dla tłumacza — uśmiechając się lekko i przysuwając twarz do mojej twarzy tak blisko, że oczy jej zdawały się nieco zezować zapytała: „otrzymać *komandirówkę* a to dzięki komu?”. „Przez Inturist” — odpowiedziałem — chyba dość swobodnie bo uchwyciłem jej spojrzenie pełne zastanowienia; było publiczną tajemnicą, że przewodnicy i tłumacze Inturista pracują dla G.P.U. — ale przecież mogłem o tym nie wiedzieć. Wahala się przez chwilę, aż wreszcie, odrzuciła do tyłu głowę, jej tylko właściwym ruchem i odmówiła ostatecznie i nieodwołalnie, po czym, z całą swobodą, zaproponowała, aby pójść posłuchać cygańskiej orkiestry w „wolnorynkowej” restauracji. Na moją uwagę, że przecież nie lubi tego lokalu — uśmiechnęła się tylko i rzuciła mi *niczewo!*

Przyznałem się Wernerowi do porażki — zrobił swój zwykły, pełen goryczy grymas, po czym spojrzął na mnie: „położyła cię na szali i okazało się, że za mało wazysz”. Nasze spotkanie miało miejsce na dwa dni przed moim wyjazdem z Baku.

Chwilami, przez otwarte okna hotelu dochodziło do nas żalosne wycie syreny małego parowca, który miał mnie przewieźć na drugi brzeg Morza Kaspijskiego. Nastąpiła cisza aż wreszcie Werner zapytał: „dlaczego nie poradzisz jej aby poszukała sobie pracy w innym mieście?” Później wyjaśnił mi, zresztą dość ogólnikowo, rzecz, którą zrozumiałem dopiero po latach i która potwierdziła opowieści uciekinierów ze Związku Sowieckiego: — jeżeli jakaś osoba o niewielkim znaczeniu wzbudzała podejrzenia miejscowego G.P.U. — łatwo mogła uchronić się przed konsekwencjami tych podejrzeń — zmieniając miejsce zamieszkania. Przeciążone pracą G.P.U. rzadko kiedy zadawało sobie trud poszukiwania ludzi „obserwowanych”, skoro ci znajdowali się w innym mieście. Było zresztą zupełnie niemożliwe śledzić losy wszystkich „podejrzanych” w kraju, gdzie odbywały się milionowe wędrówki ludów. Gdyby Nadieżda dała się przekonać, opuściła „niebezpieczną” ciotkę i zamieszkała w Leningradzie, gdzie podobno miała przyjaciół — niewątpliwie miałyby szanse przetrwania; pozostając w Baku narażała się wręcz nieodwołalnie na duże przykrości.

Mówiąc mi to wszystko, Werner udowodnił mi właściwie,



że wierzy w niewinność Nadzieży i pragnie jej pomóc; być może nie doniósł nawet zwierzchnikom o wypadku z depeszą — nigdy już nie dowiem się prawdy.

Statek miał odpłynąć na parę minut przed północą, ale jak zwykle, nastąpiło opóźnienie. O czwartej nad ranem przechadzaliśmy się jeszcze z Nadieżdą po pustym nadbrzeżu Baku. Z szybów naftowych i wielkich kominów rafinerii dzień i noc pada na miasto gęsty czarny śnieg. Już od trzech godzin padał deszcz i włosy Nadzieży (nigdy nie nosiła kapelusza ani szala) były zupełnie mokre: nie lękała się wilgoci — ale tego, że zapach nafty przeniknie jej włosy.

Z Wernerem pożegnałem się jeszcze w hotelu aby móc pozostać sam na sam z dziewczyną. Od wielu godzin prowadziliśmy tę samą dyskusję: starałem się ją przekonać, że powinna przenieść się do Leningradu, a ona stale pytała dlaczego. Odpowiadałem niezmiennie: „ponieważ” — nie mogłem jej nic więcej wyjaśnić; poza tym mój słownik rosyjski był równie ubogi jak jej francuski: to czegośmy sobie nie powiedzieli mogłoby zapełnić całe tomy.

Obiecaliśmy sobie na wzajem pisać do siebie; przyrzekłem jej, że wracając z Azji Centralnej, przyjadę po nią — ale oboje w to nie wierzyliśmy.

Nadbrzeże było puste, niekiedy przechodził tędy nocny wojskowy patrol; inni pasażerowie statku dawno już spali na pokładzie. Przechadzaliśmy się w drobnym deszczu, przepojonym zapachem nafty; tuliłem w swych dłoniach jej zziębnięte palce i każda chwila zwiększała moją mękę. Zaczynaliśmy wciąż od początku: „dlaczego radzisz mi wyjazd do Leningradu?” — nigdy nie domagała się niczego z tak silnym uporem — a ja wciąż nie dawałem żadnych wyjaśnień.

Wyłaniająca się z ciemności twarz Nadzieży przypominała mi chwilę, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, w migotliwym blasku świecy w pociągu Tyflis-Baku: było to zaledwie przed trzema tygodniami, ale te trzy tygodnie stanowiły dla mnie całą wieczność. I teraz, jak wtedy, była wyniosła i daleka, a jej ręka w mojej kieszeni zamieniła się w martwy przedmiot.

Czekałem na syrenę statku jak na wyzwolenie, a gdy się wreszcie rozległa — skierowaliśmy się wolno w stronę pomostu. Nie potrafiłem nawet jej uścisnąć; zatrzymała się prawie nieruchoma, opuściła głowę z przemoczonymi włosami — spojrzała na swoje nowe, zamszowe pantofle: — zniszczyły się — powiedziała i były to jej ostatnie słowa. Wszedłem na mostek skąd zaprowadzono mnie do zatłoczonej i dusznej kabiny sy-pialnej. Nie wiem z jakich przyczyn ochrony bezpieczeństwa nie

wolno było pasażerom pozostawać na pokładzie. Nie mogłem nawet postać jej ostatniego pożegnania ręką.

Podróż statkiem z Baku do Krasnowodzka trwa prawie do-  
bę — przez cały ten czas nie ruszyłem się z mego poślania:  
byłem w stanie psychicznej apatii; jednocześnie spostrzegłem, a  
raczej znalazłem potwierdzenie moich przypuszczeń — Nadeżda  
chorowała wenerycznie i zaraziła mnie.

Przyjąłem tę chorobę z pełną smutku czułością dla samotnej  
kobiety, która została na zalanym deszczem nadbrzeżu Baku.  
Czułem się tak nieszczęśliwy i opuszczony, że błogosławiłem moją  
chorobę, ponieważ pochodziła od niej. Od chwili wynalezienia  
antybiotyków tego rodzaju zakażenia są szybko uleczalne — ale  
w Rosji, w tych latach, znano tylko najbardziej prymitywne za-  
sady higieny i choroby weneryczne urastały do rozmiarów praw-  
dziwej epidemii. Zarażeni mężczyźni odyskiwali zdrowie po  
dwóch czy trzech tygodniach — natomiast u kobiet ta sama cho-  
roba była przewlekła i trudna do wyleczenia. Wiedziałem, że Na-  
dziezda miała przede mną kochanka, a to, że podobne poniżenie  
spotkało właśnie ją, która uosabiała dla mnie wszystkie uroki  
minionych czasów — wydaje mi się symboliczne dla jej losu.

Długo wahałem się czy pisać na tych kartkach o naszej cho-  
robie: obawiałem się wzbudzić w czytelniku odrazę lub uśmiech  
pobłażania. Myślę, że przemilczanie niektórych spraw w pamię-  
tnikach może być tylko wtedy uzasadnione, jeśli nie ukrywa  
ono zasadniczej prawdy: — choroba Nadeжды jest dla mnie  
symbolem poniżenia człowieka i zatrucia stosunków między ludź-  
mi w Sowietach — w latach trzydziestych. Dowodzi to, że  
bogowie zadają często największe tortury swoim wybrańcom —  
ludziom niewinnym.

Nadeжда Smirnowa nie odpowiedziała na żaden z moich  
listów — nie wiem zresztą, czy je otrzymała, gdyż G.P.U., po-  
dobnie jak bogowie, ma swoje kaprysy. Nigdy nie dowiedziałem  
się niczego więcej ani o niej ani o Wernerze.

W okresie „Wielkich Czystek” prawie wszyscy komuniści,  
pochodzenia niemieckiego przebywający w Rosji — zostali aresz-  
towani, wywiezieni do obozów koncentracyjnych lub przekazani  
Gestapo.

Podczas wojny niemiecką republiką Nadwołżańską oraz  
Niemców z Ukrainy — spotkał ten sam los. Możliwości, aby  
Werner przeżył, są minimalne, a jeśli tak się stało, to podobnie,  
jak w wypadku Oragwilidze — moje notatki nie mogą zaszkod-  
zić: minęło już dwadzieścia lat i wszystkie sprawy znajdują się  
w aktach G.P.U.

Nadzieźda, jeśli pozostała w Baku — zginęła na pewno — jedynie wyjazd gdzie indziej mógł ją uratować.

Denuncjacja Nadzieźdy była pierwszą i ostatnią w moim życiu. Przeżycia w Baku uczyniły ze mnie złego komunistę i nie lepszego antykomunistę, lecz dzięki tym przeżyciom nabrałem cech bardziej ludzkich. Gdybym był katolikiem — widziałbym w zdradzie Nadzieźdy dialektyczną rękę Opatrzności i szukałbym w tym pocieszenia.

Ale ja tego nie potrafię.

## BURZA NAD TURKIESTANEM

Mój stan psychiczny w czasie dwóch pierwszych tygodni tej podróży mogę określić jako szary smutek w najsmutniejszym miejscu świata. Pustynie Turkiestanu i Arabii stanowiły niegdyś ośrodki najbardziej dynamiczne na kuli ziemskiej; później energia ich mieszkańców wyczerpała się i powrócili do stanu pół-dzikości. Koczownicy arabskich pustyń byli plagą starożytnych imperiów Środkowego Wschodu, ich ostatnia fala zaniósła sztandar Islamu do Indii i Hiszpanii. Wędrówki ludów rozpoczęły się właśnie między morzem Kaspijskim a wzniesieniem Pamiru.

Wpływ zmian kosmicznych na los człowieka jest tutaj bardziej widoczny niż gdzie indziej — nagła susza spowodowała wędrówki ludów, co odegrało decydującą rolę w życiu i rozwoju Zachodniej Azji. Rzeki Oxus i Jaxartes, obecnie Amu-Daria i Syr-Daria, zmieniły całkowicie swój bieg, a poziom morza Aralskiego obniżył się z zaskakującą szybkością — na skutek odwodnienia, tereny dawniej niezmiernie bogate i urodzajne zamieniły się w pustynię. Obsesyjny smutek krajobrazu wpływa głęboko na psychikę ludności. W trzy lata po podróży do Syrii, Palestyny i Iraku, znalazłem się w znanej mi już atmosferze beznadziejności i pustki. Uczucie to ogarnęło mnie ponownie kiedy jadąc koleją przez pustynię Kara-kum, rozpoznawałem znany mi pejzaż — nagi i bezludny oraz wrogie człowiekowi, niezmiernie czarne piaski: niekiedy z okien wagonu dostrzegłem ciemną plamę namiotu, chuderlawe krzaczki i flegmatyczne wielbłądy — stare panny o wylupiastych oczach. Zdałem sobie sprawę, że powracam do kraju wiary muzułmańskiej. Plemiona Turkiestanu różnią się, rzecz jasna, od Arabów Środkowego Wschodu, ale wobec Europejczyków zachowują podobną postawę, opartą na wspólnocie religii. Za pełną rezerwy uprzejmością kryje się groź-

ny fanatyzm ludzi Islamu, wiary nieubłaganej, zrodzonej na pustyni, która nigdy nie ulega żadnej liberalnej reformie i zatrzymała się na poziomie chrześcijaństwa w epoce Wielkiej Inkwizycji.

Z innego jeszcze powodu ten kraj był mi bliski: położony między morzem Kaspijskim a Pamirem, zachodni Turkiestan, zwany „basenem turańskim” — historycy uznali za kolebkę narodu węgierskiego. Już od dziecka słowo „turański” było dla mnie synonimem — „węgierski”. Krótko mówiąc, znalazłem się jakby u siebie w domu.

Echa dalekiego związku narodów towarzyszyły mi podczas całej mojej podróży po Azji Środkowej. Za każdym razem, kiedy mówiłem że jestem Węgrem (jeśli mój nowy znajomy był intelektualistą) — padało nazwisko Armina Vambery i przyjmowano mnie z niezwykłą serdecznością. Vambery, był pierwszym Europejczykiem, który w 1863 roku, w przebraniu tureckiego derwisza, trafił do zakazanych dla chrześcijan chanatów Chiwy, Buchary i Samarkandy i dołączył się do grupy pielgrzymów powracających z Mekki. Okazał siłę charakteru, tym bardziej godną podziwu, że był kaleką od urodzenia i chodził o kulach. Jego „Podróże po Azji Środkowej” weszły do historii literatury węgierskiej — ja sam, jako młody chłopiec pasjonowałem się tą lekturą. Obecnie z wielkim zadowoleniem stwierdziłem, że książka Vambery znajduje się we wszystkich miejscowych bibliotekach i, że autor ten jest równie popularny w Bucharze jak i w Budapeszcie. Mówiono mi, że jestem drugim w historii Węgrem, powracającym do kolebki swego narodu, co być może nie miało się z prawdą, ponieważ emiraty Azji Środkowej były zakazane dla Europejczyków nawet wówczas, kiedy emirowie stali się poddanymi cara. Dziś tereny te są nadal pilnie strzeżone, bo właśnie tutaj, na dalekich peryferiach komunistycznego imperium, we wrześniu 1949 roku, miał miejsce wybuch pierwszej sowieckiej bomby atomowej.

Owe niedostępne, odcięte od reszty kuli ziemskiej rejony, po raz drugi odgrywają ważną rolę w życiu ludzkości. Niegdyś, wysuszenie się rzek i jezior Azji Środkowej spowodowało wielkie wędrówki ludów — dziś inny rodzaj eksplozji grozi stąd Zachodowi inwazją azjatycką. Jest to miejsce na ziemi, gdzie częściej, niż gdzie indziej, zdarzają się krótkie spięcia Natury z Historią.

W 1932 roku, sowiecka Azja Środkowa dzieliła się na trzy republiki autonomiczne. Były to Uzbekistan, Tadżykistan i najsmutniejsza ze wszystkich Turkmenia, która na wschodzie dotyka morza Kaspijskiego, na zachodzie — rzeki Amu-Daria, zaś na

południu graniczy z Afganistanem i Persją a na północy z Kazachską Republiką Autonomiczną. Powierzchnia tego kraju równa się mniej więcej powierzchni Niemiec, ale w 1932 roku ludność Turkmenii nie przekraczała nawet miliona. Ziemia tutejsza jest prawie w całości pustynna i zamieszkała jedynie w pobliżu granic, gdzie istnieją pewne, chociaż bardzo niewielkie możliwości nawodnienia. Podstawą produkcji jest bawełna. Na północy liczne oazy otaczają ujście rzeki Amu-Darii do morza Aralskiego: znajduje się tu słynny stary chanat Chiwy, który jeszcze w okresie mojej podróży po ZSSR, był dostępny wyłącznie dla karawan. Nieliczne miasta leżą wzdłuż jedynej linii kolejowej, biegnącej od podnóża wzgórz Kapi Dag do granicy perskiej. Mimo małowniczych nazw — Kizyl Arwat, Bakharden, Geok Tappeh, Aszchabad i Merw, są to ponure rosyjskie miasta garnizonowe, zamieszkałe przeważnie przez Rosjan: urzędników różnego stopnia, robotników zatrudnionych przy budowie kolei, żołnierzy, kupców, rzemieślników oraz osadników. Pewna zmiana nastąpiła dopiero podczas Rewolucji przemysłowej, wywołanej Planem Pięcioletnim, kiedy nowopowstałe fabryki przyciągnęły do miast ludność tubylczą. „Stworzyć nowy proletariatuswiadomiony klasowo” — stało się jednym z najważniejszych haseł polityki sowieckiej we wszystkich republikach narodowych. Ale w roku 1932, Turkmeni wciąż jeszcze stanowili mniejszość w miastach, i to nawet w stolicy kraju, Aszchabadzie.

Konsekwencją carskiego panowania był zupełny brak architektury i atmosfery Wschodu w miastach garnizonowych, pokrywających na kształt trądu szlachetną twarz Azji: bolszewicy dokończyli dzieła zapoczątkowanego przez swoich poprzedników. Celem dawnej kolonizacji było utrzymanie miejscowej ludności na poziomie pół-dzikości — po wybuchu Rewolucji, okazało się że 99 % mieszkańców Turkmenii stanowili analfabeci. Reżym komunistyczny przyjął na pozór odwrotną linię postępowania: koczownicy zostali sprowadzeni do miast administrowanych przez stalinowskie kadry, a ich dzieci oddano do zrusyfikowanych szkół. Dawne obyczaje zastąpiła sowiecka propaganda. Rzemiosło i sztuka ludowa zamarły. Azjatyckie plemiona przekształciły się w szary tłum robotów totalitarnego państwa.

Z małymi wyjątkami, poza starą dzielnicą Samarkandy i Bucharę, nie zachowałem prawie żadnych wspomnień „wzrokowych” z podróży do Krasnowodzka, Taszkientu, Aszchabadu czy Merw — zlewają się one w mej pamięci w obraz bezbarwny i zamglony, zbliżony do obrazu rosyjskiej prowincji, z tym że miasta azjatyckie są jeszcze bardziej posępne i jeszcze biedniejsze.

W Aszchabadzie poznałem niespodziewanie miłe towarzystwo, z którym nie rozstawałem się podczas całej mojej podróży po Azji Środkowej.

Stolica Turkmenii nie posiadała hotelu i „dworcowe” G.P.U. skierowało mnie do „domu Sowietów”, gdzie mieszkają zwykle urzędnicy przyjeżdżający w delegacji służbowej. Małeńki pokój, którego jedyne umeblowanie stanowiło żelazne łóżko, przypominał celę więzienną. W powietrzu unosił się odór brudnych latryn, znajdujących się po drugiej stronie korytarza. Od wyjazdu z Baku wciąż jeszcze nie mogłem wrócić do siebie — a teraz poczułem się nagle jak opuszczony przez Boga włóczęga na wyklętej przez Niego ziemi. W czasie przejazdu samochodem z dworca przez miasto zrozumiałem że to co było do zobaczenia w stolicy Turkmenii, było wierną kopią przedmieść Charkowa. Po jakie licho przyjechałem do Aszchabadu?

Leżąc na twardym łóżku bez pościeli, liczyłem właśnie plamy po rozgniecionych na murze pluskwach, kiedy nagle usłyszałem zza ściany dźwięki zdartej płyty. „Yiddishe Mamme” w wykonaniu Sophie Tucker; w „domu Sowietów” w Aszchabadzie wydało mi się to czystą halucynacją! Po chwili wstałem aby sprawdzić kto jest moim sąsiadem. Zapukałem, wszedłem i ujrzałem młodego amerykańskiego Murzyna klęczącego przy patefonie w pokoju podobnym do mojego. Był to Langston Hughes, którego zbiór poezji „Shoeshine Boy”, czytany jeszcze w Berlinie, bardzo mnie wówczas zachwycił.

Hughes miał około trzydziestki, był szczupły, średniego wzrostu i poruszał się z gracją właściwą swojej rasie. Miał miły, ciepły uśmiech, był uprzejmy i łatwy w stosunkach, ale zachowywał dystans, wykluczający zbyt dużą poufałość.

Poczęstował mnie wódką i kielbasą z wielbłąda (co łącznie z melonem, miało mi obecnie zastąpić bakiński czerwony kawior), po czym opowiedział mi tragikomiczne dzieje swego pobytu w Aszchabadzie. Przyjechał do Związku Sowieckiego parę miesięcy wcześniej razem z zespołem czterdziestu pieśniarzy i tancerzy murzyńskich, na zaproszenie MIEŻRABPOM’u, największej wytwórni filmowej ZSSR, aby nakręcić film o prześladowaniu czarnych, do którego Hughes miał napisać scenariusz. Tymczasem, już po przyjeździe zespołu do Moskwy, nastąpiło polityczne zbliżenie Ameryki i Sowietów, uwieńczone w 1933 roku, uznaniem ZSSR przez USA. Amerykanie postawili jako warunek, że Sowietci zaprzestaną propagandy wśród Murzynów i MIEŻRABPOM zrezygnował z realizacji filmu.

W ciągu wielu tygodni, Hughes i jego rodacy pozostawali beczynnie w Moskwie. Wreszcie zespół na koszt Inturista, zro-

bił krajoznawczą wycieczkę na Kaukaz, po czym poradzono uprzejmie czarnym artystom aby powrócili do kapitalistycznej ojczyzny. Hughes cieszył się sławą wybitnego poety i nie mógł być traktowany w podobny sposób: otrzymał więc propozycję napisania pracy porównawczej na temat „krajów bawełny” — Azji Środkowej i południowych Stanów USA. Mój nowy znajomy, mimo że jak sądzę nie należał do Partii, miał wiele sympatii dla Sowieców, był poetą, jego poglądy polityczne były czysto humanitarne, słowem — niewiniątko. Zdawał sobie bardzo ogólnie sprawę z wpływu rokowań amerykańsko-sowieckich na rezygnację z nakręcenia filmu. Domyślaliśmy się oboje tego co się stało, ale zgodnie z milczącą umową, nie poruszaliśmy nigdy tej sprawy.

Hughes przyjął propozycję napisania książki, dzięki czemu trafił do Aszchabadu, gdzie znalazł się bez grosza. MIEŻRABPOM wręczył mu pewien zadatek na kosztą podróży z obietnicą przesłania pieniędzy pocztą. Ale opisane wypadki miały miejsce w okresie, kiedy rząd sowiecki prowadził bezlitosną politykę deflacyjną i w konsekwencji, liczne instytucje administracyjne i przemysłowe nie posiadały żadnych kredytów i tygodniami nie były w stanie spełnić podjętych zobowiązań, łącznie z wypłatą pensji robotnikom. Hughes wysyłał do Moskwy depeszę po depeszy — na próżno. Od przeszło trzech tygodni przebywał w Aszchabadzie na „utrzymaniu” G.P.U.: mieszkał w „domu Sowieców” i żywił się tym co można było dostać w kantynie tej miłej organizacji. Opowiadał o wszystkim z humorem, jako o zabawnych przygodach, „usprawiedliwionych” w kraju, który podjął „wielkie dzieło” Rewolucji.

Wieczorem, gdy do pokoju Hughes'a przyszli inni ludzie, przekonałem się, że my dwaj nie byliśmy bynajmniej jedynymi „intelektualistami” w Aszchabadzie. Pierwszy z gości, był nieduży, i zalężniony, o pomarszczonej tatarskiej twarzy. Szaariah Kikiłoff, przewodniczący Związku Pisarzy Turkmenii, mówił na ogół niewiele ale umiał słuchać innych z niezmiennym uśmiechem podziwu. W ciągu naszej wspólnej dwutygodniowej podróży, nie udało nam się nigdy, ani Hughes'owi ani mnie, dociec co i kiedy napisał, czy był żonaty, gdzie mieszkał i z czego żył — wszystko to pozostało dla nas tajemnicą.

Wkrótce do pokoju wszedł młody mężczyzna, rosły i korpulentny, który również miał towarzyszyć nam w podróży. Na piersi miał wytatuowaną kotwicę a na muskularnym ramieniu nagą dziewczynę. Kola Szagurin, bo tak się nazywał, był Ukraińcem i służył niegdyś w marynarce handlowej na Pacyfiku. Został pisarzem a obecnie przygotowywał (na zamówienie Państwo-



wych Wydawnictw Ukrainy) książkę o realizacji Pięciolatki w krajach Azji Środkowej. Nie zauważyłem ani razu, aby cokolwiek notował lub aby zadawał pytania niezbędne do napisania raportu: pewnego pięknego dnia, a było to w Merw, znalazł sobie jakąś miejscową Komsomołkę, również „pisarkę”, po czym znikł równie tajemniczo jak się pojawił.

Wieczór był nader wesoły. Kola śpiewał ukraińskie pieśni, a Hughes Negro Spirituals. Przyszli jeszcze inni goście. Wśród nich Marek May, estoński reżyser, delegowany do Aszchabadu aby nakręcić film na temat fabryki siarki na pustyni Kara-kum, gdzie odkryto niedawno bogate złoża minerałów. Ten młody chłopak, dokładny i pedantycznie ubrany, siadywał na brudnej podłodze w pokoju Hughes'a, z pewnością siebie i nonszalacją producenta filmowego z Hollywood. Był między nami również, Anwar Umorzakow, przystojny i sympatyczny oficer Armii Czerwonej, z pochodzenia Ujgur. Dowodził batalionem w górach Pamiru, a wysłany na *komandirówkę* do Aszchabadu, poślubił w drodze uroczą młodą Uzbekkę o długich warkoczach, która teraz siedziała milcząc obok swego marsowego małżonka. Naza-jutrz, zapisałem historię pułkownika Umorzakowa. Jest to jedna z wielu notatek biograficznych, zebranych przeze mnie w czasie podróży po Azji Środkowej. Cytuję fragment:

Anwar Umorzakow urodził się w Kaszgarze, we wschodnio-chińskim Turkiestanie. Pewnej nocy 1915 roku, a miał on wtedy siedem lat, rodzina jego przekroczyła granicę rosyjską, aby uniknąć kary więzienia za niezapłacenie podatku po nieudanych zbiorach. Zamieszkali na terenie, należącym obecnie do Tadżyckiej Republiki Autonomicznej na północ od Himalajów. Wkrótce jednak, popadli w nowe długi u miejscowego beja i ojciec Umorzakowa, musiał sprzedać swoje małe gospodarstwo. Kiedy do Azji środkowej dotarły wieści o Rewolucji, połączył się z grupą partyzantów, po czym wstąpił do Armii Czerwonej. W 1923 roku, oboje z żoną zostali zamordowani przez antyrewolucyjną bandę Basmaczy. Piętnastoletniego Anwara zmuszono aby asystował przy egzekucji rodziców: ucięto im głowy. Anwar stał się jednym z milionów bezdomnych włóczęgów. Po pewnym czasie znalazł pracę w niemieckim cyrku Jupatowa gdzie, najpierw był „chłopcem do wszystkiego”, a później trapezistą. Wstąpił do Komsomołu a kiedy ukończył lat osiemnaście wysłano go na uniwersytet dla mniejszości azjatyckich w Taszkencie. Jako oficer Armii Czerwonej wyróżnił się w walkach z Basmaczami w pobliżu granicy chińskiej i w dwudziestym czwartym roku życia został mianowany pułkownikiem...”

Nie pamiętam już jak wyglądał, poza tym, że miał wiele godności i był wysokiego wzrostu o otwartej, uśmiechniętej twarzy. Przypominał wielu oficerów Armii Czerwonej, o których mówi się zwykle, że należą do innej rasy niż partyjni biurokraci

— różnica aż zbyt widoczna na terenie całego Związku Sowieckiego od Leningradu do granicy afgańskiej.

Oburzony metodami postępowania wobec Hughes'a wystosowałem (bez jego wiedzy) długą depeszę do Kominternu gdzie wyjaśniłem sytuację mojego przyjaciela i możliwe jej skutki w Ameryce, jeśli dojdzie tam wiadomość, że największy żyjący poeta murzyński, został pod fałszywym pretekstem wysłany do Środkowej Azji i rzucony na pastwę losu. Skutek był niespodziewany: pieniądze dla Hughes'a przysły w parę dni później. To szybkie załatwienie sprawy, można, jak się zdaje, wytłumaczyć tym, że Hughes zwrócił się do amerykańskiej sekcji Kominternu, ja zaś do niemieckiej, i że zgodnie z „tradycją”, sekcja niemiecka uradowana, że może zaszkodzić rywalom, wysłała kompromitujące Amerykanów sprawozdanie, wprost na ręce prezydium.

Hughes, Kikiłoff, Kola i ja, zorganizowaliśmy „Międzynarodową Brygadę Pisarzy Rewolucyjnych” i postanowiliśmy jechać razem do Uzbekistanu. Nie pamiętam już, kto z nas podjął tę „piękną inicjatywę”, ale łatwo zrozumieć, że miejscowe władze niezbyt radośnie patrzyły na przedłużającą się w Aszchabadzie obecność naszej kosmopolitycznej grupy. Kikiłoff, milczący i uśmiechnięty Turkmen, miał nam służyć za opiekuna i tłumacza, a zważywszy, że rosyjski Hughes'a był jeszcze bardziej ograniczony niż mój, naprawdę potrzebowaliśmy pomocy. Uzgodniliśmy, że Kikiłoff będzie tłumaczył z turkmeńskiego na rosyjski, a ja z rosyjskiego na angielski. W Merw, Kola i Kikiłoff znikli nagle ze sceny a na ich miejsce dołączył się do nas niespodzianie pewien rosyjski nauczyciel. Nie wspominałem nawet o nim w „Czerwonych Dniach”, bo od pierwszego wejrzenia wzbudził moją i Hughes'a antypatię. Traktował nas jak uczniów, a kiedy nie chciał nas opuścić dobrowolnie, wysłaliśmy go sami do wszystkich diabłów. Zresztą byliśmy wówczas w Taszkencie — mieście, które stanowiło ostatni etap naszej azjatyckiej podróży.

Przed wyjazdem z Aszchabadu zwiedziłem dokładnie to „co należało”: fabrykę jedwabiu, wędrownie studio filmowe Marka Maya i Ludowy Trybunał, gdzie odbywała się właśnie „czystka”.

Założona w 1928 fabryka jedwabiu w Aszchabadzie jest najstarszym zakładem przemysłowym Turkmenii. Przed Rewolucją, słowo „fabryka” nie wchodziło nawet w skład tutejszego języka. Obok wielkiej huty w Sewilii, jest to najbardziej malownicza fabryka jaką widziałem w życiu.

Napisałem w „Czerwonych dniach”:

„W małym ogródku, przykucnęło na ziemi dwadzieścia młodych robotnic; palą i piją khok-czaj, zieloną chińską herbatę. Noszą

barwne stroje ludowe a na głowie mają „boerk”, wysoki kapelusz w kształcie stożka, udrapowany z kolorowych chustek, obwieszony monetami i amuletami — musi sporo ważyć. Palą zblizoną do fajkowego tytoniu czarną machorkę w gazetowych piętnasto-centymetrowych „skrętach”. Siedzą prawie nieruchomo, od czasu do czasu, powolnym ruchem wznoszą do ust czarkę z herbatą lub zaciągają się dymem. Niebo jest błękitne, słońce pali, niekiedy przejedzie kołyszając się wielbłąd, białe obłoczki machorkowego dymu wymykają się z nozdrzy nieruchomych dziewczyn: wydaje się, że siedzą one już tak od trzystu lat. Nagle na dźwięk syreny fabrycznej dziewczyny odstawiają bez pośpiechu czarki z herbatą, powolnym ruchem ręki poprawiają cekiny i amulety i znikają pod cementowym sklepieniem — jedna za drugą, podobne kolorowym figurynkom w średniowiecznym zegarze. A kiedy przekroczą próg fabryki, przenoszą się niespodzianie z szesnastego stulecia w dzisiejsze czasy.

Ani wy, ani ja nie wiemy jakie nowiny przyniesie mieszkańcom ziemi pierwszy międzyplanetarny wehikuł. Nie dowiemy się nigdy, jakie maszyny służyć będą człowiekowi przyszłości, jakie będą jego uczucia i myśli. Tymczasem spójrzcie na te dziewczęta! Pękły łańcuchy, którymi były przykute do średniowiecznego Islamu: przetańczyły oczy i znalazły się o trzy wieki naprzód. Ich ciekawość została zaspokojona... Zazdroszczę im”.

Kiedy po dwudziestu latach przeczytałem ponownie cytowany fragment, zadziwiła mnie moja własna naiwność: wynikała ona ze ślepej wiary, której chwytałem się wciąż jeszcze z rozpaczliwym uporem. Nie wiedziałem, ponieważ nie chciałem wiedzieć, że dla przywiązanych do tradycji ludów azjatyckich, owa błyskawiczna podróż w czasie oznaczała przymusowe wygnanie w świat obcy i zastraszający. Znałem wtedy tylko połowę prawdy; na podstawie kilkunastu życiorysów, zblizonych do dziejów Umorzakowa łudziłem się, że Rewolucja 1917 roku przyniosła nową „burzę nad Azją” — nie dostrzegalem spustoszenia, które ta zawierucha pozostawiła na terenie krajów azjatyckich, począwszy od Gruzji aż do granicy chińskiej. Dawne pół-niewolnictwo u bogaczy, poborców i lichwiarzy, zastąpiło twarde jarzmo totalitarnego państwa-właściciela, wierzyciela i poborcy w jednej osobie.

Dziwnym zrządzeniem losu, przyjechałem do stolicy Turkmenii, kiedy odbywał się tam jeden z pierwszych procesów „Wielkiej Czystki”.

Siedzibą Rady Miejskiej był największy budynek w Aszchabadzie. Przechodziłem tamtędy wiele razy, ale kiedy wyrażałem chęć poznania wnętrza, towarzyszący mi Kikiłoff, znajdował zawsze jakiś pretekst aby do tego nie dopuścić, w rodzaju „są bardzo zajęci” lub „nie teraz”. Zaciekawiony, wszedłem wreszcie do środka, a on za mną. Pokryte czerwonym suknem drzwi prowadziły na salę Rady: ludzie wchodzili i wychodzili stamtąd, co

wskazywało, że odbywa się tam jakieś zebranie. Zająłem krzesło w ostatnim rzędzie, a Kikiłoff, rad nie rad, przysiadł obok.

W końcu sali znajdowała się estrada, która przy innej okazji służyła za scenę dla występów Narodowego Teatru Turkmenii. Obecnie rezydował tu Ludowy Trybunał, złożony z sędziego (zdaniem Kikiłoffa, był to robotnik miejscowej fabryki bawełny), dwóch ławników, oskarżyciela publicznego i tłumacza. Oskarżeni zajmowali pierwsze trzy rzędy krzeseł naprzeciw estrady. Pilnowali ich milicjanci uzbrojeni w bagnety. Wśród publiczności, zauważyłem grupę uczniów. Prawie połowa sali była pusta. Kiedy weszliśmy jeden z oskarżonych właśnie zeznawał: głos miał zmęczony i monotony. Wszyscy zresztą wydawali się na wpół uspieni: sąd, oskarżeni i publiczność — Turkmeni w wysokich baranich kołpakach na głowie, Uzbeki w kolorowych myckach, Rosjanie w sukiennych czapkach i kobiety w stożkowatych kapeluszach lub jaskrawych chustkach.

Oskarżony mówił po turkmeńsku: co drugie zdanie jego słowa tłumaczono na rosyjski. Weszliśmy mniej więcej w połowie jego zeznań.

Nazywał się Szangildi. Był sierotą i już od siódmego roku życia pracował jako pastuch u miejscowego beja. Pewnego razu skaleczył się w stopę z czego wywiązało się zakażenie i trzeba było amputować nogę. Później sprzedawał mleko a jeszcze później zajmował się przemytem opium na granicy perskiej. Po pewnym czasie został złapany i uwięziony.

Obywatel Attakurdow pomógł Szangildi wydostać się na wolność i dał mu posadę urzędnika administracji kołchozów w rejonie. (Attakurdow, jak wkrótce zrozumiałem, był przewodniczącym Rady Miejskiej i głównym oskarżonym). Kiedy w 1931 roku, Szangildi został zwolniony z administracji, Attakurdow wystarzał mu się o nowe zajęcie w RKI<sup>1</sup>.

Jako pracownik RKI, Szangildi, rozwiązał pewien kołchoz, którego członkowie ukradli melony wartości półtora tysiąca rubli, lub inaczej mówiąc zjedli je zamiast oddać państwu. Winni kradzieży znajomi i krewni Attakurdowa nie zostali ukarani, ponieważ oskarżony spłacał w ten sposób dług wdzięczności jaki miał wobec byłego przewodniczącego rady Miejskiej. Szangildi sprawił również, że po rozwiązaniu kołchozu i zwrocie własności prywatnej jego byłym członkom, kułacy otrzymali tereny dobrze nawodnione, a biedacy ziemie nieurodzajne. Wszystko to stało się na rozkaz Attakurdowa.

Po wysłuchaniu zeznań Szangildi i po lekturze sprawozdań

---

1. Robotniczo-chłopska Komisja Kontroli.

w prasie miejscowej, dowiedziałem się wreszcie o co chodzi: dwudziestu dziewięciu ludzi oskarżono o sabotaż i spisek przeciw Rewolucji. Proces toczył się już od wielu tygodni i zanosilo się, że potrwa co najmniej drugie tyle. Sala Rady Miejskiej była największą salą w Aszchabadzie, toteż za każdym razem, kiedy była potrzebna do zebrań lub na przedstawienie teatralne, proces przerywano i odkładano na później.

Attakurdow był jeszcze do niedawna napotężniejszą postacią Republiki Turkmeńskiej: był przewodniczącym Sowietu w Aszchabadzie, jego szwagier — Owez Kuliew — przewodniczącym rejonowego RKI a jeszcze inny krewny jego żony kierował miejską gazetą partyjną. Zostali uwięzieni, ponieważ okazało się, że ponoszą odpowiedzialność za wszystkie nieszczęścia Turkmenii.

Zeznania Szangildi były naprawdę rewelacyjne — rozwiązano kołchoz z powodu stu pięćdziesięciu melonów?! Wspólną ziemię oddano dawnym właścicielom, co stało w zupełnej sprzeczności z polityką Partii i rządu! A jednak ani sędzia, ani prokurator, nie czynili żadnych uwag na ten temat. Kiedy zapytałem Kikiłoffa, co o tym myśli, wrzucił ramionami i ze zwykłym uśmiechem odpowiedział: „są trudności”. Rozwiązanie kołchozu dowiodło, że program kolektywizacji Turkmenii znajdował się w stanie zupełnego chaosu. Nie umiałem wtedy wyciągać wniosków z tej sytuacji, wyczuwałem jedynie co się działo. Niewątpliwie, Attakurdow i jego ludzie zawinili, ale atmosfera „niereczywistości” panująca na sali sądowej sprawiała, że miałem także wrażenie, że z oskarżonych uczyniono „ofiarnie kozły”.

Proces poruszył we mnie wspomnienia z podróży do Syrii i Palestyny, gdzie przed laty przekonałem się na własne oczy, z jakim uporem dawny system klanów przenikał do struktury i polityki nowoczesnych państw muzułmańskich: życiem Republiki Arabskiej w Palestynie kierowały wciąż jeszcze dwa wielkie rody — Naszahibi i Husseini. Dodajmy, że przed Rewolucją Turkmenia była krajem o wiele bardziej zacofanym niż Palestyna. Attakurdow rządził Turkmenią, podobnie jak Wielki Mufti Palestyną. Historycznie sytuacja ta była w pełni uzasadniona, bo w kraju gdzie 99% mieszkańców nie umiało czytać i pisać, ludzie wykształceni i zdolni do kierowania administracją, znajdowali się jedynie w klasie uprzywilejowanej: z drugiej strony, budowa państwa socjalistycznego wymagała likwidacji klanów. W czasie procesu, prokurator, kładł tak silny nacisk na „rodziców” i „kuzynów”, których główny oskarżony posiadał w różnych urzędach, aby pokazać, że tego rodzaju związki, są już same w sobie kontrewolucyjne.

Spędziłem wiele godzin na sali sądowej, ale nie wróciłem

tam nazajutrz — było to zbyt deprymujące, a instynktownie starałem się unikać podobnych wrażeń. Niesamowita atmosfera „niereczywistości” panowała na sali, pogrążonej w szarym dymie machorki. Jednonogi przemytnik, Szangildi, zeznawał z niedopałkiem papierosa przyklejonym do bezbarwnej, zmiętej twarzy. Sędzia i ławnicy zdawali się nie słuchać tego co mówi. Niekiedy oskarżony milkł, a wówczas sędzia lub prokurator (obaj Rosjanie) zadawali mu pytania, tonem cichym i obojętnym. obrońca (jeden na dwudziestu dziewięciu oskarżonych) ani razu nie zabrał głosu — był to młody (najmłodszy wśród siedzących na estradzie) Turkmen, o nieśmiałym spojrzeniu ucznia przed egzaminem. Na sali — żadnych odznak zainteresowania czy wzruszenia: obecni drzemali, budząc się jedynie aby skrócić nową „kocią nóżkę”. Uczniowie siedzący za uzbrojoną strażą, również spali. Atmosfera „nonszalancji” sprawiała, że trudno było uwierzyć, iż toczy się proces o śmierć lub życie dwudziestu dziewięciu ludzi.

Po zeznaniach Szangildi, nastąpiła przerwa. Sędzia i prokurator, wymienili między sobą parę uwag, po czym wrócili na miejsca i przez pewien czas, na sali słychać było tylko szuranie butami o podłogę. Wreszcie sędzia, jak się zdawało z dużą niechęcią, zadał jednemu z oskarżonych pytanie. Ten wstał i oświadczył, że Attakurdow, mówił mu, że Rosjanie uciskają naród turkmeński. Oskarżony, w miarę swoich zeznań przemieniał się z żywej istoty w bezwolną marionetkę w rękach zdrajcy Attakurdowa — Trockiego Turkmenii.

Z tego miejsca, nie widziałem byłego przewodniczącego Rady Miejskiej. Ukazał mi się tylko na chwilę i to od tyłu: miał okrągłą ogoloną czaszkę, osadzoną na potężnej krótkiej szyi i szerokich ramionach.

Człowiek pełniący funkcję woźnego, zbliżył się do nas i szepnął parę słów do Kikiłoffa, który powiedział, że sąd zaprasza mnie jako „znacznego gościa” do zajęcia miejsca na estradzie. Poszliśmy za woźnym. Przyniesiono nam dwa krzesła, i usiedliśmy z brzegu estrady, twarzą do oskarżonych.

Jako „delegat cudzoziemski” siadywałem często na estradzie podczas różnego rodzaju zebrań i uroczystości: ale tym razem poczułem się naprawdę zażenowany. Kiedy zajęliśmy nasze miejsca, nikt z ludzi siedzących obok, nie okazał nam żadnego zainteresowania: sędzia uznał widocznie, że jeśli już cudzoziemiec przedostał się na salę, to lepiej mu pochlebić i zaprosić aby znalazł się wśród „wielkich dnia” — inni wzięli nas prawdopodobnie za wysokich urzędników partyjnych.

Teraz widziałem wszystkich oskarżonych. W moich notat-

kach z procesu, określiłem Attakurdowa: „ma nalaną, żółtawoszarą twarz tureckiego poborcy podatków”. Nie przypominam już sobie jego rysów, pamiętam jedynie, że rzucił mi krótkie spojrzenie obojętnych oczu — spojrzenie bez wyrazu, prawie martwe — odwróciłem wzrok.

Pamiętam również, że nosił ukraińską haftowaną koszulę ze stojącym kołnierzem, natomiast inni oskarżeni mieli koszule bez kołnierza — żałosne stado o bladych, nieogolonych twarzach, w brudnych, wymiętych ubraniach, podobni włóczęgom na pokazowej policyjnej fotografii. A jeszcze tak niedawno, ci sami ludzie zajmowali najpoważniejsze stanowiska państwowe w Turkmenii. W przeciwieństwie do twarzy oglądanych na fotografiach w aktach policji, twarze zazwyczaj przerażonych lub zaciętych, ludzie ci byli pełni obojętności i apatii. Miałem uczucie, że ci na dole — publiczność i oskarżeni — byli ofiarami a my, którzy patrzyliśmy na nich z wysokości estrady — zwycięskimi prześladowcami. Nie sądzę aby nas nienawidzili, byli na to zbyt zmęczeni i zrezygnowani. Czy i jak dalece zdawałem sobie wówczas z tego sprawę? Nie wiem, ale kiedy tak siedziałem, wystawiony na spojrzenia całej sali, ze wszystkich oskarżonych, czułem się najbardziej winny.

Niemiecka Partia Komunistyczna miała dewizę, wydrukowaną obok tytułu dziennika: „tam gdzie są słabi i silni, stajemy zawsze po stronie słabych!” Poczułem się nagle pełen winy, zarówno wobec publiczności jak i oskarżonych, tak samo jak w pociągu Tyflis-Erywań czułem się winny wobec umierających z głodu ukraińskich chłopów. Podobnie, chociaż inaczej, było wobec Nadzieży, podobnie i to co dzień, w czasie moich spotkań z ludnością, która nie miała prawa, do „uprzywilejowanych” spółdzielni, mieszkań i lepszego życia. To oni, byli słabi a ja znajdowałem się po stronie silnych. Rewolucjonista może utożsamiać się z władzą, ale człowiek zbuntowany tego nie potrafi: myślę, że byłem zawsze tym ostatnim.

Sprawa Attakurdowa i jego współników, stanowiła egzotyczne preludium do moskiewskich procesów Wielkiej Czystki. Opuściłem Aszchabad przed zakończeniem obrad i nie dowiedziałem się nigdy jakie zapadły wyroki. Po powrocie do Rosji Europejskiej, nie zauważyłem aby ktokolwiek wspominał o tym procesie: sprawozdania z sali sądowej ukazywały się jedynie w miejscowej prasie Turkmenii. Zapytuję często samego siebie, ile jeszcze takich procesów, odbyło się w podobnej ciszy na dalekich peryferiach Sowietów, zanim Moskiewskie Czystki ukazały światu przerażającą rzeczywistość komunistycznego imperium.

## W STRONĘ GRANICY AFGAŃSKIEJ

„Brygada Pisarzy” poświęciła osiem dni na zwiedzanie plantacji bawełny w okolicach oazy Merw.

Merw zajmuje pozycję strategiczną w miejscu gdzie rzeka Murghab spływając z gór Afganistanu gubi się w piaskach Karakum. Przed wchłonięciem przez pustynię rozgałęzia się na wiele odpływów i kanałów nawadniających; te właśnie kanały czynią z oazy Merw najważniejszy ośrodek bawełniany Turkmenii. Jednocześnie prowadzą stamtąd drogi strategiczne do Afganistanu i Persji.

O mieście Merw, jednym z najstarszych na kuli ziemskiej, znajdujemy wzmianki w „Zend Avesta” i w pismach hinduskich. Zarówno, arabska jak i hinduska tradycja, uznały Merw za kolebkę ludzkości i miejsce rajy ziemskiego. Dziś z „królowej obfitości” pozostały jedynie walące się ruiny. „Nie warto ich oglądać” padała niezmienna odpowiedź, jeśli wyrażałem chęć obejrzenia „dawnego Merw”. Kiedy o czwartej nad ranem wysiedliśmy z pociągu, zaprowadzono nas do smutnego rosyjskiego miasta garnizonowego, odległego o parę kilometrów od historycznych ruin. Nie otrzymaliśmy pozwolenia na ich zwiedzenie. Wątpię czy znajdowały się tam obiekty wojskowe — chodziło raczej o to, że okręgowy komitet Partyny posiadał wyłącznie jednego, mocno sfatygowanego Forda i uważał, że zaspokojenie kaprysów sentymentalnego burżuja dla „starych murów” byłoby po prostu stratą czasu.

### WYJĄTKI Z DZIENNIKA PODRÓŻY KOŁCHOZ W AJTAKOWIE

Ogromne pole, suche i pełne kurzu, zarośnięte chuderlawymi krzaczkami, styka się z dalekim, zamglonym, horyzontem. Polem,



posuwa się wolno, długi szereg kobiet: sylwetki w czarnych luźnych narzutkach pochylają się nisko ku ziemi — podobne krukom na rzysku. Kobiety ścinają sięgające im do kolan, białe pędy krzewów, ich ruchy są szybkie i instynktowne, ich palce niestrudzone a oczy — bez spojrzenia. Zostawiają za sobą nagie bruzdy, ścięte pędy chowają w fartuch lub za pazuchę, i w miarę jak kobiety zbliżają się do nas, brzuchy ich urastają do potwornych rozmiarów. Dochodzą do skraju pola, zatrzymują się i wysypują zawartość fartuchów na białe stopy bawełny. Niemłody, chudy i żylasty Turkmen w baraním kołpaku, liczy i zapisuje w podartym notesie. Poza nami jest on tutaj jedynym mężczyzną: brygadier Medżur-Baba kieruje pracą trzydziestu czarno ubranych kobiet. Kołchoz w Ajtakowie, podobnie jak wszystkie inne kołchozy od granicy afgańskiej aż do kręgu polarnego, dzieli się na brygady, które stanęły do socjalistycznego współzawodnictwa pracy w walce o wykonanie Planu i zwycięstwo na Froncie Rolnictwa. Taka sama wojskowa terminologia obowiązuje tak w odniesieniu do Frontu Przemysłowego jak i Kulturalnego.

Spotkanie „Brygady Pisarzy” z „Brygadą Bawełny” nie udało się. Kobiety nie okazały nam żadnego zainteresowania — mimo, że Hughes był z pewnością nie tylko pierwszym Murzynem jakiego widziały w życiu, ale również bardzo przystojnym Murzynem. Po Rewolucji, Turkmenki zrzuciły z twarzy czarne zasłony, ale na razie ich przemiana była czysto zewnętrzna. Patrząc na kołchożnice z plantacji bawełny w Ajtakowie, miałem wrażenie, że czują się w naszej obecności zupełnie nagie. A jednak kilka z nich, bez żadnego zażenowania, odsłaniało piersi aby nakarmić niemowlęta, które podczas całodziennej pracy nosiły na plecach — w fałdach ubrania. Muzułmanki, zawsze ciężko pracowały, ale nigdy regularnie. Są one także przyzwyczajone do noszenia dzieci na plecach, ale nie w czasie robót polnych, które mogą zniszczyć najzdrowszego człowieka. Kiedy „Brygada Bawełniana” wysypała zawartość fartuchów i odeszła do kolejnej bruzdy, zapytaliśmy Medżur-Babę, co o tym myśli.

Nie mówił po rosyjsku i Kikiłoff służył nam za tłumacza. Medżur-Baba był wysoki, poważny i milkliwy — Kikiłoff, mały, pomarszczony, i wiecznie uśmiechnięty. Z każdego wymamrotanego przez Medżur-Babę słowa, między jednym a drugim splunięciem machorką, Kikiłoff budował okrągłe zdania. Wyjaśnił nam wszystko: kołchoz w Ajtakowie liczył około dwustu pięćdziesięciu ludzi z czego połowę stanowiły kobiety. Podzielono je na cztery brygady, które obecnie zbierały bawełnę. „Dlaczego nie robią tego mężczyźni?” — „Ponieważ są oni zajęci, przy jeszcze cięższej pracy; kopią kanał nawadniający”. (Było coś takiego w słowach Kikiłoffa, co pozwoliło nam wyczuć, że świadomie upiększał odpowiedzi Medżur-Baby). Nie zauważyliśmy nigdzie mężczyzn kopających kanał, widzieliśmy ich natomiast „zajętych” pociem herbaty w tutejszej „czaj-chanie”. Kołchoz pracuje według Planu Produkcji, i każda brygada ma swój własny plan. Ta, którą nam przedstawiono, przekroczyła plan o 65 %, zaś cały kołchoz jedynie o 29 %. Premie przyznawano proporcjonalnie do wykonanej pracy. Pracę mierzono w jednostkach dnia roboczego. „Zważony” dzień równał się trzydziestu dwóm kilogramom zebranej bawełny. Jeśli jakaś kobieta zebrała w ciągu jednego dnia czterdzieści kilo bawełny, notowano, że wykonała dodatkowo jedną czwartą dnia roboczego. Pewna *udarnica* potrafiła zebrać sześćdziesiąt pięć kilo bawełny dziennie. „Która to?” — spytałem. Medżur-Baba wskazał mi czarną i pochyloną postać z niemowlęciem na plecach. „A dlaczego nie oddaje ona dziecka do

źłobka?" Medżur-Baba wzruszył ramionami. — „Dla karmiących matek, leży on zbyt daleko od pól bawełny”. — „Dlaczego więc nie zatrudniono tych kobiet w pobliżu źłobka?" Stary Turkmen ponownie wzruszył ramionami, ale Kikiłoff wtrącił pospiesznie, że wykonanie Planu jest najważniejsze i że kobiety są przyzwyczajone.

Odpooczynek południowy. Siedzieliśmy wszyscy na ziemi na brzegu wyschniętego kanału: kobiety podzieliły się z nami swoim obiadem złożonym z melona, zupy i herbaty, gotowanych na ognisku. W ciągu paru dni spędzonych na plantacji bawełny, menu było zawsze takie same. Nie podano nam ani razu solidniejszych potraw, nawet chleba, poza jedną jedyną okazją: na przyjęciu wydanym na naszą cześć, gdzie obecne były wyłącznie ważne miejscowe osobistości. Nic nie wskazywało na to, że kołchoźnicy, żywią się czymś więcej, poza zupą i melonem.

Podczas obiadu przyłączyła się niespodziewanie do grupy zbieraczek bawełny, młodzianka i ładna Turkmenka. Przyniosła ze sobą książkę, co parę minut siadała przy innej robotnicy i przemawiała do niej cichym głosem. Kikiłoff powiedział nam, że to kołchozowa nauczycielka uczy kobiety czytać i pisać w południe bo wieczorem po pracy są one zbyt zmęczone na naukę... Odniosłem wrażenie, że i teraz były one dostatecznie wyczerpane i że nie zwracały najmniejszej uwagi na słowa dziewczyny, poza tym, że razem z nauczycielką posyłały w naszym kierunku rozbawione spojrzenia. Nie mogliśmy dowiedzieć się czy południowa nauka odbywała się codziennie, czy też ta jedyna lekcja została specjalnie wyreżyserowana dla nas. Kikiłoff tłumaczył, że przed Rewolucją w całej Turkmenii tylko osiemdziesiąt kobiet umiało pisać i czytać, kilka zaledwie umiało rachować. Obecnie ludność tego kraju liczyła jeszcze około 60 % analfabetów wśród dorosłych obu płci, ale Plan przewidywał, że w 1943 roku, nastąpi całkowita likwidacja analfabetyzmu w Azji Sowieckiej.

W pierwszych latach po Rewolucji, rząd sowiecki zastąpił na terenie całej Azji Środkowej, pismo arabskie i perskie alfabetem łacińskim. Ale już wkrótce po mojej podróży, w roku 1934 czy też 1935, wprowadzono cyrylicę. Zamiast polityki swobodnego rozwoju kultur narodowych, reżym stalinowski rzucił hasło: „jedna kultura, jeden język” — to znaczy rosyjski. Kobiety z kołchozu w Ajtakowie musiały uczyć się najpierw liter łacińskich a później cyrylicy — wszystko to podczas półgodzinnej przerwy południowej, karmiąc jednocześnie niemowlęta i jedząc zupę.

Jedna z kobiet odezwała się do przybyszów z dalekiego świata. Była jeszcze młoda o pełnym ciekawości wyrazie twarzy. Poprosiła, opuszczając oczy, aby Madżur-Baba, spytał nas czy Ameryką rządzą Murzyni.

Kiedy kołchoźnice powróciły do pracy, Medżur-Baba zaprowadził nas do herbaciarni, oddalonej o dwa kilometry. Idąc wzdłuż wyschniętych kanałów, dostrzegaliśmy od czasu do czasu, czarny namiot lub lepiankę wśród niezmiętych pól bawełny. Turkmeni są narodem koczowniczym i ich wiekowe tradycje są wciąż jeszcze

silniejsze niż nakazy rządu. W teorii, całe życie kołchozu jest zaplanowane, skoncentrowane i kierowane. Ale kołchoźnicy w dalszym ciągu rozbijają swoje „kibitki” lub budują ziemianki tam gdzie zechcą. Koczownicy unikają życia w zespole, i Ajtakow nie jest wsią w prawdziwym tego słowa znaczeniu — namioty i ziemianki rozproszone są na przestrzeni około czterech kilometrów.

Ulepiona w kształcie sześcianu, „czaj-chana”, była nieco większa od innych chałup. Składała się z dużej izby, za całe umeblowanie mającej dywan na udeptanej ziemi i z izby mniejszej, gdzie znajdował się stół i krzesła — załatwiano tam oficjalne i urzędowe sprawy kołchozu. W pierwszej izbie, wielu mężczyzn przysiadło na dywanie, milcząco i bez ruchu, jak fakirzy hinduscy; pili herbatę z małych filiżanek. Atmosfera tak bardzo przypominała palarnię opium, że zastanowiłem się, czy nie była to właśnie jedna z nich — ale już dawno porzuciłem wszelką nadzieję poznania tajemnic Turkiestanu.

W sąsiednim pomieszczeniu, zastaliśmy uzbeckiego milicjanta, rosyjskiego agronoma oraz osobnika o nieokreślonej fizjonomii i zawodzie, spotykanych we wszystkich kawiarniach Lewantu i czaj-CHANACH Azji. Poprosił nas o tytoń, a ja z kolei zwróciłem się do milicjanta, mówiącego po rosyjsku, aby opowiedział mi o dawnych zwyczajach i folklorze Turkmenii. Próbowałem tego z wieloma poznanymi Turkmenami i zawsze na próżno. Na pytanie w rodzaju „a jak było przed Rewolucją?” odpowiadano mi niezmiennie: „źle, bardzo źle”. Rzadko kiedy udawało mi się uzyskać parę szczegółów. Niekiedy, temu lakonicznemu „źle, bardzo źle”, towarzyszył uśmiech pełen goryczy i smutku — uśmiech ludzi dorosłych, którym dzieci zadają naiwne pytania na zakazane tematy. Dla Turkmenów, kraj wspomnień przemienił się w krainę tajemnic, gdzie przed laty z wysokości minaretów, muezzini wzywali do modlitwy, gdzie oczy kobiet błyszczały niepokojąco spoza czarnych zasłon a nad bazarem unosił się ostry zapach przypraw. W kraju tym wielu ludzi cierpiało głód, ale przynajmniej od czasu do czasu zabijano barana. Niegdyś, pod błękitnym niebem tego kraju, mężczyźni rywalizowali ze sobą i walczyli, a kobiety radowały się życiem — zanim zapadła wielka cisza.

„Jak żyły kobiety przed Rewolucją?” — zapytałem milicjanta. „Źle, bardzo źle”. — „W jaki sposób mężczyzna zdobywał wówczas żonę?” — „Nie mógł jej mieć, bo nie miał pieniędzy aby ją sobie kupić”. — „A więc warstwa ludzi biednych wygasała bezpotomnie?” — „Wszystkie pieniądze i kobiety należały do beja. Było źle, bardzo źle”.

Spędziliśmy całe popołudnie w „czaj-chanie”. Wydawało się, że „coś” jest nie w porządku. Mieliśmy przenocować we wsi i stary Ford, należący do Komitetu Okręgowego Partii, odjechał już z powrotem do Merw. Powoli zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że wieś jako taka w ogóle nie istnieje i że to właśnie „czaj-chana” stanowi całą „wieś”. Kola, marynarz-literat, zdecydował w ostatniej chwili, że odjedzie Fordem. Nie zobaczyliśmy go już nigdy więcej. Żałowałem tego bardzo, ponieważ Kola był wesołym i przedsiębiorczym towarzyszem i zawsze umiał znaleźć nocleg i żywność nawet na pustyni. Po przyjeździe do Merw, wszyscy czterej otrzymaliśmy jeden wspólny pokój o dwóch łózkach, z których jedno było już zajęte (możliwe, że Kola postanowił wrócić wcześniej do hotelu aby uprzedzić nas i zająć wolne łóżko) o pozostałe graliśmy w orła i reszkę i przypadło ono Kikiłoffowi. Na polu bawełny usiłował pokazać kobietom swój tatuaż, ale nie zwróciły na niego najmniejszej uwagi. Teraz, kiedy znikł, uświadomiłem sobie, że nie widziałem aby Kola, który zapewnił, że przygotowuje wielki reportaż z Turkiestanu, zadawał kiedykolwiek pytania lub notował — nie spostrzegłem też ani razu aby posługiwał się piórem lub czytał gazetę. Nie mógłbym przysiąc, ale nie wykluczone, że jeden z członków „Brygady Rewolucyjnych Pisarzy”, był... analfabetą.

Wieczór zapadł nad stepem, a my czekaliśmy wciąż w „czaj-chanie”: Hughes, Kikiłoff, ja i nieodstępujący nas ani na krok Medzur-Baba. Przed paroma godzinami powiedziano nam, że szykuje się dla nas nocleg. Przestaliśmy się tym niepokoić i dla zabicia głodu, piliśmy herbatę. Od wyjazdu z Aszchabadu, nasza „Brygada” żywiła się prawie wyłącznie herbatą i melonami, czasami tylko dostawaliśmy kawałek wielbłądziej kiełbasy i „lepioszki”. Nigdzie nie było papierosów, paliliśmy więc machorkę w gazetowych skrętach. Nie cierpieliśmy zbyt wiele z głodu, bo melon przyprawiał nas o nieustanną biegunkę. „Brygada Pisarzy” została sfotografowana w Aszchabadzie a później w Merw i udzieliła wywiadu dla prasy miejscowej — słowem witano nas wszędzie uroczyście i z honorami. A jeśli nie mogliśmy uzyskać lepszego pożywienia to dlatego, że podróżowaliśmy po kraju dotkniętym epidemią głodu i gdzie brakło służby propagandowej zdolnej ukryć prawdę przed gośćmi z zagranicy. Kikiłoff dobrze wiedział, że w Turkmenii panuje głód, zaś Hughes i ja stwierdzaliśmy to na każdym kroku, ale staraliśmy się o tym nie mówić.

Gdy zrobiło się już zupełnie ciemno, Kikiłoff i Medzur-Baba, zdecydowali, że czas już pójść. Zapadła gwiazdzista ale bezksiężycowa noc i było zimno. Drząc z chłodu i potykając się o

kamienie, prowadzeni przez Medzur-Babę, przebiegliśmy około dwóch kilometrów. Niebo usiane gwiazdami nigdzie chyba nie jest tak piękne i niezwykle jak nad pustym bezmiarem stepu — przestaliśmy żałować naszego przyjazdu do Ajtakowa. Na skrzyżowaniu kanałów dołączył się do nas jakiś starzec. Kikiłoff wszczął z nim rozmowę i później nam ją przetłumaczył:

— Powiedz-no, ile to lat liczysz sobie towarzyszu wujku?

— Sześćdziesiąt albo i siedemdziesiąt, któż to może wiedzieć!

— Pracujesz jeszcze?

— Całe życie pracowałem.

— Umiesz pisać towarzyszu-wujku?

— Yok (nie).

— Czemu się nie nauczysz?

— Jestem na to za stary.

— Powinieneś jednak spróbować.

— Po co? widzę to co widzę, wiem to, co wiem. I tak nie będę mógł nigdy przeczytać napisu na moim grobie.

— Jechałeś już kiedy pociągiem?

— Yok!

— Ale widziałeś pociąg na własne oczy?

— Tak, w Merw. Byłem tam jeden raz.

— A samoloty widziałeś?

— O tak, widuje się je tutaj. Nie wiedziałem, że w środku są ludzie. Powiedziano mi ale nie chciałem w to wierzyć. Uwierzyłem dopiero wtedy, kiedy dostałem list od syna, w którym mi pisał, że leciał samolotem.

— Dokąd leciał?

— Syn pracował najpierw w fabryce bawełnianej w Taszkencie, później w Samarkandzie, i do samej Samarkandy, do samej Samarkandy leciał, na Allaha!

Kikiłoff był tego wieczora w wyjątkowo dobrym humorze i dzielił się z nami swymi wspomnieniami z niezwykłą u niego wylewnością. Pochodził z tych okolic, i po raz pierwszy od chwili naszego spotkania, mówił o sobie. Szliśmy potykając się w ciemności, a on opowiadał nam o corocznych krwawych awanturach o wodę, jakie przed Rewolucją odbywały się w jego rodzinnej wsi. Pola uprawne miały być co prawda nawadniane według ustalonego porządku, ale zawsze brakowało wody i nocą ludzie, po kryjomu przed innymi, czerpali ją dla swoich poletek. Brat Kikiłoffa stracił życie właśnie podczas bijatyki o wodę — sąsiad drągiem rozbił mu czaszkę. Być może wydarzenie to uczyniło z Kikiłoffa rewolucjonistę.

Później, po rozmowie na temat samolotów ze starcem spot-

kanym na skrzyżowaniu kanałów, Kikiłoff przypomniał sobie inną historię. Zdarzyło mu się podróżować wśród Tadżyków Pamiru, ludności jeszcze bardziej zacofanej niż Turkmeni. Gdy patrol Armii Czerwonej na rowerach wjechał do wioski, przeżeni tubylcy uciekali — widzieli w swoim życiu wiele samolotów latających po niebie, ale nigdy nie widzieli roweru. Dalekie samoloty nie wzbudzały w nich lęku, uważali je bowiem za bezduszne maszyny, natomiast widok człowieka poruszającego się na dwóch kołach, wydał im się wynalazkiem diabła.

Przygotowano nam nocleg w tutejszym żłobku. Była to duża izba, nawet dość czysta, jej jedyne umeblowanie stanowiły dywany i propagandowe afisze, które przy pomocy rysunków bakcyli powiększonych do ogromnych rozmiarów — polecały przestrzeganie higieny.

Późną nocą odbyło się wydane na naszą cześć zebranie miejscowych znakomitości: dwóch bardów śpiewało ballady przy akompaniamencie dwustrunnego instrumentu, zwanego „tara” — muzyka ta, jak się Hughes’owi i mnie zdawało, bardzo zbliżona do chińskiej i obca dla „zachodnich” uszu, podobała się niezmiernie naszym gospodarzom, którzy wkrótce pograżyli się w pewnego rodzaju transie. W zamkniętym pomieszczeniu około trzydziestu osób siedziało na ziemi a powietrze przesycone było duszącym zapachem machorki. Bardami byli — nauczyciel i urzędnik Komitetu Okręgowego Partii. Kikiłoff wyjaśnił nam, że ballady mówią o bohaterstwie i nieszczęśliwej miłości.

Po każdej strofce, pieśniarze, odrzucając do tyłu głowy, wznosili przeciągły gardłowy okrzyk — przetrzymywali go minutę lub dłużej, aż do chwili kiedy z wysiłku bieleły im twarze i oczy wychodziły z orbit. Okrzyki te, jak się zdawało, szczerze radowały zebranych, a to tym bardziej im dłużej trwały. Jediną obecną na uroczystości kobietą była rosyjska lekarka, która po pewnym czasie pożegnała się i znikła w ciemnościach nocy.

Śpiewy ciągnęły się jeszcze przez wiele godzin; podawano nam wyłącznie herbatę, aż wreszcie dotarły do nas obiecujące szepty, że właśnie zabito na naszą cześć barana. O świcie, kiedy straciliśmy już wszelką nadzieję, baran pojawił się wreszcie w ogromnej drewnianej wazie. Wniesiono jeszcze stos pieczywa (po dwie „lepioszki” dla każdego) i wspólną dla wszystkich drewnianą łyżkę.

Rytuał uroczystości przypominał arabskie tradycje: napełniona sosem łyżka trzykrotnie krążyła z ust do ust, po czym zwinąwszy rękawy u koszul, zabraliśmy się do maczania „lepioszek” w wazie — a wszystko to pod ironicznym spojrzeniem ogromnych bakcyli, z zawieszonych na ścianach plakatów. Kiedy

przyszła kolej na mięso, chwytano je palcami, delikatnie, bez pośpiechu i z kurtuazją. Każdy wolałby raczej umrzeć niż zdradzić łakomstwo.

Gdy z barana nie pozostało już śladu, raz jeszcze piliśmy herbatę. Większość uczestników biesiady rozeszła się w blaskach wschodzącego słońca a pozostali legli pokotem na podłodze — i chrząkając z zadowolenia zasnęli.

Kikiłoff zaprowadził Hughes'a i mnie do szkoły w Merw, gdzie wisiał napis: „Witajcie bohaterscy Towarzysze, Rewolucjoniści Europy i Ameryki”. Zaproszono nas do zwiedzenia najstarszej klasy, podczas lekcji niemieckiego. Na nasz widok uczniowie zerwali się z ławek i wykrzyknęli chórem:

„A guten Tog!”

Winno być — *Guten Tag*. Spojrzałem na nauczyciela i nagle ugryziłem się w język: był to młody Żyd z Mińska — przyszła elita oazy Merw, starożytnej kolebki rasy aryjskiej, sądziła, że uczy się niemieckiego a był to... żydowski żargon!

Następnie wysłuchaliśmy lekcji historii w klasie niższej, gdzie odbył się nader zajmujący dialog (w języku rosyjskim) między nauczycielką a uczennicą. Cytuję, według „Czerwonych dni”:

„Nauczycielka, ma lat piętnaście, pochodzi z okręgu bawełnianego i jeszcze przed pięcioma laty była analfabatką. Uczennica jest małą dziewczynką — w tatarskiej twarzyczce błyszczą wielkie, skośne oczy lalki, kapie jej z nosa, mimo że nieustannie wyciera go w bluzę”.  
*Nauczycielka*: (poprawia szalik na cześć „Bohaterskiej Brygady Pi-sarzy”) — Powiedźcie no, moje dzieci jaką to rocznicę będziemy wkrótce obchodzili?

*Uczennica* (wyjmuje palec z nosa i wstaje).

*Nauczycielka*: — Aszar, czy umiesz odpowiedzieć na to pytanie?

*Aszar*: — Będziemy obchodzili piętnastą rocznicę Planu Pięciolet-niego.

*Nauczycielka* (rozczerowana): — Nie tak Aszar. Chcesz powiedzieć piętnastą rocznicę Rewolucji.

*Aszar*: — Tak, rewolucji.

*Nauczycielka*: — Powiedz nam teraz kiedy miała miejsce Rewolucja?

*Aszar*: — Dawno, bardzo dawno.

*Nauczycielka*: — No już piętnaście lat temu, ponieważ będziemy obchodzili jej piętnastą rocznicę.

*Aszar*: — Rewolucja odbyła się piętnaście lat temu.

*Nauczycielka*: — Powiedz nam teraz, kto jest starszy: ty od Rewo-lucji czy Rewolucja od ciebie?

*Aszar* (po dłuższym zastanowieniu): — Rewolucja jest starsza.

*Nauczycielka* (zachwycona): — A co było przed Rewolucją?

*Aszar* (żywo): — Burzuje.

*Nauczycielka*: — Tak, burzuje nami rządzą, a chłopci, robotnicy i pastuchy nie mieli nic. Nieprawdaż?

*Aszar* (potwierdza).

*Jeden z gości* (wtrąca się do rozmowy): — A kto to jest burzuje?

*Aszar*: — Ty jesteś burżujem.

*Gość* (urazony): — Dlaczego mam być burżujem?

*Aszar* wkłada palec do nosa i śmieje się.

*Nauczycielka* czerwienieje jak zachód słońca na stepie.

*Głos z głębi klasy*: — A ja, wiem kto to jest burżuj!

*Nauczycielka* (sceptycznie): No więc?

*Głos*: — Burżuj jest kapitalistą.

*Gość*: — A kto jest kapitalistą?

*Aszar*: — Bej był kapitalistą.

*Głos* (coraz szybciej): — Bejowie — kapitaliści mieli wielkie brzuchy ponieważ zjadali wszystko co było, a ludzie pracy byli biedni. I byli także Mullachowie. Mullachowie wynaleźli Allaha. W krajach kapitalistycznych, gdzie nie było Rewolucji, są jeszcze bejowie i Mullachowie.

*Nauczycielka* (rozjaśniona): — A do kogo należały fabryki przed Rewolucją?

*Chór*: — Do burżujów.

*Nauczycielka*: — A do kogo należała ziemia?

*Chór*: — Do burżujów.

*Nauczycielka*: — A teraz do kogo należy to wszystko?

*Chór*: — Do Naszej Soc-ja-lis-tycznej Oj-czyz-ny....

Permetyab, zapadła wioska na granicy afgańskiej, wydała mi się miejscem zapomnianym przez Boga i ludzi. Jest ona zamieszkała przez Afgańczyków i Baluszi, w porównaniu z którymi, nawet Turkmeni sprawiają wrażenie subtelnych intelektualistów. Permetyab nie jest zaznaczony na mapie a leży około stu kilometrów na południowy wschód od Merw.

Wybraliśmy się tam Fordem, zaopatrzeni w dodatkowe opony oraz, zapasy melonów i „lepioszek”. Nie było widać żadnej drogi: szofer posuwał się naprzód według dość wątpliwych znaków i wskazówek okręgowego KULTPROP’a (urzędnik partyjny do spraw kultury i propagandy), energicznego rosyjskiego orientalisty. Mówił on biegle po turkmeńsku i znał każdą „kibitkę” w okolicy. Samochód nieustannie zanurzał się w piachu a kolczaste krzewy dziurawiły opony.

Zatrzymaliśmy się przy kanale szerokości dwóch do trzech metrów, bez cienia mostu na horyzoncie. O niecały kilometr dalej dostrzeżliśmy „kibitkę”. Siedział przed nią stary Turkmen i palił machorkę. Obok wznosiła się druga niedokończona „kibitka”. Pod kierunkiem KULTPROP’a zaczęliśmy ją rozbierać. Przerzuciliśmy na drugi brzeg drewniane kołki i położyliśmy na nich artystycznie plecioną matę, zdobiącą dotychczas ściany i podłogę. Wzmocniliśmy „konstrukcję” przy pomocy trzciny i gliny. Gdy sprawdziliśmy wytrzymałość „mostu”, — zwałił się nam do kanału. Rozpoczęliśmy pracę od nowa i tym razem przejechaliśmy. Nieruchomy, stary Turkmen bez słowa protestu, patrzył na zniszczenie swojej kibitki.



Drugi kanał był węższy i wystarczyło zasypać go piaskiem aby przejechać (później łopatami odrzuciliśmy piasek). Po drodze, zwiedziliśmy dawny, zrujnowany karawan-seraj, zamieniony obecnie na magazyn plantacji. Wielbłądy zwały na podwórze wielkie bele bawełny: na starych murach rozlepiono znane afisze — portrety Wodzów Rewolucji, slogany anty-religijne i anty-imperialistyczne oraz rysunki ogromnych mikrobów nawołujące do walki z syfilisem. Dyrektor magazynu, Rosjanin, zwierzył się nam, że jego robotnicy przekroczyli wykonanie planu o 10 %.

Zajechaliśmy wreszcie do Permetryab. Wśród chaotycznie rozrzuconych namiotów i ziemianek nie dostrzegliśmy w pierwszej chwili, żadnych śladów życia — jedynie kilka zdziczałych psów, uganiających się w pobliżu, przyglądało się bacznie samochodowi, jak hieny — z pewnej odległości. Nikt nie wyszedł nam na spotkanie. Prowadzeni przez KULTPROP'a zbliżyliśmy się do pierwszej z brzegu „kibitki”. U wejścia, brodaty olbrzym, w pasiastym niechlujnym kaftanie palił *hookah*. W mrokach namiotu, rozróżniliśmy postać kobiecą w łachmanach; na rękach i nogach miała mosiężne bransolety. Po ziemi tarzało się dwoje brudnych dzieci z otwartymi ranami na twarzy. Wydrążona dynia służąca do noszenia wody i wytarta mata — oto całe umeblowanie. Podobnie rzecz się miała w innych namiotach. Ojcowie rodzin pozdrawiali nas mruczając niewyraźnie parę słów, dzieci spoglądały na nas trwożnie a kobiety odwracały głowy.

Nasz KULTPROP znalazł wreszcie człowieka, którego szukał — ten młody, ogolony mężczyzna, wydawał się bardziej oswojony od innych: był również jedynym mieszkańcem wioski mówiącym po turkmeńsku i dzięki niemu nawiązaliśmy wreszcie kontakt z tubylcami. Młody człowiek przekładał tutejszy dialekt na turkmeński, Kikiłoff czy też KULTPROP z turkmeńskiego na rosyjski, a ja to wszystko na angielski, dla Hughes'a. Mieszkańcy wioski zbiegli się i otoczyli nas zwartym tłumem. Aby przełamać lody, KULTPROP zaproponował Hughes'owi i mnie abyśmy pokazali tubylcom wieczne pióra i zegarki. Przedmioty te, jak i mój skórzany pasek, papierośnica Hughes'a oraz odznaka związkowa Kikiłoffa, przechodziły z rąk do rąk wśród okrzyków niekłamane go podziwu. Nigdzie, nawet u Beduinów Arabii, nie widziałem podobnej ciemnoty, zacofania i brudu. Większość ludzi miała ciało pokryte wrzodami i chore oczy: prawie połowa z nich nie widziała na jedno oko. Zdziczałe dzieci siedząc w kurzu iskały się na wzajem, niczym małe małpki.

Zważywszy na niedokładność „łańcuszkowego” przekładu i wschodni zwyczaj odpowiedzi na pytania drogą uprzejmych potwierdzeń — nie można było dowiedzieć się prawdy o życiu tych

ludzi. Mieszkańcy wioski pochodzili z Afganistanu, Beludżistanu i Persji: niektóre rodziny, jak się zdaje, przebywały w Permetyab od dwóch lub trzech pokoleń. Słowo „emigrować” nie będzie tu właściwe: chodzi bowiem o koczowników, którzy wraz z całym dobytkiem przekroczyli niewyznaczoną granicę między morzem Kaspijskim a rzeką Amu-Darią, nie zdając sobie bynajmniej sprawy, że przeszli spod rządów jakiegoś Habibullacha pod jarzmo jakiegoś Mikołaja czy Aleksandra. I nagle, nie wiadomo na jak długo, zostali zamknięci w rodzaju getta na pustyni. Czy byli zadowoleni? Bardzo zadowoleni, chwała Bogu. A czy rząd sowiecki dobrze ich traktuje? Bardzo dobrze. Rząd buduje im nowe piękne domy, każe wysyłać dzieci do szkół i zaleca nowoczesną higienę. Bogu niech będą dzięki. W jakim stopniu wkradły się do „zbiorowego” tłumaczenia owe błogosławieństwa? Nie mogliśmy tego dociec. „Słowa” nie miały żadnego związku z tym co widzieliśmy na własne oczy lecz nikt się tym nie przejmował. To nie była potiemkinowska wieś. To było coś bardziej ciekawego, a jednak wszyscy trzej, Hughes, Kikiłoff i ja, poddaliśmy się swoistej hipnozie werbalnej — był to triumf sloganu nad rzeczywistością. Czy wykonali Plan? Droga nieustannych i bohaterkich wysiłków brygadzystów oraz dzięki poważnej pomocy rządu sowieckiego przekroczyli Plan o 22  $\frac{1}{2}$  %. A co produkują? — To i owo. — Bawełnę? — Tak, w okolicy znajdują się plantacje bawełny. — A gdzie? — Niedaleko stąd. — A co produkują w samej wiosce? — Wiele rzeczy a wszystko ku największej korzyści mieszkańców wsi i rządu, itp.

Dowiedzieliśmy się, że były dwa osiedla Permetyab: wioska i kołchoz, oddalony o dwa kilometry. Wsiadliśmy do samochodu: paru brodaczy w niechlujnych turbanach machnęło nam ręką na pożegnanie i wszystko znikło w tumanach kurzu. KULTPROP zapytał, czy wioska podobała nam się? Odpowiedzieliśmy że, bardzo, Bogu niech będą dzięki.

Na pierwszy rzut oka, kołchoz niewiele różnił się od wioski. Było tu nieco więcej ziemianek niż namiotów, (domek chociaż najbardziej prymitywny jest symbolem przejścia z warunków koczowniczych do osiadłego życia, i dlatego sowiecka propaganda prowadzi intensywną kampanię na tym kierunku). Młode kobiety nie uciekały w popłochu na widok cudzoziemców. Wielu tutajszych mężczyzn zamieniło tradycyjny turban na sukienną czapkę a niektórzy zgolili brody. Zobaczyliśmy duże pole i pracujących tam ludzi, a nawet traktor, co prawda w bardzo złym stanie. Powiedziano nam, że wszyscy mieszkańcy kołchozu, osiedlili się tutaj dopiero po Rewolucji.

Zebrałiśmy się w jedynym murowanym budynku, gdzie znaj-

dowała się szkoła, ośrodek medyczny i administracja kołchozu. Podobnie jak w Ajtakowie, spotkaliśmy tutaj lekarkę Rosjankę, również sympatyczną i energiczną jak jej koleżanka. Opowiadała nam odważnie o trudnościach pracy lekarza: syfilis panoszył się chronicznie i nie można było wiele zrobić aby mu zapobiec, dlatego większość czasu i wysiłku poświęcała ona leczeniu chorób oczu: przed dwoma laty dziewięćcioro dzieci na dziesięć cierpiało na zapalenie spojówek. Obecnie było nieco lepiej, ale śmiertelność wśród niemowląt wciąż jeszcze sięgała 50 %. Według dawnego zwyczaju, rodzące matki przegryzały zębami pępowinę: jedynie nieliczne, „politycznie uświadomione” rodziny wzywały lekarza do porodu. Zmarłych kąpano w gorącej wodzie (była to ich pierwsza i ostatnia gorąca kąpiel) i grzebano w pozycji stojącej, bez trumny. Na pytanie czy mężczyźni byli zażenowani, że leczą się u kobiety, lekarka odpowiedziała: nie, nie znają tego rodzaju pruderii.

Było nas około dwudziestu siedzących na dywanie: podzieliśmy wśród tubylców przywiezione przez nas „lepieszki”, melon i machorkę. Panowała szczerą i przyjacielską atmosfera. I tym razem zebrani podziwiali nasze pióra i zegarki — członkowie kołchozu byli niemniej prymitywni niż mieszkańcy wioski. A jednak istniała między nimi ogromna różnica.

Ludzie z wioski, niedobitki azjatyckich pustyń znaleźli się przypadkiem po tej stronie granicy, nie troszcząc się ani o to co z nimi będzie ani w jakim kraju żyją, natomiast kołchoźnicy przyjechali tutaj dopiero po Rewolucji i z własnego wyboru. Ten akt świadomej woli, wyzwolił ich z łańcuchów wschodniego fatalizmu. Byli rewolucjonistami, w prawdziwym prometejskim tego słowa znaczeniu.

Do izby wprowadzono rosnącego starca — wszyscy zebrani zdawali się oczekiwać tej chwili. Miał wyraz twarzy zdziwały i ponury, a zarazem dostojeństwo biblijnego patriarchy. Gdy usiadł na honorowym miejscu, zauważyłem, że jest ślepy. Był to pieśniarz i filozof kołchozu; wydawało się, że wzbudzał szacunek nawet samego KULTPROP'a, który bardzo nieśmiało zadał mu parę pytań. Słowa starca zostały na pewno „upiększone” i zbanalizowane w toku „łańcuszkowego” przekładu, myślę jednak, że mimo wszystko, udało mi się uchwycić zasadniczy sens opowieści. Patriarcha kołchozu Permetryab, ciągnął gardłowym, ochryłym głosem:

....Co myślę o traktorze? Minęło wiele wiosen od kiedy oślepiłem, zanim traktor zjawił się na naszej wsi. To piękna i mądra maszyna, wielkości młodego wielbłąda.

...Znam i inne maszyny. Czasami przyjeżdża tutaj samochód i zabiera baranie i wielbłądzie kości — całe stopy. Samochód zawozi kości dla rządu. A później jeszcze inna maszyna robi z nich papier, na którym drukuje się Koran, ta maszyna musi być chyba jeszcze mądrzejsza i większa od dorosłego wielbłąda.

...Kiedyśmy tu przyjechali? Wiele wiosen minęło — mój mały Ali chodził już wtedy, ale jeszcze nie umiał biegać. Przyszliśmy w czasie, kiedy emir Amanullach, syn Habibullacha uciekł z kraju i między plemionami Pasztu wybuchła wojna. Zapanował głód. I słyszeliśmy, że w Rosji Lenin wyrzucił bejów, że rozdaje bydło pasterzom a ziemię biedakom i że maszyny orzą pola...

...Nie chcieliśmy tu w uwierzyć. Ale za każdym razem, kiedy pojawiali się wśród nas przemytnicy czy wędrowni kupcy, powtarzali oni wciąż te same słowa. Mówili, że wielu ludzi zamieszkało niedaleko stąd w wiosce zwanej Permetyab, i że czują się tam dobrze, mają ziemię, wodę i bydło. A my byliśmy głodni, nasze dzieci umierały z głodu, nasze kobiety wydawały na świat martwe niemowlęta.

I wielu z nas mówiło: „trzeba nam iść do kraju, gdzie zapanowała nowa religia”. A inni na to: „Allah rozgniewa się i ukarze was, tak jak karze wszystkich niezadowolonych, co szukają nowości”. Wtedy ci pierwsi odpowiedzieli: „Jeśli Allah zesłał na nas głód, to znaczy, że gniew Jego jest wielki i chyba już nie może być większy — idźmy więc lepiej tam, gdzie bydło należy do pasterzy a ziemia do biedaków”. Wiele mówiło tymi słowami, ale tylko niektórzy przeszli granicę, ponieważ, drodzy towarzysze, niezmierną jest słabość ludzi, jeśli nie znają socjalizmu.

...Czy jesteśmy wszyscy z tych samych stron? Nie. Jedni z nas pochodzą z plemion Szilzigi, inni z plemion Afridi. Nie wiedzieliśmy wtedy nic więcej, tyle tylko, że Lenin wygnał bejów. W Afganistanie wszyscy o tym wiedzieli. Jedni mówili, że to dobrze, inni że źle: chociaż było zabronione, wszyscy mówili.

Nigdy nie umiałem czytać, nawet wtedy kiedy miałem oczy. Ale dużo przemyślałem w czasach głodu, mimo, że było zabronione myśleć o tych przeklętych sprawach.

A teraz powiem wam co wymyśliłem:

Napełniony brzuch wart jest więcej niż usta najpiękniejszej kobiety.

Studnia na pustyni, warta jest więcej niż dalekie chmury i oczekiwanie deszczu.

Religia, która pomaga ludziom, warta jest więcej niż ta, która obiecuje.

Wracaliśmy przez pustynię do Merw: wieczorne słońce zapaliło daleki horyzont, najpierw na zachodzie, a wkrótce i na południu od strony granicy perskiej i afgańskiej. Jechaliśmy w kierunku ogromnego pożaru nieba.

## BUCHARA I SAMARKANDA

W średniowieczu oba te miasta przeżywały swoje wielkie dni: w Samarkandzie znajdowała się rezydencja Tamerlana i jego następców — Bucharą była sławnym ośrodkiem religijnym Islamu. Od kiedy, jako uczeń, pochłaniałem książki Vambéry o Azji Środkowej, nazwy tych miast brzmiały dla mnie magicznym dźwiękiem — nawet nie marzyłem, że będą one dostępne dla europejskich oczu i, że uda mi się je zwiedzić. Niestety, z podróży do Buchary i Samarkandy pozostało w mej pamięci jedynie smutne wspomnienie ogólnego zniszczenia i piękna zmieszanego z brudem: Rosjanie obrabowali te bajeczne miasta nie mniej bezlitośnie niż złota orda Dżingis-chana.

Błądziłem po zrujnowanym Registanie Samarkandy w towarzystwie młodego Uzbeka, oficera Armii Czerwonej, który przypominał mi Anwarą Umorzakowa: był równie powściągliwy i sympatyczny. Urodził się tutaj i, mimo że zarażony „dogmatyzmem partyjnym” — kochał swoje miasto i jego przeszłość podobnie, jak mieszkańcy Aten czy Rzymu. Myślę, że Registan Samarkandy był niegdyś najpiękniejszym pomnikiem Islamu; duży plac w kształcie prostokąta, jak włoska piazza, zamykają trzy słynne „medresseh” — średniowieczne uniwersytety: Tillikari, Shirdar, i Ullug-beg. Ich architektura jest imponująca a zarazem pełna lekkości i wdzięku — misternie rzeźbione kolumny i arkady pokryte są barwną, złocisto-różowo-szmaragdową mozaiką: — fajerwerki zastygłe na wieki. Oglądałem już wcześniej mozaiki Jerozolimy, Bagdadu i Damaszku, a w parę lat później miałem poznać maurytańskie zabytki Grenady i Sewilli — ale chyba tutaj, w Samarkandzie, geniusz Timura Kulawego i jego

następców, stworzył prawdziwą syntezę architektury arabskiej, perskiej i Dalekiego Wschodu — syntezę wzruszającą i niezwykłą. W pewnej chwili poczułem nagłą chęć, aby sięść w cieniu szafirowej, połamanej kolumny i zapłakać nad „beznadziejnością i absurdem ludzkich losów” — patrząc na pokruszone arkady i mozaiki — żałosne skorupy, poniewierające się w ruinach cuchnących psim moczem.

Poszliśmy do Letniego Pałacu Tamerlana. Przypomniałem sobie wówczas zdanie, wyjęte z pewnego perskiego poematu: „Samarkand seikeli rui zemin est — Samarkanda jest ośrodkiem świata”. Ten ośrodek potęgi przesunął się w ciągu wieków po całym świecie jak wędrujące pole magnetyczne i żaden historyk nie odkrył prawa jego poruszania się. Usiłowania aby sprowadzić wędrujące pole magnetyczne — „serce ziemskiej potęgi” — po raz drugi do tego samego kraju — kończą się zawsze klęską, że przypomnę tylko Napoleona III-go, Mussoliniego czy Hitlera. Wysiłki dyktatorów nie przyniosły odrodzenia narodom — dały jedynie tragicomiczną parodię przeszłości. Czyżby Stalin miał okazać się wobec Tamerlana tym, kim był Mussolini wobec Cezara?

Timur Kulawy wydawał mi się zawsze postacią pociągającą i bardziej ludzką, niż tajemniczy Aleksander Wielki czy dwuznaczny Juliusz Cezar. Historycy przeczą sobie wzajemnie w ocenie charakteru Tamerlana — rzecz nieunikniona, chodzi tu bowiem o nieprzeciętnego erudytę i wodza, który, jak każdy „intelektualista na tronie”, musiał wzbudzać niepokój współczesnych. A że był prawdziwym intelektualistą, rzuca się to wręcz w oczy już od progu jego kaplicy grobowej — Turbeti Timur — gdzie pod ciemno-zielonym obeliskiem — spoczywa sam Tamerlan a tuż obok, jego mistrz i przewodnik duchowy — Mir Said Berki: żaden z wielkich władców świata na to się nie zdobył!

Surowe i piękne wnętrze grobowca ma kształt ośmiokąta i około siedmiu metrów średnicy — złociste arabeski na błękitnym tle zdobią alabastrowe mury. Na obelisku Tamerlana jedynie jego nazwisko (Köregen) — nigdzie żadnych tytułów czy ozdób.

Vambery opisując grobowiec wspomina, że widział tam kopię Koranu, wykonaną na skórze gazeli przez Osmana — drugiego kalifa Samarkandy. Nie zauważyłem już tej relikwii natomiast zwróciłem uwagę na, zawieszony na ścianie, ogon białego konia, ulubionego wierzchowca Timura. Vambery albo nie doszrzedł „białego ogona”, albo też ta pamiątka znalazła się w kaplicy dużo później.

Zabytki Samarkandy z epoki Tamerlana mają niezwykłą pros-

totę i lekkość — przeładowanie architektury zrodziło się dopiero za panowania Mongołów. Pałac letni Timura jest skromny i niewielki — ale mozaikowe posadzki i mury z fajansu zachowały dawną doskonałość kompozycji i kolorów.

Pałac wznosi się ponad opadającym tarasowato ogrodem, dokąd wiedzie czterdzieści marmurowych stopni; na bramie ogrodowej spotykamy ponownie napis, poświęcony jednemu z nauczycieli Tamerlana — Szah Zindeh, zwanego również Kazim-ibn Abas, którego grób Timur, jeden z pionierów Islamu w Azji Centralnej, kazał umieścić po środku ogrodu, tuż pod oknami wielkiej sali przyjąć.

Tę pasję dla wiedzy przejęli spadkobiercy Tamerlana: wkrótce po jego śmierci jedna z żon władcy, księżniczka turecka Bibi Hanum, kazała wybudować, na własny koszt, największe „medresseh” Samarkandy — seminarium zdolne pomieścić około tysiąca studentów. Dzieło tej miary, wykonane z inicjatywy kobiety-Muzułmanki, charakteryzuje wyjątkową atmosferę swobody umysłowej, jaka panowała w Azji Tamerlana; dodajemy, że wnuk jego zbudował obserwatorium astronomiczne słynne na całym świecie<sup>1</sup>.

Wybraliśmy się raz jeszcze do Registanu Samarkandy. Uzbeki oficer, ze smutkiem, przyglądał się ruinom dawnej świetności. Był to człowiek małomówny; powiedział tylko — „rząd przeznaczył sto pięćdziesiąt tysięcy rubli na prace restauracyjne”.

Prowadziłem w Rosji życie bardzo ascetyczne — tym niemniej w ciągu jednego roku wydałem na moje własne utrzymanie jedną trzecią tej sumy.

„Pora wstać! Idźcie się wypróżnić! Gimnastykujcie się, gimnastykujcie się! dziesięć minut kultury fizycznej! Jedzcie śniadanie i wymarsz do pracy!”

Głośnik, wykrzykujący powyższe przykazania, obudził mnie nagle pierwszego ranka mego pobytu w Bucharze, gdzie megafony, umieszczone na placach publicznych, zastąpiły wezwania muezzina. Te rozkazy, zmechanizowane i obsesyjne, nasunęły mi natychmiast porównanie z książką „Nowy wspaniały świat” Huxley’a.

Szlachetna Bucharą uległa sowietyzacji w stopniu znacznie większym niż inne miasta azjatyckie. Zabytkowe dzielnice zrównano z ziemią; słynne w całej Azji bazy Buchary — zamarły; nigdzie ani śladu malowniczych handlarzy zachwalających dywa-

1. Dla dokładności; istnieją pewne wzmianki o obserwatoriach powstałych wcześniej, za panowania władcy Hellagu w Maraga, ale nie pozostało po nich śladu.

ny, jedwabie, przedmioty ze złota lub miedzi, skórki jagniąt z Kara Kul — rzadkie rękopisy czy egzotyczne przyprawy. Trzysta sześćdziesiąt meczetów i sto czterdzieści „medresseh” uległo zniszczeniu — jedno z nich zamieniono na szkołę, inne zburzono, między innymi słynny minaret meczetu Kokumbez, skąd zrzucono na ziemię skazanych na śmierć heretyków. Stare księgi i cenne rękopisy, które niegdyś czyniły z Buchary ośrodek naukowy i religijny Islamu — spalono lub rozkradziono. W dawnej cytadeli mieścił się obecnie internat — a w haremie emira — szpital wariatów. „Za cztery lata” powiedział mi z dumą przewodniczący Miejskiego Komitetu Urbanistyki — „Buchara będzie miastem europejskim”.

Zniszczenia Samarkandy chwyciła za serce, ale ruinę Buchary przyjąłem obojętnie. Na przestrzeni trzech stuleci było to miasto nieprzemijającego koszmaru: fanatyzm Islamu rozpełtał tu coś w rodzaju kolektywnego szaleństwa. Okrucieństwa ostatnich emirów Buchary przewyższają zbrodnie szalonych chanów Chiwy (gdzie Vambery był obecny, jak wyłupiano oczy jeńcom wojennym).

W Bucharze, skazanych na śmierć spychano do wyschłych studni, zrzucano z wysokości minaretów albo też zarzynano na publicznym placu. Za najmniejsze odchylenie od religijnego rytuału, krytykę absolutnego władcy, czy przestępstwo seksualne — wymierzano surowe kary. Vambery opisuje jak Raiz (strażnik religii) przechadzał się po ulicach z pejczem w ręku i zapytywał każdego przechodnia o zasady Islamu — tych co nie umieli odpowiedzieć na pytania, bez względu na wiek, odsyłał do szkoły podstawowej<sup>1</sup>.

Mimo purytańskich wymagań wobec ludności — emir i jego świta prowadzili rozpustny tryb życia. Władze sowieckie pozostawiły w dobrym stanie pałac emira, który otwarty dla publiczności miał służyć poglądowej nauce historii. Zbudowany u schyłku ubiegłego stulecia pałac ten odznaczał się bardzo złym gustem i przypominał... paryski burdel. Ostatni emir Buchary miał, jak się zdaje, prawdziwą manię kolekcjonowania luster: lustra na suficie, na oparciu łóżka, na parawanach i drzwiach — nawet w maleńkim pałacowym WC (w haremie znajdowały się tylko latryny). Sala przyjęć była groteskową imitacją galerii zwierciadlanej; tam też znajdował się, pokryty czerwonym pluszem, tron. Z specjalnie zarezerwowanego balkonu, obserwował niegdyś Emir nagie kobiety, kąpiące się w ogrodowym stawie. Całość

---

1. Vambery: *Podróże po Azji Środkowej, 1868 rok.*



przypominała wiernie obrazy z życia rozpustnego wschodniego tyra na w amerykańskim filmie.

Ostatni emir Buchary — Olim-Chan, miał w swoim haremie cztery żony, jedenaście oficjalnych faworyt, sto dwadzieścia kochanek i czterdziestu chłopców. W roku 1920 uciekł z żonami i chłopcami do Afganistanu.

Domyślałem się, że w mieście pozostało wiele kobiet należących niegdyś do emira i postanowiłem znaleźć przynajmniej jedną z nich. Zwróciłem się w tej sprawie do Wydziału Edukacji Kobiet przy Radzie Miejskiej, skąd odesłano mnie do Wydziału Prasowego a następnie do Wydziału Agitacji i KULTPROP'a. Zniecierpliwiony poszedłem do G.P.U. i w cztery godziny później przedstawiono mi młodą osobę, nazwiskiem Rahat Razikowa, która przed laty przebywała w haremie Olim-Chana, a obecnie była delegatką Związków Zawodowych.

Nasze spotkanie odbyło się w towarzystwie KULTPROP'a, Przewodniczącej Wydziału Edukacji Kobiet i tłumacza. Rahat Razikowa niedawno przekroczyła trzydzistkę: była raczej ładna o nieco zwiędłej, spłaszczonej twarzy i mongolskich rysach. Starannie splecione czarne warkocze upięła w kok na karku — była wyraźnie onieśmielona obecnością tyłu dygnitarzy. Nie spojrzała na mnie ani razu i wszystkie swoje odpowiedzi kierowała do przedstawicielki Wydziału Edukacji Kobiet, co sprawiło, że zachowałem w pamięci jedynie dość bezbarwne streszczenie jej życia. Cytuję według „Czerwonych dni”:

„Rahat Razikowa urodziła się w 1900 roku. Miała lat dwanaście (ojciec jej już nie żył) kiedy pewnej nocy jacyś nieznanymi ludźmi obudzili ją brutalnie, zawinęli w obszerny płaszcz, a gdy krzyknęła — zakneblowali jej usta poduszką. Nazajutrz położono ją do łóżka emira: nie zobaczyła go już nigdy więcej.

Większość mieszkanek haremu oglądała emira tylko raz w życiu. Poza żonami i faworytami, po upływie pewnego czasu, władca czynił z porwanych kobiet prezenty dla swoich dworzaków. Jego szpiecy — znane w całym mieście i powszechnie zniechęcone staruchami — chodziły od domu do domu w poszukiwaniu kandydatów do haremu, a jeśli znalazły odpowiednią dziewczynkę lub chłopca — donosiły o tym emirowi. W parę dni później zamaskowani ludzie porywali dziecko a rodzice otrzymywali w zamian pewną sumę pieniędzy.

Rahat nie zachowała dokładniejszych wspomnień z życia w haremie. Był to budynek o wąskich oknach, bielony wapnem. Dawny harem emirów Buchary przypominał mi hotel organizacji YMCA. Dwa razy dziennie podawano kobietom miskę pilawu. Posiłki i obowiązkowe modlitwy stanowiły najważniejsze wydarzenia dnia. Nie wolno było przyjmować wizyt — jedynie kobietom ciężarnym pozwolono spotykać się z matkami. Kobiety te przenoszono do osobnego pomieszczenia a ich dzieci wychowywano na dworze.

Istniała tylko jedna możliwość ucieczki przed nudą i monotonią tego życia: zostać żoną kogoś z dworzan, co zdarzało się czasem już po paru dniach pobytu w haremie, czasem po paru miesiącach czy nawet latach. Siedemnastoletnią Rahat podarował emir dawnemu Kuszbeq (najwyższy rangą oficer na dworze), który liczył sobie siedemdziesiąt pięć lat. Rahat była jego czwartą żoną i urodziła mu syna. Mąż jej — zapamiętała tylko jego imię — Astanakull — został wygnany z Buchary i przeniesiony do miasta Katerzi, gdzie młoda kobieta wiodła nadal życie równie surowe jak w haremie emira.

W 1922 roku, już po śmierci męża — nowy świat otworzył się niespodziewanie przed Rahat — nowy, bo dawny zawalił się dwa lata wcześniej, wśród huku armat. Rozwarły się drzwi haremów, kobiety zrzuciły z twarzy czarne zasłony: — dawne zwierzęta domowe miały nareszcie przemienić się w istoty ludzkie.

Rahat nauczyła się czytać i pisać. Była robotnicą w fabryce, później nauczycielką a obecnie jest delegatem Związków Zawodowych. Wyszła za mąż za młodego wieśniaka — przeżyła z nim rok i ponownie urodziła dziecko. Ale małżeństwo nie udało się, ponieważ mąż nie chciał się uczyć i kpił z jej wysiłków. Wtedy dawna niewolnica emira Buchary, kobieta stworzona przez Allaha, aby ślepo służyć mężczyźnie, który mógł ją sprzedać kiedy zechciał — Rahat Razikowa poszła do Urzędu Stanu Cywilnego i poprosiła o rozwód.

„Wybiła godzina spoczynku. Idźcie oczyścić zęby. Rządźmy sprawdzić uziemienie anten radiowych. Przed snem należy wywietrzyć pokój. Dobranoc!”

Głościki na placu zamilkły. Czerwony sierp księżyca wypłynął na niebo i oświetlił minarety wśród ruin szlacheckiej Buchary, która za cztery lata miała stać się miastem „europejskim”.

## NARZĘDZIE LOSU

Spędziłem jeszcze parę dni w Taszkencie, bezbarwnej stolicy administracyjnej środkowo-azjatyckich republik, zwiedziłem wzorowy sowchoz w Kazachstanie i powróciłem do Moskwy. Ale tutaj znaczenie mojej „organizacji” a może i mojej własnej osoby, okazało się „nie wystarczające” aby przydzielono mi samodzielny pokój do pracy. Pojechałem do Charkowa i przez dwa tygodnie korzystałem z uprzejmości Weissbergów, a później przenieśliem się do hotelu Inturist'a, gdzie z końcem zimy i wiosną 1933 roku, pisałem „Czerwone dni”.

W międzyczasie Hitler został kanclerzem Rzeszy: wkrótce potem naziści urządzili „Noc Świętego Bartłomieja” wymierzoną przeciw Niemieckiej Partii Komunistycznej. Dowiedziałem się o tym pewnego wieczoru u Weissbergów (Aleks opisał tę scenę w swojej książce) gdy spokojnie graliśmy w pokera w towarzystwie profesora Szubnikowa, kierownika laboratorium Instytutu do Badań Niskich Temperatur. Szubnikow był uroczym niezmiernie roztargnionym starym oryginałem: kiedy jeden z nas rozdawał karty, profesor odezwał się niespodzianie:

— A więc spalili wasz Reichstag. Ciekawe w jakim celu to zrobili?

— Co takiego! — wykrzyknęliśmy chórem.

— Nie wiecie? Naziści spalili Niemiecki Parlament. To było w radio.

Oboje z Alekssem zrozumieliśmy co to znaczy. W pierwszych tygodniach panowania Hitlera, naziści dla zachowania pozorów przestrzegali metod demokratycznych — teraz zerwali przyłbice: Niemcy stały się państwem totalitarnym, rozpoczęły się rządy

terroru. Przeczuwaliśmy, że tak się stanie, tym niemniej realizacja naszych ponurych przewidywań poruszyła nas do głębi. Nie pamiętam już, jak się wtedy zachowałem: Aleks w swojej książce wspomina, że wyszedłem z pokoju aby pakować walizki i natychmiast jechać do Berlina, ale on przekonał mnie, że lepiej poczekać na dokładniejsze wiadomości. Jeszcze do niedawna łudziliśmy się, że Partia stanie do walki zbrojnej na barykadach, które zajmowały tyle miejsca w naszych rewolucyjnych pieśniach ale wieści napływające z Niemiec, podkopały nasze ostatnie nadzieje — barykad nie było. Partia, mimo że w ostatnich wyborach, miała za sobą około pięciu milionów głosów, poddała się bez oporu. Zwycięstwo Hitlera było całkowite i ostateczne.

Grałem spokojnie w pokera, nie zdając sobie sprawy, że niezależnie od mojej świadomości i woli, zachodziły nieodwracalne zmiany w moim życiu: przestałem być wolnym podróżnikiem a zamieniłem się nagle w politycznego uciekiniera — miałem nim pozostać przez następne trzynaście lat.

Ciekawe, że wydarzenia, które w konsekwencji zmieniają bieg naszego życia, wydają nam się w pierwszej chwili, zupełnie nieistotne. Początkowo objawy raka, są zwykle mniej bolesne niż zwichnięcie kolana, a każdy lekarz psychiatra wie, że prawdziwe źródła choroby pacjenta kryją się w jego majaczeniach sennych, które ten sam pacjent lekceważy jako sprawę bez znaczenia. Kiedy po paru latach, ponownie czyta się dziennik, zdumiewa, że wydarzenia najważniejsze znajdują tam tylko drobną wzmiankę. Prawdziwe tragedie rzadko kiedy stanowią dobry materiał literacki, a „głos przeznaczenia” jest zwykle bezbarwny i codzienny, podobnie jak słowa profesora Szubnikowa:

— Zastanawiam się po cóż Hitler to uczynił?

Utraciłem wygodną pozycję podróżnika aby połączyć się z szarą gromadą uciekinierów politycznych. Przemiana ta zaszła jakby pod narkozą, bo na zewnątrz nic na razie się nie zmieniło: pisałem w dalszym ciągu „Czerwone dni” i moją główną troską nie była przyszłość Europy ani nawet moja własna przyszłość, ale to czy będę mógł pracować w ogrzonym pokoju. W czasie owej straszliwej ukraińskiej zimy, jednym z objawów ogólnego spustoszenia był brak elektryczności, niezbędnej do uruchomienia centralnego ogrzewania w hotelu. Na ulicy temperatura spadała aż do dwudziestu pięciu a nawet trzydziestu stopni mrozu: kiedy usiłowałem zapalić papierosa zamarzał natychmiast na kawałek zlodowaciałego drewna i sprawiał wrażenie nikotynowych lodów. W moim pokoju termometr nie często wskazywał parę kresek powyżej zera. Próbowałem pracować w łóżku, ale było to bardzo niewygodne, wobec czego zasiadałem do pisania

na maszynie w watowanej kurtce zwanej „fufajką” i w rękawiczkach.

Stolica Ukrainy żyła sparaliżowana głodem, ciemnością i mrozem. Tramwaje elektryczne kursowały nie więcej niż dwie godziny dziennie, jedynie po to aby rano zabrać robotników do fabryk i wieczorem odwieźć ich do domu. Zawinięci w pierzyny urzędnicy pracowali przy świetle lamp naftowych, lub oliwnych (gdy w Charkowie zabrakło nafty) — a nad ich głowami na kształt aureoli unosiły się opary stężonych z zimna oddechów. Już o ósmej wieczór, ulice miasta wyludniały się całkowicie — arktyczne obozowiska w okresie nocy polarnej.

Pewnego dnia, jedna z pokojówek w naszym „uprzywilejowanym” hotelu zemdląca z głodu, ponieważ od trzech dni nie jadła. Racje chleba na osobę były ustalone tak: 800 gramów dziennie dla robotników pracujących w przemyśle, 600 gramów dla robotników innych kategorii oraz 400 gramów dla urzędników. Parę listków herbaty, czasem solony śledź lub trochę kwaszonej kapusty, oto oprócz chleba jedyne artykuły żywnościowe, jakie mogłem zdobyć przy pomocy moich „specjalnych kartek” dla cudzoziemców. Na wsi ludzie masowo umierali z głodu — w miastach wegetowali dzięki minimum pożywienia. Życie zatrzymało się — zdawało się, że lada chwila cała ogromna „sowiecka maszyna” ulegnie ostatecznej katastrofie.

Dziś o klęsce głodu w latach 1932-33, mówi się w Sowietach mniej lub bardziej oficjalnie, ale wówczas nie wolno było na ten temat opublikować najmniejszej wzmianki. Rząd sowiecki postanowił utrzymać naród w zupełnej nieświadomości tego co się działo. Takie zadanie, na pozór niewykonalne, było możliwe do przeprowadzenia jedynie w kraju, gdzie służba prasy i informacji jest całkowicie scentralizowana i zmonopolizowana przez państwo. Prasa sowiecka podlega kontroli reżymu, w stopniu jakiego nawet nazistom nie udało się nigdy osiągnąć: każde miasto w ZSSR posiada dwa dzienniki poranne. Wszystkie gazety rządowe na terenie kraju, drukują każdego ranka ten sam artykuł wstępny z moskiewskich „Izwestii”, przekazany im drogą radiową lub telegraficzną, a prowincjonalne gazety partyjne publikują codziennie wstępniak z „Prawdy”. Wiadomości krajowe i zagraniczne pochodzą zawsze z jedyne go źródła — Agencji TASS'a. Wydarzenia lokalne podawane są jedynie przy pomocy oficjalnych komunikatów. W kraju, gdzie jak wiadomo odległości są olbrzymie, ludzie żyją w zupełnej nieświadomości wypadków nie tylko za granicą, ale i tego co dzieje się w pobliżu.

Czytałem codziennie w charkowskiej gazecie, że właśnie dzięki

wysiłkowi bohaterskich brygad szturmowych w fabrykach, przekroczone wykonanie Planu, że ten czy ów przodownik pracy, otrzymał order Czerwonego Sztandaru i, że na Uralu powstają ogromne zakłady przemysłowe, największe w Europie. Ilustracje w gazetach ukazywały młodych roześmianych ludzi albo malowniczych starych Uzbeków uczących się pisać i czytać. Nigdy ani słowa o epidemii tyfusu, czy klęsce głodu i o wymieraniu całych wsi. Nigdy też nie spotkałem najmniejszej wzmianki o braku elektryczności w Charkowie. Zdawało mi się, że śnię — gazety mówiły o świecie nierzeczywistym i zupełnie innym od tego, który mnie otaczał. Mieszkańcy Moskwy nie mieli pojęcia o tym co działo się w Charkowie, a tym bardziej w Taszkencie, Władywostoku czy Archangielsku — oddalonych o kilkanaście dni jazdy pociągiem, dodajmy, że do podróży mieli prawo jedynie urzędnicy państwowi, „znani z dyskrecji”. Nad ogromnym krajem zapadła zasłona nieprzeniknionej ciszy — nikt, poza nieliczną garstką „wtajemniczonych”, nie zdawał sobie sprawy z rzeczywistej sytuacji w Sowietach.

Inaczej mówiąc, wiadomości o życiu w ZSSR, rozchodziły się wzdłuż społecznej drabiny pionowo — ale nigdy horyzontalnie. Ta podwójna polityka „centralizacji i podziału”, jest cechą charakterystyczną sowieckiego reżymu. Aby ją zrozumieć, wyobraźmy sobie dla przykładu, że wolno podróżować jedynie drogą powietrzną i jedynie na południe lub północ: aby pojechać z Londynu do Paryża, należy polecieć najpierw samolotem wzdłuż południka londyńskiego na biegun północny, po czym wzdłuż południka paryskiego wrócić do Paryża. Oto co działo się w Związku Sowieckim, jeśli np. stalownia w Baku chciała zakupić olej do maszyn w miejscowej rafinerii — przedsiębiorstwa nie miały prawa do zawierania umów między sobą i podanie stalowni kierowano do Komitetu Przemysłu Ciężkiego w Moskwie. Inny przykład: lokalne gazety nie mogły samodzielnie korzystać z korespondencji swoich wysłanników — wszystkie wiadomości przekazywano do „Prawdy”, „Izwestii” lub TASS’a skąd te same wiadomości „starannie poprawione” wracały z powrotem do terenowych redakcji.

W miesiącu kwietniu ukończyłem „Czerwone dni”. Rękopis przepisany w sześciu egzemplarzach rozesłałem do państwowych wydawnictw w Moskwie, Charkowie, Tyflisie i Erywaniu, z którymi zawarłem umowy na wydanie mojej książki w miejscowych językach. Wyjaśniłem już, gdzie indziej, że zaliczki jak również i umowy wydawnicze, nie były bynajmniej wynikiem mojej nieistniejącej sławy pisarskiej (nie wydałem na razie żadnej

książki) ale skutkiem listu Kominternu. Gdy pokazywałem ów list, dyrektor wydawnictwa w Charkowie czy Erywanu, nie mógł odmówić mi zawarcia kontraktu, bez ryzyka, że zostanie oskarżony o sabotaż: a to dlatego że zamierzona przeze mnie książka była przedstawiona w owym liście „jako poważny wkład do walki na Froncie Propagandy...” Komintern „finansował” więc pośrednio mój pobyt w Rosji. Podobne metody stosowano na ogół wobec wszystkich pisarzy cudzoziemców, nie należących do Partii. Ci ostatni, cieszyli się szczerze że, Uzbegy, Tadżykowie i Eskimosi pasjonują się ich twórczością i byłiby niesłychanie oburzeni, gdyby wiedzieli, że korzystne umowy i zaliczki, były najzwyczajszą w świecie łapówką — jeszcze jeden przykład ścisłej kontroli państwa w dziedzinie prasy i literatury.

Mimo zawartych przeze mnie licznych umów „Czerwone dni” ukazały się jedynie w Charkowie (w 1934 roku i już po moim wyjeździe z Rosji) i to w języku niemieckim — wydanie przeznaczone dla mniejszości niemieckich Ukrainy. Nie otrzymałem nigdy egzemplarza autorskiego i dowiedziałem się o wydaniu mojej własnej książki dopiero w trzynaste lat później — pewien nieznajomy czytelnik znalazł ją w czasie podróży po ZSSR — i przesłał mi. Jest to nieduży tomik, do tego stopnia okrojony przez cenzurę, że zawiera zaledwie połowę oryginalnego tekstu.

Wydanie rosyjskie, które z punktu widzenia sławy pisarskiej, było dla mnie najważniejsze, nie ujrzało światła dziennego. Trzy miesiące po złożeniu rękopisu, pewien wysoki urzędnik Wydawnictw Moskiewskich, poinformował mnie, że książka została odrzucona, jako „zbyt płocha i powierzchowna”. Byłem oczywiście głęboko zawiedziony, ale i szczęśliwy, że nie padło oskarżenie o odchylenie i że moje „akta” w Partii pozostawały na razie „czyste”.

Mniej więcej w tym samym okresie otrzymałem wiadomość od mego przyjaciela i zwierzchnika w hierarchii partyjnej, Paula Dietricha, że niemiecka sekcja Kominternu życzy sobie, abym opuścił Sowiety. Przedstawiciele kierownictwa i elity intelektualnej Partii niemieckiej, którym udało się zbiec przed hitlerowskim terrorem, zebrali się w Paryżu, gdzie tworzył się europejski ośrodek do walki z faszyzmem. Otrzymałem rozkaz niezwłocznego wyjazdu do Francji.

Mogłem bez trudu znaleźć stałe zajęcie w Moskwie, natomiast w Paryżu musiałbym rozpocząć, jak się to mówi, od zera — a jednak z wielką ulgą przyjąłem zarządzenie Partii. Byłem w dalszym ciągu komunistą, tym niemniej życie w Sowietach przynębiało mnie coraz bardziej. Teraz kiedy czułem, że zbliża się mój powrót na Zachód — zdobyłem się nareszcie na odwagę,

aby przyznać samemu sobie, jak wielką przykrość sprawiał mi widok bezbarwnych, smutnych ulic, powszechna nędza i pretensjonalna surowość tego co pisano i tego o czym mówiono — owa ogólna atmosfera obozu karnego połączona z uczuciem, że jest się odcięty od reszty świata. Byłem zmęczony codzienną nudą gazet, gdzie nigdy nie znalazłeś słowa krytyki czy sprzeciwu, ani plotek czy odrobiny erotyzmu — żadnego zainteresowania człowiekiem, jedynie stereotypowa szarzyzna wszystkich spraw i wszechobecny portret Wodza Narodu w przytłaczającej pustce uprzemysłowionego Neanderthalu.

„A jednak byłem nadal „wierzącym komunistą”. Wiedziałem, że należy oceniać wydarzenia w ich rozwoju a nie statycznie. Poziom życia w Sowietach był niski, ale wyższy niż za carów. Sowiecka klasa robotnicza żyła gorzej niż w państwach kapitalistycznych, tym niemniej w ZSSR poziom stopy życiowej podnosił się nieustannie, zaś w innych krajach spadał. Przy końcu drugiej Pięciolatki Związek Sowiecki miał dogonić kraje kapitalistyczne i aż do tej chwili wszystkie porównania były niedopuszczalne, ponieważ osłabiały wiarę w przyszłość budowniczych socjalizmu. Usprawiedliwiałem więc nie tylko istnienie głodu, ale godziłem się również na zakaz podróży za granicę oraz czytania obcej prasy i książek; godziłem się na groteskową karykaturę życia na Zachodzie. Początkowo drażniły mnie pytania w rodzaju: „Czy, kiedy opuściliście pracę w prasie burżuazyjnej, odebrano wam jednocześnie kartę żywnościową i wyrzucono was z mieszkania?”, albo też: „Ile francuskich rodzin robotniczych umiera dziennie z głodu na wsi i w mieście?” „W jaki sposób udaje się towarzyszom na Zachodzie nie dopuścić do wojny interwencyjnej przeciwko Związkowi Sowieckiemu, którą przygotowuje Wielki Kapitał przy pomocy socjal-faszystów, zdrajców klasy robotniczej?”. Podobne pytania były zawsze formułowane bardzo dokładnie i w neorosyjskim żargonie stalinowskim. Nauczyłem się przyjmować je za „rzecz normalną”, tłumacząc sobie, że zawierały one zwykle trochę prawdy, która została wyolbrzymiona lub uproszczona dla potrzeb propagandy — niezbędnej w jedynym na świecie państwie komunistycznym — zewsząd otoczonym wrogami.

Konieczność kłamstwa i obelg; konieczność zastraszenia mas ludowych aby ocalić je przed ich własną naiwnością; konieczność likwidacji wrogich klas i grup opozycyjnych oraz poświęcenie całych pokoleń na korzyść przyszłości — wszystko, co może się wydać zdrowemu rozsądkowi potworną halucynacją — przyjmowałem bez sprzeciwu, idąc drogą wyznaczoną przez wiarę w komunizm. Sekty mistyczne zdarzały się już wiele razy w historii Ludzkości, tym niemniej trudno wyjaśnić profanom stan umysłowy człowieka „zaczadzonego”.

*The God that failed*

A jeszcze inne rozumowanie pomogło mi podobnie jak i innym komunistom, przewyciężyć nasze rozczarowania. Sądziliśmy, że zła sytuacja ZSSR nie wynikała z błędów reżymu, ale że przyczyną tego zjawiska było wiekowe zacofanie narodu



rosyjskiego. W Niemczech, Austrii czy Francji, przyszła Rewolucja miałaby przebieg odmienny. Niemieccy komuniści mówili sobie na ucho: *Wir werden es besser machen* — my się do tego lepiej zabierzemy. Innymi słowy każdy komunista powracał ze Związku Sowieckiego do swego rodzinnego kraju — „titowcem” z przekonania.

To właśnie przekonanie, że „my to lepiej zrobimy” pozwoliło mi zachować, na razie, wiarę w komunizm. Nie była ona już tak naiwna jak ubiegłego roku, kiedy wsiadając do pociągu Berlin-Charków, myślałem, że pojedę prosto w krainę Utopii. Moja nowa wiara zabarwiła się ezoteryzmem i odrobiną melancholii. Nie wierzyłem już w Rewolucję „na przykładzie sowieckim”, ale „mimo sowieckiego doświadczenia”. Dodajmy, że przekonania utrzymywane „mimo wszystko” są zawsze bardziej giętkie i mniej uwrażliwione na rozczarowania niż wiara „z powodu”.

Ostatnie tygodnie mego pobytu w ZSSR spędziłem w Moskwie. Poznałem tam parę osób należących do najwyższej hierarchii Kominternu i rządu sowieckiego, a wśród nich: Michała Kozłowa, Karola Radka i Mikołaja Bucharina — wszyscy oni zginęli. Bucharin i Radek wywarli na mnie głębokie wrażenie chociaż widziałem każdego z nich raz jeden w okolicznościach dość oficjalnych, że nie mogę ufać pamięci aby ich opisać. Z drugiej strony przeniósłem niektóre charakterystyczne cechy ich obu na sylwetkę Rubaszowa („Ciemność w południe”) i dziś po tylu latach, nie potrafię już oddzielić postaci oryginalnych od literackiego portretu.

Wszyscy ci ludzie byli przemęczeni a to tym bardziej, im poważniejsze zajmowali stanowiska. Nie widziałem nigdzie ludzi równie znużonych życiem, jak wśród najwyższych osobistości Sowietów. Ich zmęczenie było nie tylko skutkiem przepracowania, nerwowego napięcia i niepokoju: ciążyła na nich przeszłość, lata konspiracji, więzień, wygnania, wojny domowej, głodu — lata posłuszeństwa „zasadom gry”, która wymagała aby nieustannie ryzykowali swoim życiem. Byli to rzeczywiście „zmarli z zawieszeniem” — nic już ich nie mogło przerazić ani zaskoczyć. Historia wycisnęła z nich krew do ostatniej kropli, wyzarała ich ostatnie kalorie duchowe — tym niemniej, podobni fosforyzującym trupom, błyszczeli nadal zimnym blaskiem samowyrzeczenia.

W młodszej generacji przeważał inny typ człowieka (rodzaj Gletkina z „Ciemności w południe”) — jego stan umysłowy znakomicie oddaje oświadczenie pewnego młodego sowieckiego urzędnika — w książce I.-L. Bruckbergera<sup>1</sup>:

---

1. *Un seul ciel à partager*, 1952.

„Nasza wiara jest inna niż wasza — nie wierzymy ani w Boga ani w człowieka. Budujemy świat według naszych wyobrażeń, świat bez słabości i gdzie człowiek, nareszcie uwolniony z żałosnych łańcuchanów chrześcijaństwa, osiągnie wielkość kosmiczną. Nie walczymy ani o ustrój, ani o władzę lub bogactwa — jesteśmy narzędziem losu”.

I nie „zmarli z zawieszeniem” ze starej gwardii bolszewickiej, ani też nie Gletkinowie z młodego pokolenia, najbardziej mnie interesowali w czasie mojej podróży po ZSSR. Sowieckie imperium zajmowało wówczas szóstą, co do wielkości, część świata; dzisiaj rządzi ono, mniej lub bardziej pośrednio, losem jednej trzeciej mieszkańców całego globu ziemskiego. Ten ogromny aparat państwowy nie mógłby utrzymać się jedynie przy pomocy terroru. Apatia poddanych i fałszywe złudzenia podsycane przez propagandę ułatwiały reżymowi zadanie, ale było to niewątpliwie niewystarczające. Biurokracja państwowa i partyjna stanowiły, mniej więcej, trzecią część ludności kraju i w jej interesie leżała obrona ustroju, ale nie wolno zapominać, że większość tej biurokracji żyła na najniższych szczeblach społecznej piramidy, w równie ciężkich warunkach i w tej samej niepewności co reszta społeczeństwa sowieckiego — musiała więc istnieć jakaś inna przyczyna, dzięki której „sowiecka maszyna” nie uległa ostatecznej katastrofie. Była w ZSSR pewna grupa ludzi... wydaje mi się, że nie mógłbym lepiej określić ich wartości i znaczenia, niż cytując starą, talmudyczną legendę z książki Manès Sperbera, legendę o 36 Sprawiedliwych<sup>1</sup>.

„Jako dziecko jeszcze, dowiedziałem się od naszych rabinów, że gdyby nie trzydziestu sześciu Sprawiedliwych — ludzkość nie potrawiłaby dłużej niż jeden dzień — spaliłaby się w ogniu własnych błędów. Sprawiedliwi nie różnią się od innych ludzi ani rangą społeczną ani stanowiskiem. Nikomu nie czynią zwierzeń i trudno ich rozpoznać: być może oni sami nie zdają sobie sprawy, kim są naprawdę. Ale są to właśnie ci ludzie, którzy na przestrzeni każdej generacji, usprawiedliwiają swoim życiem istnienie innych ludzi i każdego dnia ratują świat przed katastrofą”.

Udało mi się odnaleźć w Związku Sowieckim wielu „Sprawiedliwych” wśród nich: pułkownik Umorzakow z Aszchabadu, Oragwilidze z Tyflisu, KULTPROP z Merw, mały Werner z Baku, sekretarz komórki partyjnej w Charkowskim Instytucie Fizyki; pewien młody komsomolec z Moskwy, pewien inżynier fabryki samochodów w mieście Gorki, lekarka z kołchozu Permytab, jakiś strażnik G.P.U. w zapadłym kącie Kazachstanu..

---

1. *Plus profond que l'Abime.*

mógłbym jeszcze przedłużyć tę listę w dziesiątki i setki spotkanych w ciągu rocznej podróży. Powinno więc ich być tysiące, a może dziesiątki tysięcy.

Cóż ci ludzie mają ze sobą wspólnego? Podobnie jak w staro-żydowskiej legendzie nie wyróżniają się ani stanowiskiem ani rangą społeczną — nie są też fanatykami reżymu... ale kiedy czułem się bliski zwątpienia i rozpacz — oni właśnie przywracali mi wiarę w Związek Sowiecki. Tworzą oni „wysepki moralnego porządku” w otaczającym ich oceanie chaosu i absurdu. Cokolwiek czynią — ma głęboki wpływ na życie i postawę innych ludzi. Tym „trzydziestu sześciu Sprawiedliwym”, rozproszonym na terenie całego kraju — od bieguna północnego aż do granicy afgańskiej — zawdzięcza Związek Sowiecki swoje istnienie.

Niektórzy z nich są komunistami — inni nie; wszyscy mają jedną cechę wspólną: są to patrioci sowieccy tak jak ci z Rewolucji Francuskiej. Nie są to ani bohaterowie ani święci — ich cnoty obywatelskie pozostają w sprzeczności z zasadami reżymu któremu służą. Działają oni w poczuciu odpowiedzialności w kraju, gdzie obowiązuje ślepe posłuszeństwo — a prawie cały naród boi się odpowiedzialności i przed nią ucieka. Są lojalni i oddani swoim bliźnim, tam gdzie lojalność obowiązuje tylko wobec zwierzchników i Państwa. Posiadają godność osobistą, często podświadomą — w kraju, gdzie słowa te dawno zostały obrócone w śmieszność.

Jest ich tysiące, ale stanowią jedynie nikłą mniejszość — i padają zwykle pierwszymi ofiarami wszelkich czystek. Tym niemniej „rasa Sprawiedliwych” nie wygaśnie. Ci, których spotkałem w czasie podróży po ZSSR mieli przeważnie niewiele ponad lat trzydzieści i należeli już do pokolenia porewolucyjnego. Zbliżony typ człowieka odnalazłem niedawno wśród powojennych rosyjskich emigrantów — a więc przedstawiciele jeszcze młodszej generacji. Ludzie ci energiczni, prawi i odważni, bronili i bronią sowieckiego reżymu mimo, że reżym ten zaprzecza ich własnym wartościom moralnym.

Gdy byłem komunistą uważałem egzystencję sowieckich „Sprawiedliwych” za rzecz zupełnie naturalną — stanowili oni w moich oczach „nowy rodzaj rewolucjonisty”, zapowiedziany przez Marksa. Dziś zdaje sobie sprawę, że ludzie ci stali się tym czym byli lub są, nie dzięki wychowaniu komunistycznemu, ale mimo tego wychowania — reprezentują oni cudowne zwycięstwo gatunku ludzkiego w świecie „odczłowieczonym”.

A jednak nacisk „środowiska odczłowieczonych” wydaje się często tak silny, że nie do przewyciężenia — okalecza myśli, powoduje stopniową degradację umysłu oraz odrywa człowieka od

jego korzeni metafizycznych. Właściwe ludziom dążenie do zrozumienia sensu wszechświata i poszukiwanie „absolutu” — zostaje zastąpione przez akrobacje mózgowo, nakazujące „czujność klasową”. A ogólne spustoszenie duchowe narodu wydaje się bardziej przerażające niż głód. W Stanach Zjednoczonych, gdzie z innych przyczyn, zainteresowania metafizyczne ulegają ciągłej degradacji, a której objawem jest, między innymi, chęć ucieczki przed „tragizmem istnienia” — pracownicy przedsiębiorstw pogrzebowych, przy pomocy kosmetyków, zmieniają zmarłych w uczestników radosnego, wiecznego *coctail-party*. W Sowietach metody postępowania są jeszcze prostsze: zlikwidowano wszelki religijny rytuał pogrzebowy a śmierć, pozbawiona swej mistycznej i tragicznej wielkości — jest zredukowana do cyfr statystycznych. Na Kongresie Pisarzy w Moskwie, po wysłuchaniu długiej dyskusji na temat powszechnego szczęścia w przyszłym świecie komunistycznym, André Malraux zapytał: — „A dziecko przejechane przez tramwaj?” — Zapadła żenująca cisza, aż wreszcie w głębi sali podniósł się głos kogoś z obecnych: „dzięki doskonałej organizacji środków transportu — wypadków nie będzie!” Rozległy się huczne oklaski.

Wyjechałem z Rosji z końcem lata 1933 roku. Kilka tygodni wcześniej siedziałem na tarasie kawiarni „Metropol” w Moskwie — w stanie zupełnego przygnębienia i apatii; orkiestra grała melodię popularnej piosenki, której refren brzmiał mniej więcej tak:

*„Jeżeli mnie kochasz, polecisz na skrzydłach,  
Polecisz daleko — gdy wrócisz opowiesz mi  
o kraju ludzi szczęśliwych”...*

Wypiłem trzy kieliszki wódki. Sentymentalna melodia piosenki zatarła moje „czarne myśli”, pogrążyła mnie w marzeniu i, niespodzianie, natchnęła do napisania sztuki teatralnej. Oto po krótko jej treść: — dwóch wysłanników z innej Planety przybywa na Ziemię; zawiadamiają oni jej mieszkańców, że dotąd tylko ludzie szczęśliwi będą mieli prawo do egzystencji w kosmosie. Wysłannicy dają ludzkości trzy dni czasu — łaskę ostatniej szansy — by mogła zbudować swe szczęście, w przeciwnym razie Ziemia zostanie unicestwiona. W obliczu tego trudnego problemu rząd podaje się do dymisji, opozycja uchyla się do odpowiedzialności; ludzie ulicy biorą władzę w swe ręce i mianują szalonego poetę, zwanego Colibri, dyrektorem Ziemi. Początkowo, ku ogólnemu zdziwieniu, wszystko idzie pomyślnie: pieniądze są wycofane z obiegu, wszelkie autorytety i zakazy obalone, ta-

jemnice odsłonięte. Niestety, po upływie trzech dni okazuje się, że wysłannicy z innej Planety są zwykłymi oszustami, że „szczęście” nikogo nie obowiązuje: — wraca dawny porządek i ludzie odnajdują swoje stare biedy.

Zabrałem się natychmiast do pisania tej sztuki na papierowych serwetkach w kawiarni „Metropol” — co było niewybaczną herezją, bowiem „ucieczka” jest śmiertelnym grzechem komunisty. Czułem się prawie jak uczeń, który szkicuje zabawne figurki na czarnej, przygotowanej do poważnej lekcji, tablicy. Moją sztukę ukończyłem w trzy tygodnie — ostatni akt pisałem już w pociągu, wiozącym mnie na „zachód”. „Bar w słońcu” jest komedią — bez większych ambicji literackich — starałem się tylko choć na chwilę uciec od przytłaczającej rzeczywistości. Kariera teatralna tej sztuki była krótka i niezbyt błyskotliwa.

Wróciłem raz jeszcze do Charkowa i ostatnie dni mego pobytu w Sowietach spędziłem u Weissbergów. I znów, jak kiedyś, graliśmy w karty w towarzystwie „drogiego staruszka” — profesora Szubnikowa — w pięć lat później ten sam profesor złożył w G.P.U. deklarację następującej treści:

„Weissberg przybył do naszego Instytutu Fizyki w 1931 roku z Niemiec, gdzie został zwerbowany przez Gestapo do pracy wywiadowczej: miał za zadanie zorganizować na terenie Ukrainy siatkę szpiegowską i sabotaż. Próbował namówić mnie do współpracy, ale odmówiłem, ponieważ ja sam już od 1924 roku byłem na usługach niemieckiego wywiadu”.

Poznałem u Aleksa wielu wybitnych uczonych: profesora Leipunskiego, dyrektora Instytutu Fizyki i Departamentu do spraw Energii Nuklearnej; Lwa Dawidowicza Landaua, cudowne dziecko rosyjskiej fizyki, który wraz z Leipunskim, odegrał decydującą rolę w przygotowaniu bomby atomowej; profesora Obreimowa z Laboratorium Krystalografii — oraz uczonego brytyjskiego Ruhemanna którego Aleks sprowadził do Charkowa. Ci wielcy uczeni zbierali się często przy filiżance herbaty, grali w karty i... wszyscy, bez wyjątku, w pięć lat później — złożyli w G.P.U. zeznania, że Aleks był agentem Gestapo i, że próbował namówić ich do szpiegostwa i sabotażu na rzecz Niemiec hitlerowskich. Nie byli to ludzie źli ani specjalnie tchórzliwi — po prostu zrobili to, do czego ich zmuszono: aresztowani w czasie „Wielkich Czystek” — „przyznali się do winy” oskarżając się wzajemnie o absurdałne zbrodnie. W roku 1939 — Landau, Leipunski i Szubnikow — zostali zwolnieni z więzienia i przywrócono im prawo wykonywania zawodu. Ruhemann wy-

jechał do Anglii, gdzie nadal należy do Partii. Dzieje Aleksa i Ewy opowiedziałem gdzie indziej.

Miałem wiele trudności z otrzymaniem wizy na wyjazd z Sowieców, prawie takie same, jak rok wcześniej z wizą wjazdową, a gdy wreszcie ją otrzymałem, radość moja była ogromna. Aleks, jak zwykle wesoły i rozmowny, odprowadził mnie na stację. Pociąg już ruszył, kiedy krzyknął: — „Pamiętaj, cokolwiek się stanie, nieś wysoko sztandar Związku Sowieckiego!

CZĘŚĆ TRZECIA

WYGNANIE  
1933 - 1936

*„Przepraszam,  
że sam siebie chwale, ale skoro poz-  
nacie moje cnoty odejdę, w godnej  
pokorze...”*

Christopher Fry





## GRA W CHOWANEGO

Zjawiłem się w Paryżu w chwili, kiedy proces o spalenie Reichstagu pasjonował całą Europę. Nazajutrz po przyjeździe poznałem Willy Muenzenberga — szefa Wydziału Propagandy Kominternu na Zachodzie — i zacząłem pracować u niego: zostałem czymś w rodzaju podoficera w wielkiej rozgrywce propagandowej pomiędzy Moskwą a Berlinem, która zakończyła się całkowitą klęską hitlerowców, jedyną zresztą, jaką ponieśli w latach przed drugą wojną światową.

Obie strony oskarżały się wzajemnie o podpalenie niemieckiego Parlamentu — a świat śledził to ponure przedstawienie niebardzo rozumiejąc o co właściwie chodzi. Społeczeństwo europejskie nie było przyzwyczajone do politycznej reżyserii tej miary, do kłamstw wygłaszanych publicznie — do wielkiego cyrku totalitarnej propagandy. Dodajmy, że przedstawienie organizował nie jeden reżyser (jak to się działo podczas moskiewskich procesów) — ale dwóch, podobnych do murzyńskich czarowników pokazujących zaskoczonemu tłumowi mroźną krew w żyłach sztuczki.

Czarownikami byli: doktor Josef Goebbels i Willy Muenzenberg. O tym ostatnim wiedziało wówczas niewiele ludzi, a dziś już go nikt prawie nie wspomina. Świat wierzył, że przygląda się klasycznej potyczce prawdy z kłamstwem, zbrodniarza z niewinnym. W rzeczywistości winę ponosiły obie strony, ale była ona różna od tej, o którą oskarżały się wzajemnie.

Paradoksalnie, walka dwóch olbrzymów przypominała dziecianną grę w chowanego i — gdyby świat odkrył w odpowiedniej chwili wszystkie podstępny i kłamstwa tej walki — moglibyśmy uniknąć wielu późniejszych cierpień. Ale ani wówczas, ani póź-

niej, społeczeństwo zachodnio-europejskie, nie zdawało sobie sprawy z psychologii totalitaryzmu.

.....

Zarówno komuniści jak i hitlerowcy zgodzili się, że ogień podłożył van der Lubbe i że podpalacz, by sprowokować pożar tych rozmiarów, musiał korzystać z pomocy licznych współników. Naziści oskarżali o to czterech przywódców komunistycznych, w tym trzech Bułgarów z Dymitrowem na czele, oraz posła do Parlamentu niemieckiego — Torglera. Przygotowania do procesu trwały cztery miesiące, ale już w pierwszych dniach rozpraw ujawniły się kłamstwa aktu oskarżenia, a uniewinnienie komunistów wskazywało pośrednio na prawdziwych sprawców pożaru. Wbrew wysiłkom Trybunału, aby nie dopuścić do wykrycia prawdy, dla nikogo nie było tajemnicą, że hitlerowcy sami spalili Reichstag, w poszukiwaniu odpowiedniego pretekstu do zniszczenia lewicy.

Ale w jaki sposób działali? Kto namówił van der Lubbe do zbrodni i kim byli współnicy podpalacza? Ci ostatni mogli przejść jedynie przez podziemny tunel, łączący pałac Goeringa z Reichstagem; fakt ten, oraz sprzeczności zawarte w zeznaniach Premiera Rządu Pruskiego, przekonały nas, że uczestniczył on w spisku. Ale jak zmusić zachód, aby uwierzył w prawdę, na pozór nie do przyjęcia? Nie mieliśmy na to żadnych dowodów, a jedynie wiadomości, które tajną drogą przenikały do nas z Niemiec; nie mieliśmy żadnych danych co do warunków, w jakich rzecz się stała — mogliśmy tylko kierować się intuicją i zgadywać jakie były zamiary i metody działania naszego przeciwnika.

Określenie „my” dotyczy ośrodka Kominternu w Paryżu, działającego pod przykrywką „Międzynarodowego Komitetu Pomocy dla Ofiar Hitleryzmu”. Przyjechałem do Francji już w kulminacyjnym okresie bitwy i odegrałem w niej rolę podrzędną. Miałem za zadanie śledzić rozwój procesu i naszej propagandy w prasie angielskiej oraz w Izbie Gmin, studiować poglądy Brytyjczyków i wyciągać z nich wnioski, dotyczące naszej taktyki. Przez pewien czas redagowałem codzienny biuletyn, który rozsyłaliśmy do gazet francuskich i angielskich.

Gdy przyłączyłem się do walki — komuniści wygrali już pierwszą rundę. Hitlerowcy przystąpili do defensywy, zmuszeni do zaproszenia na salę obrad Goeringa, Goebbelsa i hrabiego Helldorfa, jako świadków, aby usprawiedliwili się w oczach opinii publicznej. Klęska hitlerowców i nasz triumf — sensacyjne uniewinnienie oskarżonych — było zasługą jednego człowieka: Willy Muenzenberga.

Willy (ucieł z Niemiec w noc pożaru Reichstagu) był szarą eminencją i niewidzialnym organizatorem międzynarodowej walki z faszyzmem; kierował w Paryżu ośrodkiem propagandowym Kominternu, a jego działalność pozostaje do dziś bez precedensu w Historii.

Zaczął od tego, że założył „Międzynarodowy Komitet Pomocy dla Ofiar Hitleryzmu” z filiami rozszanymi po całej Europie i Ameryce. Przedstawiał się wszędzie jako delegat organizacji filantropijnych i posiadał w każdym kraju radę administracyjną złożoną z najbardziej znanych osobistości, począwszy od angielskich księżniczek aż do amerykańskich dziennikarzy, czy francuskich uczonych. Ludzie ci nigdy nie słyszeli o „towarzyszu Willy Muenzenbergu” i sądzili, że Komintern jest straszakiem wymyślonym przez Goebbelsa.

„Komitet” Muenzenberga stał się ośrodkiem Wyprawy Krzyżowej przeciw faszyzmowi. Postarano się aby komuniści — poza ludźmi o światowej sławie jak Henri Barbusse czy J.B.S. Haldane — pozostali jego członkami jedynie w ukryciu. Tym niemniej nasz paryski sekretariat, kierowany przez Willy i kontrolowany przez Komintern, miał charakter zdecydowanie komunistyczny. Mieścił się on początkowo przy ulicy Mondétour koło Hal, a później na bulwarze Montparnasse pod numerem 83. Nikt z zewnątrz nie wiedział, że Muenzenberg posiadał tam swoje biuro. Było to takie proste...

Nieco później Muenzenberg założył w Paryżu własny dom wydawniczy — „Editions du Carrefour” — i polecił swoim współpracownikom zebrać materiał do słynnej „Brunatnej Księgi” na temat spalenia Reichstagu i hitlerowskiego terroru.

Znaczenie polityczne „Le Livre Brun” było ogromne. Książka ta ukazała się jako praca anonimowa. Na stronie tytułowej czytamy: „...wydane staraniem Międzynarodowego Komitetu Pomocy dla Ofiar Hitleryzmu” — przewodniczący: Lord Marley. Znajduje się tutaj artykuł o niemieckich obozach koncentracyjnych (dane statystyczne oraz lista ofiar), wiadomości o prześladowaniach Żydów, represjach wobec pisarzy i artystów — i inne dokumenty w związku z szalejącym w Niemczech terrorem. Materiały zostały zebrane przez służbę wywiadowczą Kominternu. Rozdział zatytułowany „Prawdziwe dzieje podpalenia Reichstagu” — zawiera drobiazgowy życiorys van der Lubbe’go (przesłany z Holandii przez pracowników „aparatu”), dane o jego stosunkach homoseksualnych z osobami z bliskiego otoczenia szefa brunatnych koszul — kapitana Roehm’a, oraz bardzo przekonujący opis przejścia podpalaczy podziemnym korytarzem na teren Reichstagu. Książka wymienia obok van der Lubbe, trzech

głównych uczestników akcji: hrabiego Helldorfa oraz szefów S. A. — Heinesa i Schultza.

Całość „Brunatnej Księgi” była oparta na bardzo niedokładnych wiadomościach, przypuszczeniach i... *bluff*'ie... Byliśmy pewni, że naziści spalili Reichstag; jeśli chodzi o resztę — zdaliśmy się beztrąsko na naszą wyobraźnię. Dopieliśmy celu: w ciągu zaledwie paru tygodni „Brunatna Księga” została przetłumaczona na siedemnaście języków a nakład jej osiągnął milion egzemplarzy. Stała się ona Biblią do walki z faszyzmem. Wiele książek pod okładką popularnego wydania „Wallensteina” Schillera lub „Hermannia i Dorotei” Goethego — przekazaliśmy tajną drogą do Niemiec.

Anonimowym autorem „Brunatnej Księgi” był najbliższy współpracownik Muenzenberga — Otto Katz, alias André Simon, który został skazany na śmierć i stracony w procesie Słaskiego, w roku 1952 w Pradze.

Podczas pracy nad „Brunatną Księgą” Muenzenberg przygotowywał inne akcje antyfaszystowskie: na jego polecenie Otto Katz zorganizował (oczywiście i tym razem pod przykrywką naszego „Komitetu Pomocy”) — „Specjalną Komisję do zbadania Sprawy Spalenia Reichstagu”. W skład jej weszli prawnicy o międzynarodowej sławie, m. in.: Francesco Nitti, były premier rządu włoskiego, senator George Branting, syn ex-premiera Szwecji, Arthur Garfield Hayes — obrońca Sacco i Vanzetti, adwokaci de Moro-Giafferi i Gaston Bergery, oraz Anglik — D.N. Pritt.

Dnia 14-go września 1933 roku, w sali Towarzystwa Prawniczego w Londynie — Sir Stafford Cripps otworzył pierwsze, uroczyste zebranie Komisji, która zaprosiła obecnych na zebraniu świadków pożaru — do złożenia zeznań<sup>1</sup>. „Komisja” ta, — jak pisał w „Drugiej Brunatnej Księdze” Otto Katz — została uznana za oficjalny Trybunał, działający w imieniu społecznej świadomości. Prace „Komisji” określono jako *kontr-proces*. Fikcyjny sąd publiczny był na Zachodzie zupełną nowością i cieszył się ogromnym zainteresowaniem społeczeństwa. Muenzenberg wymyślił tę akcję gdy szukając nowych możliwości antyhitlerowskiej propagandy przypomniał sobie „tajemne trybunały” rosyjskich rewolucjonistów za czasów carskich.

Wyrok w londyńskim *kontr-procesie* uznał hitlerowców win-

---

1. „Proces spalenia Reichstagu”, Druga Brunatna Księga Hitlerowskiego Terroru, wydana na podstawie materiałów zebranych przez „Międzynarodowy Komitet Pomocy dla Ofiar Hitleryzmu”. Wstęp: Georgi Dymitrowa, posłowie D. N. Pritt'a. Zawiera dodatkowe materiały na temat zniszczeń, dokonanych przez Hitlera w Niemczech, z przedmową Feuchtwangera oraz 10 oryginalnych ilustracji. Paryż 1934 r.

nyimi podpalenia Reichstagu i został ogłoszony w dniu 20 września w Caxton Hall w Londynie — to znaczy w przeddzień prawdziwego procesu przed Najwyższym Niemieckim Trybunałem w Lipsku. Dzięki niezwyklej inteligencji Muenzenberga, naziści już od samego początku znaleźli się w defensywie. Obrady Trybunału w Lipsku trwały trzy miesiące — większość czasu zajęły rozpaczliwe wysiłki hitlerowców, dążących do obalenia zarzutów „Brunatnej Księgi”. Najwyższy Niemiecki Trybunał koncentrował wszystkie swoje siły, aby odpowiedzieć na oskarżenia rzucane przeciw temu Trybunałowi: stąd też defilada ministrów na ławie świadków, upokarzające zeznania Goeringa i, niezwykle w dziejach sądownictwa, wezwanie szefa policji Poczdamu o podanie alibi ze swej działalności w noc pożaru.

.....

Dymitrow, Torgler i towarzysze zostali uniewinnieni — zwycięstwo Muenzenberga było zupełne. Miało ono także poważne konsekwencje polityczne — w opinii publicznej wyrok uniewinniający Dymitrowa — oczyszczał jednocześnie wszystkich komunistów. Terror komunistyczny okazał się nazistowskim wymysłem a komuniści szlachetnymi obrońcami wolności i demokracji! Nazywać Dymitrowa „agentem Kominternu” oznaczało używać języka hitlerowców. Przywódca Partii Bułgarskiej stał się symbolem nowoczesnego liberała, uczciwego i dzielnego antyfaszysty.

W sześć miesięcy później, 30 czerwca 1934 roku, Hitler kazał zlikwidować grupę S. A.: Roehma, Heinesa i Schultza, która to grupa, według wszelkiego prawdopodobieństwa, brała udział w pożarze Reichstagu. A jednak, zarówno Heines jak i Schultz, przedstawili dosyć wiarygodne alibi i zarzuty „Brunatnej Księgi” w stosunku do nich ((nie tylko w tym wypadku zresztą) — okazały się niesłuszne. Nie umniejszało to w niczym roli, jaką odegrała „Le Livre Brun”. W dziedzinie totalitarnej propagandy, szczególnie nie mają znaczenia...

Komunistom udało się przekonać opinię publiczną, że ani w Niemczech, ani w innych krajach, nigdy nie uciekali się do gwałtu i to stanowiło największy sukces propagandowy Willy Muenzenberga. Mówiły o tym nie tylko artykuły na pierwszych stronach komunistycznych dzienników: podczas procesu okazało się, że komuniści nie przygotowywali żadnej akcji zbrojnej w noc spalania Reichstagu, zaś opinia publiczna uznała to za poważny dowód rzeczowy.

Spółeczeństwo europejskie zostało zęcnie wprowadzone w bład — za przykład niech posłuży sprawa tak zwanego „spisku

Sofijskiego”, o którym często wspomiano podczas rozprawy. Spisek ten był chyba najbardziej przerażającym aktem terroru w wieku dwudziestym: 14 kwietnia 1925 w Sofii został zabity z rewolweru szef Sztabu generalnego Bułgarii. W dwa dni później, w czasie mszy żałobnej, eksplodowała w katedrze ukryta za ołtarzem bomba: sto pięćdziesiąt osób zginęło na miejscu a ponad pięćset poniosło ciężkie rany. Celem spisku było niewątpliwie unicestwienie za jednym zamachem rządu i przedstawicieli klas panujących Bułgarii.

Represje bułgarskiego rządu były jeszcze bardziej krwawe: według oficjalnych danych odbyło się osiemdziesiąt procesów w czasie których sądzono 3537 osób — z tego 300 skazano na śmierć. Sprawozdania opozycji podają, że zostało zabitych lub zginęło około 5000 ludzi! Wielu z nich spalono żywcem w wielkim piecu prefektury w Sofii. Zamordowany został w więzieniu jeden z braci Dymitrowa a on sam otrzymał zaoczny wyrok śmierci. Komintern i Przewodniczący Partii Bułgarskiej oświadczyli, że komuniści nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za zamach, który określili jako dzieło policyjnych prowokatorów.

W siedem lat później, — po aresztowaniu Dymitrowa w Niemczech pod zarzutem podpalenia Reichstagu — prasa nazistowska oskarżyła go ponownie o wysadzenie katedry sofijskiej. Ale Dymitrow i „maszyna propagandowa” Kominternu pod wodzą Willy Muenzenberga zrećnie przychwycili okazję, aby przekonać świat, że komuniści byli „niewinni” zarówno w sprawie pożaru Reichstagu jak i bomby w katedrze. W słynnej deklaracji na zakończenie procesu — Dymitrow podkreślił:

Panowie, nie po raz pierwszy komuniści zostali posądzeni o podobną zbrodnię... Chciałbym w tym miejscu przypomnieć obecnym słynny zamach w katedrze w Sofii, — zamach przygotowany przez innych ludzi, a który stał się pretekstem do prześladowań Bułgarskiej Partii Komunistycznej. Na skutek fałszywych oskarżeń zamordowano dwa tysiące komunistów bułgarskich, robotników, chłopów i intelektualistów. W rzeczywistości wysadzenie katedry było prowokacją poliej”.

Prawda o spisku została podana do wiadomości publicznej dopiero w piętnaście lat później: 19 grudnia 1948 roku na V-ym Kongresie Komunistycznej Partii Bułgarii, ten sam Dymitrow, wyznał bez ogródek, że Partia uległa niegdyś „odchyleniu na lewo” i kazała wysadzić w powietrze katedrę w Sofii...

Ciekawe, że obie, sprzeczne ze sobą, wypowiedzi bułgarskie-

go przywódcy, ukazały się w tej samej książce: „Georgi Dymitrow — Przemówienia i Artykuły”, wydanej nakładem Bułgarskiej Partii Komunistycznej. (Lawrence and Wishart, Londyn, 1951). Pierwszy cytat z Dymitrowa, gdzie protestuje on przeciw oskarżeniom o udział w spisku, znajduje się na stronie 23-ej, a wypowiedź w której przyznaje że komuniści dokonali zamachu — na stronach: 202 i 203. W pierwszej cytacie tłumacz angielski ocenia wysadzenie katedry za zbrodnię, a w drugiej za „zamach” (warto zaznaczyć, że Dymitrow używa za każdym razem słowa „zamach”).

Po zakończeniu procesu Torgler został wysłany do obozu koncentracyjnego („środki zapobiegawcze”) a Dymitrow i jego dwaj bułgarscy współnicy, wbrew pogrożkom Goeringa że „będzie inaczej” — odlecieli samolotem do Moskwy. Historycy Kominternu: Ruth Fischer i Franz Borkenau<sup>1</sup>, twierdzą, że Dymitrow już od początku procesu wiedział o tajnym układzie między Gestapo a G.P.U., który postanawiał, że niezależnie od tego jakie zapadną wyroki, przewodniczący Partii Bułgarskiej — będzie odesłany „bezpiecznie” do Moskwy.

Teza Ruth Fischer opiera się na „poufnej informacji”, otrzymanej podczas trwania procesu od Wilhelma Piecka, członka Komitetu Centralnego Partii Niemieckiej, późniejszego prezydenta NRD, i od Marii Reesse, przyjaciółki Torglera, deputowanej do Reichstagu. Ruth Fischer podaje, że Pieck w obawie, że Torgler odkryje iż został oszukany i, że zechce się mścić — postanowił „uprzedzić fakty” i „przygotować przyjazd do Londynu „pewnego uciekiniera” z Niemiec z sensacyjną wiadomością, że „Torgler jest faszystowskim zdrajcą”.

Wkrótce potem wysłannik Piecka rzeczywiście przybył do Londynu, rzucając oskarżenie przeciwko Torglerowi po cichu, ale tak aby wszyscy słyszeli... Mimo to Torgler nie ujawnił podczas procesu umowy między Moskwą a Berlinem, która miała ocalić Dymitrowa<sup>2</sup>.

Nie otrzymałem osobiście żadnych dokładniejszych wiadomości na ten temat. Przypominam sobie jedynie, że Willy Muenzenberg zalecał nam wiele razy „aby raczej pomijać” osobę Torglera, tłumacząc, że niespodzianie może on przejść na stronę

---

1. Franz Borkenau: „European Communism”. Londyn, 1933, i Ruth Fischer: „Stalin and the German Communism”, Harvard. Mass. 1948.

2. Torgler przeżył wojnę w obozie koncentracyjnym i jest, kiedy piszę te słowa, urzędnikiem partii socjal-demokratycznej w małym miasteczku w Niemczech. Okazuje się więc że, w podobnych okolicznościach, najłatwiej jest przetrwać ludziom pozbawionym wyraźnej osobowości. Torglerowi udało się pozostać prawie niezauważonym podczas własnego procesu!

nazistów. Podobne podejrzania nie dowodzą jeszcze, iż istniał tajny układ w sprawie Dymitrowa.

A jeśli istniał naprawdę — był to tylko jeszcze jeden fragment podziemnego łańcucha, łączącego oba reżymy totalitarne, który później doprowadził do paktu Stalin — Hitler. Tym niemniej Dymitrow okazał podczas procesu wiele odwagi i do tego stopnia udało mu się zdenerwować nazistów, że wszelkie tajne umowy mogły w każdej chwili być zerwane. Odwaga cywilna Dymitrowa jest godna podziwu, a żalosna rola, jaką odegrał później, jako Sekretarz Generalny Kominternu w sprawie Stalin — Tito, niech przypomni raz jeszcze, że komunista umie okazać siłę wobec wroga, natomiast ślepo ulega zwierzchnikom w hierarchii partyjnej.

Tak oto zakończyła się homerycka gra „w chowanego”. Zrozumiałem wówczas, że w wojnie propagandowej „pół-prawdy” są zawsze skuteczniejszą bronią niż „cała prawda” i, że ten kto chce zwyciężyć musi pierwszy przejść do ofensywy; w tej dziedzinie demokracja jest dużo słabsza od swego totalitarnego przeciwnika.

Lata współpracy z Willy Muenzenbergiem nauczyły mnie sceptycyzmu co do możliwości zwycięstwa Zachodu w walce psychologicznej z Hitlerem i Stalinem: aby móc wygrać podobną walkę — Zachód musiałby zrezygnować z wartości i zasad, których broni.



## „CZERWONA EMINENCJA”

Spotkanie z Willy Muenzebergiem wywarło na mnie głębokie wrażenie — przywiązałem się do niego szczerze i nasza przyjaźń przetrwała aż do jego śmierci: został zamordowany w 1940 roku.

Urodził się w Turyngii w rodzinie robotniczej; jako młody chłopak pracował przez długie lata w fabryce obuwia. Kiedy go poznałem miał lat czterdzieści cztery: był mocnej budowy, krępy i raczej niski; na jego twarzy o surowej prostocie ludowej rzeźby malowała się zawsze życzliwość wobec ludzi. Turyngijski akcent, otwarty i bezpośredni sposób bycia, łagodziły pierwsze wrażenie „siły”. Willy był niezrównanym demagogiem — urodzonym przywódcą ludu. Mimo, że nie miał w sobie arogancji ani pychy — wzbudzał powszechny szacunek: sam widziałem socjalistycznych ministrów, nieugiętych bankierów czy austriackich książąt, którzy okazywali wobec niego zażenowanie uczniaka. Często, aby podkreślić znaczenie rozmowy, rzucał nagle słuchaczowi niespodziany błysk stalowych oczu i, chociaż wkrótce uśmiechał się przyjaźnie, wywierał ogromny wpływ na otoczenie. Koledzy go uwielbiali, kobiety szalały za nim, a jego sekretarz osobisty, Hans Schultz, młodzian wysoki, chudy i nieśmiały, pracował niekiedy do trzeciej lub czwartej nad ranem, aby zebrać „złote pomysły”, rodzące się nieustannie w żywym mózgu Willego. Nie dyktował on nigdy gotowych listów tylko „noty” lub główne tezy, np:

Napisać do Feuchtwangera, potwierdzić odbiór artykułów itd. Poprosić go aby napisał dla nas broszurę — (dziesięć tysięcy egzemplarzy zostanie przesłanych potajemnie do Niemiec) — na temat tradycji kulturalnych, roli Goethego itd... dalej sam będzie wie-

dział o co chodzi... wyrazy przyjaźni, pozdrowienia. Następnie Hans, kupisz podręcznik z dziedziny meteorologii — przestudujesz go i zastanowisz się jakie są kierunki wiatru nad Renem... Ile kartek papieru „in quarto” można przyczepić do dziecinnego balonu i w jakiej okolicy Niemiec mogą wylądować balony, wypuszczone we Francji. Pójdiesz do fabrykantów zabawek i powiesz im, że chodzi o przesłanie dziesięciu tysięcy balonów do Wenezueli — spytasz się ile to może kosztować... Następnie Hans...

W hierarchii Kominternu Willy zajmował pozycję zupełnie wyjątkową, a to z dwóch powodów: był propagandystą, nie politykiem, działaczem nie teoretykiem; nie brał udziału w rozgrywkach frakcji, wybuchających jak trzęsienia ziemi w łonie Partii; nie dbał o własne ambicje a na szykany ze strony partyjnych biurokratów co do „dialektycznej interpretacji linii partyjnej” — reagował obojętnością lub pogardą.

Po drugie Willy stał na czele „Międzynarodowej Pomocy Robotniczej” — w skrócie: A.I.O. — organizacji o światowych wpływach, zwanej w partyjnym żargonie „trustem Muenzenberga”, która pracowała według bezpośrednich instrukcji Moskwy i, jako „ciało autonomiczne”, nie podlegała kontroli miejscowych partii. Willy korzystał z dużej niezależności na arenie międzynarodowej, ze swobody większej niż inni przywódcy Kominternu. Wolne od przytłaczającej cenzury partyjnej pisma, filmy, czy przedstawienia teatralne „trustu” — używały oryginalnych metod propagandy i stanowiły żywy kontrast z sekciarstwem oficjalnej prasy komunistycznej. Niezwykłe sukcesy Willego, jego brak „ortodoksji” i nieukrywana pogarda do „dzielenia włosa na cztery” — irytowały partyjnych biurokratów. Ulbricht, Pieck i Eisler, którzy w latach powojennych objęli władzę w Niemczech Wschodnich, spiskowali przeciw niemu nieustannie: w okresie Wielkich Czystek w 1937 roku udało się im dokonać dzieła.

Willy założył swój „trust” w 1921 roku w Berlinie. Jeszcze przed laty porzucił fabrykę butów i wyjechał do Szwajcarii, gdzie pracował jako pomocnik aptekarza. W Zurychu, w czasie I-ej wojny światowej, zetknął się z ludźmi z otoczenia Lenina. Wydalony ze Szwajcarii w 1917 roku powrócił do Niemiec i tam wstąpił do rewolucyjnej organizacji „Spartakus-Bund”, a w 1919 roku został jednym z twórców Niemieckiej Partii Komunistycznej. Działalność propagandową rozpoczął wśród młodych: w roku 1920 w Moskwie wybrano go przewodniczącym Międzynarodowego Związku Młodzieży Komunistycznej. Mówiono mi, że nigdy nie było w tej organizacji tylu ładnych dziewcząt, jak za czasów Muenzenberga.

W rok później, w okresie Wielkiej Epidemii Głodu w Związku Sowieckim, po latach wojny domowej — III-ci Kongres

Kominternu — zwrócił się z apelem o pomoc do robotników i przyjaciół socjalizmu na całym świecie. Wtedy właśnie powołano do życia A.I.O. z Muenzenbergiem na czele. Organizacja ta stała się wkrótce wielkim osiągnięciem, ale w sposób niezbyt zgodny z przewidywaniami moskiewskich „bonzów”. Jednym z założeń A.I.O. była pomoc dla ludności na terenach dotkniętych głodem: w ciągu pierwszych dwóch lat istnienia tej organizacji przekazano do ZSSR pięćdziesiąt transportów rozmaitych towarów, od lekarstw do maszyn do szycia i samochodów ciężarowych włącznie. Oczywiście pomoc ta nie miała poważniejszego znaczenia dla tak wielkiego kraju jak Związek Sowiecki, ale rola propagandowa tej pomocy była ogromna. Muenzenberg wynalazł nową technikę masowej propagandy, opartej na prostej obserwacji: człowiek, który daje pieniądze dla jakiejś sprawy — przywiązuje się do niej uczuciowo, a im większe jest „poświęcenie” materialne, tym większe „przywiązanie”. Naturalnie trzeba tę sprawę przedstawić żywo, tak aby działała na wyobraźnię — a to już było specjalnością Willego. Nie prosił on robotników o jałmużnę dla głodnych rosyjskich dzieci, ale proponował im, aby „oddali” swój dzienny zarobek na znak „solidarności z narodem sowieckim”. „Solidarność zamiast dobroczynności” — stała się głównym hasłem A.I.O.

Ofiarodawcy w zamian za składki otrzymywali specjalne znaczki, dyplomy czy ilustracje z życia w ZSSR — popiersia Marksa lub Lenina itd., każdy „datek” pogłębiał „uczuciowy” związek. Willy wymyślił nową formułę propagandową, którą posługiwał się również w działalności naszego „Komitetu” i podczas kampanii pomocy Chińczykom, Hiszpanom i innym. „Dobroczytność” uznano za środek akcji politycznej.

A.I.O. a później „Komitet Pomocy dla Ofiar Hitleryzmu” rozszerzył swoją działalność na sprawy pozornie bez związku z zadaniami tych organizacji. Ruchome garkuchnie i „obiady ludowe”, organizowane przez A.I.O. w Rosji w latach głodu — pojawiły się także w innych krajach, objętych kryzysem: w Niemczech podczas inflacji, w Japonii podczas wielkich strajków w roku 1925, w okresie strajku generalnego w Anglii w 1926 roku. Broszury, wydawane początkowo dla wzmocnienia kampanii pomocy dla ZSSR, doprowadziły do powstania „trustu wydawniczego Muenzenberga”, Klubów Książki i wielkiej ilości dzienników i pism. W roku 1926 w Niemczech „trust” kierował dwoma wielkimi dziennikami: „Berlin am Morgen” i „Welt am Abend” oraz tygodnikiem o milionowym nakładzie — „Arbeiter Illustrierte Zeitung” (komunistyczny odpowiednik „Life”), oraz całą serią publikacji, nie wyłączając pism technicznych, przerna-

czonych dla fotografów, amatorów radia itp. Wszystkie te periodyki pozostawały pod mniej lub więcej bezpośrednim wpływem komunistów. W dalekiej Japonii „trust” Muenzenberga kontrolował około 19 gazet i czasopism. Finansował on także komunistyczne przedstawienia awangardowe — bardzo wówczas modne. Dzięki materialnej pomocy „trustu” powstały najlepsze filmy Eisensteina i Pudowkina (zrealizowane przez „Mieźrabpom-film”, rosyjski skrót od słów: Międzynarodowa Pomoc Robotnicza”).

W ciągu paru lat „trust” Muenzenberga” rozszerzył swą działalność od popularnych obiadów dla niedożywionych dzieci — do produkcji arcydzieł sztuki filmowej w rodzaju: „Burzy nad Azją”. Podobne metody pracy sprawiły, że filantropijny paryski „Komitet Pomocy dla Ofiar Hitleryzmu” przekształcił się szybko w podziemny ośrodek Niemieckiego Ruchu Oporu i główną agencję komunistycznej propagandy na całym świecie. Jak słusznie mówi Ruth Fischer, w cytowanej już przeze mnie książce, Muenzenberg wynalazł organizację komunistyczną, zamaskowaną na zewnątrz i nowego sojusznika: liberalnego sympatyka, postępowego *compagnon de route*.

„Sukces, z jakim komunistom udało się przeniknąć do środowisk socjal-demokratycznych i liberalnych, publikacje gazety „Ce soir” w Paryżu i „P.M.” w Nowym Yorku, a także tysiące malarzy, pisarzy, lekarzy, adwokatów i bogatych panien na wydaniu, głoszących nową wersję stalinowskich ewangelii — wszystko to było zasługą Międzynarodowego Komitetu Pomocy Robotniczej pod kierownictwem Willy Muenzenberga”.

Partyjni biurokraci nie tylko że nienawidzili Willego, ale również z niechęcią patrzyli na jego bliskich współpracowników, zwanych powszechnie „ludźmi Muenzenberga”. Atmosfera panująca wokół Willego stanowiła dziwny związek przyjaźni połączonej z zazdrością dworzan, otaczających miłego despotę. Zgodnie z partyjnym zwyczajem cały personel „trustu”, nie wyłączając sfera i gońca, (również członka Partii) nazywał Willego po imieniu. Pozornie mieliśmy równe prawa: w teorii nie istniał podział na stanowiska i wszyscy otrzymywali tę samą pensję — najwyższą w Partii, to znaczy pięćset franków miesięcznie. W rzeczywistości pensje były różne, a to dzięki „funduszom dyspozycyjnym”, a hierarchia władzy była taka sama jak w każdej instytucji handlowej. Mimo, że Willy był zupełnie niewrażliwy na pochlebstwa, zwracaliśmy uwagę na jego „humory”; kiedy wchodził do pokoju „z lekkością czołgu przebijającego mury” — szukaliśmy na jego twarzy znaków pogody lub burzy, podobnie jak wszyscy urzędnicy burżuazyjnego biura.

„Krań wewnętrzny” Willego składał się wtedy z jego żony Babette, adiutanta Otto Katza, „trzech Muszkieterów”: sekretarza Hansa, szofera Emila oraz „goryla” i człowieka do wszystkiego zwanego Jupp.

Babette i siostra jej Greta, z domu Thuring, pochodziły z dobrej rodziny z Poczdamu. Babette była kobietą wysokiego wzrostu, przystojną, o dużej inteligencji i dyskrecji. Wyniosła i arystokratyczna Babette i krępy proletariacki Willy na pierwszy rzut oka stanowili uderzający kontrast, ale łączyło ich głębokie wzajemne zrozumienie; oboje odznaczeni takim poczuciem godności, że mimo różnic zewnętrznych tworzyli doskonale dobraną parę.

W czasie szalonych lat „dwudziestych” zawalił się dawny świat rodziny Thuring: Babette i Greta znalazły się w środowisku lewicowej cyganerii epoki inflacji, wstąpiły do Partii i połączyły się w „wolne” związki z dwoma wybitnymi działaczami — Babette z Willy Muenzenbergiem a Greta, drobna, żywa brunetka — z Heinzem Neumannem. Willy został zamordowany we Francji w 1940 roku — Heinz w Moskwie w 1938 roku. Gretę skazano na trzy lata ciężkich robót w obozie koncentracyjnym w Karagandzie, zaś w 1940 roku G.P.U. przekazało ją Gestapo i następne trzy lata spędziła w Ravensbrück. Jej wspomnienia, zebrane pod tytułem: „Pod rządami dwóch dyktatorów” (*Under Two Dictators*, Londyn 1949) należą do najlepszych w tej dziedzinie. Gdy piszę te słowa Babette i Greta mieszkają w Niemczech i prowadzą ożywioną działalność antykomunistyczną.

Po Babette największe wpływy w otoczeniu Willego posiadał Otto Katz (znany we Francji pod dziennikarskim pseudonimem André Simon<sup>1</sup>). — Był on prawą ręką Muenzenberga: obaj uzupełniali się wzajemnie. Willy był nieugiętym szefem — Otto zręcznym i przymilnym dyplomata. Willy przypominał szewca wbijającego energicznie gwoździe w podeszwy — Otto był pięknym brunetem pełnym niepokojącego wdzięku. Należał do kategorii ludzi przymykających jedno oko przy zapalaniu papierosa i przyzwyczajenie to sprawiło, że często powtarzał ten odruch przy innej okazji... nawet kiedy nie palił. Willy mówił wyłącznie po niemiecku — Otto znał świetnie francuski, angielski i czeski. Willy nie umiał napisać poprawnie paru związanych ze sobą

---

1. Otto Katz: *Neun Männer im Eis* (Dziewięciu ludzi w lodzie) Berlin, 1929. *Le Livre Brun de la terreur hitlérienne* (anonimowo), Paryż 1933, *Le Deuxième Livre Brun de la terreur hitlérienne* (anonimowo), Paryż 1934. *Hitler prépare la guerre. Le Troisième Livre Brun* (anonimowo), Paryż 1936 *La Conspiration nazie en Espagne* par l'auteur du „Livre Brun”, Paryż 1937.

zdań — Otto był wziętym dziennikarzem, autorem wielu książek, z których tylko jedną wydał pod własnym nazwiskiem. Pochodził z Pragi, był niegdyś dyrektorem handlowym znanego, liberalnego tygodnika w Berlinie: „Das Tagebuch”, należącego do Leopolda Schwarzschilda, później impresario komunistycznych przedstawień Erwina Piskatora, wreszcie dyrektorem jednego z wydawnictw Muenzenberga i Miežrabpom-Filmu w Moskwie (gdzie go poznałem). W Paryżu Otto Katz należał do głównych organizatorów „Komitetu Pomocy dla Ofiar Hitleryzmu”; kierował hiszpańską agencją informacji i rozdawał tajne fundusze demokratycznego rządu hiszpańskiego dziennikarzom i politykom francuskim. Był ambasadorem niewidzialnego Willego i nieustannie jeździł do Londynu czy Hollywood, gdzie zbierał pieniądze i organizował Komitety antyfaszystowskie. Posiadał rozległe znajomości — ulegały jego urokowi kobiety, a zwłaszcza panie w pewnym wieku o politycznych ambicjach, co zręcznie wykorzystywał.

Zadaniem Otto była m. in. obserwacja Willego na zlecenie „aparatu”. Willy wiedział o tym i kpił sobie z tego: Otto był mu potrzebny. Willy nie zadawał sobie trudu aby ukryć pogardę, jaką odczuwał wobec swego najbliższego współpracownika. Kiedy spytałem go gdzie znalazł Otto Katza — odpowiedział mi ze swym miłym akcentem turyngijskim: „wyłowilem go w Landwehr-Kanal”, był to wąski kanał doskonale nadający się do wyrzucania trupów lub popełnienia samobójstwa. Zdaje się, że w 1920 roku, Otto w ciężkiej sytuacji materialnej, zagroził Willemu, że jeśli nie otrzyma pracy rzuci się do kanału. W roku 1938 Willy zerwał z Kominternem, a wtedy Otto, zgodnie z przewidywaniami, pierwszy zostawił go na lodzie. Ale kiedy w roku 1952 los zemścił się i Otto został skazany w Pradze na śmierć, pod absurdalnym oskarżeniem o szpiegostwo na rzecz Wielkiej Brytanii i organizacji syjonistycznych — nikt z byłych kolegów, czy towarzyszy nie wystąpił w jego obronie.

Mimo niepokojącego charakteru Otto wzbudzał sympatię: miał fantazję awanturnika i potrafił okazywać ludziom życzliwość — oczywiście, jeśli nie zagrażało to jego własnym interesom. Lubiłem go i pogardzałem nim jednocześnie. Podczas mego uwięzienia w Hiszpanii rozpętał dla uwolnienia mnie międzynarodową kampanię, kampanię, która wielokrotnie przerosła znaczenie mojej osoby, a gdy wróciłem z więzienia oczekiwał mnie w Paryżu na Gare du Nord z bukietem kwiatów; uściskaliśmy się serdecznie.

.....

Nasza przyjaźń zrodziła się nie od razu. Początkowo nie mogliśmy znaleźć ze sobą wspólnego języka, i to właśnie Otto położył kres mojej karierze „człowieka Muenzenberga”. Rzecz nieunikniona, zważywszy otaczającą Willego atmosferę dworskich intryg. Otto widział we mnie rywala: obaj pochodziliśmy ze środowiska mieszczańskiego i posiadaliśmy, cenne dla Partii, związki z niekomunistycznym światem. Byliśmy obaj energiczni i zręczni, znaliśmy kilka języków — a ludzi tego rodzaju Partia zawsze potrzebuje, ponieważ są rzadkością w świecie komunistycznym; męczy ich żelazna dyscyplina i najczęściej szybko odchodzą od komunizmu. Tutaj kończyły się podobieństwa między nami: Otto miał swoje ambicje polityczne, ja zaś przekonałem się już dawno, że nie posiadam żadnych danych do zrobienia partyjnej kariery. Moim jedynym celem było „służyć komunizmowi” i, jak mówił slogan „chciałem być wykorzystywany przez Partię”. Potrzeba podporządkowania się i praca anonimowa były dowodem, że nie żywiłem żadnych „partyjnych ambicji”, ale Otto posądzał mnie zapewne o hipokryzję.

Willy wiedział, że Otto pewnego pięknego dnia zdradzi go na Kremlu, ale miał również wycucie ludzkich charakterów i domyślał się mego „purytańskiego stosunku do Partii”; rozumiał, że nie posiadam odpowiednich kwalifikacji na „prawdziwego człowieka Muenzenberga”. W ciągłej walce przeciw partyjnej biurokracji — Willy nie mógł sobie pozwolić, aby zatrudnić u siebie „niewinnych purytanów”. Mógł korzystać z pomocy dwóch tylko kategorii ludzi: takich jak Otto, co do którego nie miał żadnych złudzeń, oraz takich jak jego sekretarz Hans, czy pozostali dwaj Muszkietierowie — ślepo mu oddanych. „Fenomen” w moim rodzaju nie mieścił się na dłuższą metę w potężnym i „aerodynamicznym truście Muenzenberga”.

Wyrok w procesie Reichstagu zapadł na dwa dni przed Bożym Narodzeniem 1933 roku. Willy postanowił wówczas wydać „Trzecią Brunatną Księgę” na temat: Dymitrow przeciw Goeringowi. Broszury, dokumenty, gazety i wycinki z gazet zapełniały nasze biura. Willy zdecydował z kolei stworzyć specjalne archiwum antyfaszystowskie i Bibliotekę Wolnych Niemiec. Wyznaczono mi właśnie pracę w archiwum, z czego byłem dość zadowolony. Ale był to również wyraźny dowód niełaski — rozumiałem, że dni moje w „truście” były policzone.

Być może mógłbym załagodzić zazdrość Otto i utrzymać tę skromną posadę archiwisty, ale stanąłem przed innym problemem, daleko poważniejszym: byłem obecnie, po raz pierwszy i ostatni w moim życiu „zawodowym komunistą”, płatnym urzędnikiem partyjnym. Oficjalnie nazywało się, że pracuję w „Między-

narodowym Komitecie Pomocy” — w rzeczywistości Partia wypłacała mi miesięczną pensję — a taka sytuacja nie odpowiadała mi zupełnie. Odczuwałem zawsze głęboki wstręt do partyjnych biurokratów i nie miałem najmniejszej ochoty stać się jednym z nich. Korzenie tej niechęci tkwiły jeszcze w moim młodzieńczym okresie syjonistycznym, a wzmacniła się ona, gdy poznałem maszynierię polityczną Kominternu. Chciałem żyć dla Partii ale nie na jej koszt — być „komunistą — amatorem” a nie „komunistą zawodowym”.

Podobna postawa — z marksistowskiego punktu widzenia — była nielogiczna i wyrażała „heretycki, drobnomieszczański romantyzm” — jeśli weźmie się pod uwagę słynny postulat Lenina, że należy „tworzyć kadry zawodowych rewolucjonistów”. Nie mogłem na to nic poradzić. Atmosfera „trustu” była bardziej liberalna i swobodniejsza niż w innych partyjnych biurach i nie trzeba się było obawiać, że nieopacznie wypowiedziane „słowo” — będzie zaraz skrzętnie zapisane w „aktach” i wykorzystane przeciw tobie w Dniu Sądu. Przeczynałem jednak, że jeśli zostanę „człowiekiem Muenzenberga” — stracę samodzielność myślenia i szacunek dla samego siebie.

Znalazłem się na skrzyżowaniu dróg: mogłem albo „starać się o zrobienie kariery” w „truście”, podobnie jak przed laty w prasie Ullsteina — mogłem też szukać innych możliwości zarobku i zdobyć materialną niezależność od Partii. Wiedziałem, że od dokonanego wyboru zależeć będzie moja przyszłość. I oto, jak działo się zawsze na każdym trudnym zakręcie mego życia, powziąłem decyzję, zanim jeszcze zdążyłem rozważyć wszystkie „za i przeciw”. Zrezygnowałem z pierwszej i ostatniej w moim życiu posady partyjnej i na początku 1934 roku podałem się do dymisji. Rozstaliśmy się z Willy i Otto, bez żadnej sprzeczki czy niechęci.



## WYCHOWAWCA Z MAISONS-LAFFITTE

Pewnego dnia Willy Muenzenberg niespodziewanie wezwał mnie do siebie: chodziło o internat dla dzieci uciekinierów niemieckich, który znajdował się pod opieką „trustu”. Oficjalnie „Dom Dziecka” otwarty był dla wszystkich uchodźców, bez względu na pochodzenie czy poglądy polityczne rodziców — w rzeczywistości pensjonariusze byli przeważnie dziećmi komunistów, zamordowanych lub wysłanych na rozkaz Partii w tajnej misji do Niemiec. Około trzydziestu chłopców i dziewczynek, od lat dwóch do szesnastu, przebywało w podmiejskiej willi w Maisons-Laffitte. Pewien życzliwy Francuz oddał ją do dyspozycji „Komitetu Pomocy dla Ofiar Hitleryzmu”. „Dom Dziecka” znalazł się w trudnej sytuacji finansowej i Willy prosił mnie abym zamieszkał tam przez parę dni i na podstawie własnych obserwacji napisał broszurę o życiu dzieci: miała ona posłużyć do uzyskania dla nich pomocy materialnej.

„Napisz, że nie wolno dopuścić, aby dzieci te umierały z głodu, podczas gdy ich rodzice walczą o wolność Niemiec itd. — pięć tysięcy słów, zrób parę fotografii, ale wybierz dzieciaki najbardziej mizerne, dorzuć z charakterystycznym błyskiem stalowych oczu — sprawa jest pilna...”

Jak bardzo była pilna przekonałem się nazajutrz rano, gdy przekroczyłem progi willi, położonej w pobliżu lasu i słynnych terenów hippicznych. Wśród dzieci szerzyła się epidemia dyfterytu i brakowało opieki lekarskiej, a zapasy żywności były bardziej niż skromne.

Partia kieruje się wobec intelektualistów i pisarzy „zasadą użyteczności” — znaczy to, że nie można napisać ani słowa o komunistycznej strategii, jeśli przedtem nie pracowało się w fabryce czy komórce partyjnej. Hasło „nie ma rewolucyjnej teorii bez praktyki rewolucyjnej” — pochodzi jeszcze od Marksa, któ-

ry poświęcił więcej czasu na organizację kół robotniczych, niż na pisanie „Kapitału”. Przed zabraniem się do „dzieła” sowiecki dziennikarz czy literat, musiał najpierw spędzić pewien czas w fabryce lub kołchozie, aby zdobyć „wewnętrzną znajomość tematu”. Świat dziecięcy był mi dotąd zupełnie obcy: wiedziałem o nim nie więcej niż o życiu australijskich Buszmenów; tymczasem od chwili przyjazdu do Maisons Laffitte zostałem od razu profesorem, pielęgniarzem i wychowawcą jednocześnie.

Miałem spędzić w „Domu Dziecka” parę dni a zostałem tam przeszło dwa miesiące i tej nieoczekiwanej przygodzie zawdzięczam moją pierwszą powieść, którą zacząłem pisać gdy tylko uwinąłem się z zamówioną przez Willego broszurą. Powieść otrzymała wprawdzie drugą czy trzecią nagrodę na międzynarodowym konkursie szwajcarskiego klubu książki, Buchergilde Gutenberg, ale nigdy nie została wydana. „Erlebnisse des Genossen Piepvogel und seiner Freunde in der Emigration” tj. „Przygody Towarzysza Ki-ki i jego przyjaciół na wygnaniu” — tytuł ten jest czymś w rodzaju dedykacji dla pewnego uroczego malca. Nauczył się on bardzo wcześnie, bo w czwartym roku życia, słowa: „towarzysz” i w ten sposób zwracał się do wszystkich żywych istot: dorosłych, dzieci i zwierząt. Kiedyś, bawiąc się w ogrodzie, wykrzyknął na widok wróbla: „patrzcie oto towarzyszu Ki-ki”.

Zarówno dzieci jak i personel pensjonatu występowali ze względów ochronnych, pod pseudonimami: rodzice większości dzieciaków przebywali w Niemczech na fałszywych papierach, bo lista przewidzianych nazwisk pensjonariuszy z Maisons Laffitte mogłaby posłużyć Gestapo do wykrycia walczących komunistów. Raz już podejrzani sprawcy dokonali włamania do „Domu Dziecka” — nie udało się jednak ustalić czy działali z ramienia hitlerowców. W internacie nie przechowywano żadnych dokumentów dotyczących dzieci — polecono im również nie ujawniać swoich nazwisk nie tylko nikomu z obcych, ale nawet między sobą. Malcy zastosowali się do tego zakazu z zastanawiającą dyscypliną: być może widzieli w tym rodzaj gry w „złodziei i policjantów”.

Członkowie personelu używali oryginalnych przezwisk: Clyteria, młoda towarzyszka, pasjonująca się psychoanalizą, wieczorami pomagała dzieciom przy myciu. Wszystkich dorosłych określano wspólnym mianem: „Chaldejczycy” termin zapożyczony z pewnej sowieckiej powieści z życia sierocińca. Marianna — francuska komunistka, zajmowała się kuchnią; Ferdynand — Austriak, i kierownik „Domu Dziecka”, o niewyraźnej przeszłości, odznaczał się tym, że lubił kłać w zabawnym, wiedeńskim żargono-

nie. Wspomniana Clysteria, z uśmiechem Giocondy, wyjaśniała teorie Freuda w zastosowaniu do niemowląt. Pamiętam młodą i energiczną nauczycielkę gimnastyki, nazwaną Thunseldą lub *das Burgfraulein* — (panną na zamku), jak z nocniczką w każdej ręce zbiegała ze schodów po cztery stopnie; Herman, były członek para-militarnej organizacji w Saksonii, dzielił ze mną pasję do gry w bilard i wydawał się wśród „Chaldejczyków” — jedyną osobą niepozbawioną zdrowego rozsądku. Przed moim przyjazdem „działał” tu również niejaki „Pickhelchen” lub „Krosta na nosie” — przyjaciel Clysterii; pisywał marksistowskie eseje z teorii sztuki i musiał opuścić „Dom Dziecka”, ponieważ starsi chłopcy zbyt często go grzmocili. Nikt z tego szanownego zespołu nie posiadał doświadczenia czy elementarnych wiadomości z dziedziny pedagogii.

Dyscyplinę utrzymywała „Rada Starszych”, zwana „Kolektywem”, która zbierała się codziennie aby ocenić postępowanie kolegów. Członkami „Kolektywu”, były dzieci powyżej lat dwunastu. Ulrych, jedyne w „domu” dziecko pochodzenia burżuazyjnego, został wykluczony z „Kolektywu” za postawę „antyspołeczną”. Inaczej mówiąc internat w Maisons-Laffitte, gdzie atmosfera, zbliżona była do tej jaka panowała w szkołach sowieckich okresu po Rewolucji, przypominał... dom wariatów.

Mój przyjazd do „żłobka” zbiegł się z epidemią dyfterytu: była ona względnie niegroźna, mimo to władze francuskie zarządziły przymusową kwarantannę; starsze dzieci, uczniowie miejscowej szkoły powszechnej, pozostawały w domu, co jeszcze bardziej obciążało niezręczny personel: zostałem więc przyjęty z otwartymi ramionami.

Wróciłem do mego dawnego pseudonimu „towarzysz Iwan” i powierzono mi od razu wiele poważnych zadań: udzielałem lekcji najmłodszym a wieczorami kładłem ich do łóżka; kierowałem biuletynem Kolektywu, szorowałem podłogi oraz uczyłem języka rosyjskiego „Wielkiego Pieta” i „Floriana Bonzę”. Pierwszy z nich, silny i myślący szesnastolatek, był synem zamordowanego przez hitlerowców szofera z Hamburga. Florian „Bonza”, syn członka Komitetu Centralnego Partii (kiedy piszę te słowa wchodzi on w skład rządu Niemiec Wschodnich) — już w piętnastym roku życia, stanowił znakomity materiał na partyjnego biurokratę — stąd zresztą wieloznaczny przydomek „Bonza”, którym określa się zwykle w komunistycznym żargonie wysokich dostojników partyjnych.

Pewnego wieczoru podczas nieobecności Marianny zajmowałem się kuchnią: z pomocą członków Kolektywu napełniłem wielki kocioł (miała to być kolacja dla trzydziestu osób) ma-

karonem, kakao i cukrem. Nie wiedziałem, że należy odlać wodę z makaronu i zawartość kotła zamieniła się w rodzaj kleistego puddingu — osłodzony melasą pozostał na długo w pamięci uczestników biesiady. Innym razem zamiast makaronu użyłem ryżu i, wiedziony dialektyczną intuicją, dorzuciłem do całości trochę sody: pudding ochrzczono „à la Iwan” a ja zostałem powołany na honorowego członka Kolektywu.

Dzieci stanowiły dla mnie nowe cudowne odkrycie: znalazłem się nagle w otoczeniu nieznanymi istotami o własnej logice i wrażliwości, jak podróznik pozbawiony przewodnika w kraju Mbo-Mba, ograniczony do porozumiewania się z innymi jedynie drogą uśmiechów i gestów. Zadanie ułatwiał mi mój niedawny pobyt w Rosji (nikt z Chaldejczyków tam nie był); opowiadałem więc moim nowym znajomym o dalekich, rozległych stepach i kopulastych wieżycach Kremla; stałem się bliski tym malcom także dzięki moim własnym infantylnym skłonnościom... skutek niewyżytego dzieciństwa.

Po upływie dwóch miesięcy wróciłem do Paryża i wiosną 1934 roku ukończyłem powieść o „Domu Dziecka”. Podczas wojny myślałem, że rękopis zaginął, ale okazało się, że wraz z innymi papierami uchował się w piwnicy przed rewizjami Gestapo. Ponowna lektura, po przeszło dwudziestu latach, przekonała mnie, że tekst jest zbyt „nierówny” i nie nadaje się obecnie do publikacji. Pozwolę sobie jednak zacytować w tym miejscu parę wyjątków z tej mojej pierwszej powieści. Oto streszczenie książki, przeznaczonej niegdyś dla ewentualnego wydawcy:

„Akcja toczy się w „domu Dziecka” pod Paryżem. Bohaterami są dzieci niemieckich uciekinierów politycznych w wieku od dwóch do szesnastu lat, w większości pochodzenia proletariackiego. Wiodą one, na marginesie normalnego francuskiego życia, smutną egzystencję istot samotnych. „Dom Dziecka” przypomina zapomnianą wyspę, której mieszkańcy przechodzą ciekawe przemiany: rządzą się własną logiką a problemy społecznej integracji oraz kryzysu okresu dojrzewania — przejawiają się w formie szczególnie intensywnej. Trudności i bałagan w „Domu Dziecka”, gdzie brak zarówno odpowiedniego personelu jak i niezbędnych środków materialnych, zostana przewyżczone dzięki, stale rosnącej, odpowiedzialności „Rady Starszych”, zwanej „Kolektywem”; etapy tej ewolucji, wspólne przeżycia i doświadczenia dzieci — zajmują poważną część książki.

W ostatnich rozdziałach charaktery dzieci zaczynają wyodrębniać się. Urych — „Opozycja” już jako piętnastoletni chłopak — posiada wszystkie cechy burżuazyjnego intelektualisty i nie umie podporządkować się proletariackiej wspólnotce. Wewnętrzne rozterki i konflikt z „Kolektywem” doprowadzają chłopca do nieudanej próby samobójstwa. Dzieje jego przeciwnika „Wielkiego Pieta”, syna zamordowanego przez hitlerowców szofera z Hamburga — tworzą ostatni rozdział powieści”.

Inne postacie książki to: „Zuchwały Gustaw”, „Bobo-Borsuk” i „Igelchen” (co po niemiecku brzmi bardzo dźwięcznie i znaczy: „mały jeź”) — siedmioletnia dystygowana księżniczka proletariacka. „Bobo-Borsuk”, smutny i zabiedzony pajacyk o zbyt dużej głowie, stale zlewał się do łóżka; ojciec jego pracował w antyhitlerowskim podziemiu w Niemczech. Cytuję autentyczny życiorys „Zuchwałego Gustawa” napisany do „Komitetu Pomocy dla Ofiar Hitleryzmu:

„Urodziłem się w sierpniu 1921 roku i natychmiast zostałem umieszczony w żłobku. Kiedy podrosłem odesłano mnie do żydowskiego sierocińca, gdzie czułem się bardzo źle: było to coś w rodzaju wojskowych koszar i cały czas musieliśmy się modlić. Miałem wtedy dziewięć lat. Pewnego dnia przyszła matka i zabrała mnie z sierocińca, ale nie wolno jej było zatrzymać mnie przy sobie, ponieważ byłem dzieckiem nieślubnym. Matka moja pracowała w Gminie Żydowskiej i należała do Niezależnej Partii Socjalistycznej — ona to dała mi pierwsze polityczne wskazówki. Ale nic z tego nie rozumiałem; później wysłano mnie do „Domu Dziecka Robotniczego” w Berlinie i w tym samym czasie matka straciła pracę; wkrótce po tym wstąpiła do Partii. W nowej szkole było mi bardzo dobrze i lubiłem naszego nauczyciela, który także był komunistą. Mieliśmy tam kółko młodzieży komunistycznej. Kiedy przyszedł Hitler nasza grupa została rozwiązana. Pierwszego maja, już za Hitlera, jeden z mówców powiedział: „Marksieści twierdzą, że jest to święto robotników a my uważamy, że to święto wszystkich ludzi”. Odezwałem się, że to pusta demagogia, a wtedy za karę zamknięto mnie w ciemnicy. Bałem się ogromnie i śpiewałem „Międzynarodówkę”. Kiedy matka moja została aresztowana — wujek zabrał mnie do Paryża. Teraz mamę zwolnili, ale nie ma prawa wyjechać z Niemiec. Proszę o przyjęcie mnie do „Domu Dziecka”, ponieważ matka moja walczy przeciw faszyzmowi a wujek nie ma pieniędzy aby mnie utrzymać”. Podpisano: Gustaw R.

Pewien fragment powieści oddaje, chyba dosyć wiernie, ową szczególną atmosferę, jaka panowała wśród dzieci z Maisons Laffitte. Scenę napisałem w oparciu o prawdziwe zdarzenia, zgodnie z wymaganiami „realizmu socjalistycznego”: Nieznany sprawca przywłaszczył sobie paczkę słodczy, należąca do Igelchen, Kolektyw, po ożywionej naradzie, zdecydował przedsięwziąć „sankcje karne”.

Skoro tylko zamknęły się drzwi za Ulrychem, „Zuchwały Gustaw” odezwał się poważnie:

— Proponuję utworzenie Rewolucyjnego Trybunału, który odbędzie sąd nad złodziejem.

— Trybunały są wymysłem burżuazyjnych hipokrytów, wykrzyknęła „Tekla-Gąska”.

— Nieprawda, w Z.S.S.R. też są Trybunały.

— Ale jedynie przeciw kontr-rewolucjonistom. Dla złodziei nie ma Trybunałów.

- Niemożliwie! A kto sądzi złodziei?  
— W Związku Sowieckim nie ma złodziei.

Tekla-Gąska potrafiła zawsze znaleźć na wszystko gotową odpowiedź, co zresztą było w niej dość niemiłe. Na razie nikt nie przeciwstawiał się „Gąsce” — nikt nie chciał występować przeciw Rosji. Wreszcie „Piet” powiedział spokojnie:

— Zgłupieście do reszty: każdy złodziej, zanim popełni pierwszą kradzież — jest najpierw uczciwym człowiekiem; ale w wyniku ekonomicznych kryzysów w państwach kapitalistycznych, wielu ludzi zostaje bez pracy — i dlatego, niektórzy z nich kradną, aby zaspokoić swoje pierwsze potrzeby, wyżywić ciężarne żony i niewinne dzieci. Kradzieże są wynikiem niesprawiedliwości społecznej.

... i wyzysku, dorzucił „Florian Bonza”.

Mała Luiza zapytała nieśmiało:

— A co się stanie ze złodziejami, kiedy nie będzie już kapitalizmu?

— Wtedy złodziei też nie będzie, bo dzięki Socjalistycznej Rewolucji, wszyscy będą mieli co jeść i nikt nie będzie musiał kraść w poszukiwaniu pożywienia — wyjaśnił „Wielki Piet”?

— A jeśli znajdą się tacy, co będą chcieli kraść „mimo wszystko”?

— Ależ nikt nie zechce, głuptasie!

— Dlaczego, nikt nie zechce. Być może ktoś, mimo wszystko...

— A po co miałyby chcieć? Na przykład gdybyś dostawał kilo czekolady przy każdym posiłku, czy chciałbyś zabrać czekoladę Igelchen?

„Zuchwały Gustaw” — po dłuższym zastanowieniu:

— Nie, w tym wypadku nie miałbym żadnej ochoty.

— No, widzisz.

Wszyscy podziwiają bystrość spostrzeżeń „Wielkiego Pieta”. Mała Luiza pyta ponownie:

— A czy w Rosji Sowieckiej każdy dostaje kilo czekolady do obiadu i kolacji?

Ogólny wybuch śmiechu.

— Cisza — krzyczy „Florian Bonza”. Zgadzam się, aby uniewinnić złodzieja, ale sąd, zanim się wypowie, musi wiedzieć kto ponosi winę.

— Słusznie — uzupełnił „Zuchwały Gustaw” — trzeba znaleźć winnego.

— Tak jak w powieści kryminalnej, szepcze mała Luiza.

— Cicho — nakazuje „Florian Bonza” — to nie powieść kryminalna, ale Rewolucyjny Trybunał. Teraz każdy, pod słowem honoru, odpowie nam czy ukradł czekoladę, czy nie.

Cisza...

— Daję słowo honoru, że to nie ja, mówi „Zuchwały Gustaw”. „Florian-Bonza”. — O nic ciebie nie pytałem.

„Zuchwały Gustaw”: — Dlaczego?

„Florian-Bonza”: — A więc kto ukradł?

Cisza...

„Florian-Bonza”: — Ten co wziął czekoladę może przyznać się bez strachu, bo i tak zostanie uniewinniony.

Cisza...

„Florian-Bonza”: — Oświadczam, że nikt z nas nie wziął czekolady — pewnie zrobił to któryś z malców.

„Zuchwały Gustaw”: — Jeśli to któryś z malców, nie jesteśmy obowiązani go uniewinnić.

— Dlaczego. On także może być ofiarą kryzysu ekonomicznego — protestuje „Tekla-Gaska”... W Ameryce rzucają czekoladę do morza, a my, biedne dzieci uciekinierów, musimy ją kraść!

— Słusznie!

— To nie czekoladę rzucają Amerykanie do morza, ale Brazylijczycy kawę!

— Nie ważne co rzucają.

„Florian-Bonza”: — Czekoladę czy kawę — nie ma żadnej różnicy. Naszym obowiązkiem jest znaleźć złodzieja.

„Wielki Piet” proponuje powołać specjalną komisję. — „Komisję do spraw kryminalnych”, podpowiada cichutko Luiza.

Głosowanie...

„Florian-Bonza” i „Wielki Piet” zostają wybrani członkami komisji.

Posiedzenie zostało zamknięte.

## KŁĘSKA

Mimo sloganów, realizmu i socjalistycznego ducha Partia odrzuciła moją powieść: zostałem oskarżony o indywidualistyczno-burżuazyjne tendencje. Skutki tego wyroku były dla mnie bardzo smutne a cała sprawa wydaje się typowa dla sytuacji i doświadczeń partyjnego pisarza.

„Partię” reprezentowała wówczas grupa komunistyczna, działająca na terenie „Związku Pisarzy Niemieckich na Wygnaniu”, który był kulturalnym ośrodkiem naszej emigracji w Paryżu. Na zebraniach „Związku” literaci niemieccy czy francuscy czytali swoje utwory lub wygłaszali przemówienia, po czym wywiązywała się dyskusja. „Związek” występował co prawda przeciw rządowi hitlerowskiemu w Niemczech i oficjalnie był organizacją neutralną — w rzeczywistości rządził nim komuniści: oni to decydowali o politycznej orientacji stowarzyszenia, wyznaczali mówców i kierowali dyskusją. Zgodnie ze zwyczajem, przyjętym w zamaskowanych organizacjach komunistycznych, przewodniczący „Związku Pisarzy” (Rudolf Leonhard — drugorzędny pisarz) nie był członkiem Partii, ale otrzymywał instrukcje i stałą pensję z Kominternu.

Komórka zbierała się raz na tydzień. Jedyne Anna Seghers, autorka książki: „Siódmy krzyż” i „Rybacy z Santa-Barbara”, była wśród nas pisarzem o międzynarodowej sławie; nie byliśmy nigdy bliskimi przyjaciółmi, ale podziwiałem ją zawsze i podziwiam do dziś, tę pełną wdzięku kobietę i utalentowanego pisarza, zalety, które nie często idą ze sobą w parze. Ogromną popularnością cieszył się w naszej grupie Egon Erwin Kisch, zwany czule Egonkiem; — podczas trudnych lat wygnania, odegrał on wobec mnie rolę „drugiego ojca”.

Kisch pochodził z Pragi, gdzie już za młodu dał się poznać



jako autor opowiadań z życia prostytutek i złodziei. Jego pierwsza książka „Szalony Reporter” stała się klasycznym wzorem niemieckiego dziennikarstwa. Reportaże Kischa z Chin, Ameryki i Australii mimo, że utrzymane w duchu komunistycznym, zaskakują oryginalnością spostrzeżeń i narracji. Gdy go poznałem był to nieduży, otyły mężczyzna około pięćdziesiątki: smągła twarz, wyraziste rysy i wielki urok osobisty zapewniający mu niesłabnące powodzenie u kobiet; Egonek miał wyraźną „skłonność” do bardzo młodych dziewcząt, które uwodził, opowiadając im godzinami dziennikarskie anegdoty. Był także zabawnym prestidigitatorem i urządzał, wraz z żoną Gizelą, seanse telepatyczne. Gizela o końskiej szczęce i wyglądzie nauczycielki, pracowała dla G.P.U.

Postawę polityczną Kischa charakteryzował „cynizm doskonały”. Wymykał się on zręcznie ze wszystkich partyjnych dyskusji a zapytany o zdanie odpowiadał: „nie wiem, nie myślę, Stalin myśli za mnie”. Po tych słowach zapadała zwykle żenująca cisza — po czym szybko zmieniano temat rozmowy. Kisch wynalazł nową wersję gry towarzyskiej w „wyścigi” — z tym, że chodziło nie o konie ale o dygnitarzy partyjnych: zależnie od rzutu kostką uczestnicy gry zdobywali nagrody za „przestrzeganie linii” lub ponosili kary za „odchylenie” na prawo czy lewo.

Nie wiem czemu przypisać, że Egonek mógł sobie pozwolić na podobną swobodę — być może powodem tego był jego nieodparty urok osobisty, zaś ludziom o dużym wdzięku przebacza się wiele, a może Partia korzystała z jego popularności wśród sympatyków i intelektualistów partyjnych... nie wykluczone jednak, że beztrioskie herezje Kischa służyły po prostu za parawan dla „specjalnych zadań” jego żony.

W rzeczywistości, pod zewnętrzną maską cynika ukrywał się człowiek głęboko zawiedziony i zmęczony. Kisch nie posiadał wielu złudzeń co do Partii, ale jego wiara w świat niekomunistyczny była jeszcze mniejsza — zresztą czuł się już za stary, aby cokolwiek w swoim życiu zmienić. W jednej z moich późniejszych książek, pewien komunista mówi: „jeśli ktoś za młodu złożył wszystkie swoje kapitały w jednym banku to po przeszło trzydziestu latach zbyt trudno je wycofać. W moim wieku byłoby to niewygodne, powtarzam — bardzo niewygodne”. Kisch nie zwierzał mi się nigdy, ale o nim właśnie myślałem, pisząc te słowa. Zmarł na atak serca w parę lat po wojnie, w rodzinnej Pradze, nie na długo przedtem zanim został stracony, w tym samym mieście, jego rodak i przyjaciel — Otto Katz.

W naszej komórce partyjnej byli jeszcze dwaj pisarze: Gus-

taw Regler i Bodo Uhse. Miałem zawsze wiele szacunku dla Reglera a zwłaszcza dla jego odwagi, jaką okazał kiedy był Komisarzem Międzynarodowych Brygad w Hiszpanii. Rozumieliśmy się dobrze z Bodo Uhse, chociaż nasze stosunki były zawsze konwencjonalne. Becher, Willy Bredel i inni pisarze niemieccy, mieszkający w Moskwie, za każdym razem kiedy znaleźli się w Paryżu, brali udział w naszych zebraniach, Manès Sperber, którego w tym czasie nie było jeszcze w Paryżu, dołączył do nas później. Inni członkowie grupy partyjnej, a wśród nich Alfred Kantorowicz i Max Schröder (obaj należeli niegdyś do mojej komórki berlińskiej) nie wydali nigdy żadnej książki: byli to mali, partyjni biurokraci, a określali siebie słowem „pisarz”, ponieważ od czasu do czasu udawało się im umieszczać dogmatyczne artykuły w prasie komunistycznej; byli to osobnicy wyjątkowo antypatyczni i pozbawieni poczucia humoru, jednakże w hierarchii partyjnej to oni właśnie, a nie pisarze z prawdziwego zdarzenia, zajmowali wysokie stanowiska.

Trzech z naszej paryskiej komórki opuściło Partię: Regler, Sperber i ja. Kisch nie żyje — inni powrócili do Niemiec Wschodnich.

Zostałem zaproszony przez „Związek Pisarzy Niemieckich na Wyznaniu” do przeczytania wyjątków z mojej nowej powieści. Lektura odniosła pewien sukces, ale już nazajutrz zwołano konklawe komórki partyjnej która mnie zaatakowała.

Atak przeciwko mnie prowadził niejaki Otto Abusch, alias Ernst Reinhardt, były redaktor naczelny „Rote Fahne” — oficjalnej gazety Partii Niemieckiej. Komintern powierzył mu misję strażnika „czystości ideologicznej” przy nas, grupie „lekkomyślnych, drobnomieszczańskich intelektualistów”. Funkcja ta zapewniała Reinhardtowi władzę absolutną. Oświadczył on, bezbarwnym, suchym głosem, że: „nie udało mi się zrzucić z siebie balastu burżuazyjnej psychologii” i zarzucił mi, że opisuję zaburzenia okresu dojrzewania, jako zjawisko powszechne, zamiast udowodnić, że tego rodzaju kryzysy są obce młodzieży ZSSR — a właściwe jedynie w odniesieniu do chłopców z burżuazji. Zdaniem Reinhardta książka moja „świadczyła o lekceważącej i krytycznej postawie wobec Domu Dziecka w Maisons-Laffitte — instytucji, która swoje istnienie zawdzięcza solidarności klasy robotniczej i jej antyfaszystowskiemu sojusznikom”.

Oskarżycielskie przemówienie Reinhardta nadało ton obradom; paru partyjnych „linoskoczków” poszło natychmiast w jego ślady. Odpowiedziałem im z niechęcią i uczuciem niesmaku, co jeszcze bardziej pogłębiło moją winę. Ujął się za mną jedynie

Egon Erwin Kisch: — poprosił o łagodny wymiar kary w związku z moim brakiem „ideologicznego przygotowania” do pracy literackiej. Nikt z zebranych nie ośmielił się zaprzeczyć absurdalnym oskarżeniom delegata Centralnego Komitetu. „Wyrok” ogłosił przewodniczący komórki, dwudziestoletni Hans Dammert — nie był co prawda pisarzem, ale dał dowody wielkiej odwagi w walce z nazizmem; powiedział, że odchylenia i deformacje w mej powieści są tak poważne, że niezbędne środki karne przekraczają możliwości naszej małej grupy i wymagają powiadomienia o tej sprawie wyższych instancji partyjnych.

Sankcje dyscyplinarne, do których Dammert robił „delikatne aluzje” — nigdy nie weszły w życie — ale nie znalazłem w tym żadnej pociechy: pierwsza powieść jest przygodą równie okrutną dla nerwów młodego pisarza, jak pierwsza miłość dla niezręcznego szesnastolatka.

Zaniepokojony, a zarazem pełen nadziei, czekałem na opinię Partii o mojej pracy. Były to z pewnością przesadne nadzieje... Wysłałem rękopis do pewnego niemieckiego wydawnictwa w Holandii, skąd przyszła odpowiedź uprzejma ale odmowna. Poczuję się zawiedziony, a wyrok na zebraniu komórki spadł na mnie jak grom z jasnego nieba. Najbardziej bolała mnie zimna pogarda partyjnych biurokratów i towarzysząca jej obojętność znajomych pisarzy.

Poza Partią nie miałem przyjaciół: Partia była dla mnie rodziną, domem i duchową przystanią; wewnątrz tego domu można było czuć się dobrze lub źle — ale opuścić rodzinne gniazdo, mimo, że często wydawało mi się ono duszne i zawalone starymi rupieciami — było nie do pomyślenia. Znajdowali się w Partii ludzie, których nie cierpialem, to prawda — ale mimo wszystko byli mi oni bliscy; kochałem wielu innych, nie należących do Partii, ale nie mogłem znaleźć z nimi wspólnego języka.

Gdyby powieść moja spotkała się z krytyką jakiejś koterii literackiej — mógłbym spokojnie odejść po ożywionej wymianie wyzwisk: z Partii ucieczki nie było. Komórka oficjalnie zbierała się raz w tygodniu, w rzeczywistości spotykaliśmy się codziennie i, jak już nieraz wspomniałem, nie miałem wówczas innych przyjaciół. Przygnębiony, zapytywałem samego siebie jak i kiedy uda mi się przełamać tę niełaskę? A może pozostanę już na zawsze „cudzoziemcem” w najlepszym wypadku traktowanym pobłaźliwie?

Byłem bliski rozpacz. Była to druga książka, którą partia odrzucała. „Czerwone dni” były przynajmniej ogłoszone w oka-

leczonej wersji dla Ukraińców pochodzenia niemieckiego. Tu nie miałem nawet tak słabej satysfakcji. Moja pierwsza powieść została skazana, aby żółknąć w głębi szuflady, podobnie jak napisane wcześniej dwie sztuki teatralne. Szuflada pełna niewydanych rękopisów robi zawsze wrażenie rozkładającego się trupa. Pogrzeżyłem się w długotrwałej i żalostnej litości nad samym sobą — po raz pierwszy w życiu.

.....

Byłem bez grosza... W Palestynie w roku 1926-ym również przymierałem głodem, ale obecnie miałem już lat dwadzieścia dziewięć — uważałem siebie za człowieka „nie pierwszej młodości” i „niegdyś pełnego obietnic”, o którym się mówi, że „ma przed sobą wspaniałą przyszłość”. Żyjący z dobroczynności autor niewydanych powieści i niewystawionych sztuk teatralnych, człowiek obcy i samotny wśród przyjaciół i towarzyszy partyjnych — miałem zbyt wiele powodów i okazji, aby ubolewać nad własnym losem. Zdarzyło mi się to, powtarzam, po raz pierwszy i ostatni w życiu. W tym stanie depresji przeżyłem zaledwie parę tygodni, ale było to dla mnie okropne — chyba może gorsze niż więzienie i obóz koncentracyjny, bo jeśli w normalnych czasach litość nad samym sobą jest zbytkiem — w warunkach nędzy i bezrobocia — prowadzi do samounicestwienia.

.....

Kryzys ten wydaje się dość ciekawy z psychologicznego punktu widzenia: powtórzyła się tutaj bardzo wiernie intryga powieści, której „bezlitosna” krytyka doprowadziła mnie do nieudanej próby samobójstwa. Mój konflikt z komórką pisarzy był odbiciem konfliktu szesnastoletniego intelektualisty Ulrycha z Kolektywem w „Domu Dziecka”. Zazwyczaj dzieje się, że autor przynosi do swoich utworów własne doświadczenia, tym razem stało się odwrotnie: przeżyłem sytuację uprzednio przeze mnie wymyśloną. Czym to tłumaczyć? — chyba jedynie tym, że Ulrych przypominał mi samego z okresu dojrzewania. Zacytuję poniżej rozdział, napisany na parę miesięcy wcześniej, zanim usiłowałem „odejść z tego świata”. Na pierwszy rzut oka, ten przydługi fragment mojej niewydanej powieści, wyda się może czytelnikowi zbędną dygresją — ale oddaje on dokładnie stan mego umysłu, którego, kiedy piszę te słowa, po przeszło dwudziestu latach — nie mógłbym już odtworzyć, gdyż moja wiara zarówno jak i rozpacz „epoki komunizmu” — dawno już we mnie umarły.

## PAMIĘTNIK ULRYCHA

(wyjątki)

6 kwietnia 1934 rok

Są dni kiedy samotność mnie zabija; czytam w moim pokoju a inni bawią się w ogrodzie; nie słyszę ich, ale wiem, że są razem i że się bawią. Nagle przestają czytać. Powietrze zdaje się wirować a cały pokój aż drży od samotności. Męczę się tak bardzo, że nie potrafię tego opisać. Samotność zżera mi mózg i serce... Chciałbym być razem z innymi, rozgrzać się ich ciepłem, należeć do nich... Chciałbym nie czuć się sam na świecie...

Ale wystarczy, że jestem z nimi przez krótką chwilę — a wszystko wali się w błoto... Są nieciekawi, nudzą mnie; są mi zupełnie obcy, nie potrafię z nimi rozmawiać. Nie wydaje mi się, aby żyli naprawdę. Niektórzy z nich przypominają poruszone sznurkiem marionetki, inni woskowe figurki. W ogrodzie pełnym gwaru czuję się jeszcze bardziej samotny niż w moim pokoju — wracam do niego pospiesznie a wtedy wszystko zaczyna się od nowa...

10 kwietnia

„Dziś kończę szesnaście lat i mija szesnaście dni od kiedy zostałem usunięty z Kolektywu. Jako prezent urodzinowy zaproponowali mi powrót do Kolektywu: Bonza oświadczył mi to w obecności całej bandy — odmówiłem, rzecz jasna, bo nie ulega najmniejszej wątpliwości, że propozycję tę narzucono im z góry; oni sami na pewno tego nie chcą, zresztą mam ich w nosie — i tak im powiedziałem.

11 kwietnia

Ogarnia mnie wściekłość na myśl, że matka moja miała rację — nie jestem z ich grona. Proletariacko-marksistowskie wychowanie na nic się nie zda: wierzę w Marksa i wierzę w proletariat, ale nie znoszę zapachu brudnych skarpetek — jestem zawiedzionym komunistą. Rozczarowała mnie do komunizmu para przepoconych skarpetek Karola i „intelektualne poty” Floriana i Pieta.

12 kwietnia

Budzą we mnie wstręt, zresztą wzajemny. Dlaczego więc przykro mi, że nie jestem razem z nimi? Oto sprzeczność...

*Tego samego dnia*

Czuję do nich wstręt, ale to nie jest ważne — istotne jest to, że nie mam żadnego wyboru, ponieważ dom ten jest moim domem

i nie mam dokąd pójść. Jeśli nie potrafię podporządkować się sytuacji — lepiej umrzeć. Oto jedyne rozwiązanie sprzeczności...

13 kwietnia

„Człowiek, który ma zainteresowania duchowe jest zawsze samotny” — mówił mój ojciec. Bzdura! „Herr Profesor był mumią już za życia. Matka moja jest dziewczyną westalką mumii”.

Nie należę do świata moich rodziców — świat Pieta i Floriana jest mi również obcy; w stopniu jeszcze mniejszym należę do samego siebie. Nie wiem kim jestem naprawdę”.

14 kwietnia

Oczywiście, nie jest winą tych małych prolos, że są głupi, ograniczeni i gruboskórni: być może, nieświadomie, noszę w sobie pogardę dla „dzieci ulicy” zaszczipioną mi przez rodziców. Na próżno staram się być razem z nimi — nie potrafię tego. A przecież to właśnie ja, uprzywilejowany chłopak z dobrego domu, winienem pierwszy znaleźć drogę do porozumienia. Zanim jeszcze któryś z nich zdąży odpowiedzieć na pytanie — wiem z góry co myśli. Nie, nie pogardzam nimi — jestem marksistą, nużą mnie jednak ogromnie. Czasami nam wrazenie, że słyszę chrobot myśli w ich głowach, myśli równie powolnych, jak skrzyp kółek we wnętrzu starego zegara; mój własny umysł wydaje mi się wtedy precyzyjnym chronometrem.

16 kwietnia

Przeczytałem piękną, ale przerażającą książkę Ernsta Glaesera i zapamiętałem następujący dialog między profesorem i uczniem:

— Świat zmienia się i chciałbym wiedzieć — pyta chłopiec — po której stronie jest moje miejsce?

— Ba — odpowiada profesor — wydaje mi się, że nigdzie nie ma miejsca dla ciebie — i dodaje — dawne klasy panujące wymierają a my wraz z nimi; nowa klasa wprowadzi własną filozofię życia i obejmie rządy na świecie: za lat dwadzieścia innych klas już nie będzie. Bunt przeciw wspólnemu losowi — ciągnie dalej profesor — nie prowadzi do nikąd: historia lekceważy pragnienia jednostek; zostaliśmy skazani na samotność i nigdy nie potrafimy połączyć się z tłumem.

— A jeśli ktoś z nas, mimo wszystko, zechce popłynąć z prądem rzeki, jeśli z własnej woli wskoczy do wody?

— Rzeka, przy pierwszej okazji, wyrzuci cię na brzeg. Historia usunie nas poza nawias społeczny: jesteśmy dobrze wychowani, kulturalni i... nikomu niepotrzebni.

Życie przejdzie ci w zawieszeniu między dwoma wrogimi obozami. Wiele zobaczysz, wiele zrozumiesz — przeżyjesz nową wojnę i nową rewolucję, ale zawsze będziesz samotny, bez przyjaciół i bez ojczyzny.

Czytając te słowa zdawało mi się, że dostałem pałką po głowie. Przypomniałem sobie nagle owe straszliwe przekleństwa proro-

ków ze Starego Testamentu. Nie, ach nie, mój los będzie inny! Nie chcę zostać zabłąkanym, wyrzuconym poza nawias społeczny rozbitkiem! Popłynę z prądem, zaprzeczę samemu sobie, tak jak już wcześniej wyparłem się moich rodziców. Dziś jeszcze poproszę o ponowne przyjęcie do Kolektywu”.

Tutaj kończy się pierwsza część pamiętników Ulrycha. Stara się on, jak tylko może, uzyskać przebaczenie kolegów, a zwłaszcza Pieta, syna bohaterskiego komunisty z Hamburga. Ale uprzejme słowa pojednania małego intelektualisty, skierowane w stronę proletariackiego rówieśnika — brzmią fałszywie i pusto: zamiast przeprosin dochodzi do awantury. Ulrych zostaje porządnie pobity, Piet, którego ukarano za „brutalność” — ucieka z Domu Dziecka: jest on już dorosłym chłopcem i postanawia sam dawać sobie radę w życiu. A jednak Ulrycha gnębią wyrzuty sumienia — jest bardziej nieszczęśliwy, niż kiedykolwiek.

16 maja

Sprawa Pieta nie daje mi spokoju; niedługo zacznę o nim snuć, jak Brutus po zabójstwie Cezara. Idiotyzm! Nie wyrządziłem mu żadnej krzywdy, chciałem się z nim pogodzić a on obrzucił mnie obelgami i pobił. Wszyscy wokół mnie tak się zachowują, jakbym to ja ponosił winę za jego ucieczkę. Nie rozmawiają ze mną, a jeżeli, to bardzo niewiele. Najgorsze, że ja sam poczuwam się do winy. Unikają mnie jak trędowatego. Nie, wcale nie przesadzam. Nie jestem trędowatym, jestem, wyrzuconym poza nawias społeczny, rozbitkiem: rzeka płynie, a ja siedzę samotnie na brzegu i rzucaam do wody kamyki moich myśli.

17 maja

Mam tego dosyć — muszę odejść. Ale mama nie ma pieniędzy, aby mnie stąd zabrać, i zresztą nie chciałbym wcale z nią mieszkać. Nie mogę powrócić do rodzinnego kraju — do kraju moich marzeń nie znajdują drogi”.

18 maja

Czytałem nową powieść Erenburga — jeszcze jedna wersja tego samego zagadnienia: bohater książki, imieniem Kola, również nie ma dokąd pójść — nie może cofnąć się, ani iść naprzód. Kocha Tołstoja a Plan Pięcioletni niepomiernie go nudzi: interesuje się życiem jednostki a nie działalnością całej ludzkości. Kola popełnia samobójstwo: — Werther umierający z miłości do proletariatu! Ach, co za głupi sentymentalizm! Śmierć jest sprawą bardzo poważną i jej ośmieszanie wzbudza we mnie odrazę. Starożytni Rzymianie, przed oddaniem niewolników na pastwę dzikich zwierząt, nakładali

im na twarze komiczne maski, aby umierali jako kłowni a nie jako męczennicy; mordercy odbierali ofierze ostatni przywilej: godność śmierci.

### *Tego samego wieczora*

Nie mogę wyobrazić sobie śmierci ani tego, że wszystko kończy się raz na zawsze, że już nie ma dalszego ciągu i, że nie istnieje nic, aby uśmierzyć ból. Chwila śmierci ogranicza się do wiecznej terazniejszości, bo dla umierającego przyszłość już nie istnieje. Znużenie odpywa od nas razem ze śmiercią.

Na tych słowach kończy się pamiętnik Ulrycha — usułuje on popełnić samobójstwo: przecina sobie żyły. Po odratowaniu chłopca, doktor Moll, jedyny w całym Domu Dziecka człowiek, który czuje do Ulrycha sympatię — siada u jego wezglowia:

— Przeraziłem się dopiero w ostatniej chwili, kiedy wszystko powoli zaczęło się wokół mnie zapadać — mówi Ulrych, głosem słabym i bardziej dziecięcym, niż zazwyczaj; — myślę teraz, że w głębi serca wcale nie chciałem umierać. Wstydzę się ogromnie, a jednak jestem szczęśliwy, jak nigdy przedtem.

— Nie bądź taki pewny siebie, niedługo posmutniejesz.

— Dlaczego jest pan dla mnie niedobry — pyta Ulrych.

— Taki już jestem z natury, choć inni tego nie widzą.

— Czy sądzi pan — pyta dalej Ulrych, — że Historia wyrzuciła nas poza nawias i, że nie można uciec od własnej przeszłości.

— Wydaje mi się to bardzo trudne.

— Nie potrafię tego... usułowałem i wszystko na próżno — mówi chłopak.

— Byłeś zbyt arogancki — odpowiada Moll.

— Z początku — tłumaczy się Ulrych — ale później upokorzyłem się, poszedłem do Canossy...

— Była to nowa forma arogancji — i to bardzo niemiła.

— Cóż miałem robić?

— Tylko niewielu ludzi z naszego środowiska postępuje właściwie — to jest dość trudne: należy się zdobyć na pewnego rodzaju harakiri. Trzeba odrąbać gałąź, której się trzymałeś i wyrwać drzewo z korzeniami, które dotychczas cię żywiły — bo są one zatrute myślami, uczuciami i obrazami świata, skazanego na zagładę; musisz zapuścić korzenie gdzie indziej.

Ulrych, po chwili milczenia:

— Można się z tym pogodzić, ale mimo wszystko żałować, że dawny świat ginie nawet, jeśli się czuje do niego nienawiść — razem z dawnym światem odchodzi w zapomnienie część naszego własnego życia.

Świat burżuazyjny musi zginąć, ponieważ zaprzecza własnym ideałom, o które niegdyś walczył i, którym zawdzięcza swoje istnienie.

— To co pan mówi jest straszne — odpowiada Ulrych, swym dziecięcym i sennym już głosem — pragnę żyć tak samo, jak inni. Nie chcę niczego więcej.

— Bardzo ambitne dążenie — mówi doktor Moll — nikt z nas nie żąda niczego więcej, a popatrz, jakie to powoduje trudności. Dobranoc mały.



## RATUNEK

Niespodziewanie otrzymałem ze strony Partii propozycję pracy — co prawda bezpłatnej — ale pasjonującej. Pochłonęła mnie ona całkowicie podczas najbliższych miesięcy i „wyzwoliła” ze stanu przygnębienia. Chodziło o utworzenie ośrodka do badania struktur społecznych i wewnętrznych mechanizmu ustrojów faszystowskich w różnych krajach. Praca ta miała mieć charakter dużo poważniejszy niż propagandowe publikacje „trustu Muenzenberga”. Autorem pomysłu był mój stary przyjaciel Peter Maros, który po powrocie do Paryża z Jugosławii, zapytał mnie, czy nie zechciałbym pracować w Instytucie do Badań Faszyzmu — w skrócie: INFA.

Peter przyszedł mi z pomocą w odpowiedniej chwili i byłem mu za to ogromnie wdzięczny. Pewnego dnia zadzwonił do mnie i poprosił o spotkanie w kawiarni Webera przy rue Royale; na moje zdumienie, że mamy zobaczyć się w lokalu tak droгим i wytwornym — odpowiedział:

„Zapraszam się i o nic się nie martw. Dobrze ci zrobi, jeśli chociaż na chwilę wyjdiesz z twojej ponurej dziury” — domyśliłem się, że Peter wiedział w jak kiepskiej znajdowałem się sytuacji.

.....

Instytut do Badań Faszyzmu (mimo że kierowany przez Komintern w osobie Petera) — miał niewiele wspólnego z codzienną praktyką partyjną: powinien być finansowo samowystarczalny i oficjalnie uchodził za jeszcze jedną placówkę Frontu Ludowego. Zwróciliśmy się do wielu znanych osobistości z prośbą o „opiekę moralną i materialną pomoc”: — znajdowali się wśród nich: profesor Langevin, André Malraux, małżonkowie Joliot-Curie, Renaud de Jouvenel i inni. Zainteresowały się nami także fran-

cuskie związki zawodowe, tym niemniej, jak to było zresztą do przewidzenia, fundusze wpływały bardzo powoli — i dlatego Instytut zatrudniał ludzi bez wynagrodzenia — zwracano nam jedynie za komunikację a w południe podawano gorącą zupę... Było to, jak mnie uprzedził Peter, na razie wszystko co Instytut mógł ofiarować swoim współpracownikom, łącznie z naprawdę przyjacielską atmosferą, panującą w tej małej grupie. — „Czy przyjmiesz podobne warunki i zechcesz kierować działem publikacji” zaniepokoił się mój przyjaciel. „Oczywiście” — byłem zachwycony jego propozycją. Na pytanie kto jeszcze będzie redaktorem, odpowiedział: „Na razie tylko ty”.

Nazajutrz rano rozpocząłem pracę. Nasz Instytut mieścił się przy rue Buffon pod Nr. 25, naprzeciw Ogrodu Botanicznego, i zajmował cztery pokoje. Nad całością badań czuwał Peter; trzy Niemki: Rita, Ellen i Lys — wycinały artykuły z gazet i prowadziły archiwum prasowe; René, młody chłopak pół-Rosjanin pół-Francuz, zajmował się przekładami, a Maks, tajemniczy osobnik w średnim wieku, pełnił funkcję dyrektora handlowego; była wreszcie sprzątaczką, która przygotowywała również południową zupę. Wszyscy, poza Ellen i René, należeliśmy do Partii. Mimo zażyłych i serdecznych stosunków, nie znałem nie tylko przeszłości moich kolegów, ale nawet ich nazwisk i adresów.

Byli bardzo sympatyczni, prości i pełni zapału. Z perspektywy lat wydaje mi się, że INFA była placówką najlepiej pomyślaną i najbardziej godną szacunku ze wszystkich organizacji komunistycznych, jakie poznałem podczas mojej kariery partyjnej.

Zyliśmy w atmosferze przypominającej początki ruchu komunistycznego — i być może to właśnie między innymi sprawiło, że Partia już po upływie roku storpedowała naszą działalność. Pracowaliśmy przeciętnie dziesięć godzin dziennie, bez żadnego wynagrodzenia, a dla wielu z nas południowa zupa stanowiła podstawowy posiłek. Nie dzieliły nas ani intrygi ani zazdrość, aż do chwili kiedy Partia przysłała nam „Komisarza” — podejrzane indywiduum, które bardzo szybko zniszczyło nasz zespół.

Peter Maros zamierzał przeprowadzić poszukiwania na temat istoty faszyzmu — nie wystarczyły nam barwne slogany, takie jak: „nazistowskie barbarzyństwo”, „powrót do średniowiecza” czy „rządy bandytów”. Teoretycy partyjni (staraliśmy się zresztą nie krytykować ich otwarcie) uznali faszyzm za „jawną formę dyktatury kapitalistycznej” — w odróżnieniu od jej formy ukrytej, to znaczy „burżuazyjnej demokracji”; głosili oni, że „zawartość klasowa” ustroju Niemiec hitlerowskich i Wielkiej Brytanii jest jednakowa i, że kto przeciwstawia się Partii — staje

się faszystą. Stąd też wzięły się określenia w rodzaju: „socjal-faszyści” czy „faszyści trockistowscy”. W tej sytuacji czuliśmy się obowiązani do ujawnienia prawdy...

Postanowiliśmy rozpocząć naszą działalność w sposób skromny a zarazem ambitny: „Sekcja publikacji” miała wydawać dwumiesięczny biuletyn (wyszły trzy numery) oraz serię broszur i książek, przeznaczonych dla polityków, historyków, dziennikarzy itp. (ukazało się wiele z nich, były napisane przez autorów, którym przesłaliśmy odpowiednią dokumentację). Mieliśmy również dostarczać organizacjom kulturalnym i prasie francuskiej dokumenty mogące posłużyć jako broń ideologiczna w walce z faszyzmem.

Pierwszy numer biuletynu ukazał się już po miesiącu. Pewien włoski towarzysz nadesłał nam doskonale opracowany artykuł pt: „Warunki życia robotników plantacji ryżu w Dolinie Padu”. Dziś jeszcze wspominam go z wdzięcznością, ponieważ resztę biuletynu, musiałem redagować sam. Na polecenie INFA, dla gazety „L’Intransigeant” napisałem serię artykułów, może nieco zbyt optymistycznych, o działalności podziemia antyhitlerowskiego w Niemczech. Mimo gwałtownej potrzeby zarobku nie umiałem zdobyć się na współpracę z prasą burżuazyjną — teraz świadomość, że występuję z ramienia Partii — rozproszyła moje wątpliwości i z radością powróciłem do dziennikarstwa.

Peter, mimo mesjanistycznych zapędów, był dobrym i rozumiałym kolegą: nigdy nie dał mi odczuć, że jest moim szefem i, aż do chwili kiedy podałem się do dymisji pracowaliśmy w atmosferze niczym niezamąconej harmonii. René, małomówny młody człowiek, często wydawał się bezbarwny — ale był zdolny i dobrze wychowany; Lys utrzymywała się ze skromnej pensji i miała małą, pełną wdzięku córeczkę — myślę, że była rozwódką lub wdową po jakimś wysokim dostojniku partyjnym. „Nasze kobiety” nigdy nie opowiadały nam o sobie. Rita, rosła i piękna dziewczyna, żyła z pewnym rosyjskim towarzyszem, który, jak się zdaje, pracował dla „aparatu”, co jeszcze zwiększyło jej dyskrecję. Najmłodsza wśród nas, Ellen, nie należała jeszcze do Partii; była zabawną i dynamiczną córką żydowskiego bankiera z Berlina; — podkreślała zrećźnie swój egzotyczny typ urody Nofretete z Kurfürstendamm; rodzice Ellen, przerażeni że dziewczyna „miesza się do polityki” — przestali dawać jej na utrzymanie i obecnie była ona prawie tak samo uboga, jak my wszyscy — co zresztą bardzo ją bawiło. Ellen jedyna wśród nas była całkowicie pozbawiona pruderii i kompleksów ludzi biednych: nie sprawiało jej przykrości prosić o pożyczkę paru franków... Lys, Ellen i Rita żyły ze sobą w

serdecznej zgodzie. Wspomnę jeszcze Gretę, sprzątaczkę i kucharkę w jednej osobie, która pochodziła z robotniczej, berlińskiej rodziny i dogadzała nam, jak mogła.

Poza René i Ellen prawie każdy z nas przeszedł już „poprzez tryby partyjnej maszyny” i nosił w sercu ukrytą ranę. Teraz czuliśmy się prawie szczęśliwi. Przyjemnie było pracować w koleżeńskiej atmosferze pod kierownictwem życzliwego ludziom Petera Marosa.

Nie słyszałem nigdy otwartej krytyki działalności Partii, ale często, podczas rozmowy lub na nową wiadomość z prasy — zapadała żenująca cisza a ten i ów wzruszał ramionami; łączyły nas wspólne rozczarowania, mimo, że o tym nie mówiliśmy. Wieczorami, po pracowitym dniu, niektórzy z nas pozostawali jeszcze długie godziny razem, aby dyskutować nad sprawami Instytutu — był on naszą radością i pasją.

Myszę, że w latach międzywojennych, miliony komunistów różnego wieku i narodowości, takich jak my, stanowiły ogromny ludzki rezerwuar idealizmu i zapału, zdolny zmienić polityczne oblicze świata. W wieku dwudziestym powtórzyła się raz jeszcze tragedia pierwszych lat istnienia Kościoła, kiedy to wiosenna fala ideałów uniosła ze sobą najlepszych ludzi epoki — skromnych i czystych, aby później rzucić ich na pastwę skorumpowanych papieży: przypomnijmy sobie mistyczny początek Wypraw Krzyżowych i ich tragiczny koniec.

Dlaczego więc ludzie rozczarowani do Partii, ale jeszcze pełni wiary w komunizm, nie zbuntowali się i nie obalili jarzma Borgiów Kremla? Ci, którzy żyli w Związku Sowieckim, zostali ubezwłasnowolnieni. Ale tacy jak Peter, Lys, Egon i ja? Milczeliśmy, mimo że G.P.U. nie zamknęło nam ust — być może do jawnego protestu przeciw rządowi terroru zniechęciło nas rozproszenie i żałosne losy separatystycznych grup komunistycznych, pozbawionych oparcia sowieckiej potęgi i jej pieniędzy. Ale prawdziwą przyczyną naszego „moralnego paraliżu” był, właściwy wszystkim ludziom wierzącym, lęk przed ekskomuniką. Mieliśmy do siebie wzajemne zaufanie, a jednak nikt z nas nie ośmielał się otwarcie krytykować Partii. Wzruszenie ramion czy nagłe milczenie — wyznaczały granice buntu przeciw stalinizmowi, zakreślone przez naszą świadomość w rozpaczliwej samoobronie przed usunięciem poza nawias Partii.

„Dzieliłem razem z przyjaciółmi wspólne przekonania — od tego czasu jedni z nich opuścili Partię, inni zginęli. Na próżno usiłowaliśmy zamykać oczy: nie byliśmy ślepi. Nawet najwięksi fanatycy czuli, że w ruchu komunistycznym źle się dzieje; ale wmawialiśmy sobie, że Partia może zmienić się jedynie „od wewnątrz”. Łatwo

podać się do dymisji z klubu lub mieszczańskiej partii politycznej — Partia Komunistyczna była awangardą klasy robotniczej i wcieleniem prawidłowości historycznej: ten kto opuścił Partię zostawał odrzucony *extra muros* i tracił odtąd wszelki wpływ na bieg dziejów. Dialektyka nakazywała nam pozostawać w Partii — milczeć i połykać własną żołąć w oczekiwaniu dnia, gdy po zwycięstwie Rewolucji — Sowiety i Komintern staną się demokratyczne. Wierzyliśmy, że wówczas partyjni przywódcy zostaną wezwani do zdania sprawy ze swej działalności, z niepotrzebnych klęsk i poświęceń, z błota oszczerstw i donosów, które w konsekwencji poprowadziły najlepszych towarzyszy na śmierć. W oczekiwaniu na „Dzień Sądu” trzeba było grać żalostną komedię, zaprzeczać samym sobie, tłumić słowa protestu, cisnąć się na usta...

Taką płaciliśmy cenę, aby tylko móc zachować poczucie, „że jest się potrzebnym sprawie”.

### *The God that failed*

Dyrektor handlowy Max, odcinał się w sposób jaskrawy od innych pracowników Instytutu. Partia przysłała go nam jako „zdolnego organizatora” — a wyglądał na sprzedawcę damskiej bielizny — i czuliśmy się niezręcznie w jego obecności. Pewnego dnia znikł bez uprzedzenia nie tylko z rue Buffon, ale i z Francji; mam wrażenie, że zabrał ze sobą część naszych skromnych kapitałów, ale ani Lys ani Peter, którzy prowadzili dział rachunkowości — nie chcieli na ten temat powiedzieć ani słowa.

.....

## CZYSTKA W SZKLANCE WODY

Było to zbyt piękne aby miało trwać długo... Losy naszego Instytutu są mikroskopijnym odbiciem tragedii ruchu komunistycznego.

Wiosną 1934-go roku otrzymaliśmy cennego współpracownika — był nim „towarzysz Paul”, prawdziwe jego nazwisko: Manès Sperber. W parę tygodni później Partia przysłała nam specjalnego „Komisarza”, którego zadaniem była kontrola naszej działalności. Na imię miał Jan — wolałbym jednak nazwać go „człowiekiem niewidzialnym” — ponieważ był on całkowicie pozbawiony osobowości. Średniego wieku i wzrostu, łsawy — nosił brunatny garnitur — mówił powoli a w zachowaniu zdradzał ukryty upór; był wcieleniem partyjnego biurokraty: drewniana twarz i mózg z gipsu.

Tym niemniej „towarzysz Jan” posiadał ogromną zaletę: został wyszkolony w Moskwie. Nie dowiedziałem się nigdy jego nazwiska — wiem tylko tyle, że był sekretarzem „Ligi Ludzi bez Boga” — międzynarodowej organizacji ateistycznej i „podo-piecznej” Kominternu — rozwiązano ją, jak się zdaje, w 1934 roku, w okresie zmiany linii i w związku z perspektywą Frontu Ludowego.

Podczas długiej kariery partyjnej Jan przyswoił sobie cenną technikę „manewru wewnętrznego” — *Fraktionspolitik*: jest to sposób postępowania niezrozumiały dla ludzi wychowanych w klimacie demokracji i przyzwyczajonych do pojmowania akcji politycznej w terminach parlamentaryzmu i z uwzględnieniem woli wyborców. W obozie marksistowskim, już od chwili założenia przez Marksa Pierwszej Międzynarodówki — konflikty idei i ludzi były rozwiązywane zupełnie inaczej. W grupach konspiracyjnych pierwszych lat istnienia ruchu komunistycznego i później — nie stosowano nigdy ogólnie przyjętych reguł gry politycznej,

właściwych innym partiom: zastąpiła je „rewolucyjna dyscyplina” i ślepe posłuszeństwo władzy *quasi-wojskowej*. Delegaci na zjazdy czy konferencje partyjne nie reprezentowali swoich wyborców. Dzielili się oni na kategorie, a mówiąc żargonem partyjnym — frakcje, bez stałego programu czy zasad. Kongresy Partii, zwoływane zresztą nieczęsto, wyłącznie w „trudnych okolicznościach” i zaledwie na parę dni — nie przekształciły się nigdy w prawdziwe Parlamenty Rewolucji. „Fracje” w łonie Partii były to grupy bardzo prowizoryczne: tworzyły się one w związku ze wspólnymi, dla danych działaczy, poglądami w dziedzinie strategii — a najczęściej źródłem ich powstania było dążenie do przechwycenia władzy. Dzieje wielu partii komunistycznych — w poszczególnych krajach — są historią walk między frakcjami; walki te, z braku demokratycznej procedury, prowadzone były drogą intryg, bezprawia czy podstępu, że wyliczę tylko niektóre metody *Franktionspolitik*. Ostateczne decyzje należą do sowieckiego „Politbiura” a później już tylko do Stalina, który kolejno likwidował jedne frakcje i zastępował je innymi.

Obyczaje i poglądy polityczne zawodowych działaczy komunistycznych były zaprzeczeniem poglądów Zachodu na te same sprawy. Ideały humanistyczne, elokwencja, umiejętność prowadzenia parlamentarnej dyskusji, poczucie aktualności, znajomość historii i osobista inicjatywa — wszystko to dla działacza — komunisty stanowiło zbędny balast. W jego oczach „polityka” oznaczała zdolność zdobycia władzy drogą podstępu. Sukcesy Stalina i jego ostateczne zwycięstwo nad bardziej błyskotliwymi rywalami w rodzaju Trockiego czy Bucharina — pozostają zagadką tylko dla osób nie znających atmosfery w Sowietach. Jałowa nuda jego pism i przemówień, brak zasad moralnych i skrupułów, zdrada przyjaciół i zupełna nieczułość na cierpienia ludu oraz wulgarne fałszowanie Historii — słowem wszystko, co ośmieszałoby Stalina w Izbie Gmin — to właśnie zadecydowało o jego zwycięstwie, jako *Fraktionspolitikiera*. Wierny dialektyce świata Kominternu — pozostawał on przez długie lata walki o władzę — „człowiekiem doskonale niewidzialnym”, a gdy zasiadł wreszcie na kremlinowskim tronie — okazał się wszechpotężnym bogiem.

„Towarzysz” Jan był Stalinkiem w miniaturze a nasza INFA — małą instytucją i śmiertelne boje moskiewsko-olimpijskich bogów znajdowały wśród nas odbicie raczej żałosne.

Jan nie mógł nas zlikwidować, ani wysłać do obozu pracy, lub też torturami zmusić do fałszywych zeznań: poza granicami Związku Sowieckiego nie było to możliwe. Oczywiście, pewnego pięknego dnia, każdy z nas mógł otrzymać polecenie „niezwłocz-

nego wyjazdu do Moskwy". Nie wątpię, że nikt z nas nie odmówiłby wówczas wykonania podobnego rozkazu... Ale na szczęście byliśmy mniej lub bardziej przeciętnymi działaczami Partii, a wyżej wymienione metody stosowano zwykle wobec wybitnych osobistości partyjnych lub „członków aparatu”.

Walka w INFA miała więc, w danej mierze, charakter fikcyjny: nie groziły nam ani wyroki śmierci, ani kary więzienia — a jedynie jako dowód niełaski „przymusowy urlop” lub, w najgorszym razie, usunięcie z Partii. Tym niemniej świadomość niebezpieczeństwa wystarczała, że podporządkowaliśmy się absolutnej władzy Jana.

A on od razu zabrał się do dzieła, ochoczo a zarazem spokojnie. Nie wyrażał nigdy niezadowolenia otwarcie, nie czynił nikomu przykrych uwag. Wkrótce wyczułem, że głównym jego zadaniem było usunięcie z Instytutu Petera Marosa. Od chwili przyjazdu „komisarza” zbyt częste zebrania personelu zabierały nam wiele czasu i paraliżowały nas psychicznie; rodzinną atmosferę naszych spotkań — zastąpiła biurokratyczna drętwość. Jan wygłaszał długie przemówienia i w obowiązującym żargonie stalinowskim podawał nam wytyczne pracy Instytutu, jak: „rozszerzenie frontu ideologicznego”, „dialektyczne wzmocnienie działalności naukowo-wychowawczej” oraz „potrzeba położenia kresu lekkomyślności, która doprowadziła do tego, że nie zdawaliśmy sobie sprawy z ukrytego, faszystowskiego charakteru austriackiej szkoły marksistowskiej”... itp.

Słowa Jana były nieświadomą parodią „dyrektyw i tez” Stalina na zebraniach Rady Najwyższej ZSSR i nie miały nic wspólnego z pracą naszego Instytutu. „Komisarz” nie poruszał nigdy spraw praktycznych, zapewne aby uniknąć odpowiedzialności za działalność. Wkrótce zrozumiałem, że jego przemówienia, na pozór bez związku z naszą codzienną pracą — były wymierzone przeciw... niektórym z nas. Początkowo zwracał się on z uprzejmą propozycją złożenia samokrytyki jedynie do Petera Marosa, a gdy zauważył, że łączy nas przyjaźń — zabrał się także i do mnie. Ataki te były zwykle zamaskowane. Jan wystrzegał się bezpośrednich uwag krytycznych pod adresem naszej pracy — mówił natomiast o „pilnej konieczności pogłębienia walki” i „wzmocnienia wysiłków...” Niczego nie nakazywał, ale wiele „zalecał”. W końcu osiągnął cel: pracownicy INFA, w większości starzy komuniści, zrozumieli, że dni Petera i moje w Instytucie były policzone.

W każdym innym biurze partyjnym bylibyśmy zagubieni: personel pochwyiłby z radością dobrą okazję i zademonstrował nas jako niezdolnych do pracy trockistów lub złodziei mienia publicz-



nego. Komitet Centralny zarządziłby wówczas dochodzenie — zostalibyśmy usunięci nie tylko z Instytutu, ale i z Partii. Na szczęście pracownicy INFA tworzyli grupę ludzi o wyjątkowej wartości moralnej: nie przeciwstawiali się oskarżeniom Jana, taki bunt byłby z ich strony dowodem donkiszoterii — ale nie atakowali nas, udali po prostu, że nie słyszą wieloznacznych aluzji...

Partia mogłaby pozbyć się nas bez trudu, jednakże Komintern kierował się zasadą, że przed „ostateczną likwidacją odstępców, należy przedtem demaskować ich w opinii mas”. „Masami” w naszym wypadku byli nie tylko pracownicy INFA — ale wielu francuskich intelektualistów, którzy opiekowali się Instytutem — stąd wysiłki Jana, aby zmusić Petera i mnie do złożenia publicznej samokrytyki.

Gdy to się nie udało, nasz „komisarz” zmienił metody postępowania. W szczęśliwych dniach, zanim Jan zjawił się wśród nas — Instytut przyjął mój projekt urządzenia Wystawy Antyfaszystowskiej w jednym z Pawilonów Targów Paryskich, przy Porte de Versailles. Był to pomysł ambitny i wszyscy zabraliśmy się z radością do jego wykonania. Chcieliśmy, przy tej okazji, zorganizować konferencje publiczne z udziałem osobistości ze świata nauki i literatury całej Europy. Przedsięwzięcie ta miało nas kosztować około miliona franków, co znacznie przekraczało nasze możliwości finansowe. Peter i ja zainteresowaliśmy więc sprawą wystawy różne postępowe organizacje jak: Ligę Obrony Praw Człowieka, Ligę Obrony Ofiar Faszyzmu i działaczy CGT. Rokowania z tymi organizacjami miały charakter „bardzo delikatny”, bo każda z tych grup kierowała się własną polityką, często sprzeczną z poglądami innych. Zawarliśmy wreszcie ogólną umowę, według której INFA miał przedstawić dokładny budżet i plan wystawy.

Pracowaliśmy z zapałem... Pewnego dnia Jan przedstawił nam indywidualum imieniem Maurice — jako „dobrego towarzysza, godnego zaufania” i doskonałego rysownika-karykaturzystę, który miał nam pomóc przy dekoracji wystawy.

Ten krępy mężczyzna około czterdziestki, starał się usilnie o zachowanie „proletariackich manier”, a wyglądał bardzo ponuro. Dowiedziałem się później, że pracował dla „aparatu” w Hamburgu i rzekomo rysował karykatury dla tamtejszej gazety partyjnej. Na przywitanie rzucił nam podejrzliwe spojrzenie przekrwionych oczu, po czym zainstalował się ze swymi kartonami w pokoju Jana. Przez trzy dni nie wydobył ze siebie ani jednego słowa; nie pytał nas o działalność i cele Instytutu i nie okazał żadnego zainteresowania dla przygotowań do wystawy, mi-

mo, że miał pracować przy jej realizacji. Przekonaliśmy się wkrótce, że „towarzysz Maurice” był po prostu matołkiem i, że milczał, bo nie miał nic do powiedzenia...

W kilka dni po przybyciu Maurice'a, Jan zawołał zebranie personelu. W długim i mglistym kazaniu przedstawił on „propozycje reorganizacji Instytutu w celu zwiększenia wydajności”; oświadczył, że towarzysze Peter i Artur winni „poświęcić swe siły innym (i bliżej nieokreślonym!) zadaniom” oraz przekazać pracę nad wystawą „towarzyszowi Maurice”.

Oczywiście „propozycje” Jana stanowiły nieodwołalny rozkaz — oznaczały nie tylko, że zostaliśmy „politycznie” zlikwidowani, ale że Partia rezygnuje z wystawy, której pomysł i wykonanie spoczywało wyłącznie na naszych barkach. Myślę, że wszyscy obecni zrozumieli to od razu. Zebranie trwało wiele godzin: na zakończenie podałem się do dymisji, wiedząc, że ponieważ przyjąłem pracę w INFA, nie na rozkaz Partii ale z własnej woli — nie groził mi zarzut o „odchylenie od partyjnej dyscypliny”.

Peter, główny oskarżony w naszym miniaturowym procesie, był lepszym niż ja komunistą: zachował milczenie i przez cały czas przyglądał się Janowi z wyrazem chrześcijańskiej pokory tak zupełnej, że ten ostatni poczuł się zażenowany. Peter zabrał w końcu głos jedynie po to, aby namówić mnie do pozostania w Instytucie — przemawiał cicho i spokojnie, starając się mnie przekonać, że „niektóre decyzje Partii wydają się początkowo trudne do przyjęcia — ale później zawsze okazują się słuszne”.

Inni koledzy powiedzieli mniej więcej to samo, ale głosy ich zdradzały tyle serdeczności, że serdeczność ta wyrażała pośrednio krytykę czystki. Ciężko mi było odejść... A jednak, mimo przywiązania tych ludzi do Petera i Instytutu — nikt otwarcie nie przeciwstawił się żądaniom Jana — nikt nie zaproponował wspólnej dyskusji...

W miesiąc później Peter Maros podał się również do dymisji: Instytut do Badań Faszyzmu przestał istnieć.

Partia, a przynajmniej „towarzysz Jan”, przewidziała niewątpliwie że tak będzie. Nasz Instytut był placówką zbyt mało ortodoksyjną, aby mógł przetrwać: zadaniem INFA była analiza zjawisk społecznych, niezależnie od stale zmieniających się sloganów Kominternu. Podobna postawa musiała, wcześniej czy później, doprowadzić do „odchylenia od linii” w stronę „burżuazyjnego obiektywizmu”. Jeśli Komintern chciał zachować „monolityczną strukturę ideologiczną — nie mógł tolerować podob-

nych herezji — jedynym wyjściem z tej „trudnej sytuacji” była ścisła kontrola pracy Instytutu i usunięcia Petera Marosa. Jeśli „nieczysta ideowo” placówka, pozbawiona swego kierownika, miała przestać istnieć — tym lepiej — gdyż jak dotąd dostarczała ona tylko niepotrzebnych kłopotów.

A przecież... tę „czystkę w szklance wody” wywołały jedynie „różnice w pojmowaniu politycznego rozkładu jazdy” — Peter i ja musieliśmy odejść z Instytutu, ponieważ, o parę miesięcy wcześniej, proponowaliśmy taktykę, która wkrótce stanowić miała „oficjalną linię Frontu Ludowego”. Ale istotą *Fraktionspolitik* jest ścisłe przestrzeganie „sloganów chwili”. W zamkniętym świecie Kominternu, gdzie bohaterowie z dnia na dzień zamieniają się w zdrajców — losy polityka, podobnie jak życie cyrkowego akrobata — zależy od tego, czy potrafi on wykonać swe sztuczki z dokładnością do jednej dziesiątej sekundy. Prorocy i wizjonerzy przeszłości stawali się męczennikami, bo urodzili się o wiek czy dwa za wcześnie. W ruchu komunistycznym wystarczy różnica kilku miesięcy abyś został ukrzyżowany.

Każdy ustrój można porównać do serii „filtrów”, właściwych danemu ustrojowi lub ruchowi politycznemu; polityk czy biurokrata, jeśli chce zdobyć władzę i utrzymać ją — musi przejść przez te „filtry”. W Anglii podstawową zaletą polityka jest pewnego rodzaju „przyzwoita przeciętność”; w USA — „zdolność nawiązania kontaktu z masami i działania na ich wyobraźnię”; w krajach łańskich — talent „mówcy i aktora”. Próbowaliśmy już wymienić cechy charakteru, niezbędne dla zdobycia władzy w świecie komunistycznym.

„Filtr” oznacza zasadę doboru naturalnego; polityk nawet najbardziej uzdolniony, przegra, jeśli jego osobowość nie odpowiada prawom rządzącym ustrojem, w którym porusza się. Jeśli czasem jakiś geniusz polityczny niszczy gwałtownie owe „filtry” i dochodzi do władzy — zmienia się jednocześnie cały system „filtrów”.

Moja klęska jako komunisty nie była wynikiem nieszczęśliwego przypadku... sam zrezygnowałem z kariery w „truście Muenzenberga”, a po smutnych doświadczeniach w INFA — zrozumiałem, że nie potrafię przejść przez najprostsze „filtry” partyjnej biurokracji. Zwycięstwo Hitlera w Niemczech — a później wojna domowa w Hiszpanii — wzmocniły moje więzy z komunistami, w przeciwnym razie, myślę, opuściłbym Partię dużo wcześniej: już na początku Wielkich Czystek.

## DZIESIĘCIU MAŁYCH INDIAN

Partia powierzyła mi nową misję: otrzymałem polecenie natychmiastowego wyjazdu do Zagłębia Saary, aby wydawać tam tygodnik satyryczny.

Losy wielkich kopalń i 600.000 mieszkańców Zagłębia nie zostały uregulowane po pierwszej wojnie światowej (podobnie jak i po drugiej). Clemenceau domagał się najpierw wcielenia tego terytorium do Francji, ale decyzję odłożono na lat piętnaście, po czym sprawę miał rozstrzygnąć plebiscyt; na razie administracją Saary zajmowała się Liga Narodów.

Plebiscyt wyznaczono na dzień 13 stycznia 1935 roku, w oczekiwaniu, że wyniki będą miały znaczenie symboliczne. Ludność Zagłębia, etnicznie niemiecka, ale politycznie niezależna, miała się wypowiedzieć o rządach Hitlera po dwóch latach od chwili objęcia przez niego władzy. Miejscowe partie podzieliły się na dwa obozy: pronazistowski Front Niemiecki oraz Front Ludowy, w skład którego weszli socjaliści, liberałowie i komuniści. Przyjechałem do Saarbrücken, kiedy kampania wyborcza było już w pełnym toku a projektowany tygodnik satyryczny miał służyć sprawie Frontu Ludowego.

Referendum proponowało ludności trzy rozwiązania: 1) — powrót do Niemiec; 2) — wcielenie do Francji; 3) — utrzymanie *status quo*, to znaczy dotychczasowej administracji Ligi Narodów.

Mieszkańcy Saary byli Niemcami i pomysł wcielenia do Francji nie miał żadnych szans powodzenia. Socjaliści i liberałowie (było ich niewiele) — od pierwszej chwili prowadzili kampanię za utrzymaniem *status quo*. Niestety, komuniści uznali, że hasło to służy pośrednio interesom kapitalistycznej Francji i ogłosili socjalistów „zdrajcami na usługach francuskiego imperializmu” po czym rzucili własny slogan: „Czerwone Zagłębie Saary w Niemieckiej Republice Rad” (*Eine Rote Saar in Sowjet Deutschland*).

— „Ależ towarzyszu — rozpaczali górnicy w Miejskim Komitecie Partyjnym — sowieckie Niemcy na razie nie istnieją, na kogo więc oddać mamy głosy?

— „Na Czerwone Zagłębie w Niemieckiej Republice Rad”.

— „Wybrać Hitlera”?

— „Komitet Centralny nie każe głosować na Hitlera — poleca tylko prowadzić walkę o Czerwone Zagłębie”.

— „A czy nie lepiej, do chwili zanim powstanie Niemiecka Republika Rad — poprzeć *status quo*”?

— „Wydaje mi się towarzyszu, że macie zamiar służyć interesom francuskiego imperializmu”!

— „Na kogo wobec tego głosować”?

— „Zadajecie towarzyszu pytania w sposób mechaniczny. Jak już powiedziałem, rewolucyjna polityka wymaga od nas nieustającej walki o Czerwone Zagłębie Saary w Niemieckiej Republice Rad”.

Podobne rozmowy powtarzały się każdego dnia.

Dziś, kiedy piszę te słowa, partie komunistyczne Francji czy Włoch — odgrywają poważną rolę na arenie świata i trudno wprost uwierzyć w absurdalność polityki Kominternu w latach międzywojennych. Przed wprowadzeniem Frontu Ludowego w 1935-ym roku, europejskie partie komunistyczne nie wchodziły jeszcze do politycznych koalicji i nie brały udziału w wielkich, międzynarodowych rozgrywkach: były to raczej nie partie — ale sekty rewolucyjne, uzbrojone we własne metody myślenia i własny żargon. Żargon partyjny pozostał, ale — ponieważ sowiecka sfera wpływów obejmuje dziś jedną trzecią kuli ziemskiej — absurdalność języka i działalność komunistów — świat przyjmuje z dobrodusznym zażenowaniem, podobnie jak dziwactwa i słabostki potężnych bogaczy. Wielcy ludzie mają swoje przyzwyczajenia: Churchill lubił czasem wypić kieliszek koniaku... Stalin — rozstrzeliwać dawnych przyjaciół... W roku 1934, kiedy Związek Sowiecki był jeszcze „słaby i nieśmiały”, a partie komunistyczne zachodniej Europy znajdowały się w znacznej mniejszości — paranoiczne tendencje Kominternu były uderzające. Slogan: „Czerwone Zagłębie Saary w Niemieckiej Republice Rad” — jest zaledwie jednym z wielu przykładów politycznej ślepoty. Przypomnę, że podczas dwóch lat po dojściu Hitlera do władzy, nową ewangelię Partii Niemieckiej stanowiła tak zwana „teoria Heckerta”, która głosiła, że Hitler nie pokonał niemieckiej klasy robotniczej, która przeprowadziła jedynie „strategiczny odwrót”. Mało tego — głosiła ona, że zwycięstwo Hitlera było dobre, gdyż „wyleczyło masy od wpływów socjalistycznych i przyspieszyło marsz Niemiec do rewolucji proletariackiej.

Polityka Kominternu jeśli idzie o Saarę była odbiciem konfliktu dawnej linii Partii z linią Frontu Ludowego. Bezmyślny slogan „Czerwonej Saary” — wprowadziła niewątpliwie Partia Niemiecka po to, aby „przeczekać” zanim konflikt ten zostanie wyjaśniony. Podobny charakter miały mgliste aluzje Jana o „konieczności rozszerzenia frontów” i pogłębienia kontaktów.

Kiedy Moskwa ogłosiła „zmiianę linii” — zmieniły się również i slogany: przed czerwcem 1934 roku ten, kto ośmielił się głosować na *status quo*, zostałby uznany za „agenta francuskiego imperializmu” — po czerwcu tego samego roku, obowiązkiem każdego komunisty było głosować na *status quo*.

Wiadomość o „nowej linii” podał INPRECORR — oficjalny tygodnik Międzynarodówki Komunistycznej: w artykule wstępnym z dnia 8 czerwca 1934-go roku, pod tytułem: „Taktyka Leninowska w Zagłębiu Saary” (W. Miller) — czytamy:

„Dla komunistów walka klasowa w Zagłębiu Saary stanowi jedno z głównych zadań rewolucji proletariackiej w Niemczech. Pragniemy emancypacji mas ludowych. Jesteśmy przekonani, że możliwości objęcia władzy przez klasę robotniczą Niemiec zwiększyły się znacznie, dzięki obecnej fali rewolucyjnej mas ludowych Saary. Będziemy, z większym niż kiedykolwiek wysiłkiem, przygotowywać ludzi pracy do walki o ustanowienie Republiki Rad”.

Zadne, z proponowanych przez plebiscyt rozwiązań — ani wciele nie do Francji, ani powrót do Niemiec, czy też utrzymanie *status quo* — nie służy celom rewolucji proletariackiej. Ale, ponieważ socjaldemokraci rozbijają jedność klasy robotniczej, opartą na bazie rewolucyjnej — nie możemy na razie podjąć w Zagłębiu Saary decydującej bitwy o władzę i rozwiązanie problemu niemieckiego w duchu socjalizmu. Żywotne interesy robotników i ludności pracującej Zagłębia — wymagają powzięcia decyzji, która pozwoli na skuteczną walkę z faszyzmem. Mimo niechęci komunistów do ustroju kapitalistycznego, jedyną taką gwarancję daje *status quo*. Będziemy głosowali na *status quo* w nadziei szybkiego wzrostu sił rewolucyjnych Zagłębia Saary”. Odrzucimy *status quo* w tej samej chwili, gdy proletariat niemiecki przystąpi do zwycięskiej walki o władzę”.

Aby lepiej zrozumieć sytuację, wspomnę jeszcze, że plebiscyt przyniósł nazistom około 90 % głosów a antynazistom: — 8 %, z czego około 3 % przypadło na komunistów. Cytowany artykuł został napisany w okresie gwałtownego wzrostu potęgi Hitlera i likwidacji komunistycznej opozycji w Niemczech. Fanfaronady o „walce mas ludowych” i „fali rewolucyjnej” — wskazują na obsesyjny brak poczucia rzeczywistości ze strony Kominternu.

Natychmiast po plebiscycie „Volkstimme” (Głos Ludu) — bo tak się chyba nazywał komunistyczny dziennik Zagłębia Saary — wydał swój ostatni numer. Na pierwszej stronie autor

artykułu, pod ogromnym tytułem: „Porażka Hitlera” — wyjaśniał, że naziści ponieśli klęskę, gdyż otrzymali jedynie 90 % głosów a nie 98 %, których domagali się podczas akcji wyborczej. Zanim gazeta ukazała się w kioskach — jej redaktorzy uciekli do Francji. Dyrektorem naczelnym tego pisma był Ernest Reinhardt, przewodniczący naszej paryskiej komórki partyjnej przy Związku Pisarzy.

Zabrałem się z zapałem do pracy nad moim tygodnikiem satyrycznym, ale po wydaniu pierwszego numeru Partia wstrzymała publikację i odesłała mnie szybko z powrotem do Paryża.

.....

W Saarbrücken spotkałem po raz ostatni Paula Dietricha, byłego szefa niemieckiej sekcji Kominternu w Moskwie; uścisnęliśmy się serdecznie na pożegnanie — nie mieliśmy pojęcia co go czeka — wrócił do ZSSR a w dwa lata później przyłączył się do milionowej rzeszy zaginionych za Kręgiem Polarnym...

Odnalazłem wówczas jeszcze innych znajomych z Moskwy i Berlina, a wśród nich Edgara, mego dawnego łącznika z „aparatu” (podzielił on los Dietricha). Wszyscy ci ludzie byli blade, wychudli i bardziej bezosobowi, niż przed laty. Poznałem tam również młodą, interesującą kobietę o przenikliwym spojrzeniu: spędziliśmy razem miły wieczór w towarzystwie Dietricha; nie wiedziałem wówczas, że Marta w rzeczywistości nazywała się Greta i, że była siostrą Babette Muenzenberg oraz żoną Hansa Neumanna, legendarnego przywódcy komunistycznej rewolwy w Kantonie w roku 1929-ym. Moje kolejne spotkanie z Gretą Neumann-Buber — odbyło się w szesnaście lat później: w międzyczasie Hans został rozstrzelany w Moskwie a Greta przeżyła trzy lata w sowieckim obozie koncentracyjnym i pięć w hitlerowskim.

Inaczej mówiąc, podczas plebiscytu w Zagłębiu Saary miało miejsce *rendez-vous* pionierów europejskiego ruchu komunistycznego; ostatnie tego rodzaju spotkanie odbyło się w dwa lata później w Hiszpanii.

Tymczasem, za kulisami naszego *rendez-vous* w Saarbrücken — zdarzył się wypadek, którego znaczenia na razie nie rozumiałem — natomiast Edgar, Dietrich i Greta, doskonale zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji i ta świadomość nadawała im wspólny wyraz troski i niepokoju. W dniu 1-go grudnia 1934-go roku, Siergiej Kirow, przewodniczący Partii Leningradu i członek Sowieckiego Politbiura — zginął z ręki niejakiego Nikołajewa. Strzały rewolwerowe stały się wstępem do nowej epoki w dzie-

jach ZSSR i międzynarodowego ruchu komunistycznego. W dniach 6, 12 i 18-ym grudnia władze sowieckie podały zwięzły komunikat o egzekucji czterystu osób. Specjalny dekret, ogłoszony nazajutrz po śmierci Kirowa, odbierał oskarżonym prawo do obrony i odwołania: wyroki śmierci miały być wykonane natychmiast. Zostali aresztowani: Zinowiew, szef Kominternu, Kamieniew, Przewodniczący Moskiewskiego Sowietu oraz wielu innych zasłużonych bojowników Rewolucji Październikowej.

Zabójstwo Kirowa w Sowietach podobnie jak pożar Reichstagu w Niemczech — stanowiły sygnał do rozpoczęcia rządów terroru. Narzędzie zbrodni, młody neurastenik Nikołajew — przypominał pod każdym względem van der Luebbe, podpalacza Niemieckiego Parlamentu — późniejsze wydarzenia wykazały, że Sowietci, w poszukiwaniu skutecznych metod działania, wiele razy sięgali do hitlerowskich wzorów<sup>1</sup>.

---

1. Ciekawe, że większość historyków i publicystów, nie zwróciła uwagi na zaskakujące analogie między pożarem Reichstagu a zabójstwem Kirowa. Począwszy od 1938 roku, można posłużyć się zeznaniami świadków, które stwierdzają że zabójstwo Kirowa było prowokacją, wykonaną z rozkazu Kremla. Zobacz: oficjalne sprawozdanie z procesu Bucharina, Rykowa, Jagody i towarzyszy, w marcu 1938 roku, w Moskwie. Dokładną analizę zeznań, podaje H. Dewar w książce pod tytułem *Assassins at Large*, Londyn, 1951.



## W OCZEKIWANIU

Stalinowski terror nie od razu osiągnął tak ogromne, jak później, rozmiary. Natychmiast po śmierci Kirowa, dziesiątki tysięcy „jego zabójców” — zesłano na Syberię, po czym nastąpił okres pozornego spokoju. Za kulisami Kremla trwały gorączkowe przygotowania do likwidacji starej gwardii bolszewickiej — a jednocześnie sowiecka propaganda zachwalała nową Konstytucję ZSSR, jako „najbardziej demokratyczną na świecie”. Głównymi jej twórcami byli Bucharin i Radek — obaj w rok później główni oskarżeni w „trzecim procesie moskiewskim”.

Okres „inkubacji” — od wiosny 1935 do lata 1936-go roku — przypomina w sposób zdumiewający „okres uspokojenia” między pierwszymi objawami cholery a gwałtownym rozwojem epidemii w „Dzienniku Zarazy”, Daniela Defoe. Losy Zinowiewa, Kamieniewa, Smirnowa i towarzyszy były przez długi czas otoczone tajemnicą: okazało się, że w ciągu osiemnastu miesięcy ci sami ludzie byli trzykrotnie oskarżeni i sądzeni za te same zbrodnie. W styczniu 1935-go roku uznano, że ponoszą oni „moralną i polityczną odpowiedzialność” za zabójstwo Kirowa i wszyscy otrzymali kary więzienia. Wiosną tegoż roku dołączono do nich grupę złożoną z około trzydziestu osób — o tym procesie wiemy tylko to, że karę więzienia dla Kamieniewa przedłużono do lat pięciu. Wreszcie w sierpniu 1936-go roku odbył się wielki proces publiczny Zinowiewa, Kamieniewa, Smirnowa i towarzyszy, znany w świecie jako „pierwszy” proces moskiewski. Wszyscy oskarżeni, jako „winni zdrady stanu i zabójstwa Kirowa” — zostali skazani na śmierć i straceni.

Sowieckiej propagandzie udało się utrzymać społeczeństwo zachodu w zupełnej nieświadomości tego, co działo się w ZSSR; liberałowie i ludzie postępu wierzyli w szczerą Frontu Ludowego i byli przekonani, że Stalinowska Konstytucja jest rzeczy-

wiście najbardziej demokratyczna na świecie. Stalin okazał geniusz propagandowy: gnębiąc coraz bardziej swój naród — stworzył iluzje polityki liberalnej.

Wyroki śmierci w procesie moskiewskim zaznaczyły przejście od zamaskowanych zbrodni do jawnego terroru i rozbiły wygodne złudzenia Zachodu. Ale wojna domowa Hiszpanii odsunęła na dalszy plan w oczach europejskiej lewicy, wewnętrzne sprawy Sowietów. W dniu, w którym ukazały się w prasie pierwsze sprawozdania z procesu Zinowiewa i towarzyszy, byłem już w drodze do Hiszpanii, jako wysłannik Kominternu.

Przejściowy okres 1935-1936, był jednocześnie schyłkiem mojej młodości: miałem już lat trzydzieści, ale dojrzałość jest, jak wiadomo, sprawą nietyle wieku, co charakteru i umysłu. Wszystko, co działo się dotąd w moim życiu dowodzi, jak bardzo byłem jeszcze „zielony”.

Odczuwałem głęboko radość i rozpacz, miłość i nienawiść, ale — egoistycznie — moje uczucia dotyczyły wyłącznie mnie samego a ludzie, którzy je wzbudzali — grali w mej świadomości jedynie rolę „filmowego ekranu”.

Decydująca przemiana psychiczna dokonała się we mnie podczas pobytu w więzieniu hiszpańskim. Poprzedni rok był dla mnie pusty a zarazem niespokojny. Byłem w Paryżu, Zurichu, Budapeszcie i w innych miastach. Nie podróżowałem dla przyjemności ale jako akordowy robotnik, zmieniając ciągle pracę w poszukiwaniu środków do życia.

## HOŁD DLA SZPIEGA

Feliks N.<sup>1</sup> — agent sowiecki, który podczas ostatniej wojny kierował ośrodkiem wywiadu Armii Czerwonej na Zachodzie — był człowiekiem niezwykłym. Dzieje i tragiczną śmierć Feliksa opowiedział dokładnie jego były pomocnik i następca — A Foote<sup>2</sup>.

Feliks był z zawodu kartografem i członkiem wielu europejskich towarzystw geograficznych. Mały i krępy, miał szeroką, myślącą twarz intelektualisty; nieśmiały z natury i życzliwy ludziom, w bliższych stosunkach był surowy i wymagający, jak to się często zdarza uczonym; roztargniony i niezręczny przypominał niezdarne go ucznia, wyśmiewanego przez kolegów.

Uważałem go za człowieka bez skazy: był prawdziwym asem wywiadu naszych czasów, oddanym Sprawie idealistą, podobnie jak Ryszard Sorge czy Ignacy Reiss. Był Węgrem i znaleźliśmy się od lat, chociaż nie pamiętam gdzie i kiedy go poznałem.

W chwili gdy się z nim zetknąłem zbliżał się do pięćdziesiątki; jego żona Nina — pochodziła z mieszczańskiej rodziny niemieckiej — miała miłą powierzchowność oraz żywy umysł kobiet Berlina: na wszystko potrafiła znaleźć własną odpowiedź, co niezbyt podobało się partyjnym bonzom. Pewnego dnia spotkał się przypadkowo w ogrodzie Luksemburskim; znajdowałem się wtedy w bardzo złej sytuacji i, mimo zimy, miałem na nogach

---

1. Ze względu na dzieci i wdowę po Feliksie N., którzy mieszkają we Francji, zmieniłem prawdziwe imię Feliksa, zarówno w moim tekście jak i w cytatach z Foote'a.

2. A. Foote: „Les Secrets d'un Espion Soviétique” (Editions de la Paix — Paryż).

tenisówki. Nina z uśmiechem chwyciła mnie za ramię: „Biedny Artur, nawet nie wiesz jaką masz głupią minę; posiadasz wszelkie cechy *clochard'* a, ale zapewniam cię, że nigdy nie będziesz uświadomionym klasowo proletariuszem!”

Tworzyli świetnie dobraną parę: Nina, wysmukła, żywa, drwiąca i trochę zalotna — Feliks otyły i niezręczny, pod zwłami tłuszczu ukrywał złote serce. Mieszkali z dwojgiem małych dzieci oraz pewną uroczą starszą panią — nie przypominam sobie czy była matką Niny czy Feliksa — w niedużej willi na przedmieściu, w pobliżu obserwatorium Bellevue. Niekiedy zapraszali mnie do siebie na kolację. Były to niezapomniane wieczory: wśród komunistów — uciekinierów politycznych — chyba oni jedni prowadzili normalną egzystencję i nie mieszkali ani w hotelu ani w pokojach umeblowanych — tylko we własnym domu, gdzie w jadalni, wokół dużego stołu, zasiadała babka, rodzice i dzieci. Do bliskich przyjaciół Niny i Feliksa należeli Anna Seghers i jej mąż doktor Radwany, oboje członkowie Partii. Zabawnym zbiegiem okoliczności dr Radwany był z pochodzenia Węgrem.

Wiedziałem, że Feliks pracuje dla „aparatu”, lecz nie znałem sobie sprawy na czym polega jego działalność. Obowiązkiem członka Partii było przekazywanie „zwierzchnikom” każdej użytecznej wiadomości. Większość komunistów, niezależnie od zajmowanego stanowiska, utrzymywała kontakt ze służbą wywiadowczą (w dziedzinie polityki czy przemysłu) Kominternu lub Partii krajowych. Zasady partyjnej konspiracji wymagały, aby te najczęściej niewinne „kontakty” — otoczone były ścisłą tajemnicą co stwarzało pozory, że chodzi o prawdziwą działalność szpiegowską: sądziłem, że „praca” Feliksa ma charakter równie fikcyjny, jak przed laty w Berlinie moje sprawozdania dla Edgara.

Z innego jeszcze powodu nie umiałem wyobrazić sobie Feliksa w roli szpiega: osoby tego rodzaju na ogół starannie ukrywają, że należą do Partii — mogłem więc śmiało przypuszczać, że nikt z moich znajomych komunistów, mimo, że od czasu do czasu przekazywali „aparadowi” drobne informacje — nie pracował w ośrodku wywiadowczym Armii Czerwonej czy G.P.U. bo gdyby tak było nie miałbym do nich dostępu...

Z końcem 1935 roku Feliks N. otworzył w Paryżu międzynarodową agencję prasową. Zajmowała ona dwa pokoje w wielkim biurówcu na Faubourg-Saint-Honoré. Gdy zaproponował mi posadę redaktora — zgodziłem się natychmiast, mimo dość niskiej pensji; znajdowałem się w tak złej sytuacji finansowej, że było to dla mnie prawdziwą okazją. Dziś jeszcze, wydaje mi się, że Feliks pomógł mi jedynie z dobrego serca i bez żadnej ubocz-

nej myśli: prawdopodobnie Nina opowiedziała mu o naszym spotkaniu na ulicy i, że „chodziłem bez butów”.

W skład komitetu redakcyjnego agencji wchodził, obok Feliksa i mnie, Wołodia-Władimir Pozner, bardzo przystojny młody człowiek, rosyjskiego pochodzenia — naturalizowany we Francji — należał on chyba do Partii Francuskiej; nie jestem natomiast pewien czy współpracował z Feliksem w dziedzinie wywiadowczej. W dwa lata później zamierzał, jak się zdaje, opuścić Partię — a może nawet uczynił to, po czym szybko powrócił do „stada”. Jest on autorem wielu książek i artykułów w prasie komunistycznej — znajdują się wśród nich ostre ataki przeciwko mnie.

Lubiłem moje nowe zajęcie: wydawaliśmy tygodniowy biuletyn informacyjny w języku francuskim i niemieckim, który wysyłał się do gazet austriackich, francuskich i szwajcarskich. Wołodia przygotowywał wersję francuską — a ja niemiecką; korzystaliśmy z prasy zagranicznej i wiadomości podawanych przez Feliksa, a pochodzących z wydziału służby wywiadowczej Kominternu. Większość tych informacji dotyczyła Dalekiego Wschodu a zwłaszcza wojny w Chinach. Naszym zadaniem było „dyskretnie zwiększać” znaczenie chińskich sił komunistycznych i przedstawiać je jako „ludową partię reformy rolnej, zbliżoną do brytyjskich liberałów”. Zdawało mi się, że ta właśnie pro-chińska propaganda była celem naszej agencji. Zastanawiałem się tylko dla jakich gazet były przeznaczone nasze wiadomości... Gdy zapytałem o to Feliksa, odpowiedział mi, że agencja przechodzi na razie okres próbny i że biuletyn rozsyła się do jak największej ilości pism... Uznałem, że woli nie wtajemniczać mnie w „handlową sytuację” agencji, a w Partii, jak wiadomo — nie należy domagać się wyjaśnień...

Dziwiło mnie również, że Feliks odnosił się bardzo obojętnie do naszej pracy. Kiedy przynosiłem mu do przeglądu moje artykuły — odpowiadał mi niezmiennie: „są bez zarzutu”. Trzeba przyznać, że Feliks był człowiekiem wyjątkowej dobroci, a ja znałem swój zawód... nie miał on więc powodów do wygłaszania przykrych uwag. Ten nieśmiały i roztargniony uczoney nie należał do kategorii szefów, starających się za wszelką cenę okazać swój autorytet. Zrozumiałem dopiero później, że zdawał sobie sprawę, że agencja ma charakter fikcyjny i dlatego pracował bez zapału. Wydaje mi się, że w gruncie rzeczy, Feliks nie lubił polityki i, że czuł się najlepiej pochylony nad skomplikowanym wykresem mapy. Węgierska Partia Komunistyczna dała światu wielu wybitnych uczonych: podobnie, jak ekonomista Varga, filozof Lukacs, czy krytyk Gabor — Feliks był typowym przed-

stawicielem węgiersko-marksistowskiej grupy intelektualistów.

W międzyczasie zdarzył się pewien ciekawy wypadek: miałem spotkać Michała Kolcowa, który był wówczas najbardziej wpływowym dziennikarzem w ZSSR, i jako korespondent „Prawdy” przyjechał do Paryża na jakąś konferencję międzynarodową. Przewodniczącym sowieckiej delegacji był minister Spraw Zagranicznych — Maksym Litwinow.

Kolcow, nieduży i drobny, zachowywał się spokojnie i skromnie i w niczym nie przypominał wielkiego reportera naszej wyobraźni. Zgodnie z rosyjskim zwyczajem spóźnił się o pół godziny na popołudniowe *rendez-vous*.

— Wybaczcie towarzyszu, uśmiechnął się z zażenowaniem, byłem w kinie. — O tej porze zapytałem zdumiony? — A tak, zachowaliśmy się niepoważnie i poszliśmy na wagary! Zgadnijcie z kim byłem? — Nie odgadłem. W istocie wybrał się na film w towarzystwie Litwinowa i Feliksa i wyjaśnił, że przed laty wszyscy trzej studiowali razem na szwajcarskim uniwersytecie, zdaje się w Genewie i, że zawsze byli przyjaciółmi. Już wtedy koledzy mówili o nich, że tworzą triumwirat. Obecnie widywali się nie często, ale zachowali zwyczaj uroczystego obchodzenia każdego spotkania.

Uśmiechnąłem się w duchu na myśl, że minister Spraw Zagranicznych ZSSR wymyka się z poważnej międzynarodowej konferencji, aby z Feliksem i Kolcowym pójść do kina. W dwa lata później Feliks został szefem siatki szpiegowskiej Armii Czerwonej z siedzibą w Szwajcarii co pozwala przypuszczać, że mój znajomy był już wcześniej poważną osobistością w hierarchii „aparatu”. To, że pokazywał się publicznie w towarzystwie sowieckiego ministra było, co prawda, wielkim błędem z punktu widzenia konspiracji, ale natomiast oddaje świetnie charakter Feliksa: zachowałem w mej pamięci, i już na zawsze, wspomnienie pyzatego uczniaka, przyłapanego z zapalonym po kryjomu papierosem.

Straciłem Feliksa z oczu w chwili wybuchu wojny domowej w Hiszpanii. Dalsze jego dzieje znajdują się w książce Aleksandra Foote’a. Oto po krótko ich streszczenie:

Feliks N. przyjechał do Genewy w roku 1937-ym, gdzie miał kierować głównym (a wkrótce jedynym) ośrodkiem wywiadu Armii Czerwonej w Europie. Oficjalnie występował jako udziałowiec pewnej starej, szwajcarskiej firmy kartograficznej. Podczas wojny większość map strategicznych w gazetach szwajcarskich była dziełem Feliksa. Foote pisze o nim: „...mały, gruby, mówił biegle sześcioma językami”. — A dalej: „...Feliks.. stracił równowagę, ale Mary (Nina) była nieugięta... pows-

trzymała męża od upadku: gdyby nie jej silna wola — załamałby się dużo wcześniej”...

Wierzę słowom Foote'a, chociaż sam się przyznaje, że przyczynił się do zabójstwa Feliksa w Moskwie.

Mimo niechęci — a może raczej nienawiści do swego szefa — Foote nie umie ukryć podziwu dla jego działalności. Dzięki agentowi „Lucy, alias Selzinger”<sup>1</sup> — Feliks nawiązał kontakt z Dowództwem Armii Niemieckiej. Przy pomocy krótkofalówki przekazywał on do Moskwy codzienne sprawozdania z niemieckich planów strategicznych na froncie wschodnim — podawał nawet położenie wrogich dywizji, które Sowietci stracili z pola widzenia. Zasługi Feliksa są niezmierzone: jego informacje miały bezpośredni wpływ na przebieg operacji wojennych na Wschodzie i zwycięską obronę Moskwy.

Foote, mimo woli, ukazuje niezwykłą inicjatywę i odwagę Feliksa. Cytuję:

„Centrum (to znaczy Moskwa) było nieśtychanie ostrożne i początkowo radziło Feliksowi, aby nie korzystał ze źródeł „Lucy”, nawet wtedy, kiedy ten ostatni na parę tygodni wcześniej — przepowiedział napaść Hitlera na ZSSR i wszystkie jego wiadomości okazały się prawdziwe. Wbrew odmowie Moskwy przekazywaliśmy dalej codzienne komunikaty; Feliks opłacał „Lucy” bez porozumienia się ze zwierzchnikami i powtarzał, że informacje te mają dla spraw rosyjskich żywotne znaczenie... Udało nam się wreszcie przekonać Centrum, że nasze źródła są wyjątkowo cenne”.

Dodam już od siebie, że słowo „my” w książce Foote'a jest co najmniej nie na miejscu; zajmował on wtedy bardzo podrzędne stanowisko i nie miał żadnego wpływu na przebieg wydarzeń.

Feliks domagał się od swoich moskiewskich zwierzchników nawiązania ścisłej współpracy z aliantami, a zwłaszcza z Wielką Brytanią. Pamiętam zresztą, że miał zawsze wiele podziwu dla Anglików. Inny wyjątek z książki Foote'a oświetla późniejsze wydarzenia z 1943 — kiedy to niemiecka Abwehra oraz policja

---

1. Tajemnicę „Lucy” ujawnił jego proces przed Trybunałem Federalnym w Lucernie: nazywał się on naprawdę Rudolf Roessler i był niegdyś obywatelem niemieckim. Cytuję według „Manchester Guardian” z dnia 6 listopada 1953 roku: „Roessler był podczas wojny jednym z głównych agentów grupy oficerów, spiskujących przeciw Hitlerowi. Wydawał on w Lucernie pismo „Nova Vita”, ale prawdziwym jego zadaniem było informowanie Szwajcarów o sytuacji na wszystkich frontach. Nikt nie wiedział, że Roessler współpracował również z sowieckim ośrodkiem szpiegowskim i podobno uprzedził Moskwę, na trzy tygodnie wcześniej, o projektowanej napaści Hitlera na ZSSR”.

szwajcarska zagrażały agentom sowieckim i wielu z nich zostało aresztowanych:

„Feliks uznał, że będzie najlepiej, jeśli poszuka sobie schronienia w Poselstwie Brytyjskim (najbliższe przedstawicielstwa rządu ZSSR znajdowały się w Londynie i w Ankarze). W bezpiecznym miejscu i pod ochroną dyplomatycznej nietykalności — Feliks sądził, że będzie mógł pracować tak samo skutecznie jak przedtem, z tą jedynie różnicą, że Brytyjczycy będą znali jego działalność. Sam nie był z nimi w kontakcie ale „Pakbo”, za pośrednictwem attaché do spraw bałkańskich „Saltera” — zawiadomił Feliksa, że Brytyjczycy zgadzają się przyjąć go do siebie. Sprawa była załatwiona również od strony szwajcarskiej — brakło tylko zgody Moskwy, dokąd przekazałem propozycję mego szefa. Odpowiedź przyszła natychmiast: Centrum wyraziło głębokie zdziwienie i ubolewanie, że człowiek o doświadczeniu Feliksa, może proponować podobne rozwiązania, jasne jest bowiem, że Brytyjczycy odkrywają źródła informacji i później będą mogli wykorzystać je dla siebie”.

Odmowa współpracy z Aliantami oburzyła Feliksa — w rzeczywistości Centrum zachowało się w podobny sposób nie po raz pierwszy. Od 1942-go roku Feliks miał w ręku dokumenty i plany strategiczne, przedstawiające dużą wartość zarówno dla Sowietów jak i dla Anglików. Materiał ten był obszerny i nie nadawał się do przekazania do Moskwy drogą radiową, wobec czego Feliks zapytał Centrum, czy nie lepiej powierzyć owe dokumenty Aliantom — oczywiście za pośrednictwem kogoś zaufanego. W odpowiedzi otrzymał rozkaz spalenia wszystkich materiałów”...

Feliks ukrywał się w Szwajcarii a po wyzwoleniu Francji, wraz z żoną przyjechał do Paryża. Foote przesiedział w roku 1943-ym parę miesięcy w szwajcarskim więzieniu. Obydwaj, każdy ma własną rękę, zgłosili się do sowieckiej misji wojskowej w Paryżu i złożyli dwa, bardzo odmienne, sprawozdania co do przyczyny rozwiązania siatki wywiadowczej w Szwajcarii. Foote oskarżył swego byłego szefa o kradzież pieniędzy należących do ich agentury (co znając przeszłość i charakter Feliksa wydaje mi się czystym wymysłem) i o lekceważenie bezpieczeństwa pracowników aparatu — zarzut oparty na tym, że podczas aresztowania jednego z agentów sowiecki szyfr rozpoznawczy dostał się w ręce policji szwajcarskiej. Feliks nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego co go czeka... a gdy się o tym dowiedział... było już za późno.

6-go stycznia 1945-go roku Feliks i Foote zostali odesłani do Moskwy pierwszym sowieckim samolotem odlatującym z wyzwolonej Francji. Oficjalnie nazywało się, że jako obywatele sowieccy i byli jeńcy wojenni — wracają do kraju: obaj mieli przy sobie rosyjskie paszporty repatriacyjne.

Samolot zatrzymał się na dwa dni w Kairze: Foote i Feliks zamieszkali w jednym pokoju hotelowym — i wtedy dopiero



Feliks zrozumiał, że grozi mu niebezpieczeństwo. Obaj spotkali się wcześniej w ambasadzie sowieckiej w Paryżu, gdzie Feliks upił się — jak sam mówił po raz pierwszy od lat — i nie rozmawiali wówczas o sprawach zawodowych.

Cytuję powieść Foote'a o wydarzeniach w Egipcie:

„Mieliśmy spędzić dwie noce w Kairze; w hotelach brakło miejsc i mogliśmy otrzymać jedynie wspólny pokój. Feliks, co bardzo mnie zaskoczyło, powiedział że chętnie zostanie ze mną: były to jego pierwsze słowa skierowane do mnie, od chwili odlotu z Le Bourget.

Towarzysz mój był w ponurym nastroju, prawie nie odzywał się i odmówił wspólnej przechadzki po mieście. Gdy zadowolony z mile spędzonego wieczoru wróciłem do hotelu — spał już lub udawał, że śpi. Rano wydał mi się jeszcze bardziej przygnębiony: wyznał mi, że obawia się przykrych i trudnych chwil, jakie prawdopodobnie czekają nas w Moskwie i porównał naszą sytuację do losu kapitana zatopionego okrętu — uważał, że nic nie przekona Centrum, że to nie my ponosimy odpowiedzialność za zerwanie kontaktu z cennym źródłem informacji. Nadaremnie, próbowałem przemówić mu do rozsądku; powiedział wówczas, że zarówno moje aresztowanie jak i rozwiązanie siatki, połączone z niemożliwością nadawania wiadomości — było całkowicie winą Moskwy”.

Foote, jeśli nie kłamie, zwrócił wówczas uwagę swego byłego szefa na pewne, nieznane Feliksowi wypadki, które, jak mu się zdawało, wcale go nie dotyczyły. Nie wiem co jeszcze zaszło między nimi — ale Feliks nagle zrozumiał, że Foote jest jego wrogiem.

„Słowa moje zaskoczyły i jak sądzę przeraziły Feliksa. Żałował, że nie uprzedziłem go w Paryżu o rzuconych przeciw niemu oskarżeniach. Zwróciłem mu uwagę, że znał mój adres i nie skorzystał z niego — sam więc teraz ponosi winę, że jedzie do Moskwy, nie zdając sobie sprawy co go czeka. Obowiązkiem członka Partii jest wiedzieć, że nie wolno wysyłać sprawozdań nie troszcząc się o to, czy zawarte w nich informacje są prawdziwe. Milczeliśmy. Feliks w zamyśleniu uderzył palcami o stół. W pewnej chwili wstał i wyszedł. Nie zobaczyłem go już nigdy więcej. Nasz samolot do Moskwy odleciał nazajutrz rano. Kapelusze, płaszcze i walizki Feliksa zostały w hotelu: stanowiły dowód rzeczowy, że „as wywiadu” — „stracił głowę”.

W sześć miesięcy później moskiewscy zwierzchnicy Foote'a poinformowali go, że:

„...Feliks został sprowadzony przemocą z Kairu do Moskwy i, że obaj będą poddani konfrontacji” (nie miała ona nigdy miejsca).

Z kolei zawiadomiono Foote'a, że:

„Feliks zostanie rozstrzelany, gdyż zlekceważył zadania pracownika służby wywiadowczej: pozwolił, aby tajny szyfr dostał się w ręce wroga, podał nieprawdziwe wiadomości o likwidacji agentury w Szwajcarii i przywłaszczył sobie pięćdziesiąt tysięcy dolarów”.

Tak brzmi sprawozdanie Foote'a o śmierci Feliksa. Komentarz pozostawiam czytelnikowi. Dodam jeszcze parę słów o jego pobycie w Kairze, chociaż, niestety, zbyt wiele nie wiem.

Nie wątpię, że Feliks pojechał do Moskwy z własnej woli. Martwił się, że Szwajcarzy odkryli szyfr — za co częściowo ponosił winę — ale niewątpliwie zdawał sobie sprawę ze swoich ogromnych zasług dla obrony ZSSR przed inwazją Hitlera — zresztą, w okresie odkrycia szyfru, sowiecki ośrodek wywiadowczy w Szwajcarii — praktycznie już nie istniał. Gdyby oskarżenie o kradzież pieniędzy było prawdziwe, Feliks nie zgodziłby się nigdy na powrót do ZSSR.

Dopiero w Kairze zrozumiał, że jest w pułapce. Gdy, bez bagażu opuścił hotel — był prawie bez pieniędzy. Zgubiły go dokumenty na nazwisko rosyjskiego obywatela, dzięki czemu udało się Sowietom uzyskać u władz egipskich jego aresztowanie i ekspulsję.

Natychmiast po ucieczce z hotelu Feliks depeszował do żony Niny, aby zwróciła się do władz brytyjskich z prośbą o pomoc i protekcję przed wydaniem go G.P.U. Brytyjczycy posiadali wówczas bardzo silną pozycję w Egipcie i łatwo mogli sprawdzić przeszłość Feliksa, za pośrednictwem poselstwa w Szwajcarii; a nawet, jeśli jego losy ich nie obchodziły — mogli przynajmniej zapobiec ekspulsji: Feliks nie był obywatelem sowieckim i jego papiery repatriacyjne były fałszywe.

Nie wiem ile tygodni czy miesięcy walczył Feliks o swoje życie. Nie wiem z jakimi przedstawicielami władz brytyjskich rozmawiali oboje z żoną: wszystko na próżno! Tragedia Feliksa N. stanowi jeszcze jeden dowód skandalicznej nieświadomości Zachodu, jeśli idzie o ZSSR, w okresie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu; błędy polityczne przeszły do Historii, ale niestety, nigdzie nie wspomina się o tysiącach Rosjan — uciekinierów i jeńców wojennych — przekazanych siłą Związkowi Sowieckiemu przez Rządy Zachodnie, chociaż tam czekały ich wyroki śmierci lub obozy koncentracyjne. Feliks, uczonego kartograf i as wywiadu, padł ofiarą samobójczych złudzeń Zachodu.

CZĘŚĆ CZWARTA

NIEWIDZIALNE PISMO  
1936-1940

*„Nie jest ci nigdy ani tak dobrze,  
ani tak źle, jakby się zdawało”.*

La Rochefoucauld

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
LIBRARY

1

## „CÓŻEŚ MI UCZYNIŁ?”

Na dzieje mego zerwania z Partią złożyły się miesiące przewlekłych wahań i rozterki które dziś nie łatwo mi opisać.

Wczesną wiosną 1938 roku wygłosiłem na zlecenie popularnego angielskiego *Left Book Club'u*, cykl odczytów o wojnie domowej w Hiszpanii.

Pracami klubu kierowali: Victor Gollancz, Harold Lasky i John Strachey. Większość członków *Left Book Club'u* (było ich około sześćdziesięciu pięciu tysięcy) — sympatyzowała z Partią — wiadomo jednak, że każdy Anglik czuje się najpierw Anglikiem a dopiero później komunistą. Nie umiałem traktować poważnie moich słuchaczy, a nasze zebrania w porównaniu z konferencjami na kontynencie przypominały podwieczorki w zakrystii: przestrzeganie form towarzyskich miało tutaj większe znaczenie, niż zasady dialektyki. Zachowanie brytyjskich komunistów świadczyło o ich poczuciu humoru i oryginalnej umysłowości — rzecz w walce klasowej niebezpieczna i godna potępienia. Po długim *tournée* od Newcastle do Bournemouth i od Liverpoolu do Cheltenham — uznałem, że angielskim komunistom brak rewolucyjnego ducha i, że mają mało wspólnego z Kominternem, natomiast bardzo wiele z klubem Pickwicka. Przychodziła mi wówczas na myśl, słynna w Partii anegdota: Leninowi pokazano pewien wycinek z gazety: autor notatki o strajku w Anglii donosił, że strajkujący robotnicy, dla zabicia czasu, grali w piłkę nożną z policją. „Oni nigdy nie zrobią rewolucji”, oświadczył Lenin i odmówił subwencji dla Brytyjskiej Partii Komunistycznej.

Wygłaszałem odczyty o sytuacji politycznej i wojskowej w Hiszpanii, ale nie opowiadałem o moich doświadczeniach osobis-

tych: godziny „metafizycznych rozmyślań” za kratami więzienia w Sewilli nie były chyba w guście rozsądnych słuchaczy *Left Book Club*'u. Zadawano mi różne pytania, ale dyskusji w prawdziwym tego słowa znaczeniu nigdy nie było. Wzruszał mnie zapach i nieświadomość tych ludzi, którzy uznali hiszpańską armię republikańską za awangardę europejskiej demokracji. Zebrani prosili mnie często o wiadomości o swych krewnych lub znajomych, walczących w szeregach Brygad Międzynarodowych; nie mieli pojęcia ani o wykorzystywaniu tej wojny przez Moskwę dla własnych celów, ani o ponurej działalności G.P.U. na terenach pozafrontowych. Nie wątpiłem, że moje aluzje na ten temat zostałyby przyjęte z niewiarą i oburzeniem.

Na każdym zebraniu oczekiwałem z niepokojem krytycznej chwili, kiedy padnie pytanie o POUM.

Była to lewicowa sekta hiszpańska o dumnej nazwie: Partido Obrero Unificada Marxista — (Zjednoczona Partia Robotników Marksistów). Komuniści oskarżyli POUM o tendencje trockistowskie, a członkowie jej padli ofiarą G.P.U. Partia zepchnęła na POUM odpowiedzialność za anarchistyczną rewoltę w Barcelonie; przywódca sekty Andrès Nin, były minister Rządu Republikańskiego, został „zdemaskowany jako agent Franco” i aresztowany wraz z grupą najbliższych współpracowników. Był on niegdyś poważną osobistością Kominternu, ale stanął po stronie Trockiego przeciw Stalinowi. Wojna domowa w Hiszpanii była dla G.P.U. doskonałą okazją, aby wykończyć Nina a razem z nim paruset jemu podobnych.

Pewnego dnia jacyś nieznani osobnicy wyprowadzili z więzienia Nina i towarzyszy i rozstrzelali ich bez sądu w okolicach Madrytu. Ciało zamordowanych „oficjalnie odnaleziono” dopiero wówczas, kiedy specjalna komisja brytyjska przyjechała do Madrytu dla zbadania sprawy.

W okresie mego *tournee* po Anglii, Nin i jego towarzysze jeszcze żyli, a ludzie z POUM dali dowody wielkiej dzielności na froncie Aragonii (George Orwell walczył w ich szeregach i został ranny). Nie wątpiłem, że wszystkie oskarżenia przeciw nim były zwykłym oszczerstwem, jednakże nie miałem prawa ujawniać moich wątpliwości: zostałbym natychmiast usunięty z Partii pod zarzutem szpiegostwa. I dlatego wypadki związane z POUM stawiąły mnie w trudnej sytuacji.

Pytanie o losy POUM padło niespodzianie i zaskoczyło mnie: ze strony komunistów francuskich czy niemieckich taka niezdrówka ciekawość byłaby nie do pomyślenia. Byłem przerażony. Należało szybko odpowiedzieć, że wszystkie grupy separatystyczne i frakcje w łonie Partii działają na korzyść wroga i że, w

konsekwencji, Nin, podobnie jak Radek, Zinowiew czy Trocki — są obiektywnie agentami Hitlera, Franco czy *Intelligence Service* bowiem — subiektywne — motywy ludzkiego postępowania nie mają znaczenia. Taka odpowiedź była częścią komunistycznego katechizmu, którego używałem nie tylko w publicznej dyskusji, ale często również w rozmowie z samym sobą. Zastygłem w bezruchu a gotowa odpowiedź nie przeszła mi przez usta... Po chwili powiedziałem to, co myślałem naprawdę: że właściwie nie zgadzam się z pewnymi poglądami POUM, co chętnie wyjaśnię, ale uważam, że Andrés Nin i towarzysze działają w najlepszej wierze i że oskarżenie ich o szpiegostwo jest po prostu absurdem. Słuchałem zdumiony własnego głosu, tak bardzo wydał mi się obcy...

Zapadła cisza. Wreszcie jakiś, z pewnością, trockista krzyknął: „Brawo towarzyszu”! Przewodniczący zebrania zwrócił się do publiczności z pytaniem, czy ktoś „nie zechciałby zabrać głosu”. Dwaj członkowie Partii zarzucili mi zbyt dużą wyrozumiałość dla działalności POUM. Podobnie działo się na dwudziestu kolejnych odczytach. Milczenie sali odczuwałem jako cichą zgodę na moje wyjaśnienia; ci, którzy mnie krytykowali — robili to bez przekonania: stwierdzali jedynie, że każda rewolucja czy wojna domowa ma swoje własne prawa... i to było wszystko. Świadomość tych ludzi odsuwała jak najdalej od siebie pogłoski o „brudnych sprawach wojny hiszpańskiej”.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu publiczne wystąpienia w obronie POUM nie miały dla mnie żadnych złych następstw chociaż nie wątpię, że nawet wśród komunistów brytyjskich znajdowali się osobnicy zajmujący się wysyłaniem sprawozdań o zachowaniu kolegów partyjnych. Były to więc z mojej strony nieudane próby samobójstwa: na każdym zebraniu przykładalem (oczywiście w przenośni) rewolwer do skroni, naciskałem cyniel... aby po chwili stwierdzić, że przecież żyję i, że nadal jestem szanowanym towarzyszem partyjnym.

Byłem rozczarowany i jednocześnie zadowolony. Ostatnie miesiące w Partii przeżyłem jak człowiek chory, który z dnia na dzień odkłada bolesną operację, chociaż wie, że nie może jej uniknąć. Przestałem być komunistą dużo wcześniej, zanim zdałem sobie z tego sprawę: przemiana psychiczna dokonała się we mnie podczas pobytu w więzieniu Franco a teraz powoli zaczęła się uzewnętrzniać. Nie zastanawiałem się nad moją postawą wobec Partii — wszystko działo się spontanicznie i niezależnie od mojej woli.

Wróciłem do Paryża. Stalinowski terror ogarnął Sowiety; w marcu tego roku odbył się w Moskwie nowy proces „bloku

prawicowo-trockistowskiego". Na ławie oskarżonych zasiedli: Mikołaj Bucharin, przewodniczący Komunistycznej Międzynarodówki po śmierci Zinowiewa, rozstrzelanego dwa lata wcześniej; Krystian Rakowski, przewodniczący Republiki Ukraińskiej i były ambasador ZSSR w Londynie i Paryżu; Mikołaj Krestinśki, były sekretarz Partii przed Stalinem oraz były Minister Finansów i ambasador sowiecki w Berlinie; Aleksander Rykow, następca Lenina na stanowisku przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych i wreszcie Jagoda — organizator poprzednich procesów Wielkiej Czystki — minister Spraw Wewnętrznych i Szef G.P.U., który przyznał się do otrucia swego poprzednika: Mienżyńskiego i pisarza — Maksyma Gorkiego<sup>1</sup>.

Aby ocenić lepiej rozmiary stalinowskiego absurdu przypomnijmy, że nagle okazało się, iż poprzednie procesy Wielkiej Czystki były dziełem zbrodniarza, że ludzie uznani obecnie za zdrajców, zajmowali najwyższe stanowiska państwowe — przyznane im zresztą przez Stalina — i że na czele Międzynarodówki Komunistycznej stali agenci angielskiego i niemieckiego wywiadu.

Prawie jednocześnie wybuchł mały skandal w naszej grupie pisarzy partyjnych w Paryżu. Znaliśmy od lat uroczą, młodą towarzyszkę imieniem Judy; mimo, że wychowana w środowisku wielkiej burżuazji angielskiej, mówiła biegle berlińskim żargonem i była narzeczoną niemieckiego komunisty, skazanego przez hitlerowców na pięć lat ciężkich robót. Latem 1938-go roku, narzeczony Judy, Hans, zwolniony z obozu przeszedł po kryjomu zieloną granicę i przyjechał do Paryża. W parę dni później, na pierwszej stronie pewnego komunistycznego tygodnika, ukazała się fotografia młodych narzeczonych jako... agentów Gestapo...

Wiedziałem, że byli niewinni. Hans przed aresztowaniem pracował pod kierownictwem niejakiego Kippenbergera<sup>1</sup>, szefa wywiadu wojskowego Partii Niemieckiej, który w międzyczasie został wezwany do Moskwy i stracony. Hans, nie wiedząc o tym, poprosił o nawiązanie kontaktu ze swoim byłym szefem, a kiedy dowiedział się, że to „niemożliwe” — wymienił dwa inne nazwiska kierowników wywiadu, którzy podzielili ten sam los. Hans uniknął go, gdyż siedział w więzieniu niemieckim.

---

1. W roku 1939-ym Jeżow, następca Jagody został zlikwidowany za sabotaż sowieckiej sprawiedliwości; w 1953 roku, następcę Jeżowa — Berie — rozstrzelano, jako degenerata. Od przeszło dwudziestu pięciu lat na czele sowieckiej policji stoją truciiele i bandyci.

1. Kippenberger stracił życie za odmowę usunięcia z Partii przedstawicieli odchylenia prawicowego „metodami G.P.U.” — to znaczy nie chciał przekazać ich w ręce Gestapo. Zobacz: Erich Wollenberg: „Der Apparat” — „Stalin's Fünfte Kolonne”, „Ostprobleme”, maj 1951 rok.



Hans i Judy zwrócili się do Partii z prośbą o wyjaśnienia. Na próżno. Dawni przyjaciele unikali ich teraz. Odwrócili się od nich nawet Egon i Gizela Kisch, mimo, że przedtem traktowali Judy jak własną córkę. Nie mogłem tego dłużej znieść i napisałem do Komitetu Centralnego Partii Niemieckiej list protestacyjny przeciw niesprawiedliwym oskarżeniom i bojkotowi niewinnych towarzyszy. Odpowiedzi nie było, ale Partia zaniechała dalszych prześladowań moich znajomych. Ostatecznie Hans i Judy przenieśli się do jednego z brytyjskich dominiów, pobrali się i rozpoczęli nowe życie pod zmienionym nazwiskiem.

Nieco później przyjechała do Londynu Ewa Weissberg, wysiedlona z Rosji, po osiemnastu miesiącach więzienia na Łubiance. Dowiedziałem się od niej po raz pierwszy prawdy o metodach, stosowanych przez G.P.U. aby zmusić swe ofiary do składania fałszywych zeznań i przyznania się do niepopelnionej winy.

Czytelnik przypomina sobie może, że Ewa była z zawodu artystką — ceramiką. Została aresztowana w kwietniu 1936 roku pod zarzutem, że wprowadziła motyw swastyki do rysunków przeznaczonych dla ozdoby filizanek i że ukrywała pod łóżkiem dwa rewolwery z zamiarem zabicia towarzysza Stalina, podczas najbliższego kongresu Partii... G.P.U. chciało wykorzystać Ewę jako świadka w procesie Bucharina; aby tego uniknąć próbowała ona popełnić samobójstwo przecinając sobie żyły; odratowano ją, zwolniono, i, dzięki niezwykłym wysiłkom austriackiego konsula w Moskwie — ekspulsowano z Rosji. Doświadczenia Ewy posłużyły mi za materiał do książki „Ciemność w południe”.

Znałem ją od dziecka, a później spotykaliśmy się w Paryżu, Berlinie i Charkowie: byliśmy starymi przyjaciółmi. Teraz Ewa wracała z komunistycznego więzienia w Moskwie a ja z faszystowskiego w Sewilli — podróżnicy dwudziestego wieku!

Ewa uratowała się; Aleks, aresztowany w parę miesięcy po niej — znajdował się niestety nadal w sowieckim więzieniu.

Wspomnienia dwóch zebrań stanowią moje ostatnie przeżycia „jako członka Partii”.

Mieliśmy omówić wspólnie najnowszy slogan sowieckich pisarzy: „piszcie prawdę”. Nie mogę dziś jeszcze odżałować, że ta nasza bezsensowna dyskusja nie została utrwalona na taśmie magnetofonowej, gdyż mogłaby posłużyć za ciekawy dokument historyczny „czasów absurdu”. Wiedzieliśmy, że każdego dnia w Sowietach nasi najlepsi towarzysze i przywódcy Rewolucji Październikowej umierają zamordowani, lub giną bez śladu. Kisch, Anna Seghers, Kantorowicz, Regler, Uhse i ja — siedzieliśmy przy wspólnym stoliku w kawiarni Mefisto (odpowiednia nazwa!) i

zastanawialiśmy się jak „pisać prawdę, ukrywając ją jednocześnie”.

Dzięki dialektycznej akrobacji łatwo udowodnić, że każda prawda jest „uwarunkowana historycznie” i, że „obiektywizm” należy do przestarzałych, burżuazyjnych mitów. W partyjnym znaczeniu mówić prawdę znaczyło wybierać i podkreślać fakty „w interesie Rewolucji Proletariackiej”.

Kiedyś, pewien działacz świeżo przybyły z Moskwy, rzucił hasło: „Każdy bolszewik winien być czekistą”. Przyjęliśmy to piękne wezwanie spokojnie, bez słowa sprzeciwu.

Latem 1938-go roku, na zebraniu Związku Pisarzy Niemieckich w Paryżu, miałem wygłosić odczyt o wojnie domowej w Hiszpanii. Jeszcze wcześniej, pewien znajomy towarzysz zażądał ode mnie abym potępił członków POUM, jako agentów Franco. Odmówiłem. Towarzysz wzruszył ramionami i uprzejmie poprosił, abym pokazał mu tekst mego odczytu: odmówiłem raz jeszcze.

Zebranie odbyło się w sali Francuskiego Stowarzyszenia Przemysłowego na placu St.-Germain-des-Prés; liczne audytorium (kilkaset osób) stanowili przeważnie uciekinierzy z Niemiec, przeważnie komuniści. Był to mój pierwszy publiczny „występ” w Paryżu po powrocie z Hiszpanii... Wiedziałem, że jako członek Partii, przemawiać będę po raz ostatni. Podczas wojny hiszpańskiej nie ujawniałem moich poglądów, ponieważ nie chciałem atakować ZSSR — walczącego przeciw faszystom. Teraz czułem, że muszę wreszcie powiedzieć prawdę i w obliczu tragicznego losu moich przyjaciół w Moskwie — nie wolno mi było dłużej milczeć.

Mimo, że zwykle mówię bez notatek, tym razem napisałem moje przemówienie i przerabiałem je wiele razy. Na zakończenie postanowiłem powiedzieć, że: „nikt, zarówno jednostka jak i żaden ruch społeczny, nie może pretendować do przywileju nieomylności” i że „takim samym szaleństwem jest usypiać czujność wroga, jak prześladować sojusznika, który dąży do tego samego co i my celu, tyle tylko, że innymi drogami”. Ostatnie zdanie było cytatem z Tomasza Manna: „z perspektywy czasu niewygodna prawda ma większą wartość, niż użyteczne kłamstwo”.

Słowa te odniosły podobny skutek, jak gdyby jakiś mówca, na nazistowskim wiecu, krzyknął niespodzianie, że wszyscy ludzie są sobie równi. Część publiczności zgotowała mi oklaski, ale obecni na sali komuniści zachowali śmiertelne milczenie, a wielu z nich skrzyżowało ręce na znak protestu.

Wracałem do domu; na stacji metra Saint-Germain-de-Prés

grupa komunistów, uczestników zebrania, przeszła koło mnie udając, że mnie nie widzi.

Było to wstępem do długich miesięcy i lat odosobnienia; nie była to samotność w materialnym tego słowa znaczeniu: po zerwaniu z komunizmem miałem więcej przyjaciół, niż kiedy byłem w Partii — ale przyjaźnie osobiste nie mogły mi zastąpić świadomości, że kiedyś należałem do międzynarodowej społeczności, i owego poczucia zbiorowej solidarności, która nadawała rozproszonym po całym świecie komunistom charakter jednej wielkiej rodziny.

W parę dni później zrozumiałem, że winienem natychmiast skończyć z męką zwlekania i wystąpić z Partii. Mimo, że już wcześniej podjąłem tę decyzję — wydała mi się one nagle nowa i bardzo zuchwała. Komunista, wyrzucony z Partii staje się w oczach byłych towarzyszy wyrodnym synem; ten, kto z własnej woli opuszcza Partię — rzuca wyzwanie losowi i usuwa samego siebie poza nawias społeczny. Tym niemniej konieczność działania napełniła mnie gwałtowną radością — uczuciem, które ogarnia mnie zawsze, ilekroć palę za sobą mosty, podobnie jak owej nocy we Wiedniu, gdy postanowiłem porzucić studia i siedem lat wcześniej, gdy zdecydowałem wstąpić do Partii.

Nad listem do Partii pracowałem całą noc: było to pożegnanie z komunizmem. Myślę, że napisałem wówczas to co należało i żałuję, że nie zachowałem kopii. A jednak, tchórzliwie zatrzymałem się w pół drogi i zakończyłem mój list deklaracją wierności dla Związku Sowieckiego — potępiłem rządy terroru ale wyraziłem ufność w pierwsze na świecie państwo robotniczo-chłopskie i podkreśliłem, że własność uspołeczniona jest gwarancją powrotu na drogę socjalizmu. Na zakończenie dodałem, że „mimo wszystko ZSSR jest jedyną „nadzieją” mieszkańców naszej rozkładającej się planety”.

Czepiałem się z wielkim uporem tej nadziei aż do chwili zawarcia paktu Stalin-Hitler — pakt ten odebrał mi ostatnie złudzenia. Wiara rodzi się zwykle na skutek nagłego objawienia — utrata wiary jest sprawą przewlekłą: człowiek powraca nieustannie do tego, co przedtem stanowiło sens jego życia. Wiara, jeśli jest szczerą, nie chce umrzeć, bez względu na to, czy jej przedmiotem jest kościół, przyjaciel, czy kobieta — lękamy się wszyscy pustki duchowej, a szukając przed nią ucieczki człowiek próbuje przeczyć nawet własnym zmysłom i, usprawiedliwia wszystkie zdrady, podobnie jak oszukany mąż Boccaccia. A jeżeli złudzenie nie może już być tak całkowite jak poprzednio, usiłujemy ocalić przynajmniej część naszych złudzeń.

Były nas miliony podobnych: pocieszaliśmy się myślą, że

czystki, obozy pracy przymusowej i bezprawie — to zjawiska „przejęciowe”. Teoria ta łączyła się z przekonaniem, że „uspołecznienie” środków produkcji i planowanie gospodarcze, prowadzi do socjalizmu. Wygodne złudzenia są zawsze silniejsze od logiki. Błędy podobnego rozumowania opisałem w książce „Yoga i Komisarz”. Uspakajało nas bardzo „elastyczne” przekonanie, że Związek Sowiecki jest jedynym na świecie krajem postępu. Argumenty, jak „okres przejęciowy” czy „niezbędne środki zaradcze” odpowiadają mętnym idealistom wszystkich odcieni, którzy zresztą nie uznają metod komunistycznych w ich własnym kraju. Dziś, podobnie jak przed laty, wielu ludzi na świecie żywi złudzenia wobec „wielkiego społecznego doświadczenia” naszych czasów.

Każda epoka tworzy własne mity: socjalizm był nadzieją początków dwudziestego wieku. Europejskie partie polityczne uznały za konieczne sięgnąć po to mityczne słowo, działające na wyobraźnię mas, stąd wzięli się „narodowi-socjaliści w Niemczech, „radykałni-socjaliści” we Francji i „chrześcijańscy-socjaliści” we Włoszech. Związek Socjalistycznych Republik ucieleśniał nasze nadzieje, a magia słowa „socjalizm” dziś jeszcze działa na miliony ludzi. Jest to ustrój polityczny najbardziej okrutny w dziejach, który nieustannie zagraża ludzkości, a jednak prawda ta, z psychologicznego punktu widzenia, dla niepiśmiennego włoskiego chłopca, czy francuskiego filozofa (np. Sartre’a), jest równie trudna do przyjęcia, jak dla człowieka średniowiecza odrzucenie religii. Roosevelt, skądinąd bardzo trzeźwy polityk, uważał reżym sowiecki za rodzaj azjatyckiego *New-Deal’u* i myślał, że po wojnie łatwo porozumie się ze Stalinem; uznawał on angielskich imperialistów za największe niebezpieczeństwo przeciw pokojowi. To, że mimo wielu dowodów o tym co się dzieje w ZSSR wybitni politycy, nie mówiąc już o uczonych, pisarzach i artystach, zachowali podobne przekonania — wskazuje, jak głęboko zakorzeniony jest w świadomości ludzi dwudziestego wieku mit „socjalizmu”.

Moje własne wątpliwości i duchowe rozterki dowodzą upartej siły złudzeń — natomiast moje doświadczenia z tego okresu odzwierciedlają działanie na psychikę człowieka jeszcze innych sił irracjonalnych. Jako komunista czułem się otoczony sympatią ludzi postępowych, którzy odnosili się z niechęcią do komunizmu ale szanowali moje poglądy; po zerwaniu z Partią ci sami ludzie odnosili się do mnie z pogardą. Przewidziałem wymysły towarzyszy partyjnych, ale zaskoczyły mnie milczące wyrzuty ze strony przyjaciół i znajomych, którzy sami nigdy nie byli komunistami. Ex-

komuniści są nie tylko nudnymi Kassandrami, podobnymi do antyfaszystowskich emigrantów z poprzednich lat, są ponadto upadłymi aniołami pozbawionymi taktu gdyż pragną uświadomić otoczenie, że niebo jest mniej pogodne, niż wyobrażają sobie wierzący. Świat szanuje nawróconych na katolicyzm czy komunizm, ale potępia ludzi wyzbytych wszystkich ideałów i nazywa ich renegatami. Zapomina się często, że „nawrócony” jest w rzeczywistości renegatem wobec swoich poprzednich wierzeń i, że gotów jest prześladować tych co nadal ufają w to, co on sam już odrzucił.

Nawróconym świat przebacza w nagrodę, że znaleźli sobie nową religię, ale były ksiądz czy komunista nie znajdują usprawiedliwienia: stanowią oni dla społeczeństwa groźbę utraty złudzeń i niebezpiecznej „duchowej pustki”.

Smutnym przykładem tego stanu rzeczy może być zakończenie mojej przyjaźni z Sir Peter Chalmers Mitchell, dla którego miałem zawsze wiele szacunku i serdeczności. Spotykaliśmy się często aż do roku 1941. Wkrótce po ukazaniu się w Londynie książki „Ciemność w Południe” — jedliśmy razem obiad w Soho, w towarzystwie naszej wspólnej przyjaciółki i tłumaczki mojej powieści — Daphné Hardy. Po posiłku, dobrze zakropionym winem, w doskonałych humorach wsiedliśmy do metra. Nagle Sir Peter pochylił się w moją stronę i powiedział: „Jeśli mam być szczerzy pańska książka nie podoba mi się — przykro mi, że dał się pan sprzedać za parę srebrników”. W pierwszej chwili myślałem, że żartuje, ale to alkohol sprawił, że mój przyjaciel zdobył się nareszcie na szczerą. Sprzeczaaliśmy się głośno — ponad głową przerażonej Daphné, wśród zgrzytów pędzącego metra. Było to nasze ostatnie spotkanie: Sir Peter zginął w roku 1945 potrącony przez autobus. Człowiek ten nigdy nie był komunistą, a w ciężkich chwilach mego życia okazał mi prawdziwą przyjaźń. Potępiał on pakt Stalin-Hitler, ale... nie uznawał ludzi, którzy „zmieniają klub”.

Za każdym razem, kiedy spotykałem się z podobną postawą ze strony osób przyzwyczajonych i nieco naiwnych — rozumiałem, że źródłem ich niechęci wobec mnie — jest nie to, że byłem komunistą ale, że nim być przestałem; potępiali mnie oni nie za popełnione niegdyś błędy, ale za to że się do nich przyznałem. Oto dlaczego demokratyczne społeczeństwa Zachodu odnoszą się obojętnie do komunistów, którzy zdradzili swój kraj, natomiast krytykują byłych członków Partii, którzy ujawniają tę zdradę. Zresztą, tylko nieliczni ex-komuniści, znaleźli się w bolesnej sytuacji złożenia donosu na dawnych towarzyszy, gdyż tylko niewielu z nich — byłych pracowników „aparatu” — posiadało o swych kolegach wiadomości naprawdę godne ujawnienia. Książki

napisane przez ex-komunistów, poczynawszy od Ciligi, Gide'a, Silonego i Serge'a a aż do Weissberga, Sperbera czy Greta Buber-Neumann — nie zawierają personalnych oskarżeń, chociaż są dla Zachodu podstawowym źródłem wiedzy o komunizmie. Tym niemniej, publiczność uważa każdego byłego komunistę za donosiciela i dezertera: postawa zrozumiała i bardzo ludzka, podobnie jak prastary zwyczaj z czasów antycznych — zabijania wysłannika, przynoszącego z pola bitwy wieści o niespodzianej klęsce...

Kiedy wstąpiłem do Partii miałem lat dwadzieścia sześć — trzydzieści trzy, kiedy z nią zerwałem. Był to decydujący okres w moim życiu nie tylko dlatego, że zabrał mi cenne lata młodości i dojrzewania — nigdy przedtem ani później, świat nie wydawał mi się tak wspaniały i pełen treści, jak podczas owych siedmiu lat pobytu w Partii. Piękna omyłka, która daje człowiekowi cel w życiu — odnosi zawsze przewagę nad świadomością tragizmu istnienia.

Biblijny Jakub przez siedem lat pasał barany Labana, aby uzyskać w zamian jego córkę Rachel, a tak bardzo ją kochał, że „lata te stanowiły dla niego zaledwie parę dni”. Niestety, nazajutrz po zawarciu małżeństwa, w mrokach namiotu, Jakub dostrzegł, że w noc poślubną obdarzył swymi łaskami nie piękną Rachel, ale jej siostrę — brzydką Leę. Oszukany zapytał Labana: „Cożeś mi uczynił”.

Zdawałoby się, że po wstrząsie „długiej nocy poślubnej ze złudzeniem” — nie można już nigdy odzyskać spokoju. A jednak... Jakub wiedział, że po nowych siedmiu latach ciężkiej pracy, otrzyma wreszcie za żonę ukochaną Rachel — i znów te lata przeleciały mu tak szybko, jakby to było tylko „siedem dni” — ponieważ, dzięki Bogu, człowiek jest istotą upartą.

## „CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE”

W krytycznym okresie po zerwaniu z Partią, kiedy to każdy ex-komunista staje się największym „potępieńcem wśród potępionych” i żyje w stanie „nocy mistycznej” — ogarnia go chwila pragnienia, aby przejść do grupy politycznej o poglądach skrajnie przeciwnych lub przyjąć jakąś inną religię. Wszystkich moich przyjaciół — artystów, polityków i uczonych, którym udało się przetrwać okres słabości — łączy wspólne dążenie do odnalezienia trwałego sensu istnienia.

Wróciłem do Paryża z początkiem lata 1938 roku. Przywiozłem ze sobą cenny dokument: umowę z londyńskim wydawcą Jonathanem Cape na publikację „Spartakusa”, mojej powieści, która miała ukazać się w druku. Otrzymałem zadatek w wysokości stu dwudziestu funtów, a chociaż miałem opłacić tłumacza, pozostało mi jeszcze na sześć miesięcy skromnego utrzymania i mogłem wreszcie zakończyć pisanie książki, wiele razy przerywane z braku pieniędzy lub z powodu niespodziewanych wydarzeń politycznych.

Kończyłem „Spartakusa” po przeszło czterech latach, a każdy powrót myślą do pierwszego wieku przed Chrystusem, uspakajał mnie w trudnych dniach rozterki; praca dawała mi poczucie wartości życia i pozwoliła przetrwać okres moralnej pustki.

Przed zerwaniem z Partią sądziłem, że służę Sprawie, a to co pisałem miało być wyrazem tej służby. Obecnie poczułem się po raz pierwszy pisarzem zawodowym i praca twórcza stała się dla mnie celem samym w sobie; zabrałem się natychmiast do następnej powieści, do „Ciemności w południe”.

Miała to być opowieść o ludziach uwięzionych w państwie to-

talitarnym: skazani na śmierć zostają oni wyrwani z codziennej egzystencji i przechodzą do sytuacji tragicznej; zastanawiają się nad swoim dotychczasowym życiem i każdy z nich odkrywa, że jeśli zawinił — to nie tym, o co go oskarżają. Ich winą jest, że „podporządkowali losy jednostki interesom ludzkości” i, że postępowali według zasady: „cel uświęca środki”. Muszą umrzeć dla „Sprawy”. Poniosą śmierć z rąk towarzyszy, wyznających te same poglądy co oni. Pierwotny tytuł mojej powieści był: „Błędne koło”.

Na razie nie wyobrażałem sobie jeszcze przebiegu akcji — rysowała się w mej głowie jedynie postać głównego bohatera, przedstawiciela starej gwardii bolszewickiej, o sposobie myślenia zbliżonym do Bucharina. Zewnętrznie miał przypominać Karola Radka i Lwa Tołstoja. Widziałem go z jasnością nagłego objawienia: nieduży, krępy, nosi „szpic-bródkę” i nieustannie wyciera binokle o mankiet marynarki, nerwowo przemierzając wzdłuż i wszerz przestrzeń swojej celi. Nie wiadomo czemu nazwałem go: Rubaszow — może dlatego, że dźwięk tego nazwiska przypominał mi słowo: „rubaszka” — rosyjska haftowana koszula. Rzeźwisty Mikołaj Salomonowicz Rubaszow był redaktorem naczelnym znanego palestyńskiego pisma: „Dawar” — postać, o której podczas pisania książki — zupełnie zapomniałem. Imię ojca, Salomon, czyniło z mego bohatera Żyda — z czego nie od razu zdałem sobie sprawę — wydaje mi się, że czytelnicy również tego nie dostrzegli.

Pierwsze sceny powieści rozwijają się spokojnie. W chwili, gdy niedawni przyjaciele przychodzą aresztować Rubaszowa — śni on o swoim uwięzieniu we wrogim kraju faszystowskim; rozbudzony gwałtownie i jeszcze półseny — nie potrafi od razu odróżnić z jakiego państwa dyktator przyszedł teraz po niego. Ciekawe, że symbolizm podobieństwa dwóch reżymów: stalinowskiego i hitlerowskiego — (powraca on jako *leit-motiv* przy końcu książki) pojawił się na kartach powieści spontanicznie, niejako bez udziału mojej woli.

Po pierwszej scenie opis innych postaci i sytuacji przyszedł mi z łatwością: wspomnienia, ukryte w najgłębszych zakamarkach pamięci w ciągu siedmiu minionych lat — wydostały się nagle na powierzchnię: Nadieżda, mały Werner, dwóch „naczelników” z Baku i dziesiątki epizodów, zasłyszanych zdań i podchwyconych gestów...

Byłem bardziej zaciekawiony niż zalekniony tym, co piszę. Wiedziałem, że Rubaszow załamie się ostatecznie i przyzna do niepopelnionych zbrodni, chociaż początkowo nie zupełnie zdałem sobie sprawę dlaczego tak czyni. Przyczyny postępowania



mego bohatera ujawniły się powoli, w miarę pisania, a zwłaszcza podczas przesłuchania Rubaszowa przez sędziów śledczych: Iwanowa i Gletkina. Pytania i odpowiedzi tego dialogu określały klimat umysłowy świata, w którym ludzie ci żyli: nie wymyśliłem ich ale „wydedukowałem” z matematyczną dokładnością na podstawie rzeczywistych wydarzeń — dokumentów, opowieści świadków i własnych wspomnień.

Żelazna logika absurdu trzymała w swych szponach zarówno oskarżonego jak i oskarżycieli: zasady gry sprawiały, że nie mogli oni postępować inaczej.

Dla zachodniego umysłu, nie znającego praw totalitarnego reżymu — moskiewskie procesy były wielką zagadką naszych czasów. Dlaczego „zmarli z zawieszeniem”, starzy bolszewicy i bohaterowie Rewolucji Październikowej, przyznali się do niepopelnionej winy? Jedni z nich, podobnie jak Radek, próbowali ocalić głowę, inni jak Zinowiew załamali się psychicznie, jeszcze inni w rodzaju Kamieniewa, pragnęli za wszelką cenę uratować swoje rodziny. Ale byli wśród oskarżonych ludzie nieugiętego charakteru: Bucharin, Piatakow, Mraczkowski, Smirnow i wielu, wielu innych, którzy mieli za sobą po kilkadziesiąt lat pracy rewolucyjnej — dlaczego więc ci weterani carskich więzień i zesłania na Syberię poddali się bez sprzeciwu swoim oprawcom? Rubaszow był jednym z nich.

Próbę odpowiedzi na to pytanie w powieści „Ciemność w Południe” krytycy nazwali „teorią zeznań Rubaszowa”. Teraz, kiedy w piętnaście lat później piszę te słowa — warto być może podać czytelnikowi parę wyjaśnień:

Większość epizodów w „Ciemności w południe” oparłem na wydarzeniach autentycznych, a metody przesłuchania stosowane przez G.P.U. jak pozbawienie oskarżonego snu, przymus stania przez wiele dni, używanie lamp oślepiających, groźba natychmiastowej egzekucji w wypadku odmowy zeznań — i gwałtowne przeskoki od brutalności do łagodności — potwierdziły późniejsze sprawozdania naocznych świadków. Aby oświetlić zagadnienie najważniejsze, to znaczy sposób myślenia, który sprawiał, że ludzie o bardzo silnym charakterze przyznawali się bezwolnie do niepopelnionej i absurdalnej winy — sięgnę do fragmentu mojej powieści, do przesłuchania Rubaszowa przez sędziego Gletkina. Rubaszow broni się przeciw oskarżeniom o zdradę, tłumacząc że chociaż nie zgadzał się z polityką swego szefa — nigdy nie był kontrrewolucjonistą ani agentem obcego mocarstwa i, że działał zawsze w najlepszej wierze, zgodnie z nakazami komunistycznej świadomości. Odpowiada mu Gletkin zdaniem z pism samego Rubaszowa:

„Nie obchodzi nas sprawa dobrej czy złej woli. Ten kto się myli zapłaci za swoje błędy; ten kto ma słuszność zostanie oczyszczony z zarzutów. Oto nasze prawa”.

W słownym pojedynku z oskarżonym, Gletkin czerpie argument z dzieł i przemówień oskarżonego, dzięki czemu odbiera on swej ofierze możliwość obrony. Gletkin cytuje dziennik Rubaszowa:

„Będziemy wpajając nasze prawdy masom, drogą nieustannego powtarzania i uproszczeń. To, co uznajemy za słuszne — winno błyszczyć jak złoto — to, co uznajemy za złe, musi być czarne jak otchłania piekła”.

Gdy Rubaszow jest już u kresu sił, Gletkin wypycha mu do gardła najważniejszy argument:

„Rozbiliśmy waszą frakcję, obywatelu Rubaszow; chcieliście podzielać Partii mimo, że dobrze wiecie, iż taki podział prowadzi nieuchronnie do wojny domowej gdyż zdajecie sobie chyba sprawę, obywatelu, z niezadowolenia chłopów, którzy nie rozumieją jeszcze konieczności poświęceń dla dobra narodu. Wojna może wybuchnąć z dnia na dzień... a wówczas wasze teorie mogłyby doprowadzić do ogólnej katastrofy. Jedność szeregów jest dla Partii sprawą najważniejszą. Partia winna być, że tak powiem, odlana z jednego kruszcu — jej bronią jest ślepa dyscyplina i absolutne zaufanie mas ludowych.

Wy i wasi przyjaciele, obywatelu Rubaszow, zadaliście krwawą ranę zdrowemu ciału Partii. A jeśli szczerze chcielibyście naprawić wasze błędy — uczynicie wszystko, aby pomóc nam w zaleczeniu tej rany. Jak już powiedziałem, będzie to ostatnia przysługa, jaką oddacie Partii; wasze zadanie jest dziecinnie łatwe — wyznaczyliście je niegdyś sami: ozłocić to co słuszne a oczernić Zło. Polityka opozycji jest szkodliwa i zła. Waszym więc zadaniem będzie przekonać masy, że opozycja jest zbrodnią a jej przywódcy renegatami. Do mas ludowych należy przemawiać językiem prostym. Jeśli zaczniecie im tłumaczyć złożone motywy waszego postępowania — nic z tego nie zrozumieją. Nie wolno wam, obywatelu Rubaszow, wzbudzać ani litości ani sympatii dla opozycji — te uczucia stanowią groźne niebezpieczeństwo dla kraju”.

„Towarzyszu Rubaszow myślę, że zdajecie sobie sprawę z powagi zadania, jakie przydzieliła wam Partia.

Po raz pierwszy podczas rozprawy, Gletkin nazywa Rubaszowa „towarzyszem”. Oskarżony unosi głowę.. czuje, że ogarnia go fala ciepła i jest zupełnie bezbronny. Drży mu podbródek...

— Rozumiem.

Zwracam wam uwagę, ciągnie Gletkin, że Partia nie wynagrodzi was za to. Niektórzy oskarżeni ulegli nam dzięki stosowanej wobec nich „presji fizycznej” — inni zrobili to dla uratowania życia własnego lub rodziny. Ale wam, towarzyszu Rubaszow — Partia nie proponuje w zamian.

— Rozumiem, powtarza Rubaszow.

Gletkin zagląda do akt.

— Znalazłem w waszym „Dzienniku” zdanie, które wywarło na mnie duże wrażenie. Pisaliście kiedyś: „Myślałem i działałem zawsze zgodnie z tym, co uważałem za słuszne, a jeśli się myliłem — zapłacę za wszystkie moje błędy”.

Gletkin patrzy oskarżonemu prosto w oczy:

— Popełniliście błędy i zapłacicie nam za to, towarzyszu Rubaszow. Partia obiecuje wam jedynie, że pewnego dnia, po zwycięstwie — nasze archiwa zostaną podane do publicznej wiadomości i wtedy świat dowie się nareszcie, co dzieje się za kulisami cyrku, który organizujemy teraz, aby móc postępować tak, jak nam wygodnie... „Sami tworzymy nasz własny podręcznik historii”.

Tajne archiwa, jak dotąd, nie zostały ujawnione, natomiast paru nacownym świadkom stalinowskiego piekła udało się zbiec na Zachód: wspomnę tutaj o generale Krywickim.

Był on szefem sowieckiej wojskowej służby wywiadowczej (Czwartego Biura Armii Czerwonej) na Zachodnią Europę i zerwał z bolszewikami w 1937-ym roku. Był to pierwszy w dziejach wypadek dezercji wysokiego oficera wywiadu ZSSR. Agenci G.P.U. dwukrotnie usiłowali zamordować Krywickiego we Francji — udało im się to po raz trzeci w Stanach Zjednoczonych: Śmierć generała została zamaskowana samobójstwem: znaleziono go z przestrzeloną głową w małym hotelu w Waszyngtonie, gdzie nie zatrzymywał się nigdy przedtem. Krywicki uprzedził żonę i rodzinę oraz przyjaciół, że jeśli kiedyś znajdą go martwego, żeby wiedzieli, że nie popełnił samobójstwa. W tym miejscu przypomnieć można pewne „urocze powiedzonko” G.P.U.: „Każdy bałwan może dokonać zbrodni ale udana śmierć naturalna — jest prawdziwą sztuką”.

Nie spotkałem nigdy generała Krywickiego: nasi wspólni znajomi podziwiali jego odwagę i uczciwość. Książka Krywickiego zatytułowana: „Byłem agentem Stalina” — ukazała się w grudniu 1939-go roku<sup>1</sup> — w tym samym czasie kończyłem moją powieść.

.....

Czytałem wspomnienia Krywickiego z przykrym uczuciem „znajomości tematu”. Podobieństwo autentycznych wydarzeń, opisanych przez byłego generała „aparatu”, z pierwszym przesłuchaniem Rubaszowa przez sędziego śledczego Iwanowa — były uderzające, a jednocześnie zrozumiałe: te same idee i okoliczności określały zarówno moją powieść jak i osobiste doświadczenia Krywickiego. Tym niemniej jednakowość szczegółów i atmosfery była rzeczywiście niezwykła: i tu i tam przesłuchanie rozpoczyna

1. W. G. Krivitzky: „I was Stalin's agent”; w tłumaczeniu na język polski książka ta ukazała się w Instytucie Literackim, w serii Archiwum Rewolucji, jako tom C Biblioteki „Kultury”.

się sentymentalnym wspomnieniem z lat wojny domowej w Rosji; w obu wypadkach oskarżyciel był dawniej podkomendnym oskarżonego i z kolei zostanie zlikwidowany. Czytając książkę Krywickiego zdawało mi się, że wychodzą mi naprzeciw duchy moich bohaterów — Rubaszowa, Iwanowa i Gletkina...

Krywicki nie znał powieści „Ciemność w południe”, gdyż ukazała się już po jego śmierci. Jego wydawca twierdzi, że pracował on nad swymi wspomnieniami w roku 1938-ym a przedmowę napisał później.

Zwróciłem już uwagę czytelnika, że metody, które zmusiły Mraczkowskiego, Bucharina czy Rubaszowa do złożenia fałszywych zeznań, mogły być stosowane tylko wobec przedstawicieli starej gwardii bolszewickiej, ślepo oddanych Partii; wobec pozostałych oskarżonych G.P.U. używało innych sposobów, w zależności od charakteru ofiary. A jednak wielu krytyków zarzucało mi, że na przykładzie Rubaszowa, chciałem wyjaśnić wszystkie wypadki przyznania się do winy w procesach moskiewskich. W „Ciemności w południe” występuje trzech oskarżonych — wśród nich jedynie Rubaszow składa zeznania „z miłości do Partii” i daje dowody zupełnej abnegacji — natomiast Zajęcza Warga „przyznaje się” do winy dopiero poddany torturom, a niepiśmienny chłop robi wszystko, co mu władza każe, nie bardzo rozumiejąc o co naprawdę chodzi. Gletkin wylicza różne metody wymuszania zeznań, a w innym jeszcze miejscu sam Rubaszow mówi: „...jedni podporządkowali się pod wpływem tortur, inni łudzili się nadzieją ocalenia głowy”... Tym niemniej, kiedy w dziesięć lat po ukazaniu się książki w krajach satelickich rozpoczęły się nowe czystki, niez mordowani polemicy, stwierdzając, że kardynał Mindszenty, co prawda nigdy nie był komunistą, a mimo to „zeznał” — dowodzili, że cała „teoria zeznań Rubaszowa opiera się na fałszu”. W podobny sposób łatwo udowodnić, że jeśli magnes nie przyciąga much, a tylko gwoździe — to cała teoria przyciągania nie ma sensu. Podobne omyłki ze strony osób, najczęściej dobrej woli, wynikają, jak sądzę, z właściwej umysłowi ludzkiemu skłonności do poszukiwania „kamienia filozoficznego” lub inaczej mówiąc — jednoznacznych i łatwych rozwiązań w sprawach złożonych i niepokojących.

Właśnie dlatego reżyserzy Wielkich Czystek starali się, aby grupa oskarżonych w każdym procesie składała się z ludzi różnego poziomu i wartości, począwszy od wielkich idealistów — do mitomanów i wyrzutek społeczeństwa i, aby wszyscy oni zachowywali się jednakowo, chociaż każdy z innych powodów.

.....

W Anglii omawiano „Ciemność w południe” w kołach lewicowych, ale książka nie wywarła na ogół głębszego wrażenia. Po wyczerpaniu pierwszego tysiąca egzemplarzy wydawca przez wiele miesięcy zwlekał z nowym nakładem; u schyłku pierwszego roku od wyjścia powieści okazało się, że nie sprzedano nawet czterech tysięcy egzemplarzy.

„Ciemność w południe” ukazała się we Francji z końcem wojny i rozeszła się w czterystu tysiącach egzemplarzy. Nie ma zwyczaju, aby autor podawał do wiadomości publicznej wysokość nakładu swojej książki — myślę jednak, że winienem to uczynić: przykład ten bowiem wskazuje na ogromną różnicę zainteresowań i gustów literackich po obu stronach kanału La Manche. Chciałbym również zwrócić uwagę czytelnika na jeszcze inne zagadnienie...

Wydaje mi się, że przyczyny wielkiego sukcesu mojej książki we Francji były natury politycznej. Po okrucieństwach niemieckiej okupacji Francja przeżywała okres nowego terroru, o którym na razie historia milczy. Podczas paru tygodni, między ucieczką okupantów a ustaleniem nowej władzy, na terenie całego kraju odbywały się egzekucje i akty gwałtu. Komuniści „wy płynęli” nagle z Ruchu Oporu, jako siła najlepiej zorganizowana, aby wykorzystać warunki ogólnego chaosu (podobnie jak w czasie wojny domowej w Hiszpanii) i rozprawić się ze swymi przeciwnikami, pod wygodnym pretekstem oskarżenia ich o współpracę z Niemcami. Prawo *maquis* a raczej bezprawie, panoszyło się we Francji przez pierwszych parę lat powojennych. Dziś jeszcze, dzięki nieznanym społeczeństwu tajnym umowom, nie mówi się o wielu wydarzeniach tego okresu. W 1946 roku komuniści byli partią najsilniejszą we Francji: mieli swoich przedstawicieli w rządzie, kontrolowali działalność związków zawodowych, oraz pośrednio — często drogą szantażu — wywierali nacisk na trybunały, gazety, wydawnictwa, film i koterie literackie.

W tej atmosferze powieść o sowieckich czystkach mimo, że chodziło w niej o sprawy sprzed lat dziesięciu, nabrała symbolicznej aktualności: psychologiczna siła aluzji była może większa, niż opis bieżących wydarzeń. „Ciemność w południe” była również pierwszym oskarżeniem stalinizmu, jakie ukazało się w powojennej Francji. A ponieważ postacie książki mówią prawdziwym językiem partyjnym i głównym bohaterem jest przedstawiciel starej gwardii bolszewickiej — nie łatwo określić ją jako utwór burżuazyjno-reakcyjny. Początkowo komuniści próbowali onieśmielić wydawców — gdy im się to nie udało — wykupili masowo egzemplarze książki i zniszczyli je. Między jednym a drugim wznowieniem powieść sprzedawano na czarnym rynku

i po cenie wielokrotnie wyższej. Kiedy nakład osiągnął ćwierć miliona, działacze komunistyczni zaczęli atakować książkę i jej autora na zebraniach publicznych. Rozpętali oni taką akcję propagandową, że tłumacz francuski uznał za konieczne wystąpić pod pseudonimem, a w późniejszych wydaniach — zażądał również usunięcia pseudonimu z okładki.

Polemika wokół powieści doszła do punktu kulminacyjnego podczas trudnych dla Francji tygodni, poprzedzających plebiscyt nad Konstytucją. Gdyby przegłosowano wówczas projekt komunistów — Partia Francuska uzyskałaby kontrolę nad rządem. Już po zakończeniu walk partyjnych, pewien dziennik paryski (nazwy już nie pamiętam) — w sprawozdaniu z kampanii plebiscytowej — pisał, że „książka „Ciemność w południe” przyczyniła się w dużej mierze do klęski komunistów”.

.....

Ataki przeciwko mnie ciągnęły się przez parę lat. Od akademickich dyskusji doszło do pogróżek o „charakterze fizycznym”. Profesor Merleau-Ponty, zastępca Bergsona w Collège de France, wydał, znakomitą zresztą, książkę, gdzie stara się udowodnić, że Gletkin ma słuszość<sup>1</sup>. W książce o dużo niższym poziomie, pod tytułem „Zdrajca i Proletariat” (również parafraza „Yogi i Komisarz”) Jean Kanapa, usiłuje udowodnić, że podczas pobytu w więzieniu Franco zostałem zwerbowany do pracy w *Intelligence Service*. Wymienię jeszcze artykuł wstępny w komunistycznym tygodniku: „L’Action” gdzie znalazłem wiadomość, że w mojej małej willi, którą przez pewien czas posiadałem w Fontaine-le-Port mieści się „siedziba sztabu zimnej wojny” i, że „ćwiczą tam tajne oddziały, których celem jest wprowadzenie we Francję rządów terroru”. „L’Humanité-Dimanche” opublikowało mapę okolicy ze strzałką, wskazującą położenie willi. Po tym

---

1. Humanizm i Terror (*Humanisme et Terreur*, Paryż 1947 rok) opublikowany najpierw w miesięczniku Sartre’a „Les Temps Modernes” w formie artykułów pod wspólnym tytułem: „Yoga i Proletariusz” (polemiczna parafraza mojej książki „Yoga i Komisarz”). Autor stanął w obronie wszystkich poczynań rządu sowieckiego, łącznie z paktem Stalin-Hitler, uznając je za konieczność historyczną, potępił „imperializm anglo-amerykański” i ocenił krytykę ZSSR — jako podżeganie do wojny. Zacytuje charakterystyczny fragment z pracy Merleau-Ponty:... poznany z bliska marksizm nie jest jeszcze jedną hipotezą, którą można zastąpić z dnia na dzień przez inną hipotezę — ale jest to bardzo prosty wykład rzeczywistych warunków naszego istnienia: określa istotę stosunków między ludźmi, a więc całą ludzkość, i podstawowe prawa pojmowania Historii. Marksizm nie jest jeszcze jedną filozofią historyczną ale Filozofią Historii — odrzucić marksizm znaczyłoby zrezygnować ze zrozumienia Sensu Dziejów.

wszystkim rodzina naszej kucharki przestała ją odwiedzać w obawie, że pewnego pięknego dnia dom wyleci w powietrze.

W listopadzie 1952 roku zakończył tragicznie życie, jeden z moich partyjnych przyjaciół: Otto Katz.

Lata wojny spędził w Meksyku po czym wrócił do rodzinnej Czechosłowacji. Po komunistycznym zamachu stanu w 1948 roku, został on mianowany redaktorem naczelnym oficjalnego organu Partii: „Pravo Lidu” — a później szefem wydziału prasowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W roku 1952 nowe Wielkie Czystki, które wymiotły starych komunistów we wszystkich krajach satelickich, dotknęły również mego przyjaciela: był on jednym z dziewięciu oskarżonych w procesie Slansky'ego — Clementisa. Zarzucono mu: sabotaż oraz szpiegostwo na rzecz Wielkiej Brytanii i syjonistów. Przyznał się do wszystkiego i został powieszony.

Lektura przerażających zeznań Otto — wstrząsnęła mną. W końcowych słowach przed Trybunałem w Pradze — cytował on ostatnie słowa Rubaszowa tak wiernie, jak tylko pozwalała mu pamięć. Powiedział:

„Tak jest... zasługuję na karę śmierci. Jedyłą przysługę, jaką mogę jeszcze oddać, to być ostrzeżeniem dla tych, którzy z powodu pochodzenia czy charakteru mogą pójść tą samą co ja drogą, to znaczy w stronę piekła. Najsurowsza kara... (głos staje się niewyraźny<sup>1</sup>).

Słowa Rubaszowa w „Ciemności w południe” z naciskiem na: „ostatnia przysługa” i „być ostrzeżeniem” — nawiązywały bezpośrednio do spowiedzi Bucharina podczas jego procesu w Moskwie, w 1938 roku. Otto wiedział o tym. Myślę, że jego końcowe zeznania zawierają zamaskowane posłannictwo: przyjaciel mój chciał prawdopodobnie dać do zrozumienia, że podobnie jak Bucharin i Rubaszow — został zmuszony do przyznania się do niepopelnionych zbrodni. Być może Otto żywił nadzieję, że będę mógł uczynić dla niego to, co zrobił on dla ratowania mnie podczas mego pobytu w więzieniu Franco — w sytuacji podobnej, jednak nie tak tragicznej. Być może łudził się, że jego dawni i wpływowi przyjaciele z Londynu, Hollywood i Paryża ci, co przed laty podziwiali błyskotliwego autora „Brunatnej Księgi” — wystąpią w jego obronie. W obliczu kary śmierci człowiek przecenia często znaczenie swojej osoby...

---

1. Nagrane przez BBC — ostatnie zeznania Otto Katza w procesie Slansky'ego i Clementisa w dniu 23-go listopada 1952 roku.

Ani jeden głos nie padł w obronie Otto Katza: wydawcy, dziennikarze, milionerki i gwiazdy filmowe — wszyscy, którzy tak tłumnie otaczali go w dniach Frontu Ludowego — teraz milczeli. Ostatnie posłannictwo Otto przypomina rozpaczliwe SOS, zagubione wśród obojętnego tłumu...



## KONIEC JEDNEJ PRZYJAŹNI

Jesienią 1938 roku zostałem redaktorem naczelnym „Die Zukunft” — tygodnika, ukazującego się w języku niemieckim w Paryżu; wydawcą pisma był Willy Muenzenberg.

Willy odmówił „powrotu do Moskwy” i ostatecznie zerwał z Kominternem. Ogromne międzynarodowe przedsięwzięcie, które stworzył padło ofiarą partyjnych biurokratów. W poszukiwaniu nowego ujścia dla swej niezmordowanej energii, Willy założył „Die Zukunft”.

Chcieliśmy wydawać pismo niezależne: obok antynazistowskiej propagandy zamierzaliśmy dążyć do wzajemnego zbliżenia różnych grup politycznych, działających na wygnaniu i wspólnie z nimi opracować program „przyszłości Niemiec po klęsce Hitlera”. Zaczęliśmy bardzo dobrze: w pierwszych numerach naszego tygodnika ukazały się artykuły wielkich uczonych i pisarzy o światowej sławie, takich jak m. in. — Sigmund Freud, Thomas Mann, Harold Nicolson, Duff Cooper, Norman Angell, E. M. Forster i Aldous Huxley. W skład komitetu redakcyjnego wchodził: Manès Sperber, Paul Sering (pseudonim Richarda Loewenthala — gdy piszę te słowa jest on publicystą londyńskiego „Observer’a”); socjolog Julius Steinberg, Willy i ja. Dodatkiem literackim kierował Ludwig Marcuse.

A jednak, mimo naszych usilnych starań, tygodnik po paru zaledwie miesiącach zaczął „wiednąć”, jak to się dzieje wcześniej czy później z większością pism emigracji, oderwanej od rodzinnego kraju i pozbawionej prawdziwych kontaktów ze społeczeństwem kraju wygnania. Jako redaktor „Die Zukunft” mogłem pracować nad „Ciemnością w południe” jedynie nocą. Powieść

rozwijala się we mnie jak zaawansowana ciąża. Czując zbliżającą się wojnę chciałem poświęcić jej cały czas. Około Bożego Narodzenia odszedłem z redakcji, ale pozostałem współpracownikiem i przyjacielem pisma.

„Die Zukunft” pod kierownictwem Thormana, przedstawiciela katolickiego centrum, wychodziło jeszcze, jak się zdaje, do końca 1939 roku, kiedy to redaktorzy zostali internowani w specjalnych obozach dla cudzoziemców. Pomysł podobnej gazety musiał zakończyć się klęską — nie żałuję jednak czasu, który jej poświęciłem: po zerwaniu z Partią, źle znosiłem samotność i szukałem nowych możliwości działania wśród ludzi o poglądach takich jak moje. Praca ta zbliżyła mnie z Willym i stała się początkiem serdecznych związków z Manèsem Snerberem: przekonałem się, że mimo zewnętrznej oschłości i sarkazmu posiada on rzadkie zalety — przenikliwość umysłu i dobroć serca.

Przeżyliśmy wspólnie ciężkie chwile po zerwaniu z komunizmem — podobni rekowalescentom, którzy po niebezpiecznej operacji od nowa uczą się chodzić: Willemu Muenzenbergowi przyszło to chyba najtrudniej: od wczesnej młodości całe jego życie upłynęło w służbie Partii, a jednak z ust tego człowieka nie padło nigdy jedno słowo skargi: postawa polityka po upadku jego władzy jest miarą jego prawdziwej wielkości; większość znanych mi byłych ministrów i ekscelencji, po utracie okazałych biur, sztabu sekretarek i innych przywilejów — zamieniła się w zalęknionych starców. Willy był postacią wyjątkową, a jego wdzięk osobisty, siła autorytetu i pasja życia pozostały te same do końca.

Zginął latem 1940 roku. Politycy francuscy chcieli mu zaoszczędzić obozu dla internowanych (co stało się udziałem wszystkich uciekinierów niemieckich na początku wojny) i dopiero na parę dni przed upadkiem Paryża, zastał on odesłany do takiego obozu. Na wiadomość o zbliżaniu się armii niemieckiej komendant obozu — Francuz — wiedząc, że internowani są uciekinierami politycznymi i, że grozi im niebezpieczeństwo jeśli wpadną w ręce Gestapo — zwrócił im wolność. Rozproszeni na małe grupy ruszyli jedni w stronę *zone libre*, inni w kierunku granicy szwajcarskiej.

Po raz ostatni widziano Willego, jak szedł drogą na wschód w towarzystwie dwóch młodych ludzi, poznanych w obozie. Nikt właściwie nic o nich nie wiedział, a oni sami podawali się za członków Niemieckiej Partii Socjalistycznej. W parę dni później w lesie, w okolicy Grenoble — znaleziono ciało Willego: powieszono go na drzewie; twarz zmarłego była sina i pokryta

ranami, a położenie trupa wykluczało hipotezę samobójstwa. Dwaj młodzi ludzie, zniknęli bez śladu<sup>1</sup>...

Trudno uwierzyć, że człowiek o doświadczeniu Willego dał się złapać w pułapkę. Ale Trocki, Krywicki, Ignacy Reiss i inni również wiedzieli, że G.P.U. zaprzysięgało im zemstę a przecież wpadli w zręcznie zastawione sidła. Przyczyna tego jest prosta: nikt nie może żyć bez zaufania do przyjaciół. Dawniej mordercy używali kobiet na przynętę. Nowoczesna dialektyka morderstwa używanego przez G.P.U. opiera się na znajomości psychologii: człowiek samotny może oprzeć się wszelkim pokusom prócz jednej — odczuwa głód przyjaźni i lojalności.

---

1. Szczegółów tych dowiedziałem się po przyjeździe do Londynu od Ellen Wilkinson — przyjaciółki Willego i Otto. W 1948 roku była ona sekretarką Ministra Spraw Wewnętrznych w brytyjskim rządzie koalicji i posiadała w swoich aktach sprawozdania służby wywiadowczej o śmierci Willego Muenzenberga.



## SPIS TREŚCI

<i>Niebezpieczeństwa autobiografii</i> .....	7
----------------------------------------------	---

### Część pierwsza

#### EUFORIA

1932

<i>Spalone mosty</i> .....	13
<i>Autor „towarzystem”</i> .....	19
<i>„Utarzaj się w błocie”</i> .....	35

### Część druga

#### UTOPIA

1932-1933

<i>Maszynka do dzielenia myśli</i> .....	47
<i>Początek podróży</i> .....	59
<i>Cebula i „odekołn”</i> .....	68
<i>Sen na Kaukazie</i> .....	72
<i>Ararat</i> .....	80
<i>Nadzieja</i> .....	86
<i>Burza nad Turkiestanem</i> .....	104
<i>W stronę granicy afgańskiej</i> .....	116
<i>Buchara i Samarkanda</i> .....	129
<i>Narzędzie losu</i> .....	135

## Część trzecia

### WYGNANIE

1933-1936

<i>Gra w chowanego</i> .....	149
<i>„Czerwona eminencja”</i> .....	157
<i>Wychowawca z Maisons-Laffitte</i> .....	165
<i>Kłeska</i> .....	172
<i>Ratunek</i> .....	181
<i>Czystka w szklance wody</i> .....	186
<i>Dziesięciu małych Indian</i> .....	192
<i>W oczekiwaniu</i> .....	197
<i>Hołd dla szpiega</i> .....	199

## Część czwarta

### NIEWIDZIALNE PISMO

1936-1940

<i>„Cóż mi uczynił?”</i> .....	209
<i>„Ciemność w południe”</i> .....	219
<i>Koniec jednej przyjaźni</i> .....	229

WYKAZ WYDAWNICTW  
« BIBLIOTEKI KULTURY »

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

- 2 1. Witold GOMBROWICZ .. *Transatlantyk i Ślub*  
 1 4. James BURNHAM .... *Bierny opór czy wyzwolenie?*  
 1 8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota (Poezje)*  
 1 11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*  
 1 12. Teodor PARNICKI .... *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*  
 2 15. Graham GREENE ..... *Moc i chwała*  
 3 18. Jeanne HERSCH ..... *Polityka i rzeczywistość*  
 1 20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*  
 3 22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem (Francja 1940-1944), 2 tomy*  
 2 25. Daniel BELL ..... *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*  
 2 26. Jan WINCZAKIEWICZ *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*  
 1 30. Jan KOWALIK ..... *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*  
 2 31. Stanisław REMBEK .... *W polu*  
 2 33. Simone WEIL ..... *Wybór pism*  
 3 34. Albert CAMUS ..... *Człowiek zbuntowany*  
 1 35. James BURNHAM .... *Rewolucja menadżerska*  
 2 36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*  
 - 37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane widrodżennja (Antologia)*  
 1 40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”. Zesz. 5)*  
 3 41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”. Zesz. 6)*  
 1 43. Jan KOWALIK ..... *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*  
 5 45. Wacław LEDNICKI .... *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej*  
 3 46. Abram TERC ..... *Sąd idzie*  
     ANONIM ..... *Co to jest realizm socjalistyczny?*  
 1 47. Tibor DERY ..... *Niki*  
 2 48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy błąd (Seria „Dokumenty”. Zesz. 7)*

- 3 50. Czesław MIŁOSZ ..... *Rodzinna Europa*
- 2 51. Gustaw HERLING  
GRUDZIŃSKI ..... *Skrzydła ołtarza*
- 3 52. Halszka GUILLEY-  
CHMIEŁOWSKA ..... *Spotkania na galerii*
- 2 53. Józef CZAPSKI ..... *Oko*
- 2 54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia*
- 2 55. Leo LIPSKI ..... *Piotrus*
- 2 56. Aldous HUXLEY ..... *Nowy wspaniały świat poprawiony*
- 4 57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi*
- 3 58. Stanisław KOT ..... *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-  
dziackiej*
- 4 59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)*
- 2 60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
- 5 61. Andrzej CHCUIK ..... *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
- 3 62. Adam CIOŁKOSZ ..... *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*  
- Róża LUKSEMBURG .. *Rewolucja rosyjska (Seria „Dokumenty”.  
Zesz. 9)*
- 3 63. Bogdan CZAYKOWSKI i  
Bolesław SULIK ..... *Polacy w W. Brytanii*
- 2 64. Danuta MOSTWIN .... *Ameryko! Ameryko!*
- 4 65. Paweł HOSTOWIEC .... *Eseje dla Kassandry*
- 3 66. Aleksander HERTZ .... *Żydzi w kulturze polskiej*
68. Abram TERC ..... *Opowieści fantastyczne*
- 4 69. I. IWANOW ..... *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC ..... *Fantastyczeskije powiesti*
71. I. IWANOW ..... *Jest' li żiżń na Marsie?*
- 4 72. Paweł ZAREMBA ..... *Historia Polski. Cz. I*  
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
- 4 76. Józef CZAPSKI ..... *Na nieludzkiej ziemi*
- 4 77. Czesław MIŁOSZ ..... *Człowiek wśród skorpionów*
- 2 78. Bernard SINGER ..... *Od Witosa do Stawka*
- 2 79. Czesław MIŁOSZ ..... *Król Popiel i inne wiersze*  
80. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi)*
- 2 81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
- 2 82. Milovan DŽILAS ..... *Rozmowy ze Stalinem*
- 2 83. (Jerzy MOND) ..... *6 lat temu... (Kulisy polskiego Październi-  
ka) (Seria „Dokumenty”. Zesz. 11)*  
84. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
- 4 85. Józef WITTLIN ..... *Orfeusz w piekle XX wieku*
- 2 86. Zygmunt HAUPT ..... *Pierścień z papieru*
- 2 87. Marek HŁASKO ..... *Opowiadania*
- 4 88. Maria CZAPSKA ..... *Polacy w ZSSR (1939-1942) Antologia*



- 1 89. Witold JEDLICKI .... *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”.  
Zesz. 12)
90. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty)
- 2 91. Abram TERC ..... *Lubimow*
- 92. — *We własnych oczach*. Antologia współczesnej literatury sowieckiej.
- 2 93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i szkice*
- 2 94. Jan KOWALIK ..... *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962*.
95. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty)
- 1 96. Marek HŁASKO ..... *Wszyscy byli odwrócenii. — Brudne czyny*
- 1 97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach* (Poezje)
- 1 98. Bogdan CZAYKOWSKI *Spór z granicami* (Poezje)
- 3 99. Wincenty WITOS ..... *Moje Wspomnienia*. Tom I/III
- 1 100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
- 1 102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty)
- 1 104. Ignazio SILONE ..... *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
- 1 105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga* (Seria „Dokumenty” Zesz. 13)
- 1 106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm*
- 1 107. Abram TERC ..... *Myśli niespodziewane*
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-y)
- 1 109. Wacław IWANIUK .... *Wybór wierszy*
- 2 110. Michał K. PAWLIKOWSKI ..... *Wojna i sezon*
- 3 111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Inny świat*
- 2 112. Witold GOMBROWICZ *Kosmos*
- 113. Borys LEWICKYJ .... *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
- 2 114. Stanisław VINCENZ .... *Po stronie pamięci*.
- 1 115. Danuta MOSTWIN .... *Olivia*
- 1 116. Czesław MIŁOSZ ..... *Gucio zaczarowany* (Poezje)
117. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my)
- 2 118. Jerzy PIETRKIEWICZ .. *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
- 2 119. January GRZĘDZIŃSKI *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14)
- 120. Mikołaj ARŻAK ..... *Odkupienie i inne opowiadania*





A C H E V E D'IMPRIMER  
LE 17 DECEMBRE 1965  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, R U E S T E P H E N S O N ,  
P A R I S (XVIII<sup>e</sup>)

Dépôt légal : 4<sup>e</sup> trim. 1965

